

John Gilstrap

Zły wybór
EVEN STEVEN

Przekład
Adam Łuszczak



1

Było zimno. Spleciona w ciasnym uścisku para młodych ludzi leżała na skalnym wyniesieniu ponad rzeką Catoctin. Spoglądali w górę na bezchmurne niebo i zastanawiali się, która z niezliczonych milionów gwiazd jest tą jedyną, która spełnia życzenia.

- Śpisz? - szepnął Bobby.

- Jeszcze nie - powiedziała stłumionym głosem Susan.

Bobby przygarnął ją jeszcze bliżej i pocałował w czubek głowy. Dziś mijało pięć lat od dnia ich ślubu.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział.

Susan przycisnęła się do męża i wtuliła twarz w jego kurtkę.

Kalendarz kłamał. Bobby spodziewał się, że po tak srożej zimie kwiecień przyniesie wyższe temperatury. Tutaj w górach, gdzie Zachodnia Wirginia najbardziej zbliżała się do Boga, w powietrzu nadal czuć było luty. Bobby nigdy bardziej nie pragnął przyjscia wiosny.

W ogóle wszystko było inaczej niż zaplanował. Miejsce było wspaniałe, noc piękna, ale miał nadzieję, że smutek ustąpi już do tego czasu. Musiał istnieć jakiś sposób, by zapomnieć o bólu. Gdyby był lepszym mężem, wiedziałby, co zrobić. Pod palcami czuł ciepło i miękkość ciała Susan. Delikatnie głaskał jej gęste brązowe włosy, niewidoczne w ciemności. Bardzo to lubiła.

- Po prostu spróbujemy jeszcze raz - wyszeptał, z nadzieją, że nie słyszy drżenia jego głosu. - I jeszcze raz, jeśli będziemy musieli. I znowu...

Susan tylko głębiej skryła twarz. Bobby odczuwał jej cierpienie tak namacalnie, jakby ktoś świdrował ostrzem noża w jego wnętrznościach. Zagryzł wargi i zapatrzył się w niebo, rozpaczliwie próbując ukryć niepewność. Miał wrażenie, że nawet oddech go zdradza. Jeśli Susan wyczułaby, że na pancerzu jego optymizmu pojawiły się rysy, mogłoby się to dla nich źle skończyć.

Ostatnim razem byli już tak blisko. Tak bardzo pragnął mieć dzieci, że nie był pewien, czy potrafiłby poradzić sobie raz jeszcze z utratą nadziei, z nieszczęściem, które ich dotknęło. W nocnym powietrzu kąciki jego zwilgotniałych oczu szybko stały się zimne.

Minął tydzień od czasu, gdy lekarz oświadczył, że Susan jest zdrowa i wszystko jest w porządku. Ten weekend miał im przynieść ukojenie, choć wiedzieli, że nie unikną łez. Kiedy

jednak Bobby pozostawał sam, wpadał w furię. Dlaczego los był tak niesprawiedliwy? Przeklinał Boga, Susan i samego siebie za to, że odmówiono im tego szczęścia, które byłoby dopełnieniem ich małżeństwa. Niekiedy zżerał go gniew. W takie noce jak ta, gdy Susan, jego najlepszy przyjaciel, poddawała się falom smutku, miał ochotę rozbić coś w drzazgi, by rozładować wściekłość.

Najlepszym lekarstwem był czas. Wiedział o tym zarówno z doświadczenia, jak i z rad innych. Ale akurat ta jedna jedyna rzecz była od niego niezależna.

Czas leczy wszystkie rany. Co za bzdura!

Tuż pod nimi pędziła z hukiem rzeka, wezbrana od topniejących śniegów. Co chwila wiry uderzające w pionową skalną ścianę opryskiwały ich półkę deszczem kropel. Grzmiący hałas wypełniał pustkę nocy. Przez moment Bobby poczuł spokój, który mieli tutaj odnaleźć. Co takiego jest w wodzie, że tak koi duszę?

Gdyby to była inna noc, nie usłyszałby szelestu w krzakach otaczających ich odosobnioną skałę. Nieokreślony dźwięk nie przypominał szumu wiatru. Opos ani szop też nie narobiłyby tyle hałasu. Kiedy w tych stronach usłyszysz się coś podobnego, do głowy przychodzi tylko jedna sensowna myśl.

- Boże, to niedźwiedź! - Susan wyszeptała ze strachem to, co pomyśleli oboje.

Zwierzę było między nimi a obozowiskiem.

Bobby, cicho przetoczył się na bok i powoli wstał z ziemi.

- Co robisz? - zapytała Susan.

- Mam zamiar go odstraszyć - odpowiedział.

- Tylko go rozdrażnisz! Lepiej bądź cicho.

Bobby nigdy nie spotkał w lesie niedźwiedzia, ale wiedział - wszyscy tak mówili - że nie interesują się ludźmi. Dopóki nie czuły się osaczone, a ich młodym nie groziło niebezpieczeństwo, uciekały przed hałaśliwym człowiekiem, zamiast atakować.

- Uciekaj! - krzyknął najgłośniejszym jak potrafił, wymachując rękoma. - Wynoś się stąd! Widzę cię w krzakach! Jazda stąd!

- Bobby! - zawołała Susan i pociągnęła go za nogawkę.

Gdy szelest umilkł, Bobby odwrócił się. W zimnym świetle księżyca Susan zobaczyła jego szeroki uśmiech.

- Widzisz?

I wtedy niedźwiedź ruszył, dziko rycząc. Jak strzała wyskoczył zza drzew, na początku popędził wprost na Bobby'ego, a potem skręcił w prawo i pobiegł przez skały ku rzece.

Tylko... że to nie był niedźwiedź.

- O Boże! - krzyknęła Susan. - To mały chłopiec!

I to śmiertelnie przerażony. Z krzykiem biegł ku skałom i burzącej się pod nimi wodzie.

- Nieceee! - krzyknął Bobby i ruszył za nim. - Nie rób tego! Wracaj!

Ale chłopiec mknął dalej z zadziwiającą prędkością, jakby bieg nie sprawiał mu najmniejszego wysiłku. Dopiero w ostatniej chwili zawrócił znad wody i z krzykiem skierował się do lasu.

- Stój! Nie zrobię ci nic złego! - krzyczał Bobby.

Ale jego słowa tylko dodawały chłopcu skrzydeł.

Pościg zakończył się na pniu starego dębu. Chłopiec obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Bobby go dogania, i wpadł na drzewo. Gdyby uderzył głową, mógłby się zabić. Trafił jednak ramieniem, a upadek na twardą ziemię zamortyzowały pobliskie zarośla.

Bobby dał kilka susów i już był przy chłopcu.

Malec siedział ogłuszony. Po chwili, gdy ból dał o sobie znać, zaczął płakać. W jego żalonym lamencie słychać było strach, gniew i rezygnację. Poddał się. Przekreślił się na brzuch i szlochał w leżące na ziemi liście.

Bobby stał nad nim, nie mając pojęcia, co robić. Pochylił się, z wahaniem wyciągnął rękę, chcąc pocieszyć dziecko.

- Uspokój się, mały, nie zrobię ci nic złego - powiedział.

- Puść mnie! - Susan odsunęła go i chwyciła dziecko na ręce. Chłopiec z początku się szamotał, ale potem spojrzał na nią i uspokoił się. Objął Susan mocno i ukrył twarz w jej ramionach. Wydawało się, że się w nią wtopił.

Susan zerknęła na Bobby'ego. Nie wiedział, co powiedzieć. Chłopiec mógł mieć ze trzy lata i był bardzo brudny. Błoto oblepiało mu włosy i uszy, jak skorupa pokrywało skórę. Miał na sobie tylko spodenki ze stopkami - część piżamy w czerwone lokomotywy. Przez postrzępiony materiał widać było palce lewej nogi.

- Co o tym myślisz? - zapytał szeptem Bobby.

- Nie wiem. Jest taki mały. Zimno mu. Czujesz, jak się trzęsie?

Bobby rozejrzał się dokoła z nadzieją, że ujrzy gdzieś przerażonych rodziców, ale zobaczył tylko las, niebo i wodę.

- Hej, mały, jak się nazywasz? - zapytał.

Na dźwięk jego głosu chłopiec skulił się i jeszcze mocniej przywarł do Susan.

- Udusi mnie - sapnęła.

Bobby zdjął kurtkę i owinał chłopca.

- Zaraz cię ogrzejemy - powiedział, a potem zwracając się do Susan, dodał:

- Wracajmy do obozu.

Podczas drogi Susan próbowała porozmawiać z chłopcem. Pytała, jak się nazywa, ile ma lat, ale mały tylko płakał i obejmował ją za szyję.

- Niedobrze, Bobby - powiedziała cicho. - Co on tu robi bez ubrania, na takim zimnie?

- Pewnie odszedł od swojego obozowiska - wzruszył ramionami Bobby. - Cóż innego mogłoby się stać?

- Ale jak zdołał się aż tak ubrudzić? Przyjrzyj mu się. To brud z wielu tygodni, a może nawet miesięcy.

Miała rację. Dzieciak wyglądał, jakby wytarzano go w błocie.

Chwilę później dotarli do swojego obozu. Ich terenowy explorer został dobry kilometr stąd, w dole szlaku. Na plecach przynieśli tu tylko trochę niezbędnych rzeczy. Na miejscu ogniska, rozpalonego właściwie tylko po to, by stworzyć miły nastrój, pozostała sterta połyskujących czerwono węgielków.

- Rozpalę jeszcze raz - powiedział Bobby.

Susan z chłopcem na rękach poszła prosto do namiotu, do ciepłych śpiworów. Przykucnęła przed wejściem, próbując oderwać od siebie ręce i nogi malca. Ale chłopiec westchnął i jeszcze mocniej przywarł do niej.

- Kochanie, już dobrze. Jesteś bezpieczny. Zabierzemy cię do twojego domu, w porządku?

Nie, nie. Nie było w porządku. Malec wręcz przykleił się do Susan, a im bardziej próbowała go oderwać, tym bardziej desperacko do niej przywierał.

- Sue, owiń go w śpiwór i trzymaj tak, dopóki się nie oswoi. Musi być śmiertelnie przerażony. - powiedział Bobby.

- I co dalej?

- Nie wiem - Bobby zmarszczył brwi. - Rano, gdy będziemy wyjeżdżać, zabierzemy go na posterunek strażników parku. Zdecydują, co z nim zrobić.

Pozostał przez chwilę przy wejściu, patrząc, jak układają się w śpiworze.

- Wiesz co? - rzekł, kiedy już się położyli. - Zrobię gorącą czekoladę. Może to rozwiąże mu język, skoro nic innego nie działa.

Na dźwięk słów „gorąca czekolada” oczy dziecka rozbłysły, ale gdy tylko Bobby spróbował pochwycić jego spojrzenie, malec szybko odwrócił wzrok i przytulił się do Sue.

Bobby złożył sprzęt do gotowania wiele godzin temu i teraz musiał rozstawić go od

nowa. Gazowa kuchenka turystyczna miała tylko jeden palnik. Zanim pojawił się niebieski płomień, minęły ze trzy minuty. Nalał wody do aluminiowego garnka, postawił go na palniku i zajął się rozpalaniem ogniska.

Starannie poukładał resztki opału, który zebrali za dnia, i przyklęknął, opierając się łokciami o ziemię, a twarzą prawie dotykając popiołów. Węgielki, ożywione jego oddechem, rozjarzyły się i rozbłysły żółtym ogniem. Gdy dołożył większe kawałki drewna, w ciągu paru minut ognisko się rozpało, a płomienie sięgnęły pół metra w górę.

Cała ta sprawa z chłopcem poważnie go zaniepokoiła. Dlaczego taki szkrab, który ledwo nauczył się chodzić, wędrował po lesie w pizamie? Jeśli rzeczywiście odłączył się od rodziców, to gdzie są szukający go policjanci i strażnicy leśni? Gdzie tropiące psy i helikoptery? Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje.

W pobliskich krzakach usłyszał głośny trzask. Co to mogło być? Zdążył pomyśleć, że to wyobraźnia płata mu figle, gdy hałas się powtórzył. Cokolwiek to było - ostrożnie się zbliżało. Bobby zacisnął rękę na wielkiej szczapie i ukrył ją za sobą. Wstał jakby nigdy nic, po czym ruszył na skraj oświetlanego płomieniami ogniska kręgu.

- Bobby! Co się dzieje? Wszystko w porządku? - dobiegł go z namiotu głos Susan.

- Ciii... Nie wiem. Bądź przez chwilę cicho.

Trzask się powtórzył, ale tym razem poprzedził go szelest liści. Potem ruch ustał. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował niepostrzeżenie się zbliżyć i teraz chciał ukryć swoją obecność.

- Hej! - krzyknął Bobby, a w ciemności jego głos zabrzmiał głośniejsz niż zwykle. - Kto tam?!

2

Samuel skulił się na dźwięk łamanego patyka i zamarł, nie czekając na sygnał Jacoba. Wiedział, że znowu schrzanił sprawę i że teraz Jacob zrobił jedną z min, których tak nienawidził. Samuel Stanns nie był aż takim idiotą, za jakiego brat go uważał.

To prawda, chłopiec uciekł przez niego, ale słuchając wymówek i wrzasków Jacoba można było pomyśleć, że Samuel zrobił to celowo. Nic podobnego. Po prostu jakoś tak wyszło.

Do licha, ale ciemno. Nic dziwnego, że nadepnął na ten suchy patyk. Tylko Jacob

potrafił chodzić bezszelestnie. Nie każdy jest jednak tak dobry jak on. Samuel bardzo się starał. Kiedyś mama powiedziała mu, że najbardziej liczą się dobre intencje. Mama to rozumiała... Jacob zazwyczaj też... Nawet jeśli tata... Ach, to, co myślał sobie tata, nie było już zbyt ważne...

Teraz nie miało to najmniejszego znaczenia, bo Jacob był wkurzony. Kiedy jeszcze byli dziećmi, wszyscy wiedzieli, że lepiej trzymać się z daleka od Jacoba, gdy jest w złym humorze.

- Słuchasz mnie, czy nie?

Chropawy szept wyrwał Samuela z zamyślenia. Przytaknął ruchem głowy. Wiedział, że tak powinien odpowiedzieć.

- Zostaniesz tutaj - rozkazał. - Nigdzie nie chodź i nic nie mów. Ja się wszystkim zajmę.

Samuel powtórnie skinął głową, ale wtedy Jacob znów się zdenerwował.

- Słyszysz mnie?

- Tak.

Samuel nigdy nie nauczył się szeptać, w najlepszym razie mógł mówić ściszym głosem.

- Mówiłeś, żebym nic nie mówił, więc myślałem, że chcesz, żebym...

- Samuel, zamknij się!

*

Susan wysunęła głowę przez wejście namiotu.

- Bobby, co się dzieje? - zapytała.

Nawet nie spojrzął na nią, tylko wepchnął ją z powrotem do namiotu.

- Hej tam, o co chodzi? - rzucił w stronę lasu.

- Mam nadzieję, że pomożesz mi odnaleźć syna - rozległ się jakiś gruby głos.

Na dźwięk tego głosu chłopiec aż podskoczył w śpiworze. Wyprostował się, krzyknął i zaczął gramolić się do Susan, jakby szukając schronienia. Patrzył na nią prosząco i bezradnie jak przestraszony szczeniak. Próbowwała go uspokoić. Daremnie. Chłopiec był śmiertelnie przerażony.

Bobby, usłyszawszy krzyk malca, zrozumiał, co się dzieje. W oczach gościa dostrzegł błysk pogardy.

- Tom Stipton - przedstawił się Jacob, wyciągając rękę. - Znalazłeś go. Jest tutaj, prawda?

- Lepiej się nie zbliżaj - powiedział Bobby, cofając się o krok i mocniej ściskając

szczapę. Mierzący przeszło metr osiemdziesiąt przybysz wyglądał na zaprawionego w bijatykach i pewnego siebie człowieka. Bobby nie wiedział, co można zrobić w takiej sytuacji. - Jak to się stało, że go zgubiłeś? - zapytał w końcu.

Facet wydawał się rozbawiony, jakby wiedział, że nikt nie uwierzy w jego kłamstwa.

- Jechałem z żoną, zepsuł nam się samochód. Kiedy skończyłem dłużyć w silniku, okazało się, że nasz mały, kochany Samuel dokądś poszedł.

W jego słowach Bobby wyczuł fałsz. „Mały, kochany Samuel” zostało powiedziane z takim sarkazmem, złością.

Bobby wiedział, że musi działać. Coś tu nie grało. Ale... Niech to szlag, przecież on ma... pistolet! Skąd go wziął? Lufa była wycelowana prosto w pierś Bobby'ego. Nie widział jej dokładnie, ale charakterystyczny ruch, który wykonał mężczyzna, nie pozostawiał wątpliwości. Z twarzy przybysza nie schodził dziwny uśmiech.

Bobby bez namysłu skoczył w bok i machnął na oślep szczapą. Uderzył w dłoń mężczyzny dokładnie w momencie, kiedy broń wypaliła. Huk ogłuszył go na chwilę. Bobby przetoczył się na bok i próbował wstać. Spodziewał się śmierci. Jednak podnosząc się zobaczył, że napastnik na czworakach przeszukuje w ciemnościach leżące na ziemi liście.

Musiał mu wytrącić pistolet.

Z uniesioną nad głową szczapą Bobby ruszył do ataku. Mężczyzna zobaczył go i uderzył pięścią w brzuch. Gdy Bobby próbował złapać oddech, następny cios powalił go na kolana.

Świadomość wracała powoli. Czuł w ustach smak ziemi. Wymieszana z krwią płynącą z rozciętego od wewnątrz policzka tworzyła błotnistą maź. Cały świat obrócił się pod jakimś dziwnym kątem. Kiedy próbował znaleźć punkt oparcia, by wstać, miał absolutną pewność, że jeśli teraz chybi, zginie.

Odwrócił się na bok, a jego ręka wylądowała w ognisku. Aż jęknął z bólu. Dzięki poparzonym palcom udało mu się jednak na chwilę skoncentrować. Gdy skupił wzrok, zobaczył, że napastnik znów szuka czegoś w liściach.

Jezu! Pistolet!

Zamroczenie minęło w jednej chwili. Ten facet zamierzał go zabić! Jego i Susan. I chłopca. Musiał go powstrzymać. Tylko jak?

W przeblasku świadomości przypomniał sobie o garnuszku z wodą, która gotowała się na kuchence turystycznej. To była jedyna szansa. Gramoląc się na nogi, ruszył niepewnie w kierunku niebieskiego płomyka. Gdy chwycił z palnika wrzątek, metalowa rączka poparzyła mu palce.

W tej samej chwili przybysz z tryumfalnym okrzykiem wyciągnął z liści pistolet.

Bobby ruszył do ataku. Pochylny do przodu, chlusnął wrzątkiem w twarz napastnika. Mężczyzna zawył i wbił palce w poparzone oczy. Wtedy Bobby z całej siły uderzył go barkiem i przewrócił na ziemię.

- Samuel! - krzyknął Jacob. - Cholera, Samuel, pomóż mi!

Bobby ciężko upadł na ziemię, ale natychmiast się poderwał. Potrzebował broni. Ten człowiek musiał umrzeć, ale to on wciąż miał pistolet. Bobby z wściekłością kopał leżącego. Ciężkimi butami starał się celować w głowę, ale obcy osłaniał ją ramionami. - Samuel!

Bobby chwycił za lufę pistoletu. Pociągnął i w tej chwili broń wypaliła. Upadł z krzykiem, pewien, że został trafiony. Prawe przedramię piekło go, jak osmalone ogniem. Gdy zerknął na rękę, ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest ranny. I ma pistolet.

- Ty skurwysynu! - ryknął napastnik. Oślepiiony oparzeniami, obrócił się na brzuch, wyciągnął rękę na oślep i chwycił Bobby'ego za kostkę nogi.

- Zabiję cię! Przysięgam na Boga, zabiję!

Przerażony Bobby próbował kopniakiem uwolnić się z uchwytu napastnika, ale nie dał rady. Ponad głową Jacoba dostrzegł lufę trzymanego przez siebie pistoletu.

On cię zabije, Susan...

Nie mógł się jednak zdecydować, by pociągnąć za spust.

I wtedy odnalazły go poparzone oczy. Mężczyzna patrzył prosto na niego wzrokiem, który zmroził nocne powietrze.

- Kurwa, zabiję cię! - krzyknął i rzucił się naprzód.

Pistolet w dłoni Bobby'ego podskoczył, oślepiając go białym błyskiem, a potem jeszcze raz szarpnął jego ręką. Bobby nie wiedział, co robi. Rozumiał jedno: musi zabić tego mężczyznę.

*

Słyszac wystrzały, Susan i chłopiec zaczęli krzyczeć. Kiedy rozpaczliwie tulili się do siebie wewnątrz namiotu, Susan próbowała zrozumieć, co się dzieje.

Jeśli Bobby nie żył, ją czeka to samo. Chłopca pewnie również.

Wydawało się, że walka na zewnątrz trwa bez końca, aż nagle zapanowała kompletna cisza. Ten spokój był najbardziej przerażający.

*

Samuel czuł napływające do oczu łzy. Z trudem starał się je powstrzymać. Tylko mięczaki płaczą. Jacob powtarzał to tysiąc razy.

Do diabła! Przecież mówił, żeby się nie ruszać! I żeby nie odzywać się ani słowem!

Kiedy zaczął wołać o pomoc, było to naprawdę bardzo mylące. Jacob nie lubił, kiedy Samuel włączał się do jego bójek. Mówił, że potrafi sobie sam poradzić, a on, jego mały braciszek, tylko wszystko zawsze spieprzy.

Z miejsca, w którym stał, widać było jednak, że Jacob potrzebował pomocy. Leżał w taki sposób, bez ruchu... Samuel nieraz widywał ludzi, którzy tak leżeli po bójce z jego bratem. Ale on przecież nie mógł być martwy!

Nie. Jacob był za dużym twardzielem, żeby umrzeć. Mógł czasem porządnie oberwać, ale to wszystko. Obiecał, że zawsze będzie żył dla Samuela. Wciąż to powtarzał.

Tylko dlaczego teraz się nie ruszał?

Samuel zaczął płakać wbrew samemu sobie. Płakał zawsze, kiedy się przestraszył, a teraz był przerażony bardziej niż kiedykolwiek. Być może tylko dlatego, że był małym chłopcem.

Z Jacobem wszystko będzie dobrze. Przecież obiecał!

Samuel musiał possać rękę, to miejsce między kciukiem a palcem wskazującym (wszyscy wiedzą, że tylko baby ssą kciuk). Gdyby płakał za głośno, ktoś mógł go usłyszeć.

- Dalej, Jacob... - mówił najciszej jak umiał. - Dalej, wstawaj... Jacob, proszę, wstań...

*

Bobby nie mógł oderwać oczu od leżącego na ziemi mężczyzny. Osłupiały patrzył na krew, która tworzyła na mchu małe strumyki. Przez jego ciało przebiegł dreszcz, potem chwyciły go skurcze. Nie mogąc nad nimi zapanować, ciężko usiadł. Przez cały czas próbował utrzymać na muszce ciało obcego.

- Boże! Bobby! Nic ci się nie stało? - dotarło do niego pytanie Susan.

Podniósł wzrok i zobaczył ją. Spoglądała na niego z góry, a jej twarz ściągnięta była przerażeniem.

- Chyba go zabiłem - powiedział.

Jego głos brzmiał, jakby należał do kogoś obcego.

Susan postawiła chłopca na ziemi, usiadła obok męża i powtarzając „Boże, Boże”, objęła go ramionami.

Bobby nie potrafił pojąć tego wszystkiego, co się wydarzyło. Niecałe pół godziny temu w świetle księżyca przytulał żonę. Co się stało?! Jezu! Zabił człowieka!

Nagle Susan podskoczyła jak porażona prądem.

- Nie! Nie rób tego! - krzyknęła.

Bobby poderwał się, oczekując kolejnego ataku.

- Co się dzieje?! - krzyknął.

- O Jezu, nie! Przestań!

Susan zerwała się i podbiegła do leżących na ziemi zwłok. Chłopiec z całych sił okładał pięściami martwego mężczyznę.

- Natychmiast przestań!

Kiedy odrywała go od leżącego, z głośnym płaczem młócił rękoma i nogami powietrze. Susan nie próbowała nawet z nim rozmawiać, tylko mocno go przytuliła. Po pewnym czasie chłopiec zaczął się uspokajać. Jego głośny szloch przechodził w stłumiony płacz. W końcu zasnął w jej ramionach.

3

Susan tuliła chłopca w ramionach, delikatnie poklepując go po plecach i próbując uspokoić. Żeby jednak utrzymać go tyłem do martwego mężczyzny, sama musiała odwrócić się w jego stronę. Na widok zwłok poczuła skurcz żołądka. Ten człowiek leżał tak nieruchomo... Jego lewe ramię spoczywało wzdłuż boku, prawe było wzniesione. Wyglądał jak obalony posąg kiwający ręką na pożegnanie. Pomyślała, że był przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Miał potężne, mięsiste dłonie, zabrudzone smarem, którego nigdy nie da się zmyć, nawet szorując skórę przez godzinę. Ręce mechanika samochodowego. Najbardziej jednak uderzyło ją to, jak płasko wyglądało leżące ciało - niczym balon, z którego uszła połowa powietrza.

Spomiędzy jego rzadkich włosów nie wydobywało się jednak powietrze. To nie powietrze znaczyło czarnymi plamami dzinsową kurtkę, ale krew, która wypływała z otworów po kulach. To dzięki tym strzałom nadal żyła. W świetle migoczącego płomienia ogniska oczodoły mężczyzny wyglądały jak ciemne dziury. Na jego zębach zobaczyła krew. Już wkrótce krew zakrzepnie i zbrązowieje. Wzdrygnęła się, kiedy sobie uświadomiła, że oblizuje zęby jak przed oficjalnym obiadem, kiedy chce się upewnić, że nie ma na nich śladów szminki.

Nagle usłyszała głos Bobby'ego:

- Kto to jest Samuel? - nie wiadomo skąd dobiegł ją głos Bobby'ego.

- Co takiego?

- Cały czas wołał na pomoc Samuela. Kto to jest, do diabła?!

- Czy właśnie nie tak nazwał dziecko? Powiedział, że kiedy się odwrócili, Samuel

uciekł.

Bobby w zamyśleniu skinął głową. To prawda. Tak właśnie powiedział. Więc to chłopca wołał na pomoc? To małe dziecko, które okładało piąstkami jego martwe ciało? Niemożliwe.

- Wynośmy się stąd. On mógł mieć tu przyjaciół. Nie chcę ich spotkać.

- W nocy szlak jest zbyt niebezpieczny - zaprotestowała Susan.

- Bezpieczniej jest zejść niż zostać tutaj. Poza tym, czy chcesz spędzić noc razem z nim? - Bobby wskazał głową leżące na ziemi ciało. - Im prędzej zameldujemy, co się stało, tym prędzej będziemy mogli o tym zapomnieć. Byłoby głupotą zostać tu.

- A co z chłopcem? Jest tak wyczerpany, że nie przejdzie całej drogi - Susan głaskała dziecko po głowie i całowała jego brudne włosy.

- Więc go poniesiemy. Owiniemy tak, żeby było mu ciepło, i poniesiemy. Musimy się wynosić.

Bobby dopiero teraz spojrzał na pistolet, który wciąż ścisnął w dłoni, i wsadził go za pas dzinsów.

- Tu nie jest bezpiecznie - dodał.

Susan jakby dopiero teraz zrozumiała, co się stało. Szybko obróciła głowę, szukając w lesie innych uzbrojonych ludzi. Poczowała skurcz żołądka.

- Dobrze. Wezmę coś z rzeczy, żeby owinać dziecko. Później wrócimy po resztę. Zgoda?

- Tak. Teraz wszystko zostawmy - potwierdził Bobby.

Kiedy Susan zawijała chłopca w kurtkę i śpiwór, Bobby nie mógł oderwać wzroku od zwłok. Jezu! Zabił człowieka! Sam omal nie został zabity przez niego. Dlaczego? Co tu się dzieje? Czemu ten facet chciał zrobić krzywdę małemu dziecku?

Zrozumiał, że musi dowiedzieć się, kim był napastnik. Gdzieś w lesie może kryć się Samuel, który czekał, żeby pomóc kumplowi. Bobby nie chciał, żeby zabrał on stąd zwłoki i zatarł ślady. Trzeba było zdobyć jakiś dokument napastnika, ustalić jego nazwisko, które poda policji.

Bobby poruszał się ostrożnie, jakby to ciało mogło się zniecka na niego rzucić. Przez głowę przemknęły mu krwawe sceny ze wszystkich horrorów, jakie widział. Uznał, że nie poradziłby sobie ze zmarłym, gdyby ten nagle ożył.

Portfel wystawał z tylnej kieszeni. Bobby długo zbierał się na odwagę. Na samą myśl o dotknięciu zmarłego dostał gęsiej skórki. W końcu jednak stanął okrzakiem nad ciałem i dwoma palcami sięgnął po portfel. Mężczyzna cuchnął moczem, co budziło mdłości.

- Co robisz?!

Słowa Susan były tak nieoczekiwane, że aż podskoczył i upadł plecami w liście.

- Jezu Chryste! - krzyknął.

Susan z opatulonym chłopcem na rękach stała w wejściu do namiotu.

- Okradasz go?

- Nie! - Bobby był przerażony faktem, że w ogóle zadała takie pytanie.

- Szukam jakiegoś dokumentu z nazwiskiem.

- Och, kochanie, nie wiem...

- To zajmie sekundę.

Znów podjął próbę wyjęcia portfela, używając tylko dwóch palców. W Ciemnościach nie mógł go dokładnie zobaczyć, ale miał dziwny kształt i ważył więcej niż powinien. Kiedy obrócił go w rękę, zobaczył, dlaczego. Na ułamek sekundy jego serce przestało bić. Wpatrzony w lśniącą srebrną odznakę zatoczył się i oszołomiony usiadł ciężko na zarzuconej liśćmi ziemi.

- I co? - zapytała Susan, idąc w jego stronę. - Co to jest?

- To glina.

Kiedy usłyszał własne słowa, przez jego ciało przebiegł lodowaty dreszcz.

- Boże, Sue, zabiłem gliniarza!

Był przerażony. Zabójcy policjantów szli do więzienia, oczywiście pod warunkiem, że przedtem ich nie zabito. Wiedział to chociażby z telewizji.

- I co z tego, że to gliniarz? - Susan starała się, mówić pewnym głosem, ale nie udało jej się ukryć zdenerwowania. - Oprócz tego, że był policjantem, był też człowiekiem, prawda? I istnieje coś takiego jak obrona konieczna.

Chryste! Ale czy to naprawdę była obrona konieczna? Ten gliniarz przyszedł do obozowiska szukając dziecka, do którego oni, Martinowie, nie mieli żadnych praw, a kiedy stawiałem opór, gliniarz wyciągnął broń. Kto się tutaj bronił?

Nie wolno myśleć w taki sposób. On chciał strzelać. Widziałem to w jego oczach. Chciał strzelać.

Ale nie strzelił, prawda? Przynajmniej dopóki nie skoczyłem po jego pistolet i nie zacząłem z nim walczyć. A co miał, do diabła, zrobić? Ten gliniarz wiedział tylko, że jakiś obcy ma jego dziecko, którego nie chce oddać. Na miłość boską, to był glina.

- Kochanie? Kochanie, co się stało? To była obrona konieczna, prawda?

Nagle dla Bobby'ego wszystko stało się jasne. Musieli się stąd wynosić.

Natychmiast. Musieli zniknąć tak, by nic nie wskazywało, że kiedykolwiek tu byli.

Wpychając zabitemu portfel do kieszeni, Bobby wstał i obrócił się twarzą do żony.

- Musimy iść. Zabierz wszystko. Nie może pozostać tu po nas żaden ślad.

- Nie strasz mnie - jęknęła Susan. - Powiedz, co się dzieje.

Nie miał na to czasu. Żadne z nich go nie miało.

- Zastanów się, Sue. Zabiłem glinę.

- W obronie koniecznej.

Powiedziała to jak do tępego dziecka. Potem zobaczyła wyraz jego twarzy i opadły jej ramiona.

- Tak było.

Nie wiedział, od czego zacząć. Wszystko to wydarzyło się zbyt szybko.

- Nie jestem pewien, czy była to obrona konieczna - powiedział w końcu i zobaczył, jak oczy żony rozszerzają się z przerażenia. - Wtedy byłem pewny, ale teraz nie wiem. Gdybym wiedział, że on jest gliną, może inaczej bym postąpił. Gdyby tylko on przedstawił się jako policjant...

- I właśnie o to chodzi - powiedziała szybko. - Nie przedstawił się. Byłam tutaj. Słyszałam wszystko. A ponieważ się nie przedstawił, miałeś prawo...

- A co z innymi gliniarzami, Sue? Z tymi, którzy będą prowadzić śledztwo w tej sprawie? Zobaczą martwego gliniarza i zechcą dowiedzieć się czegoś o dziecku, którego w ogóle nie znamy. Ta historia o napadzie robi się coraz mniej sensowna nawet dla mnie. Co oni sobie pomyślą?

- Więc co robimy?

- Wynosimy się stąd, do wszystkich diabłów.

- Ale przynajmniej zadzwonisz, prawda?

- Nie wiem. Nic już nie wiem. I na dobitkę mamy jeszcze jego.

Bobby wskazał na chłopca, który przez sen ssał kciuk.

- Nie mówiąc już o Samuelu, kimkolwiek on jest, u diabła.

Bobby przeszedł nad zwłokami i zaczął sprawdzać teren.

- To jest najgorsze ze wszystkiego, co możemy zrobić, ale tak nakazuje rozsądek, prawda?

Nie zgadzała się z nim, co można było wyczytać z jej twarzy. Ale nie miała lepszego pomysłu.

Bobby poruszał się w szaleńczym tempie. Biegał z jednego kąta obozowiska na drugi, świecąc dookoła latarką górniczą. Chciał usunąć wszelkie ślady ich obecności. Zebrał jedzenie i śmieci. Pamiętał, żeby podnieść kubek, którym cisnął w napastnika.

W czasie, gdy chłopiec spał pod drzewem, Susan wrzuciła ich rzeczy do plecaków. Śpieszyła się, jak tylko mogła. Czuła, że w każdej chwili mogą ich złapać. Co by to mogło oznaczać, nie wiedziała dokładnie. Jednak nigdy dotąd Bobby nie był tak roztrzęsiony.

Postanowiła nie patrzeć w kierunku zwłok. Chciała już być daleko od tej góry, w drodze do jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie mogłaby przemówić Bobby'emu do rozsądku. Przecież nie mieli nic do ukrycia. Uciekając, przyznają się do winy. Wiedziała o tym. Była przekonana, że i Bobby to zrozumie, kiedy tylko znów zacznie myśleć logicznie. Teraz jednak należało jak najszybciej dostać się do samochodu.

*

Samuel nie ruszał się od pół godziny, tak samo jak Jacob. A więc to się naprawdę stało. Jacob nie żył, zabili go ci ludzie. Gdyby nie ta para wścibskich ciot, wszystko byłoby inaczej.

Ale dlaczego zaczynasz właśnie od nich?

Wydawało mu się, że usłyszał głos Jacoba. Odwrócił się, ale nikogo nie zobaczył.

- Jacob? - rzucił w mrok, najciszej jak potrafił. Znów spojrzął nerwowo w kierunku obozowiska, ale ciało brata leżało nieruchomo. - Gdzie jesteś?

Odpowiedzi nie było. Czasem Jacob był właśnie taki. Zadawał pytania, żeby Samuel zaczął myśleć.

Samuel zastanawiał się nad pytaniem, które usłyszał. Dlaczego zaczynam od nich?

To z powodu dzieciaka. Cholerne dzieciaka, który odmawiał zrobienia wszystkiego, co mu kazano, tylko krzyczał, jęczał i nie odezwał się do nikogo jednym słowem. Samuel nie potrafił zrozumieć, dlaczego dzieciak był najważniejszy dla Jacoba.

Pozwoliłeś mu uciec. Zasnąłeś.

Tym razem wiedział, że głos dobiega z wnętrza jego głowy. Obraz, który Jacob chciał mu przekazać, stawał się coraz bardziej wyraźny.

Gdyby dzieciak nie uciekł, wścibskie cioty o niczym by się nie dowiedziały. A gdyby się o niczym nie dowiedziały, Jacob nie zostałby zastrzelony. A więc, gdyby on nie zasnął wtedy, kiedy powinien był czuwać, to...

Samuel sapnął, przyciskając ręką usta, żeby nikt go nie usłyszał.

Och Boże, Boże, Boże... To nie może być prawda. Zabiłem własnego brata.

*

W końcu byli gotowi. Plecaki spakowane, wszystkie rzeczy pochowane, a las w miejscu obozowiska wyglądał dziewiczo.

Susan chciała nieść chłopca, ale ponieważ miała ciężki plecak, wziął go Bobby. Od

dziecka czuć było mocz i brud. Próbował oprzeć główkę malca o swoje ramię, ale przeszkadzały mu szelki plecaka. Nie było więc innego sposobu i musiał nieść go przed sobą na rękach.

Bobby prowadził, oświetlając ścieżkę zamocowaną na czole latarką. Wyglądał jak pies Goofy z kreskówek Disney'a. Chłopiec nie ważył więcej niż piętnaście kilo, ale ponieważ leżał bezwładnie, wydawał się o wiele cięższy. Bobby stawiał nogi po omacku, a szlak był wąski, kamienisty i stromy. Dlatego też marsz do explorera trwał półtorej godziny, choć w normalnych warunkach zajęłoby tylko pół godziny.

Drzewa wydawały się tego wieczoru dziwnie milczące. Krew tętniła w uszach, a wszystkie odgłosy zagłuszała pędząca w oddali rzeka. Wcześniej szum wody napełniał Bobby'ego spokojem, teraz martwił się, że może to pomóc komuś podkraść się niespodzianie.

- Widzę samochód - odezwała się Susan za jego plecami.

Bobby obrócił głowę i dostrzegł między nagimi drzewami biały błysk.

- Dzięki Bogu. - Ramiona mu drżały. Miał wrażenie, że chłopiec waży teraz ze sto pięćdziesiąt kilo.

- Hej, maluchu - powiedział, podchodząc do samochodu. - Muszę cię na sekundę postawić.

Chłopiec stał z zamkniętymi oczami. Wyglądał tak, jakby wcale się nie obudził.

Susan głaskała go po głowie, podczas gdy Bobby drżącymi rękoma szukał kluczyków. Dwa przyciśnięcia małego guzika na pilocie i drzwi były otwarte.

Susan przeniosła chłopca na tylne siedzenie. Natychmiast przytulił się do niej i wpakował sobie do ust kciuk.

Przez tylne drzwi wrzucili do środka plecaki. Czas było odjeżdżać.

- Usiądę z tyłu razem z nim - rzekła Susan.

Bobby chciał zaprotestować, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Dlaczego nie miałyby jechać z tyłu? Chłopiec potrzebował czyjejś obecności.

Trzydzieści sekund później samochód jechał już przez zdradzieckie, kręte, nieutwardzone dukty. Zanim dotarli do drogi, wytrzęśli się na koleinach i skałach. Bobby jechał na najniższym biegu, ale i tak co chwila naciskał hamulec.

- Hej, tam z tyłu, jak się czujecie?

- Ja jako tako, a mały trzyma się wspaniale.

- To nie potrwa długo. Za parę minut wyniesiemy się stąd.

Jeszcze wczoraj nie wyobrażał sobie, że można tu jeździć po ciemku.

Gdy w końcu dotarli na dół i samochód wjechał na twardą nawierzchnię, Bobby

głośno odetchnął. Za chwilę będą daleko od każdego, z kim ten gliniarz mógł podróżować. Najgorsze było za nimi.

I wtedy zobaczył błyski niebieskich świateł, które szybko go doganiały.

*

Samuel wybrał się w podróż. Tak właśnie nazywał tę chwilę, kiedy opuszczał realny świat, by snuć myśli, których nikt inny nie potrafił zrozumieć. Kiedy wrócił, nadal była noc. Ognisko i światło latarek znikły, a wokół panowała ciemność. Nawet księżyc pociemniał.

Ramiona i kolana miał sztywne, a więc podróżował przez długi czas. Nie tak długo jednak, jak zdarzało mu się to w dzieciństwie, bo spodnie wciąż miał suche.

Nigdy nie lubił ciemności. Po ciemku wydarzały się złe rzeczy. Odkąd pamiętał, w nocy zawsze paliło się przy nim światło, przynajmniej latarka, ale dziś Jacob nie pozwolił mu jej zabrać.

Gdy wszyscy już poszli, Samuel uznał, że może się teraz wypłakać. Nikt go nie zobaczy i nie nazwie babą, a już na pewno nie Jacob.

Ponieważ Jacob był martwy.

Samuela ogarnął taki smutek, że zakrył uszy rękoma i nacisnął z całej siły. Chciał zatrzymać te straszne uczucia w sobie, aby nie wypływały na zewnątrz. Osunął się na kolana i szlochał w ciemnościach, nie zważając na smarki i ślinę, które ściekały mu na koszulę.

Jacob nigdy nie powróci. Jest martwy. I nic nie można na to poradzić.

Potrzebował jeszcze pół godziny, żeby zebrać się na odwagę, ruszyć się z tego miejsca i zrobić to, co do niego należało. Księżyc nie dawał za wiele światła, ale wystarczyło go, żeby znaleźć drogę między drzewami i nie zrobić sobie krzywdy. Zatrzymywał się po każdym kroku. Ze wszystkich sił starał się nie nadepnąć na żaden patyk.

Jego uwagę przyciągnął jaśniejący w krzakach biały prostokąt. Pochylił się, żeby obejrzeć go z bliska i zobaczył, że to kartka papieru z jakimiś napisami. Samuel lubił zapisane kartki, więc złożył ją i wsadził do kieszeni džinsów.

Nie jesteś tutaj po to, żeby zbierać śmieci.

Wiedział o tym i rozzłościł się, że można go tak łatwo odciągnąć od zamierzonego celu. Zrobił jeszcze kilka kroków i był na miejscu. Jego brat wciąż się nie ruszył, w tle nocy wyglądał jak ciemna plama.

Samuel przyklęknął i oparł rękę na koszuli Jacoba. Miał nadzieję, że może brat poczuje to i obudzi się.

- Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam, Jacob - powiedział.

Potem, dławiąc w gardle szloch i wycierając nos, pochylił się i pocałował brata na

dobranoc.

4

- Mamy kłopot, Sue - mruknął Bobby, próbując zdławić przerażenie w głosie.

- Czego chcą? - Susan też zobaczyła pulsujące niebieskie światła i obróciła się, żeby spojrzeć przez tylną szybę.

- A jak myślisz? - Bobby zjechał na pobocze, mając jeszcze nadzieję, że policja być może ściga kogoś innego.

Akurat! Niebieskie światła za nimi przygasły.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Susan.

- Nie wiem - odparł szczerze.

Czuł zamęt w głowie. Jaki miał wybór? Żaden. Być może tak będzie najlepiej. Należy ponieść konsekwencje swojego czynu.

Nagle przypomniał sobie o pistolecie, który bezwiednie cisnął na siedzenie obok, kiedy wsiadał do wozu. Szybko sięgnął po broń, by ukryć ją przed cudzym wzrokiem. W bocznym lusterku zauważył, że otworzyły się drzwi radiowozu. Serce podeszło mu do gardła. Tego tylko brakowało, by przywitać policjanta z pistoletem w ręku. Zawahał się przez chwilę, po czym wcisnął pistolet pod siedzenie i spróbował przybrać niewinny wyraz twarzy.

Kilka sekund później policjant był już przy oknie i Bobby wcisnął przycisk, żeby opuścić szybę.

- Dobry wieczór - Bobby usłyszał strach we własnym głosie.

Policjant zaświecił mu latarką prosto w oczy.

- Dobry wieczór - odburknął i oświetlił latarką wnętrze samochodu. Nadzieje Bobby'ego wzrosły, gdy zauważył, że policjant nie wyciągnął broni. - Wszystko w porządku?

- Tak, sądzę, że tak? - odpowiedział Bobby, siląc się na uśmiech. Poczł wyraźny przypływ nadziei.

Snop światła cofnął się, po czym zatoczył półokrąg i powrócił. Tym razem policjant skierował go na drzwi samochodu, a nie na twarz kierowcy.

- Po prostu nocą jeździ tu niewielu ludzi. Niczego dziś wieczorem pan nie pił, prawda?

Bobby musiał walczyć ze sobą, żeby się nie roześmiać; tak wielką poczuł ulgę. Czy to

naprawdę miało być tak proste?!

- Ani kropelki. Tylko wodę i kawę.

Światło padało teraz pod innym kątem i na zielonej koszulce mężczyzny dostrzegł złotą odznakę. Ten facet w ogóle nie był gliną. To był strażnik z parku.

- Widzę, że biwakowaliście państwo. Dlaczego wyjeżdżacie tak wcześnie?

- Moja żona nie jest stworzona do spędzania nocy na łonie natury. Miałem do wyboru: albo nie spać przez całą noc i tłumaczyć wszystkie odgłosy, albo wrócić do domu, co wydało mi się bardziej sensowne.

Bobby'ego trochę zaniepokoiła własna odpowiedź. Zdziwił się, jak gładko poszło to kłamstwo i jak racjonalnie zabrzmiało.

- Może się mylę, ale pewnie nie ma pan zezwolenia na biwakowanie - zaśmiał się strażnik.

- Ależ mam, w plecaku, z tyłu samochodu - odpowiedział. Tym razem uczciwość się opłaciła. - Czy mam je wyciągnąć?

Strażnik zastanowił się, zerknął na tylne siedzenie i potrząsnął przecząco głową.

- Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Wierzę panu na słowo. Przykro mi, że państwa wycieczka niezbyt się udała. Dobranoc. Proszę jechać ostrożnie.

- Oczywiście - Bobby uśmiechnął się na pożegnanie. - Dzięki za troskę.

Zamykając okno, parsknął śmiechem.

- Uwierzyłybyś, że tak to pójdzie łatwo? - spytał Susan.

- Jedźmy do domu, dobrze? Do domu.

Susan nie widziała w tej sytuacji nic zabawnego.

Teraz czekała ich już tylko długa monotonna jazda, ale myśli nie dawały Bobby'emu spokoju.

Zabił człowieka!

Nie można kogoś zastrzelić i tak po prostu odejść. Jeśli zrobi się coś złego, to trzeba wykonać następny krok i przyznać się do przestępstwa. Zdać się na łaskę sądu.

Ale to był gliniarz.

Do diabła, czemu ze wszystkich ludzi na świecie musiał to być akurat policjant?!

Bobby ani przez chwilę nie wierzył, że facet ten był ojcem dziecka. Możliwe jednak, że właśnie rozpracowywał sprawę uprowadzenia. A może znalazł się w lesie z jakichś innych powodów a kiedy zobaczył brudnego dzieciaka w porwanej piźamie postanowił na to zareagować.

Ale ja o tym nie wiedziałem, Wysoki Sądzie - Bobby wyobraził sobie, że przemawia

na sali rozpraw. - Tak bardzo mnie przestraszył, że ruszyłem na niego. Kiedy wyciągnął broń, nie pozostało mi nic innego, jak wyrwać mu ją i strzelić.

Na samą myśl o tym poczuł skurcz żołądka. Nikt w to nigdy nie uwierzy.

Trzeba by to było widzieć jego oczyma. Słyszeć krzyk chłopca na dźwięk tego głosu. Mimo wątpliwości Bobby nie mógł oprzeć się wrażeniu, że policjant nie znalazł się tam, by komuś pomóc. Chciał skrzywdzić tego chłopca. A potem musiałby to samo zrobić z Bobbym i z Susan.

Do diabła, to była samoobrona! Nie miał nic do ukrycia. Dlaczego więc tak postąpił?

Gdyby to nie był gliniarz...

Gdyby to był ktokolwiek inny!

Jeśli wykona następny ruch i przyzna się, ludzie będą się chcieli dowiedzieć, dlaczego uciekł. Nie zdoła wytłumaczyć tego paniką. Skąd niby wiedział, że obcemu towarzyszy ukryty w lesie pomocnik? Jakiś Samuel? Jeśli tam był, to dlaczego się nie włączył do walki?

Ci ludzie nie rozumieją, że kiedy walczy się o życie, człowiekowi płaczą się wszystkie myśli. Nawet teraz, gdy spokojnie się nad tym zastanawiał, nie wszystko miało sens. To, co przez moment doskonale pasowało do siebie, wyglądało obecnie absurdalnie. Z pewnością sędziowie wszystko to rozumieją. Będą musieli, ponieważ taka jest prawda.

Niewinni ludzie nie uciekają, panie Martin.

To także prawda. Zapytaj kogokolwiek, a powie to samo. Ludzie twierdzą, że prawda jest najlepszą bronią.

Owszem, dopóki dowody potwierdzają twoją wersję.

Tak długo, dopóki nie okaże się, że twoja ofiara jest policjantem.

Boże, co teraz zrobić?

Bobby nie patrzył ani na licznik, ani na zegarek, ale żołądek sygnalizował mu, że do domu jest jeszcze godzina, a może półtorej godziny jazdy. Wskaźnik paliwa opadł poniżej jednej czwartej. Podświetlony znak stacji benzynowej Amoco przyciągnął jego uwagę silniej, niż stałoby się to w innych okolicznościach. Zmniejszył prędkość, niedbałym ruchem ręki włączył kierunkowskaz i skręcił w stronę rzędu dystrybutorów.

Wyczuwając zmianę kierunku jazdy, Susan zamruczała coś pod nosem, po czym znów oparła skroń na zagłówek fotela. Po chwili znów spała.

- Przyjemne musi być tak spać - westchnął, cicho otwierając drzwi. Wątpił, czy sam będzie kiedyś w stanie spokojnie zasnąć. Przeciskając się pomiędzy samochodem a dystrybutorami, szukał portfela. Chciał już wziąć kartę kredytową, gdy nagle coś go powstrzymało.

Biorąc pod uwagę łatwość wyśledzenia użytkownika karty, to był to jak najgorszy moment, żeby nią zapłacić. Znalazł dwa banknoty dwudziestodolarowe, podszedł do dystrybutora i uruchomił pompę. Jak zwykle uniósł wąż z dyszą i nacisnął dźwignię, ale tym razem nic się stało.

Zdażył pomyśleć, że to nie powinno być bardziej skomplikowane, gdy nagle wystraszyło go dudnienie z głośnika, umieszczonego na dachu osłaniającej stanowiska wiaty.

- Musi pan najpierw zapłacić - oznajmił zaspany młodzieńczy głos.

Bobby poprzez szyby explorera dojrzał kiwającego ręką w jego stronę przyszczatego wyrostka.

Zostawił węża w baku i skierował się do przeszklonego budynku, który reklamował się jako Mini-Mart. Gdy otworzył drzwi, rozległ się elektryczny dzwonek, a siedzący za kontuarem chłopak zerwał się na równe nogi.

- Ile pan potrzebuje? Czy wszystko w porządku? Co się stało z pańską twarzą?

Widocznie ślady stoczony w walce były gorsze od jej fizycznych skutków.

- Po prostu urodziłem się już taki brzydki - odparł Bobby.

W żadnym razie nie zamierzał tłumaczyć się przed tym wyrostkiem.

- Należymy za dwadzieścia dolców. Wyda mi pan resztę, jeśli nie wykorzystamy wszystkiego?

- Oczywiście. Nie pozostalibyśmy długo w interesie, gdybyśmy kradli ludziom pieniądze.

Uwagę Bobby'ego przyciągnął szyld Kit Kat na pierwszym od drzwi stojaku. A więc sprzedawano tu także pampersy. Mogły się przydać.

Omali nie padł z wrażenia, kiedy wyrostek wystawił mu rachunek przy kasie.

- Razem z paliwem będzie czterdzieści cztery dolary i trzydzieści siedem centów.

- Boże! - wykrztusił Bobby.

- Nie jesteśmy najtańsi, ale to jedyny otwarty teraz sklep w promieniu pięćdziesięciu kilometrów - oznajmił z uśmiechem sprzedawca. Należała mu się nagroda za uczciwość.

- W takim razie proszę dać paliwa tylko za piętnaście dolarów.

Przez cały czas, aż do powrotu Bobby'ego do samochodu, Susan nawet nie drgnęła. Poruszyła się dopiero, gdy otworzył tylne drzwi.

- Co się dzieje? - spytała.

- Zatrzymałem się, żeby kupić paliwo i trochę potrzebnych rzeczy - odpowiedział.

Susan zobaczyła pieluszki i uśmiechnęła się.

- Jakie to miłe - stwierdziła, po czym obróciła się i znów zamknęła oczy.

Samochód pochłaniał kolejne litry piętnastodolarowej dolewki. Wreszcie Bobby odwiesił węża. Siadał za kierownicą, kiedy na skraju parkingu zobaczył aparat telefoniczny.

To była jego ostatnia szansa. Mógł zrobić to, co należy. Cóż jednak powie?

Nazywam się Robert Martin, właśnie zabiłem funkcjonariusza policji...

Nie, to bez sensu... Nie musi nikomu o tym mówić. Może dalej żyć wieść szczęśliwe życie, licząc na to, że wydarzenia dzisiejszej nocy nigdy go nie zakłócą. Być może minie wiele miesięcy, zanim ktoś natknie się na leżące w lesie zwłoki. Do tego czasu ich resztki zostaną rozwłócone przez dzikie zwierzęta albo przynajmniej ciało ulegnie tak zaawansowanemu rozkładowi, że nie da się go już zidentyfikować. Ile trzeba na to czasu? Przy takiej pogodzie jak teraz, kiedy było sucho i zimno, zapewne dużo.

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, podszedł do budki telefonicznej, Daj spokój, wołał wewnętrzny głos. Jedź dalej i wykorzystaj swoją szansę.

Do cholery, zginął człowiek. Kiedy ktoś zajmie się odnalezionymi zwłokami - a Bobby wiedział, że tak czy owak to nastąpi - sprawa zostanie zakwalifikowana jako morderstwo i polowanie na zabójcę nigdy się nie skończy. Nigdy. W sprawach o morderstwo w żadnym ze stanów nie obowiązywało przedawnienie. Wiedział o tym głównie z programów z udziałem policjantów. Z czasem ugnie się pod ciężarem tego wszystkiego. Był pewien, że tak się stanie.

Bobby wyobraził sobie pożegnalne przyjęcie po przejściu na emeryturę. Będzie otoczony kolegami i członkami rodziny, gdy zjawi się policja. Wyważą drzwi i zawloką go do więzienia. Jak się wtedy poczuje, rozpoczynając dożywotnią odsiadkę w wieku, w którym prawdopodobnie zostałby już zwolniony, gdyby zdecydował się ponieść konsekwencje wcześniej?

I co mają zrobić z tym chłopcem? Istnieją gdzieś sierocińce, ale przecież nie mogli porzucić malca na ganku budynku.

Położył rękę na słuchawce i zamarł. To był moment krytyczny. Po nim nie będzie odwrotu. Ale co właściwie miał im powiedzieć?

Nic. Po prostu należy wrócić do samochodu i zdać się na łaskę losu.

A kiedy już w końcu go złapią, jak wytłumaczy, że zapomniał o człowieku, którego zabił pięć, dziesięć, trzydzieści lat temu?

- Dobra, Bobby. Potrafisz to zrobić - powiedział głośno.

Jeszcze raz wziął głęboki oddech i zadzwonił.

5

April Simpson zmówiła krótką dziękczynną modlitwę za to, że udało się przejechać całą drogę do domu i nie zasnąć. Czasem bała się, że takie tempo ją wykończy. Osiem godzin w McDonald'sie, a potem kolejne cztery spędzone na sprzątaniu biur w centrum to już połowa doby. A w miarę jak rosło dziecko, które nosiła w sobie, potrzebowała coraz więcej czasu na sen.

Czasami całą noc nie mogła zmrużyć oka. Leżała w łóżku i płacząc zastanawiała się, w jaki sposób da sobie radę z dwójką dzieci. Pamiętała ciągnące się bez końca noce, kiedy Justin, jeszcze niemowlak, nie chciał zasnąć i płakał, płakał i płakał, aż musiała wychodzić z jego pokoju w obawie, że jeszcze trochę, a zrobi mu coś złego. Teraz jej synek miał już prawie trzy lata, a ona będzie musiała zająć się następnym niemowlęciem. Nie była pewna, czy temu podoła.

Zdecydowała już, że zaciśnie pasa. Tyle tylko mogła zrobić. Do diabła z tym, co myślał William.

William był świnią. Wiedziała to od dnia, gdy tylko go poznała. Gdyby nie pewna noc, kiedy ulegając namiętności wyzwolonej przez alkohol poczęła Justina, nigdy by go nie poślubiła. Nie nadawał się na ojca, ale był mężczyzną. A wtedy myślała, że tego właśnie potrzebuje najbardziej.

April wjechała na swoje miejsce na parkingu na Sosnowym Osiedlu. Zanim przekreśliła kluczyk w stacyjce i wydołała się z samochodu, czujnie rozejrzała się na wszystkie strony. Własny mały Chevrolet miał symbolizować jej wolność i zaświadczać wobec świata, że nie jest jeszcze zupełnie bezużyteczna. Jednocześnie był jedynym majątkiem, jaki posiadała. Pewnego dnia to autko mogło okazać się jej biletem na podróż w jedną stronę.

Upewniła się, że zebrała wszystkie swoje rzeczy i wyszła nie zamykając drzwi. Lepiej, żeby złodziej wszedł do środka i nie znalazł tam niczego, co mógłby ukraść, niż powybiłszy szyby i narobił bałaganu. Jeśli chcieliby jej ukraść samochód, to powodzenia. Wtedy zrealizuje czek z polisy ubezpieczeniowej.

Kiedy w drodze do domu przechodziła przez ciemne boisko, ręka w kieszeni płaszcza zacisnęła się na kupionym sześć lat temu małym pistolecie. Nigdy jeszcze go nie użyła. William lubił powtarzać, że jeśli nawet wystrzela cały magazynek, to najwyżej kogoś wkurzy.

Jednak da to jej czas potrzebny na ucieczkę przed gwałcicielem lub posiadaczem broni większego kalibru. A o to przecież chodziło. Nie chciała zabijać. Chodziło jej o to, żeby przeżyć.

Nie spuszczała wzroku z gromady dzieciaków obok. Obserwowała je nie odwracając głowy, a one przyglądały się jej w ten sam sposób. Co mogły robić na dworze o czwartej nad ranem? Gdzie są ich rodzice? I dlaczego wolą przebywać na zewnątrz w taką zimną noc? Miało to sens latem, kiedy uciekało się z dusznego, gorącego mieszkania, ale nie teraz. Tu, w Pittsburgu, wiosna za bardzo przypominała zimą.

Przeszła dwadzieścia, trzydzieści metrów. Nic nie wskazywało, by ze strony dzieciaków groziło jej jakieś niebezpieczeństwo. Mimo to, gdy jeden z nich zrobił krok w jej stronę, znów chwyciła za pistolet. Kiedy okazało się, że chłopak tylko obchodził grupę, by przysiąść na krawędzi zjeżdżalni, odprężyła się. Próbowiła wmówić sobie, że ma manię prześladowczą, ale na Sosnowym Osiedlu mogło to ocalić jej życie.

Kiedyś policzyła kroki dzielące ją od miejsca na parkingu do drzwi wejściowych. Przez sto osiemdziesiąt dwa kroki groziło jej niebezpieczeństwo ze strony każdego, kto zechciałby wykorzystać wobec niej swoją przewagę. Na razie nikt tego nie zrobił. Być może dlatego, że wyglądała schludnie, zawsze była trzeźwa i nigdy nie sprawiała kłopotów tym, którzy sami nie mogli tak o sobie pomyśleć. Być może na tle walczących ze sobą gangów narkotykowych była postrzegana jako osoba neutralna.

Już niedługo Justin z raczkującego berbecia wyrośnie na małego chłopca. Kiedy zacznie chodzić do szkoły, w jego życiu pojawią się narkotyki. Początkowo sam nie będzie brał - to stanie się dopiero w gimnazjum. Jego zadaniem będzie przerzucanie pieniędzy z miejsca na miejsce. Gangi lubiły wykorzystywać do tej pracy małe dzieciaki, ponieważ policja nie czepiała się ich tak bardzo. Nawet jeśli zostałyby zatrzymane, to do następnego ranka były już z rodzicami w domu.

Tak to wyglądało, jeśli dzieci przносиły tylko pieniądze. Ale dealerzy posługiwali się nimi również przy handlu bronią, a ta perspektywa śmiertelnie ją przerażała. Prosta zależność - broń niesie śmierć. Dokładnie tak jak teraz - pistolet w kieszeni jej płaszcza. Jak bardzo powinna pozwolić zbliżyć się temu dzieciakowi ze zjeżdżalni, zanim wyciągnie broń? A jeśli już wyciągnie, to po ilu krokach naciśnie na spust?

Czasem świat wydawał się piekielnie ponury.

W końcu dotarła do drzwi mieszkania i stwierdziła z ulgą, że są zamknięte na klucz. Zwykle oznaczało to, że William był dość trzeźwy i obejdzie się bez bójki. Zamiast tego będzie seks. William lubił rankiem się wylegiwać, w jego przypadku po dobrze przespanej

nocy, a w jej - po niekończącym się dniu pracy. Jej przyjaciółki nazywały to grą o władzę - takie wydumane analizy psychologiczne ze szkoły medycznej Oprah - i prawdopodobnie miały rację. Ale, do diabła, cóż z tego? Pięć minut sapania i pocenia się było o niebo lepsze od jęków i krzyków. Seks albo bicie - to jedyna alternatywa. Jednak wybór nie należał do niej.

April musiała otworzyć wszystkie trzy zardzewiałe zasuwki, a kiedy drzwi uchyliły się, omal nie krzyknęła zaskoczona. Naprzeciwko drzwi siedział w fotelu William. Czekał na nią. W niebieskim świetle ekranu telewizora wyglądał jak duch.

- Boże, William! Mało nie umarłam ze strachu.
- Przepraszam - chrząknął. - Czekałem na ciebie.
- Co się stało?

Można to nazwać kobiecą intuicją, przeczuciem, czymkolwiek. Wiedziała, że wydarzyło się coś potwornego. Czula to w dole brzucha.

William nic nie odpowiedział. Po prostu obrócił głowę i wtedy to zobaczyła. Cała lewa strona twarzy była pokryta siniakami we wszystkich odcieniach. Spuchnięte oko było zamknięte, dolna warga zaśliniona.

- Jezu, William, co... - podeszła pół kroku bliżej i zamarła. - Justin!

Nie zważając na klucze i pieniądze, które rozsypały się po podłodze, gdy torebka wypadła jej z ręki, przebiegła korytarzem do dzieciennego pokoju. Nie mogła znaleźć kontaktu, ale w końcu sześćdziesięciowatowa żarówka bez klosza zabłysła, dając przyćmione, żółtawe światło.

Justin rzadko sypiał w łóeczku. Wolał materacyk leżący na podłodze, ale teraz jego legowisko było puste.

- Justin? - szepnęła. W miarę jak rosła w niej panika, szept przeszedł w krzyk. - Justin! Gdzie jesteś?

Szalejąc, opadła na kolana i podpierając się rękoma, przerzucała pościel, próbując przekonać samą siebie, że gdzieś pod tym bałaganem jest jej syn. Po prostu stoczył się dokądś z materacyka albo zagrzebał się w pościeli.

Jednak Justina nie było. Przepadł.

- William! William! - krzyczała. - Gdzie jest Justin?!

Poczuła, że zalewają ją fale gorąca, że wpada w panikę.

William nie ruszał się, starannie unikał jej spojrzenia, ciągle wpatrzony w niebieskie światło ekranu.

- Niech cię szlag, William, powiedz coś. Gdzie jest Justin?

Chciała go uderzyć, ale cofnęła rękę. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie.

Gdy w końcu obrócił się ku niej głową, tylko jedno oko otworzyło się do końca. April dostrzegła w nim łzy i nogi się pod nią ugięły.

- O Boże! On nie żyje? Proszę, powiedz, że to nieprawda - wyksztusiła i zakrywając usta dłońmi osunęła się na kolana.

William potrząsnął głową. Był to ruch prawie niedostrzegalny, ale April zrozumiała jego znaczenie.

- Nie, on żyje... tak mi się przynajmniej wydaje...

- Mów! - krzyknęła.

Na twarzy Williama pojawił się bolesny skórcz. Wyglądało, jakby miał się rozplakać. Rozłożył ręce w dziwnym geście, jakby próbując wydobyć z siebie właściwe słowa, ale nic to nie dało.

April zmieniła taktykę. Położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie ścisnęła.

- Powiedz mi - powtórzyła, tym razem o wiele ciszej. - Nie martw się o właściwe słowa, tylko powiedz mi, co stało się z Justinem.

Wziął głęboki oddech i powtórzył ten sam gest.

- Zabrali go.

Słowa uderzyły w nią jak ostrza.

- Kto go zabrał? O czym ty mówisz? Kto miałby zabrać Justina?

- Dwóch facetów. Gliniarze. Strasznie mnie stłukli.

- Dlaczego? Boże, William, skończ z tymi tajemnicami i mów, co się stało.

- Nie wiem! Wywlekli mnie z samochodu, kiedy wiozłem Justina do knajpy Wilsona i...

- Zabrałeś dwuletnie dziecko do knajpy?!

Przez moment na twarzy Williama przygnębienie zastąpił błysk gniewu, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Postąpiłem jak gnojek.

April zrozumiała, że w istocie nie interesuje jej ani knajpa Wilsona, ani fakt, że miano tam zabrać jej synka.

- No, dobrze. Więc byłeś w drodze do knajpy Wilsona. I wtedy...

- Kazali mi się zatrzymać. Dwóch gliniarzy w nieoznakowanym samochodzie. Byłem właśnie w okolicach Tyson Boulevard, w tej części, gdzie wszystko po piątej jest pozamykane, no wiesz...

To było prawie kilometr w bok od drogi, ale April nie interesowało, co jej mąż tam

robił. Tyson Boulevard kończyło się przecznicą przed pubem Wilsona. Jadąc tamtędy, William mógł uniknąć dmuchania w balonik i innych policyjnych pułapek.

- Wiem, gdzie to jest. Co było dalej?

- Pomachali do mnie lizakiem i kazali zjechać na pobocze. Kiedy podeszli do samochodu, jeden z nich, taki wielki, po prostu wywlókł mnie z wozu i zaczął bić. Złamali mi szczękę...

William mówił z trudem, sepleniąc.

- Kiedy się podniosłem, już mieli Justina. Zabrali go do swojego samochodu. Próbowałem ich zatrzymać, ale odjechali. Przysięgam, nie mam pojęcia, dlaczego to zrobili. Wskoczyli jak diabeł z pudełka i zniknęli.

April słuchała, a jej umysł w szalonym tempie dopasowywał elementy tej układanki.

- William, policjanci nie robią takich rzeczy.

- Tamci zrobili.

- Więc musimy zadzwonić po jakichś innych. Jezu! Ty jeszcze nie zawiadomiłeś policji?!

- Nie - potrząsnął przecząco głową. - Myślałem, że może...

- Musimy zadzwonić na policję!

- Nie. Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

Znów to spojrzenie. Tym razem nie było w nim gniewu, tylko strach. Jakby został na czymś przyłapany. Nagle pojęła, że zmyśla lub ją okłamuje. Wiedział więcej, niż jej powiedział.

- Co masz mi jeszcze do powiedzenia? - zażądała.

Zwrócił do niej poranioną twarz.

- Nie wiem, o czym mówisz..

- Kłamiesz! - zawyła.

Nagle w jej ręku pojawił się pistolet. William spojrzał na nią z nieudawanym strachem.

- Powiesz mi, co stało się z Justinem!

- Jezu, April, odłóż to - prosił, zasłaniając się rękoma.. - Stłukli mnie na kwaśne jabłko.

- Widocznie mieli powód. Chcę go poznać.

- Nie wiem...

Unosząc pistolet, podeszła bliżej. Z takiej pozycji nawet ona nie mogła chybić.

- Dobrze, dobrze - odezwał się prosząco William, kuląc się w fotelu. - Myślę, że

pracowali dla Logana. Justina zabrali jego ludzie.

Nagle wydało się jej, że w pokoju zabrakło powietrza.

- Dlaczego? Dlaczego spośród wszystkich innych dzieciaków Patrick Logan chciał właśnie mojego syna?

- Nnnie wiem...

- Nie okłamuj mnie!

Naprawdę była gotowa go zastrzelić. Położony na spuście palec drgnął.

- Jezu! April! Już dobrze. Już mówię, ty szalona suko... Boże... Jestem dłużny Loganowi pieniądze.

Było coraz gorzej.

- Jesteś dłużny Patrickowi Loganowi pieniądze? Pożyczyłeś pieniądze od tego handlującego narkotykami sukinsyna?! Czyś ty zwariował?!

- Od nikogo nie pożyczałem pieniędzy - zaprzeczył William.

Kiedy odpowiadał, wyprostował się trochę, jakby robienie interesów z facetem, który zabijał ludzi dla rozrywki, było bardziej godne szacunku.

- W ubiegłym tygodniu przerobiłem gościa, który, jak się okazało, pracował dla Logana; był jednym z mułów. Teraz on chce forszę z powrotem i zabrał Justina jako zabezpieczenie, że mu ją oddam.

- Ile?

- Około tysiąca dolarów.

Cały czas trzymając pistolet, April złapała się obiema rękami za głowę.

- Tysiąc dolarów?! Myślisz, że każdy, kogo spotykasz na ulicy, chodzi sobie z tysiącem dolców w kieszeni? Musiałeś wiedzieć, że to pieniądze Logana. Albo Ortegi. Kogoś, kto sprzedaje narkotyki.

William znów wzruszył ramionami. April poprzysięgła, że jeśli zrobi to jeszcze raz, zastrzeli sukinsyna.

- Wtedy chyba o tym nie pomyślałem.

- Nie pomyślałeś... I to wszystko, co masz do powiedzenia?!

Mój Boże! Tysiąc dolarów! Nigdy nie widziała naraz takiej forsy. Na miłość boską, za tysiąc dolców można kupić życie.

- Oddaj pieniądze. Oddaj, a zwrócą nam Justina. Czy nie tak powiedzieli? Oddadzą go, jeśli im zapłacimy?

- To nie jest takie proste. Już nie mam tej forsy.

- Jak możesz jej nie mieć? Wydałeś tysiąc dolarów w ciągu tygodnia?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Są jeszcze odsetki.

Tego już było za wiele. April nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Gówno mnie to obchodzi. W jaki sposób przepuściłeś tyle pieniędzy przez jeden tydzień?

- Po prostu się rozeszły. Sam nie wiem na co... Postawiłem u Wilsona parę kolejek i tamtej nocy chyba po prostu nie miałem szczęścia w kartach.

- Jezu Chryste - jęknęła. - Boże, William, chcesz powiedzieć, że straciłeś naszego syna chlając i grając w karty? Czy ty jesteś normalny?

Coś w jej głosie zdenerwowało Williama. Jak za przekręceniem przełącznika, wpadł w gniew.

- Nie uważam, żeby to był powód do dumy, rozumiesz?! Nie wystawiłem Justina na sprzedaż. Oni go zabrali. Stłukli mnie na kwaśne jabłko. Dziękuję ci, że to zauważyłaś.

Co takiego? Chyba nie myśli, że choć trochę obchodzą ją jego sińce. Gdyby zatłukli go na miejscu, całkiem by jej to odpowiadało. Nie musiałyby teraz sama tego robić. Jak to się stało? Z wysiłkiem starała się połączyć fakty w całość. Co myśli Logan i inne dupki? Kim są, że mogą ukraść jej dziecko? Co ich opętało? Dlaczego myśleli, że ujdzie im to na sucho?

April odwróciła się bez słowa i poszła do kuchni.

- Dokąd idziesz? - zapytał szybko William, podrywając się z fotela.

- Dzwonię na policję.

- Nie możesz.

- Mogę, do diabła, mogę. Gówno mnie obchodzi, czy trafisz do więzienia.

William chwycił ją mocno za ramię i szarpnięciem obrócił tak, że teraz patrzyła mu w twarz.

- To się nie uda. Powiedzieli mi, że jeśli zawiadomię gliny, zabiją Justina. Nawet nie powiedzą nam, gdzie ukryli ciało.

Pod April znów ugięły się nogi. Musiała oprzeć się o ścianę. Aż do tej chwili nie poddała się. Jej syn - cudowny, dwuletni chłopczyk - został porwany przez ludzi, którzy nie zawahają się go zabić. Zastrzelą każdego, kto wejdzie im w drogę. Logan to bestia. Wszyscy o tym wiedzieli. I teraz to zwierzę ma jej dziecko!

- Więc co możemy zrobić?

- Dał mi tydzień na zwrot pieniędzy. I ani dnia dłużej. Jeśli usłyszysz coś o gliniarzach, zabije Justina.

- To znaczy, że mam zaufać Loganowi? Powinam pozwolić jakiemuś bandziorowi

trzymać przez tydzień moje dziecko?

- Nie mamy wyboru.

- Do cholery! Jak to nie mamy? - zaczęła krzyżeć. - Zadzwoń i naśle na niego całą armię. Zrobią z nim porządek raz na zawsze!

- Wtedy Justin umrze. Zginie na pewno! Czy właśnie tego chcesz?

April potrząsnęła głową. Nie chciała, żeby okazało się to prawdą.

- Wtedy Logan usmaży się na krześle elektrycznym.

- Nie, April. Odejdzie jako wolny człowiek. Nie rozumiesz tego? Tam nie było żadnych świadków. Nikt nic nie widział. Kto mi uwierzy, jeśli jedyni świadkowie pracują dla Logana? Naprawdę nie mamy wyboru.

April poczuła, jak ogarnia ją poczucie beznadziei. Jej ręce zaczęły się trząść i wypuściła pistolet, który z głośnym stukiem spadł na podłogę. Brakło jej tchu. Wyobraziła sobie, jak jej ukochanego synka wiązano, kneblowano, pakowano do jakiejś komórki.

- Co zrobimy? - zapytała załóżnie.

- Będziemy musieli zdobyć pieniądze. Muszę je jakoś skombinować i spłacić Logana. Mam tydzień.

- Nie mamy tygodnia! Nie mamy nawet godziny! Nie pozwolę, żeby ten facet i jego ludzie trzymali mojego chłopca choćby o sekundę dłużej, niż to konieczne!

- Musimy być cierpliwi. Przecież nie mogę tak po prostu wyjść z domu i wysrać kupy studolarówek! - powiedział drwiąco.

Zadowolenie w jego głosie i lekkość, z jaką to mówił, sprawiły, że w April coś pękło. Uderzyła go w twarz. Na tyle silnie, że jego głowa odskoczyła w bok.

- Jak śmiesz... - powiedziała, ale w tej samej chwili William wymierzył jej ogłuszający cios w policzek. Przed oczyma zamigotały jej gwiazdy i osunęła się na podłogę.

- Nigdy więcej, suko, nie podnoś na mnie ręki! - warknął. - I nie mów do mnie w ten sposób. Zdobędę te pieprzone pieniądze, rozumiesz? I dostanę z powrotem twojego cholernego bachora.

William zniknął w sypialni. April leżała na podłodze z twarzą zakrytą rękami. A gdy ścianami mieszkania wstrząsnął huk zatraskiwanych drzwi, zaczęła płakać.

Kiedy samochód znów ruszył Susan obudziła się. Myślała o tym wszystkim, co trzeba będzie zrobić. Pieluszki bardzo się przydały. Wytarła pupę malca, zdjęła z niego porwaną piżamę i zastąpiła ją czystą koszulką wyciągnięta z plecaka Bobby'ego. Chłopiec dalej był oblepiony brudem, ale mogła trzymać go już bez wstrętu.

Postępowała tak delikatnie z chłopcem, że nawet się nie obudził. Pewnie śnili mu się źli ludzie, którzy go ścigali.

Teraz jednak był bezpieczny. Ona dopilnuje, by już nigdy nie spotkało go nic złego. Leżał z głową złożoną na jej kolanach, kiedy w ciszy podążali autostradą w kierunku domu.

Nie był to jeszcze ich prawdziwy dom rodzinny. Susan zdawała sobie sprawę z tego, że nie mógł nim być, póki nie rozlegnie się w nim śmiech dzieci, a ściany nie pokryją się śladami drobnych brudnych rączek. Dopóki Susan nie zasiądzie ze swoimi przyjaciółkami, by prowadzić rozmowy o tym, czego maluchy się uczą i jakie popełniają przy tym błędy. Teraz ceglany dom Martinów, tak, jak to sobie wymarzyli, wzniesiony pośród lasów Clinton w Wirginii, stał pusty.

Susan już nie raz doświadczyła bólu. Najpierw, gdy umarła jej matka. Potem po każdym z trzech poronień, które zatrwały wczesne lata ich małżeństwa. Myślała, że potrafi być silna, radzić sobie ze stresem. Ale kiedy umarł Steven, przekonała się, że to, co uważała za tragedię, było zaledwie pewnym dyskomfortem, kilkudniowym stresem, który odżywa przy okazji świąt Bożego Narodzenia, urodzin czy jakichś innych rocznic. Jednak utrata Stevena, zwłaszcza to, w jaki sposób do tego doszło, wywołały ostry ból, który nigdy nie słabnął. Przeciwnie, pogłębiał się z każdym dniem, aż do punktu, w którym Susan zadała sobie pytanie, czy zdoła dotrzeć do jutra.

Przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. Zdecydowali, że nikomu nie powiedzą o ciąży przez pierwsze cztery i pół miesiąca, dopóki brzuch Susan nie stanie się widoczny. „Czy ty przypadkiem troszkę nie przytyłaś?” - zagadywali członkowie rodziny. Znajomi byli bardziej bezpośredni: „Może chcielibyście nam o czymś powiedzieć?”.

W przeszłości poronienia następowały w pierwszych trzech miesiącach; symptomy zgadzały się dokładnie ze wszystkimi przewidywaniami lekarzy i opisami w książkach. Kiedy stało się to po raz pierwszy, oboje płakali. Mieli poczucie straty, ale potrafili ją zrationalizować.

W ten sposób Bóg uczynił nasze dziecko bezgrzesznym.

Za drugim razem było już o wiele bardziej tragicznie. Krwawienie, a potem skurcze, zaczęły się w jedenastym tygodniu ciąży. Tym razem w oczach Bobby'ego Susan dojrzała cierpienie. Miał poczucie, jak gdyby ktoś go zdradził, jakby jakieś niewidzialne moce

sprzysięgły się, by skrzywdzić jego rodzinę. Przy trzeciej ciąży Bobby nie chciał mieć nadziei. Przygotowywał się na nieuniknione złe wieści. Potem przez cały czas trzymał Susan za rękę i mówił do niej, starannie dobierając słowa, kiedy w ambulansie stracili trzecia szansę, by zostać rodzicami. Tym razem jego oczy nawet nie zwilgotniały. Wiedział, że tak się stanie.

A potem pojawił się Steven. Pierwsze trzy miesiące minęły spokojnie, nawet bez ataków porannych mdłości. Kiedy upłynął magiczny trzeci miesiąc, uczcili to przy butelce musującego wina. Wszystko wyglądało tak dobrze. Znow mieli odwagę, by marzyć i myśleć jak rodzice spodziewający się dziecka, a nie jak przyszli żałobnicy. Ostatecznie nawet sceptycyzm Bobby'ego ustąpił miejsca optymizmowi - kupili mebelki, chodzili na przyjęcia, gdzie Susan otrzymywała prezenty z okazji rychłych narodzin, a nawet otworzyli rachunek oszczędnościowy, by pokryć koszty przyszłej nauki dziecka w liceum. Zdaniem ekspertów nigdy nie jest za wcześnie na otwarcie takiego konta.

Z powodu poprzednich problemów ta ciąża była monitorowana uważniej niż wystrzelenie rakiety na Księżyc. Co tydzień Susan odwiedzała swojego ginekologa. Przez te miesiące złożyli z sonogramów cały album. Nareszcie mieli zostać rodzicami. Wszystko było w porządku.

W tych cudownych tygodniach długo zastanawiali się, czy chcą poznać płeć dziecka. W głębi duszy każdy kocha tajemnice, ale ze względów czysto praktycznych było to wskazane. Ani Bobby, ani Susan nie lubili koloru żółtego, a ich przyjaciele już szykowali prezenty dla dziecka i chcieli wiedzieć, w jakim powinny być kolorze.

To był chłopiec. Miały się więc spełnić marzenia Bobby'ego. Od początku drażnił się z żoną, że będzie mieć pięciu synów, z których każdy zrobi karierę w sporcie zawodowym, zarabiając miliony dolarów rocznie. Bobby miał dzięki temu wcześniej odejść z branży sprzedaży systemów informatycznych i zostać emerytem. A w dodatku nie trzeba będzie finansować żadnego weselnego przyjęcia.

Poza dzieckiem nic innego nie liczyło się wtedy. Cały świat obracał się wokół malucha, który bez przerwy tańczył w brzuchu mamy. Bobby lubił towarzyszyć żonie w łazience podczas jej wieczornych kąpieli, by obserwować, jak Steven podskakuje czując gorącą wodę.

To były najszczęśliwsze dni w życiu Susan. Ludzie zatrzymywali ją w sklepach i mówili, że pięknie wygląda, a ona czerwieniła się i promieniała. Wiedziała, że te dni należało zapamiętać, więc zbierała wszystko do pamiątkowej księgi. Zachowała rachunki za meble, skatalogowała wszystkie prezenty. Zachowała nawet kwity parkingowe ze swoich wypraw do szpitala.

Trzynasty marca miał być tym wielkim dniem. Kiedy po Bożym Narodzeniu przyszedł Nowy Rok, a potem świętowano urodziny Waszyngtona, mogli już odetchnąć z ulgą. Jeśli nawet poród nastąpiłby teraz, to Steven byłby już tylko jednym z wcześniaków, jakich miliony przychodzi na świat i rozwijają się zupełnie normalnie.

Ukończyli zajęcia w szkole rodzenia prowadzonej według systemu Lamaze'a i postawili przy drzwiach spakowane torby. Pozostawało im już tylko czekać. Bobby spodziewał się, że Steven będzie wyglądał tak jak on: będzie miał gęste brązowe włosy i piwne oczy. Prawdę mówiąc, Susan chciała tego. Uważała, że jej cera jest zbyt jasna. Ale dopóki noworodek, krzycząc i kopiąc, nie przyjdzie na świat, nic nie miało znaczenia.

Pierwszego marca noc była bardzo zimna. Dopiero po raz trzeci spali w nowym domu, w którym miały wychowywać się ich dzieci. Bobby zdecydował się na uroczyste oddanie do użytku dwuosobowej wanny, którą właśnie zainstalowali. Przygotował schłodzone, musujące wino, przygasił światła, a grzejniki odkręcił do oporu. Pomógł żonie wejść do wanny, potem ściągnął ubranie i wślizgnął się za jej plecami. Wszystko było tak jak powinno. Z głośników sączyła się muzyka Johna Tesha. Susan nie znosiła tej płyty, ale Bobby był przekonany, że bardzo ją lubi. Nie miała serca, żeby pozbawiać go złudzeń. Zrozumiała, że Bobby chce, by Steven wykonał swój zwykły taniec w rytm muzyki.

Tym razem jednak Steven nie tańczył. Nie kręcił się, nie obracał. W ogóle się nie poruszał. Susan dotknęła go, zachęcając do zabawy, ale jej brzuch pozostał nieruchomy. Jedynym ruchem była wibracja jej coraz szybciej bijącego serca.

- Prawdopodobnie jest zmęczony - powiedział Bobby, ale w jego oczach zobaczyła taki strach, jakiego nigdy jeszcze nie widziała. Natychmiast spróbował to ukryć, ale wiedziała, co pomyślał.

- Wszystko w porządku - zapewniła i czule pogłaskała się po brzuchu.

- Masz rację, jest zmęczony. Wiercił się przez cały dzień. Czasem musi sobie odpocząć.

Oczywiście. Musiało tak być. Właśnie dlatego mały się nie ruszał. Nie dopuszczali innej myśli. Za daleko już zaszli, aby teraz miało się stać coś złego. Bobby próbował żartować, opowiadając anegdoty o kłopotliwych klientach i krnąbrnych pracownikach, ale jego oczy ciągle wyrażały niepokój.

- Sami ściągamy na siebie kłopoty - stwierdził w końcu. - Tak bardzo się martwimy o te sprawy, że budzimy w sobie złe przeczucia. Jestem pewny, że Steven ma się dobrze i jutro rano będzie się wiercił tak samo jak zawsze. Po prostu poczekamy i zobaczymy.

Więc czekali. Susan trudno było myśleć pozytywnie, ale próbowała to czynić. Dzięki

temu miała utrzymywać wysoki poziom endorfiny, serotoniny czy diabli wiedzą czego, żeby dziecko nie zorientowało się, że coś jest z nią nie w porządku. Całą noc przeleżeli w łóżku nie śpiąc. Przekonywali się nawzajem, że nie ma się czym martwić, ale oboje walczyli z paniką narastającą z każdym tyknięciem zegara.

Susan modliła się prosząc Boga, by nic się nie stało z dzieckiem. Obiecywała naprawić wszystkie swoje winy.

Następnego dnia Bobby nie poszedł do pracy, chcąc towarzyszyć Susan podczas wizyty u lekarza. Naturalnie nie oczekiwał niczego złego. Po prostu zamierzał posiedzieć z żoną w poczekalni, żeby tak się nie denerwowała. Potem skoczą na pysznego sandwicza i napiją się znakomitego musującego wina.

Zanim pielęgniarka wyczytała jej nazwisko, Susan obliczyła, że minęło już dwanaście godzin od czasu, kiedy po raz ostatni czuła ruchy dziecka. Prawie wbiegła do gabinetu. Bobby pomógł jej rozebrać. Otaczały ich wiszące na ścianach zdjęcia szczęśliwych bobasów o gładkich, lśniących buziach i błyszczących oczach. Po dziesięciu niekończących się minutach do gabinetu wszedł doktor Samson.

Jak zawsze promieniował pogodą ducha i powitał ich przyjaznym, budzącym otuchę uśmiechem.

- Więc martwicie się państwo, że dziecko przestało się poruszać? - zapytał, układając łagodnie Susan do badania w półleżącej pozycji.

- Takie rzeczy się zdarzają, prawda panie doktorze? - zapytał Bobby. - Nie ma się czym przejmować?

Susan czujnie obserwowała doktora Samsona, który zachował wystudiowany, obojętny wyraz twarzy.

- Sprawdźmy, co tutaj mamy - odpowiedział wymijająco i Susan już wiedziała, że jej dziecko nie żyje. Kiedy prześcieradłem okryto jej wystający brzuch i lekarz sięgnął po mikrofon, zamknęła oczy. Nie chciała wiedzieć.

Usłyszała, jak Bobby podsuwa się bliżej, a z głośników dobiegły szmery - to lekarz przesunął mikrofon po jej brzuchu, szukając najlepszego miejsca. Kiedy w końcu właściwie ustawił aparat, Susan jeszcze silniej zacisnęła powieki. Ofiarowałaby swą duszę każdemu, kto mógłby sprawić, żeby usłyszała znajome szybkie uderzenia serca Stevena.

- Co pan słyszy? - zapytał Bobby łamiącym się głosem.

Doktor Samson przesunął mikrofon i pokój wypełniła jeszcze większa cisza.

- Nic mu nie jest, prawda?

Susan otworzyła oczy i zobaczyła, że jej mąż drży. Zmuszał się do uśmiechu, ale w

każdym zakątku jego twarzy czaił się ból. Wyciągnęła do niego rękę, ale uchylił się od dotknięcia. Już wszystko zrozumiał.

Lekarz odłożył mikrofon na stojak i wyłączył aparat. Długo nic nie mówił, oglądając własne ręce i zbierając myśli. Kiedy podniósł wzrok, słowa były już zbędne. Jego twarz mówiła wszystko.

- Niestety jest bardzo źle - oznajmił w końcu.

Twarz Bobby'ego przybrała odcień popiołu. Musiał przytrzymać się brzegu stołu, na którym leżała Susan.

- Dziecko nie żyje.

Lekarz z trudem wydusił z siebie te słowa.

- Co się stało? - zapytał Bobby, wstrzymując oddech. - Jak to możliwe?

Lekarz ściągnął usta, a czoło pokryły mu głębokie bruzdy zmarszczek.

- Istnieją tysiące powodów, dla których mogło się to przytrafić. Mogła to być wrodzona wada, którą przeoczyliśmy, infekcja wirusowa, cokolwiek. Obawiam się, że nie będziemy tego wiedzieć, dopóki dziecko się nie urodzi.

- Nie - jęknął Bobby. - To niemożliwe. Z pewnością pan się myli. Skąd pan wie, że tak jest?! - Na jego pobladłych policzkach rozkwitał ciemny rumieniec.

Dr Samson zaczerwienił się, otworzył usta, ale znów je zamknął.

- Rozumiem, że to straszna wiadomość dla was obojga. Chciałbym...

- Co pan zrobił? - zapytał Bobby podnosząc głos i zbliżając się do lekarza. - Jaki błąd pan popełnił?!

- Bobby, proszę... - szepnęła Susan, wyciągając rękę do męża.

- Co pan zrobił? - powtarzał Bobby. Wyglądał tak, jakby chciał pobić lekarza.

Doktor Samson nawet nie drgnął.

- To nie tak, panie Martin, że ktoś coś zrobił albo czegoś nie zrobił. Szukanie winnego w niczym nie pomoże.

- Kochanie, czy on podawał ci jakieś narkotyki, nowe lekarstwa? - zwrócił się do żony.

- Nie, nic takiego - zaprzeczyła.

Bobby'emu taka odpowiedź nie wystarczyła. To nie mogło zdarzyć się przypadkiem. Jego syn nie mógł tak po prostu umrzeć. Na miłość boską, musi tutaj być ktoś odpowiedzialny. Susan nigdy nie widziała Bobby'ego w takim stanie. Widok dygoczącego męża przestraszył ją. Przecież zawsze był taki spokojny.

I wtedy Bobby nagle się opanował. Szczęki mu się zacisnęły, spojrzenie stężało.

Chwycił rękę żony tak mocno, że mało jej nie zgniółł.

Z tamtych chwil Susan zapamiętała, że znalazła taki zakamarek w swej duszy, gdzie mogła się schronić przed falą wzbierającego w niej bólu. Zapamiętała też, że czuła się tak, jakby unosiła się na wodzie, podczas gdy lekarz wyjaśniał jej, że powinna jeszcze przez parę tygodni ponosić w brzuchu martwy płód, ponieważ jej ciało dostosowuje się do biochemicznych zmian, które właśnie zachodzą w jej organizmie.

Nie pojmowała logiki tych zaleceń ani wtedy, ani teraz. Wiedziała tylko, że jej syn - tak niedawne źródło wszelkiej radości i nadziei - kołacze się martwy wewnątrz niej, jak parodia uśmiechniętych niemowlaków ze zdjęć na ścianach gabinetu.

Nocami, kiedy kładła się do łóżka, śniła o młodym Stevenie, który unosił się w kokonie owodni. Jego oczy były otwarte, a z ust wystawał język, jak w jakimś horrorze. Budziła się zlna potem, a raz zwymiotowała obiad, zanim zdążyła dotrzeć do łazienki.

Lekarze chcieli, żeby jeszcze przez dwa tygodnie nosiła w sobie płód, ale już po dziewięciu dniach przerażony Bobby zadzwonił do szpitala. Była czwarta nad ranem.

- Ona sobie z tym nie poradzi - oświadczył kategorycznie dyżurnemu lekarzowi. - To ją zabija. Musicie coś zrobić.

Już następnego dnia rano wyjęli z niej Stevena. Około wpół do jedenastej dali jej zastrzyk, żeby pobudzić pracę macicy, a przed drugą zaczął się poród. Na nalegania Susan pozwolono jej, żeby podczas całego zabiegu zachowała przytomność. Bobby usiadł na krześle przy jej boku i uspokajał ją tak, jak uczono ich w szkole rodzenia. Oddychała, odpoczywała, ssła kostki z lodu. Kiedy intensywność skurczów osiągnęła maksimum, wyobraziła sobie, jak mogłoby to wyglądać. W poczekalni czekałaby rodzina i przyjaciele, a pokój byłby ozdobiony kwiatami i balonikami. W jej śnie na jawie wszyscy się uśmiechali i cieszyli, kiedy Steven pojawił się i zaskoczył wszystkich radosnym krzykiem.

Zamiast tego syn opuścił jej łono w ciszy, w pokoju, gdzie przez szacunek wobec śmierci przyciemniono światła. W ostatnich chwilach porodu Susan obserwowała Bobby'ego. Widziała jego przygnębienie i zaczerwienione oczy. Usta miał zaciśnięte. Przyrzekł jej przecież, że się nie załamie, że będzie silny. Potem jakoś znów ułożą swoje życie.

Kiedy jednak pojawił się martwy Steven i przysły ostatnie, nierozsądne nadzieje, jej mąż nie wytrzymał. Otworzył usta, jakby chciał zapłakać, ale tylko wziął głęboki oddech i zdusił dłonią krzyk. Szybko wytarł łzy spływające po policzkach, a kiedy spojrział ukradkiem na Susan, żeby sprawdzić, czy nie przyłapała go na płaczu, błyskawicznie odwróciła wzrok.

- Mam go tutaj, Susan - powiedział doktor. - Czy chcesz go zobaczyć?

Przypomniała sobie koszarne obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia, i

rozpaczliwie zapragnęła powiedzieć „nie”. Któż chciałby oglądać martwe dziecko?

A jednak powiedziała, że chce go zobaczyć.

Zerknęła na Bobby'ego, by sprawdzić, jak zareaguje na widok dziecka. Rysy jego twarzy nie były napięte, więc ona także powoli odwróciła wzrok w stronę Stevena.

Z wąskimi ustami i falistymi ciemnymi włosami wyglądał jak kopia własnego ojca. Nie był zielony, ani purpurowy. Nie był opuchnięty, jak w jej snach, wyglądał tak, jak inne dzieci. Leżał taki spokojny. Nie płakał. Kiedy go dotknęła, poczuła ciepło.

Gdy Martinowie pożegnali się ze swym synem, atmosfera w pokoju zgęstniała. Wyglądało na to, że nikt nie wie, co wypada teraz zrobić, i oczekiwano jakiegoś znaku od rodziców.

- Jak to się mogło stać? - wyszeptał Bobby. - Jest taki śliczny.

Doktor Samson chrząknął, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Nie wiem, czy wam to pomoże, ale teraz nie ulega już wątpliwości, co się stało.

Nic nie odpowiedzieli, w ich spojrzeniach były tysiące pytań.

Doktor powtórnie chrząknął.

- On... udusił się własną pepowiną.

Wyjaśnienie to wydało się jakoś nie na miejscu. Doktor Samson spojrzął na obecne w pokoju pielęgniarki, szukając u nich potwierdzenia, że ujawniając ten fakt postępuje właściwie.

- Chciałem tylko, abyście wiedzieli, że nie popełniono żadnego błędu. On umarł, bawiąc się.

Umarł, bawiąc się. Susan spodobało się takie określenie. Jej syn, którego tak dobrze znała, był psotnikiem. Właśnie takiego dziecka zawsze w duchu pragnęła. Małego chłopca, który każdego dnia poddawałby próbie jej cierpliwość i sprawdzałby, na co może sobie pozwolić. Prawdziwy chłopiec. W każdym calu. Którego głosu nigdy nie usłyszy. Który nigdy nie okaże dziecięcej złości, nie zdobędzie gola, grając w piłkę i nigdy nie wypłaczę się w jej ramionach z powodu nieodwzajemnionej miłości. Żal przygniatał ją jak głaz, miazdzył duszę i zapierał dech w piersiach. Jak Steven może być martwy, skoro jest tutaj, w jej ramionach? Jak mogą jej mówić, że ten cudowny, piękny mały chłopiec nigdy nie pocałuje jej na dobranoc?

To było tak niesprawiedliwe... Wtedy właśnie zaczęła szlochać. Zrobiło jej się duszno i gdy walczyła o oddech, podświadomie czuła, że ktoś zabiera od niej Stevena, chociaż z całych sił starała się zatrzymać go przy sobie. Może gdyby spróbowała nakarmić go piersią, przerwałby tę okropną grę. Gdy obnażyła pierś, próbując go nakarmić, usłyszała odległy jęk

Bobby'ego:

- Proszę, Susan... o Boże... nie rób tego. Tylko nie to, błagam.

Płakała i krzyczała na nich, ale nic to nie dało. Zabrali go od niej, w pośpiechu przenieśli do innego pokoju. Tymczasem pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk. Ból stopniowo przygasał, aż w końcu zniknął.

A jednak powrócił. Każdego ranka, w każde popołudnie i w każdy wieczór czuła ból równie ostry i przenikliwy jak wtedy. Modliła się, by nadszedł dzień, w którym zacznie ustępować, chociaż odrobinę, przynajmniej na parę minut. Wiedziała od swojego psychiatry i z własnych lektur, że sześć tygodni to stanowczo zbyt mało w takiej sytuacji. Czasem wydawało się jej, że już następna minuta doprowadzi ją na skraj szaleństwa.

Właśnie w tamtych dniach Bobby wydawał się jej taki cudowny. Wróciły mu siły i optymizm. Boże, jakże go kochała.

Teraz, nocą, kiedy Bobby prowadził samochód, obserwowała tył jego głowy, silny zarys podbródka i niewzruszony, skupiony wyraz twarzy. Kiedy zmieniał pozycję w fotelu, poruszał się powoli, a każdy jego ruch był przemyślany. Pewnie sądził, że Susan spała i nie chciał jej obudzić.

Kiedy tak go obserwowała, poczuła przyływ ciepła. Powiedziała sobie, że wszystko to minęło dzięki Bobby'emu, który nigdy nie wypuścił jej ręki. Oparła się o zagłówek i zakryła oczy, chcąc myślnie o nim odgradzić się od innych swych lęków.

*

Godzinę później, gdy ich samochód przechylił się lekko, skręcając w długi, obsadzony drzewami podjazd, Susan mocno spała. Palce ręki miała wplecione w brudne, zmierzwiłone włosy chłopca. Śniła, że znów towarzyszy jej Steven. Jego głowa spoczywała na jej kolanach; słuchał uważnie, gdy razem czytali *Kubusia Puchatka*.

7

Russel Coates mocniej zapiął pasy i zmusił się, by nie wyglądać przez okno. Zamiast tego skupił uwagę na wysokościomierzu, którego strzałka zatrzymała się w okolicy stu pięćdziesięciu metrów. Te wzgórza musiały mieć co najmniej sto, sto dwadzieścia metrów wysokości, a jeśli dodać jeszcze drzewa na ich szczytach, to zgodnie z jego obliczeniami powinni być już martwi.

- Czy dobrze się pan czuje, agencie Coates? - zapytał pilot przez interkom.
- Znakomicie - odpowiedział Russel, ze wszystkich sił starając się uśmiechnąć.
- Robię to już od wielu lat, od czasu wojny w Wietnamie. Może pan być spokojny.

Oznaczało to, że pilot był w tym samym wieku, co Russel. A więc całkiem prawdopodobne, że może doznać ataku serca i rozbić na drzewach tę brzęczącą trzepaczkę do ubijania jajek, którą lecieli.

- Tam, pod nami, jest miejsce przestępstwa - poinformował go pilot, wskazując jakiś punkt przez przeszkloną podłogę. W ciągu kilku następnych tygodni na drzewach pojawią się liście i na ziemi nawet cały pułk policjantów będzie niewidoczny.

- Teraz możemy albo wysadzić pana na wyciągarce, albo...
- Chyba pan zwariował - brutalnie przerwał mu Coates.
- Musi pan wiedzieć, że alternatywą jest bardzo długi spacer.
- Zawsze będę wolał długi spacer od długiego spadania. Po prostu proszę tę maszynę posadzić na ziemi i pozwolić mi wyjść - zdecydował.

Russel sądził, że jego wypowiedź jest zabawna. Pilot dopatrywał się w niej tylko hysterii.

- Tu oddział FBI do śmigłowca policji stanowej. Jesteśmy pod wami. Czy macie na pokładzie agenta Coatesa? - zatrzeszczało w słuchawkach Russela.

Rozpoznał głos Tima Burrowsa, swojego podwładnego z biura regionalnego w Charlestown, i kazał pilotowi przełączyć się na mikrofon.

- Tim? Jestem tutaj. Szukamy miejsca do lądowania. Pilnuj tego, co tam masz. Będę na miejscu najwyżej za pół godziny.

Jak wiadomo agentom policji, biuro regionalne FBI w Charleston w Zachodniej Wirginii nie jest, ściśle rzecz biorąc, centralą dochodzeń w sprawach kryminalnych. Naturalnie, FBI ma swój udział w takich sprawach, lecz zdecydowana większość śledztw w sprawach o morderstwo podlega jurysdykcji lokalnych policji, które są wspierane przez biura stanowe. Ponieważ ten szczególny przypadek miał miejsce w Parku Narodowym Catoctin, stanowiącym własność państwa, podlegał jurysdykcji federalnej. Co więcej, ponieważ wydarzył się pierwszego dnia po powrocie Russela z wojaży po Bahamach, FBI uznało widocznie, że będzie to dla niego świetny prezent na powitanie w pracy.

Wczesnym rankiem jakiś turysta odkrył zwłoki i anonimowo zadzwonił do najbliższego posterunku strażników parku. Strażnicy z kolei poinformowali policję, która powiadomiła FBI. W tym wianuszkę rozmów przez telefon w pewnej chwili ktoś wpadł na pomysł, żeby wyciągnąć Russela z łóżka w ostatnim dniu jego urlopu i wyekspediować go

śmigłowcem policji stanowej tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Formalnie miał prawo odmówić, ale wówczas agent z Charleston ugrzązłby w Zachodniej Wirginii do końca służby. Na razie nie wiedział, kogo ma przeklinać za to, że znalazł się w takim miejscu. By nie zmarnować ostatniego dnia urlopu, próbował przynajmniej pomarzyć sobie trochę, że jest zupełnie gdzie indziej.

Fakt, że „cudowny chłopiec” Tim Burrows zastępował go w pracy przez cały tydzień, nie pomógł w niczym. Burrows, mając trzydzieści parę lat, wyglądał na dwadzieścia kilka. Stale wykazywał żywiołowy entuzjazm i ambicję, co bardzo irytowało Russela. Jako asystent agenta kierującego dochodzeniem w biurze regionalnym, Tim dałby pewnie wiele za to, by kierować dochodzeniem w sprawie o morderstwo. Gdyby wszystko potoczyło się w dobrym kierunku i sprawcy zostali zatrzymani, młody agent mógłby wzbogacić swoją personalną teczkę o dziękczynne listy i pochwały. Właśnie dlatego Russel musiał ruszyć tyłek i szarym świtem pognać daleko na wschód.

Tim, odpowiednio powściągliwy, był dla FBI prawdziwym skarbem. Ale to nie zmieniało faktu, że często robił z siebie osła. Od czasu do czasu trzeba było spojrzeć mu na rękę. Russel do końca nie rozumiał, co właściwie stało się z absolwentami akademii, będącymi rówieśnikami Burrowsa, ale niewątpliwie ktoś musiał im podbijać bębenek. Absolwenci zawsze mieli o sobie zbyt wielkie wyobrażenie, ale obecnie młodszy agenci działający w terenie budzili co najmniej irytację, a niektórzy byli wręcz nie do zniesienia.

Naturalnie mogło być i tak, że to on się zestarzał, ale nie chciał w to uwierzyć. Tylko w zawodowej lidze piłkarskiej w wieku czterdziestu trzech lat wkracza się w jesień życia.

Kiedy rozpoczęli lądowanie, Russel dojrzał cztery unoszące się z ziemi słupy dymu. Widocznie ktoś użył świec dymnych, by naprowadzić helikopter. Lądowisko znajdowało się wewnątrz obszaru zaznaczonego przez świece i było wąskim paskiem ziemi. Pilot dobrze wyczuwał zasięg śmigieł wirnika, ale i tak aż wstrzymał oddech, gdy maszyna zniżyła lot i bezszelestnie dotknęła ziemi.

- Wylądowaliśmy cało i zdrowo - oznajmił pilot.

- Piękna robota - powiedział Russel, przechylając się przez środkową konsolę, by uścisnąć pilotowi rękę. Wsiadł i skulony pod pracującymi śmigłami truchtem oddalił się od wielkiego helikoptera.

Skierował się w stronę grupy strażników parku, skupionych wokół samochodu służby leśnej. Trzydziestokilkuletnia blondynka o ujmującym wyglądzie dziecka natury, tak powszechnym wśród leśników, wyszła mu na spotkanie.

- Sarah Rodgers - przedstawiła się, wyciągając rękę. - Jestem szefem zmiany.

Russel uściskał jej dłoń. Z siły chwytu wywnioskował, że tej kobiecie nieobca była ciężka fizyczna praca. Pewno nawet by się nie spociała, wyprzedzając go na dwóch okrążeniach.

- Russel Coates, FBI. Agent do zadań specjalnych kierujący tą operacją - odpowiedział.

- To znaczy, jest pan z SAC-u. Wiele o was słyszałam.

- W rzeczywistości mówi się o nas „tajne służby”.

Sarah próbowała podprowadzić go do grupy towarzyszących jej strażników, ale on stał bez ruchu. Takie drobiazgi pozwalają ludziom ustalić, kto tak naprawdę rządzi. Przeżył już wystarczająco wiele wojen o wytyczenie granic kompetencji, by wiedzieć, jak ważne jest okazanie stanowczości na samym początku.

- Kilku waszych ludzi jest przy zwłokach na miejscu przestępstwa, na górze. Są tam też moi pracownicy i paru ludzi z policji stanowej i lokalnej.

Cholera. Za dużo ludzi.

- A co z turystami? Czy ten obszar jest dla nich zamknięty?

To pytanie w widoczny sposób ją rozbawiło.

- To park narodowy, panie Coates. Ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają, nie zawsze trzymają się wytyczonych szlaków. Przypuszczam, że pana koledzy kontrolują miejsce na górze. Jeśli jednak pyta pan, czy zamkniemy bramy parku, to odpowiedź brzmi: nie. Jeśli zamierzałby mnie pan o to poprosić, to odpowiedź też brzmiałaby: nie.

Uśmiechnął się.

- Proszę mnie zrozumieć, pani Rodgers. Nie chciałem pani urazić. Jestem tylko nieco rozczarowany, że cały świat mógł przewalić się przez miejsce przestępstwa, zanim w ogóle miałem szansę je obejrzeć.

- Też nie chcę pana urazić, proszę jednak zrozumieć, że moi ludzie są wyszkoleni we wszelkich aspektach prowadzenia parku narodowego, ale dochodzenie w sprawie zabójstwa to nie nasza specjalność. Jeśli zrobiłam coś, co popsuje panu szyki, zapewniam, że stało się to przypadkowo. Miałam najlepsze zamiary - odparowała.

- A więc, gdzie jesteśmy?

Sarah z tylnej kieszeni zielonych spodni wydobyla zniszczoną przez deszcz i słońce, zalaminowaną mapę i rozłożyła ją. Zaczęła wodzić po niej palcem.

- W tym miejscu znaleźliśmy ciało - powiedziała, wskazując na mapie punkt obok wijącej się niebieskiej linii, która mogła być tylko rzeką. - To około półtora kilometra w górę tym szlakiem - wskazała na pasmo rzadkich drzew liściastych po lewej stronie. - Proszę

spojrzeć na mapę, to dokładnie tutaj. Nazywamy go Szlak Powhite. Obecnie stoicie tutaj, na drodze pożarowej numer siedem. Ludzie nie powinni tu dojeżdżać, ale wielu to robi, żeby mieć łatwy dostęp do Powhite.

- Nie sprzedajecie im biletów?

Sarah wzruszyła ramionami.

- Nie, dopóki trzymają się z boku i nie blokują dostępu do sprzętu przeciwpożarowego. Szczerze mówiąc, niewiele grup tędy wędruje. To nie jest łatwa trasa.

Russelowi nagle zaświtała pewna myśl. Jego brwi wygięły się w wysokim łuku.

- Kiedy ludzie tu docierają, to przychodzą ze szczytu góry czy z dołu?

Zamyśliła się nad tym przez sekundę.

- Chyba z obu kierunków, ale większość z dołu.

Russel skinął głową.

- Dobrze, pani Rodgers...

- Mów do mnie Sarah.

- Dobrze, Sarah - odpowiedział. Mógł się zrewanżować za brak formalności, ale zbyt lubił swój tytuł. - Muszę udać się na górę i zobaczyć, co się tam dzieje. Kiedy pójde, chciałbym, żebyś sprawdziła, czy nie poruszył się żaden z pojazdów, które tu stoją. Ani o centymetr. I postaraj się, żeby żadne inne pojazdy nie zbliżyły się do tego miejsca na odległość bliższą, niż sto metrów.

- Jak długo?

- Dopóki nie odwołam tego.

- A co mam powiedzieć policji i dziennikarzom, kiedy się tu zjadą?

- Prasie powiedz, co chcesz, i odeślij ich. A policjanci, jeśli są choć trochę profesjonalistami, zrozumieją to - roześmiał się Russel.

Sarah spojrzała na niego, jak na wariata.

- Zrozum, nasz niegrzeczny chłopiec parkował z boku tej drogi. Prawdopodobnie jego opony pozostawiły ślady. To oznacza, że musimy sporządzić odlewy każdego odcisku opony, jaki znajdziemy. Jesteś mi potrzebna, żeby utrzymać wasze pojazdy na miejscu. Dzięki temu będę mógł wykluczyć ich odciski spośród wszystkich pozostałych.

Jeśli cokolwiek z tego zrobiło na niej wrażenie, nie mrugnęła nawet okiem.

- Jak długo może to potrwać?

Wzruszył ramionami. Szczerze mówiąc, takie sprawy nie liczyły się dla niego.

- Nie wiem. Pewnie przez większą część dnia; do czasu, aż zorganizujemy i zmobilizujemy techników. Witam w pracy policyjnej, pani Rodgers. A teraz, czy możesz mi

przydzielić kogoś, kto odprowadzi mnie na miejsce przestępstwa?

*

Tim Burrows stał plecami do terenu wyznaczonego taśmą i z założonymi rękami podziwiał swoje dzieło. Dwie godziny temu ten teren wyglądał tak samo jak tysiące hektarów lasu, który go otaczał. Wyróżniała go tylko obecność zwłok, leżących na opadłych liściach. Teraz roilo się tu od ludzi - piętnastu ekspertów, którzy swój fach znali lepiej niż ktokolwiek na ziemi, składało mu raporty. Nie było to sprawiedliwe, że po tak profesjonalnym początku przyjdzie tu Russel Coates, na którego spłynie cała chwała.

Russel był za stary, zbyt ekscentryczny i zbyt wypalony, żeby dłużej wykonywać tę robotę. Na miłość boską, już raz się skompromitował. Tim nie potrafił rozgryźć, kogo Coates musiał pocałować w dupę, żeby po zawaleniu sprawy w Atlancie utrzymać się na posadzie, nie mówiąc już o tym, że został wyznaczony na agenta - kierownika w biurze regionalnym. Jednak FBI miało to do siebie, że czasem działało brutalnie, czasem delikatnie, ale zawsze na przekór logice.

Dla Tima prawdziwym problemem było to, w jakim stopniu granie drugich skrzypiec przy tym uznanym partaczu mogło mieć wpływ na jego własną karierę. Tim zawsze chciał pracować w FBI. Jeśli miał dobre wyniki w college'u, to dlatego, że chciał właśnie tam się dostać. A ponieważ teraz był tutaj, jak wszyscy diabli nienawidził myśli, że jego wysiłki mogą się zmarnować w rękach szefa, który, co było jasne, nie lubił go. Zabawne, jak to działało. Zostajesz skierowany do pracy dla człowieka, który na niczym się nie zna, a potem właśnie ten niekompetentny gość wystawia ci ocenę.

Nie mógł tego znieść. Nie trawił swobodnych zwyczajów Coatesa i tego, jak się ubierał. Nie mógł się pogodzić z tym, że Russel ośmiesza go wobec podwładnych. Dyscyplina wymagała łańcucha hierarchii, o czym codziennie przekonywał się każdy agent, który próbował do czegoś dojść. Russel Coates przeszkadzał Timowi zgryźliwymi komentarzami, pozbawiał go samodzielności.

Na pewno istniał jakiś sposób, by tam na górze zrozumiano, jak bezradny był w cieniu Coatesa. Tak czy owak, musiał znaleźć sposobność, by zabłysnąć.

Na razie trzeba robić dobrą minę i udzielać pozornego wsparcia szefowi, którego nie znosił. Wkrótce wyjdzie na jaw, że Coates nie nadaje się już do takich zadań. Wtedy gwiazda Tima zabłyśnie jaśniej, choćby przez porównanie.

Ale te sprawy wymagały czasu. Szczerze mówiąc, Tim miał nadzieję, że Coates zdecyduje się zrezygnować z tego śledztwa i da mu okazję, żeby sam rozwiązał sprawę. Zastanawiał się nawet, czy w ogóle go o tym powiadamiać. Jednak robiąc tak, sam by się

naraził. Biuro rozumiało i popierało regułę, że każdy awans odbywa się kosztem kogoś innego, ale nie należało przesadzać.

Dobra. Tkwił już w tym od ośmiu miesięcy, pozostało mu szesnaście. Wtedy będzie mógł ruszyć dalej. Chciał tylko mieć pewność, że jego następny ruch zaprowadzi go wyżej. Miał już dość tego gównianych poziomych awansów. Chciał sławy i władzy. Nie martwiło go zbytnio, że wszyscy o tym wiedzieli. Ci, którzy mieli mniejsze ambicje, byli ludźmi wypalonymi, jak Coates albo po prostu kłamali. Ukrywanie uczuć nie było w stylu Tima.

Sprawdził na zegarku godzinę i przestąpił z nogi na nogę. To typowe dla Coatesa, że kiedy obiecał być za pół godziny, spóźniał się jak teraz o dziesięć minut. Tim wyobrażał sobie, jak ta stara pierdoła drapie się na górę podpierając się łaską. Spodobała mu się taka wizja starego, bezradnego szefa. Uśmiechnął się do tej myśli, a potem wrócił do swoich zajęć. Miał przeprowadzić tutaj śledztwo i nieważne, ile jego sławy ukradnie mu Coates. Grunt, żeby wszystko działało ściśle według reguł.

A jeśli Coates znów spieprzy sprawę, on, Tim, będzie miał mnóstwo świadków, którzy przysięgną, jaką dobrą wykonał robotę.

*

Wystarczył rzut oka, by Russel przekonał się, że Tim Burrows dobrze zabrał się do rzeczy. Sądząc z setek metrów taśmy, porozpinanej między drzewami, miejsce przestępstwa było rozległe i obejmowało niemal całe wzgórze. Gdy się zbliżył, zastępca szeryfa chciał mu pokazać legitymację.

Tim, ubrany w maskujący kombinezon polowy, z przytroczonym nisko na udzie dziewięćmilimetrowym pistoletem H & K w nylonowo-welkronowej kaburze, wyglądał bardziej na żołnierza piechoty walczącego w dżungli niż na agenta FBI. Russel zastanowił się, czy on sam mógł kiedyś wyglądać tak dobrze w mundurze. Teraz tylko wciągnął brzuch, żeby nie wystawał ponad paskiem dzinsów.

- Cześć, Tim - powiedział, podchodząc do swojego asystenta. - Pomóż mi nabrać prędkości.

Burrows udał, że szczerze się uśmiecha, i wyciągnął rękę.

- Cześć, Russel. Jak tam golf?

- Nawet nie zabierałem kijów. Wolałem łowić ryby - odpowiedział.

Po latach stresu w klubie golfowym Russel w końcu uznał, że to nie dla niego. Wolał wędkowanie na gładkiej tafli jeziora albo surfowanie w ryku fal.

Tim wręczył mu dwa ciężkie gumowe pokrowce na buty - nosili je wszyscy prowadzący śledztwo, żeby odróżnić swoje ślady od innych - i poprowadził go w kierunku

płachty niebieskiego papieru, którą przytrzymało na wietrze kilka skalnych odłamków. Russel słusznie się domyślał, że pod spodem spoczywa główny bohater tego śledztwa. Kiedy się zbliżali, brzuchaty zastępca szeryfa kopnął na bok parę kamieni wzdłuż jednej z krawędzi. Wiatr unióśł płachtę i odsłonił zwłoki.

- Moim zdaniem śmierć nastąpiła od dwunastu do osiemnastu godzin temu. Zwłoki już całkiem zeszywniały i wystąpiło zsinienie - perorował Tim.

Russel sam zdążył to zauważyć. Martwy mężczyzna leżał na brzuchu i w dolnych partiach ciała utworzyły się już purpurowe plamy opadowe; to krew zastygła cienką warstwą w miękkich tkankach ciała.

Kiedy w ślad za Timem zbliżył się do ciała, musiał ze wszystkich sił ukryć obrzydzenie wywołane bijącym od zwłok odorem. Miejscowi śledczy nieraz mieli już okazję, żeby przyzwyczać się do takich sytuacji, ale Russela każda nowa sprawa o morderstwo - a nie było ich wiele - doprowadzała do kresu wytrzymałości.

- Ten gość był policjantem. To Thomas Stipton z Pittsburga w Pensylwanii. W tylnej kieszeni znaleźliśmy jego odznakę i dowód.

Russel uniósł brwi.

- Gdzie jego broń? - zapytał, wskazując głową pustą, zawieszoną na biodrze kaburę.

- Jeszcze jej nie znaleźliśmy. Wątpię, czy nam się to uda - Tim potrząsnął głową.

- Myślisz, że został zastrzelony z własnej broni?

- Trudno się na ten temat wypowiadać, dopóki nie zostaną wykonane analizy balistyczne. Spójrz jednak pod jakim kątem weszły pociski. Tim zaczął czubkiem długopisu wskazywać rany. - Jedno trafienie w ramię, drugie pomiędzy łopatką a obojczykiem, trzecie tutaj, nad mostkiem, a kolejne w czubek głowy.

- Wszystkie pod dużym kątem - stwierdził Russel. - Czy nie sądzisz, że zabójca mógł ukrywać się na drzewie?

Tim potrząsnął głową.

- Tak z początku pomyślałem, ale rozejrzyj się wokoło. Czy widzisz tę pomarańczową smugę? To ślad po kuli, która uwięzła w pniu.

Russel przyjrzał się świeżej bliźnie u podstawy pnia drzewa parę metrów od nich.

- Chcesz powiedzieć, że ten facet leżał na ziemi?

- To pytanie za milion dolarów. Zakładam, że mogła to być udaremniona próba gwałtu. Sądząc ze śladów spalania prochu, strzały oddano z bezpośredniej bliskości.

Coates wstał i znów uważnie zlustrował teren.

- Jednak nie ma spuszczonej spodni, ani obnażonego członka, prawda?

- Właśnie tak to wygląda. Może został zastrzelony w chwili, kiedy jeszcze zmuszał kobietę do stosunku.

Russel pomyślał chwilę i pokręcił głową.

- No dobrze... Więc dlaczego nie zadzwoniła na policję, kiedy już zeszła z góry? I dlaczego przywłaszczyła sobie jego pistolet?

- Może się wystraszyła? Nie mam pojęcia. Wiesz, że ofiary gwałtów zawsze dziwnie się zachowują.

- Może.

Russel zataczał wokół zwłok ciasne kręgi, próbując sobie wyobrazić, co się tu wydarzyło. Samobójstwo należało wykluczyć, chociażby z powodu kąta, pod jakim oddano strzały. Co więc pozostawało? Oczywiście morderstwo. Tylko jak do niego doszło? I dlaczego w tym miejscu, skąd wszędzie jest tak daleko...

- Jest coś jeszcze...

Russel podniósł palec i Tim zamilkł. Nie był jeszcze pewien, co zobaczył, ale z pewnością było to coś ważnego. Podpowiadała mu to intuicja, której nauczył się ufać. Chodziło o to, w jaki sposób rozrzucone były liście w tamtym miejscu. Gładka plama pośród skał i opadłych liści.

Podszedł do tego miejsca i bez słowa się pochylił, a potem przykłęknął, badając grunt w poszukiwaniu jakiegoś znaku, który opowie mu swoją historię.

- Jest! - obwieścił. - Dziura po śledziu od namiotu.

Wyjął z kieszeni długopis i delikatnie zbadał otwór. Śledź został wbity pod pewnym kątem i można było z tego wnioskować, gdzie umieszczono pozostałe zamocowania.

- Ubiegłej nocy w tym miejscu ktoś rozbił obóz. Tim, chcę, żeby pobrano gipsowe odciski otworów po szpilkach i śledziach. I niech zdejmą gipsowe odciski każdego śladu stopy i każdego odcisku opon na drodze przeciwpożarowej poniżej.

- To zajmie całą wieczność - powiedział Tim.

- Macie coś pilniejszego do roboty?

Tim uśmiechnął się.

- Zamierzałeś mi pokazać coś jeszcze - przypomniał Russel.

- A właśnie. Najbardziej frapująca rzecz. Odkrył to Parker - Tim poprowadził szefa głębiej w las. - Spójrz.

Russel powiódł wzrokiem za ręką Tima, który wskazał dwa kolejne odciski.

- Hmm... I co to ma znaczyć, twoim zdaniem?

W odpowiedzi Tim zaczął odgarniać liście, by dokładniej pokazać odciski.

- Nie dotykaj - warknął Russel. - Niczego nie można ruszać, dopóki miejsce przestępstwa nie zostanie całkowicie przebadane. Przedstaw domysły, trzymając ręce w kieszeni.

Tim zaczerwienił się.

- Parker zauważył, że te odciski są głębsze niż pozostałe i znajdują się niezwykle blisko siebie. Wydaje się, że ślady wzorów podeszew do siebie pasują, zatem obie stopy należały do tej samej osoby.

Russel nie wytrzymał i roześmiał się.

- Wybacz, Tim, po prostu nagle wyobraziłem sobie tego faceta, chodzącego dookoła na nogach nie do pary - rzucił dla rozładowania atmosfery.

Nic. Żadnego uśmiechu.

- Mów dalej.

- Parker sądzi, że głębokość śladów może oznaczać tylko dwie rzeczy. Albo należały do bardzo ciężkiego mężczyzny, albo stał on długo w tym miejscu.

- Może jedno i drugie.

- Słusznie. Czy nie wydaje ci się to dziwne? Ktoś sterczy tutaj i obserwuje, jak zabijają kogoś innego?

- Nie wiem - Russel wzruszył ramionami. - Jeśli byłbym świadkiem dokonującego się właśnie morderstwa, to może wolałbym, żeby mnie nie widziano.

- Czyli w miejscu zbrodni były przynajmniej trzy osoby. Jedna z nich nie żyje, druga zabiła, a trzecia stała obok i wszystko obserwowała.

- A skąd wiesz, że nie stała tu przed albo po morderstwie?

Tim zaczął tłumaczyć, ale zmienił tok wyводу.

- Nie mogę być pewien, ale inaczej nie miałyby to sensu. Kto stałby w środku lasu tak długo, że pozostawiłby ślady o takiej głębokości? A jeśli założyć, że kręcił się tutaj po popełnieniu morderstwa, to też nie ma sensu, bo musiałby trzymać na rękach martwe ciało. Ten gość zwił stąd natychmiast.

Russel przytaknął i skierował się z powrotem do obozu.

- Interesujące jest również to, że sporo czasu zabrało im uprzątnięcie terenu, zanim odeszli.

- Co masz na myśli?

- Rozejrzyj się. Gdyby nie leżące na ziemi zwłoki, to w ogóle nie wiedziałbyś, że ktoś tutaj był. Rozrzučili nawet popiół z ogniska. Wydaje mi się dziwne, że ktoś, kto właśnie został zaatakowany, miał tak wielką przytomność umysłu, żeby dokładnie zatrzeć po sobie

ślady.

Tim zastanowił się.

- Dobrze, ale dlaczego nie ukryli ciała?

Russel pomyślał, że to bardzo dobre pytanie.

- A jak ty byś to zrobił? Można zakopać ciało, ale nie da się tego zrobić za pomocą łyżki. Dlatego uznali, że nie należy tracić czasu i postanowili uprzątnąć najdrobniejsze nawet ślady swojej obecności.

Nie dodał, jak było to naiwne. Nawet najbardziej przebiegłi przestępcy coś po sobie pozostawiali. Oprócz odcisków stóp i opon samochodów bywały to niedopałki papierosów, wykałaczki, włosy lub ślady krwi. On musi tylko zebrać wszelkie te rzeczy, trochę pogłównować i, przy odrobinie szczęścia, będzie już gotów wskazać mordercę.

8

Bobby Martin gwałtownie usiadł w łóżku. Od razu wszystko sobie przypomniał. Jezu Chryste, zabił gliniarza!

Czy naprawdę zadzwonił i doniósł o tym? Czy naprawdę był tak głupi? Wydawało mu się, że to jakiś straszny sen, że zatracił granicę pomiędzy fantazją a rzeczywistością. Niestety, nic z tego nie było fantazją. Każdy szczegół, każda sekunda były prawdziwe. Odrzucił kódrę i opuścił nogi na podłogę. Zdziwił się widząc, że wciąż ma na sobie spodnie i skarpetki, które nosił wczoraj. Był tak wyczerpany, kiedy kładł się do łóżka - tylko na parę minut, jak obiecał Susan - że zapomniał o zdjęciu ubrania.

Nie zadał sobie trudu, żeby zawołać Susan i sprawdzić, gdzie jest. Wiedział, że znajdzie ją dokładnie tam, gdzie widział ją po raz ostatni - w dzieciennym pokoju, patrzącą na śpiącego chłopca. W przedpokoju wciąż było czuć świeżą farbę i nową wykładzinę.

Dlaczego dał się namówić na kupno tego domu o rozmiarach stodoły? Po co mu pięć sypialni, skoro miał meble tylko do dwóch? Poza tym wszystko z ich poprzedniego domu w mieście było za małe i większość sprzętów należy zmienić. Ale ten dom podobał się Susan. Dzięki premii za ubiegły rok zdołał wyłożyć taką sumę, żeby spłacanie comiesięcznych rat nie było zbyt uciążliwe. To był dom ich snów, nabyty w czasie, gdy szaleli ze szczęścia, oczekując Stevena.

Wspaniały był tamten okres, kiedy wszystko wydawało się tak poukładane. Uwielbiał

każdą minutę spędzaną w sklepach z rzeczami dla dzieci i składach materiałów wykończeniowych; wybieranie malowanych w króliczki obić do dzieciennego pokoju. W końcu, po długim czasie, mieli stać się pełną rodziną. Prawdziwą rodziną z dziećmi, zużytymi pieluchami i zabawkami płaczącymi się pod nogami. W końcu różni życzliwi, ale wścibscy ludzie przestaliby pytać o dziecko, a on i Susan nie musieliby udawać, że to pytanie nie boli. Może wydawali się zbyt niewrażliwi, nie dzieląc się z nikim przeżyciami, jakimi były dla nich poronienia. Ale któż chciałby tego słuchać? Przez cztery lata zbywali każde pytanie na ten temat wzruszeniem ramion albo odpowiadali, że przynajmniej mogą korzystać z życia.

Gdy minęły krytyczne pierwsze trzy miesiące, a potem jeszcze parę tygodni, przyznali się, że czekają na urodziny Stevena. Wszyscy znajomi życzyli im szczęścia. Zostali zasypani zaproszeniami na okazjonalne przyjęcia, z których przynosili stosy prezentów - dziecięcych ubranek i różnych akcesoriów, tak że dziecko było doskonale wyposażone na pierwsze trzy lata swojego życia.

Jakiś czas po śmierci Stevena osoby spoza rodziny rzadko ich odwiedzały. Cenili to sobie. Ludzie nie wiedzieli, co powiedzieć, a Bobby nie umiał im tego ułatwić. Ogarniała go złość, że każdy ich znajomy mógł mieć tyle dzieci, ile chciał. Tylko nie oni.

Przecież byliby dobrymi rodzicami. Mieli wykształcenie, dobrą pracę, zarabiali mnóstwo pieniędzy, a przede wszystkim kochali się, a miłością Bóg nie obdarzał zbyt często. To nie było w porządku. Do diabła, połowy ludzi, których Bobby znał, nie było stać na posiadanie dzieci, które mieli. A i tak zdawało mu się, że co dzień pojawia się jakaś nowa kobieta w ciąży.

Większość ludzi nawet nie wybrała się na pogrzeb Stevena, podając różne usprawiedliwienia. Kiedy myślał o tym racjonalnie, nie mógł ich za to winić. Nic nie przygnębia ludzi bardziej, niż myśl o martwym dziecku; dlatego starają się tę śmierć zracjonalizować. Gdyby jeszcze choć jedna osoba spróbowała poprawić mu nastrój gadaniem, że poronienia stale się zdarzają, toby ją udusił. Przecież to nie było poronienie, ale śmierć syna. Dlaczego ludzie nie potrafią tego rozróżnić?

W korytarzu Bobby przystanął na moment obok dzieciennego pokoju, żeby spojrzeć na małą kapliczkę, którą wybudował ku pamięci Stevena. W szpitalu pielęgniarka przewidująco odcięła lok z włosów jego syna, włożyła do koperty razem ze zdjęciem dziecka, zakleiła i po cichu przekazała to Bobby'emu.

- Pomyślałam, że chciałby to pan mieć - powiedziała.

To była najbardziej niezwykła, świadcząca o ludzkiej wrażliwości rzecz, jaką

kiedykolwiek ktoś dla niego zrobił. W ciągu paru następnych tygodni nie było dnia, żeby nie pomyślał o tej kobiecie; jak siedziała z nim w holu, trzymając go za rękę, kiedy próbował odnaleźć w sobie siły, których potrzebowała Susan. Twarz tej pielęgniarki rozpoznałby wszędzie, ale za nic w świecie nie potrafił sobie przypomnieć jej imienia.

Teraz delikatne ciemne kosmyki znajdowały się w plastikowej ramie, zawieszanej na ścianie powyżej niewyobrażalnie maleńkich bucików, które już zżółkły, chociaż nigdy nie były noszone.

Zdjęcie dziecka wyrzucił. Wolał zapamiętać swojego syna takiego, jakim był, gdy tańczył w brzuchu matki. Jeśli kiedykolwiek musiałby przypomnieć sobie, jak wyglądał Steven, to zawsze miał zdjęcia z USG. Nie mógłby ich zrozumieć, ale przynajmniej wyzwały szczęśliwe wspomnienia.

Odnalazł Susan w dzieciennym pokoju, skąd nie ruszyła się przez całą noc. Siedziała nieruchoma na bujanym fotelu i przez pręty łóżeczka głąskała brudne włosy śpiącego chłopca. Podniosła wzrok na Bobby'ego i uśmiechnęła się.

- Jest piękny, prawda? - zapytała.

Rzeczywiście. Mimo zaschniętego błota oblepiającego mu twarz i uszy widać było, że chłopiec mógłby zostać ulubieńcem Madison Avenue. Ciemnobrązowe włosy i oliwkowa cera nadawały mu latynoski wygląd, ale pociągłe rysy były typowo skandynawskie. Śpiąc na brzuchu, tak jak teraz, z odchyłoną w ich stronę głową, wyglądał jak ucieleśnienie szczęścia.

Bobby uśmiechnął się.

- Czy on się choć na chwilę obudził?

- Nawet się nie ruszył. Jest bardzo wyczerpany.

Bobby pomyślał, że Susan pozostałaby tutaj na całe dni czy nawet tygodnie, dopóki chłopiec znów nie otworzy oczu. Widząc, że jest tak spokojna, poczuł ciepło w sercu. I poczuł też strach.

- Kochanie, musimy porozmawiać.

- Później.

Tym razem nawet nie zadała sobie trudu, żeby na niego spojrzeć.

- Nie. Myślę, że powinniśmy zrobić to teraz.

- Kto mógł to zrobić dziecku? - przerwała mu. - Kto mógłby zabrać takie piękne dziecko i tak je zaniedbać?

Bobby przyklęknął obok żony.

- I właśnie o tym powinniśmy porozmawiać, Suz. Co z nim zrobimy?

Spojrzała na niego, jakby stracił rozum.

- Co masz na myśli?

Bobby'emu opadła szczęka.

- Co mam na myśli? A jak sądzisz? Musimy przekazać go władzom.

Susan potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Dość już miał dramatycznych przeżyć. Potrzebuje kogoś, kto będzie go kochać.

- Oczywiście. I ten ktoś, szukając go, musi być śmiertelnie wystraszony.

- Ktokolwiek mu to zrobił, nie zasługuje na to, żeby go odzyskać.

Powiedziała to tak stanowczo, że Bobby'emu przebiegł wzdłuż kręgosłupa zimny dreszcz.

- Kochanie, to nie jest zabłąkany szczeniaczek. Nie możesz zatrzymać cudzego dziecka.

Susan wzruszyła ramionami, jakby to był tylko kłopotliwy szczegół.

- A kto twierdzi, że on nie jest nasz?

Nie, to przecież nie było w porządku. Wstał i przeszedł na drugą stronę jej fotela, żeby patrząc na chłopca musiała też patrzeć na niego.

- Kto tak twierdzi? Cały świat to twierdzi. Kochanie, nawet nie wiemy, jak ma na imię.

- No to dajmy mu nowe.

- Susan!

Na dźwięk podniesionego głosu chłopiec drgnął, ale nie obudził się.

- Bobby, cicho. Obudzisz go.

Zacisnął mocno powieki i potrząsnął głową.

- Czy ty słyszysz, co mówię?

Nic nie odpowiedziała. Po prostu dalej głaskała chłopca i patrzyła, jak śpi. Jednak po jej zaciśniętych ustach Bobby poznał, że myśli o czymś intensywnie.

- Susan?

Kiedy w końcu się rozejrzała, w jej oczach był gniew.

- Nie prosz mnie, żebym ci to wytłumaczyła, bo nie potrafię. Ale wiem to. Wiem, że to prawda. Modliłam się do Boga o dziecko, a w tym czasie on już tam był i chciał tylko mnie. Nie ciebie, czy kogokolwiek innego, tylko mnie. To Bóg mi go zesłał. Nie wiem, dlaczego i w jaki sposób. Wiem jednak, że teraz to dziecko należy do mnie i nie możesz powiedzieć ani zrobić niczego, co zmieniłoby moją decyzję.

Bobby nie wierzył w to, co słyszał.

- Suz, a jeśli powiem, że to kidnaping?

- Jeśli powiesz kidnaping, to ja powiem morderstwo - odparowała. - Nie możesz dowieść pierwszego, nie przyznając się do drugiego.

Te słowa uderzyły w niego jak pięść.

- O Boże, Susan, czy ty mi grozisz?!

Przez długą chwilę patrzyła na niego z wściekłością, jakby ważąc słowa, a potem jej oczy ożyły. Potrząsnęła głową i wsunęła dłoń we włosy.

- Przepraszam. Oczywiście, że ci nie grożę. Jednak myślę, że znaleźliśmy się pod ścianą. Musimy wszystko przemyśleć, zanim coś zrobimy.

Ta nagła zmiana nastroju sprawiła, że poczuł się niepewnie.

- Właśnie o tym zamierzałem z tobą porozmawiać.

- Wiem, ale teraz nie chcę się tym zajmować. Pozwól mi tutaj posiedzieć jeszcze chwilę, dobrze? Chcę być tutaj, kiedy się obudzi. Potem możemy porozmawiać.

Bobby nie wiedział, co powiedzieć. Z pewnością sama nie wierzyła, że mogliby po prostu zatrzymać to dziecko i udawać, że to ich własne. Jak wyjaśniliby to krewnym i przyjaciółom? I jak mogliby ze sobą żyć?

Nie miał jednak dość odwagi, by ją pozbawić złudzeń. Tym bardziej, że leżące tu dziecko mogło wszystko usłyszeć.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zaczekam. Ale tylko chwilę. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Uśmiechnęła się i nadstawiła głowę do pocałunku.

- Porozmawiamy o tym później, w ciągu dnia - powiedziała. - Kiedy już trochę odpocznę.

I znów odwróciła się do chłopca. W tej chwili Bobby dla niej nie istniał. Był jak powietrze, nie liczył się. Kiedy wychodził z dzieciennego pokoju, usłyszał, że zaczęła śpiewać kołysankę.

*

Bobby chciał wziąć prysznic, ale zdecydował, że najpierw wypakuje rzeczy z samochodu. Przechodząc przez kuchnię, zerknął na cyfrowy zegar kuchenki i stwierdził zaskoczony, że jest dopiero 7.14. Myślał, że spał więcej niż trzy godziny.

Oznaczało to, że za parę godzin znów będzie się musiał przespać. Próbując opóźnić to, co nieuniknione, zrobił mocną kawę. Smakowała paskudnie, ale pozwoli mu to w najbliższym czasie nie zasnąć.

Potem udał się do garażu. Zszedł po schodach i nacisnął przycisk podnoszący bramę.

Całe szczęście, że mają garaż na trzy samochody. Uparł się przy takim, kiedy rozmyślali o domu swoich marzeń. Oboje z Susan byli zaprzysięgłymi kolekcjonerami niepotrzebnych rzeczy, które i tak zajęły tu większość miejsca.

Stąpił ostrożnie, jakby to było pole minowe. Któregoś dnia musi posprzątać tutaj.

Poranny chłód wciąż jeszcze był dokuczliwy i Bobby zaczął żałować, że nie włożył kurtki. Nie szkodzi, ma drugą w plecaku. Po podniesieniu tylnych drzwi sięgnął do środka i przyciągnął bliżej granatowy plecak, tak że teraz mógł sięgnąć do wielkiej, głównej kieszeni. Kupił ten plecak z drugiej ręki jeszcze w college'u. Aluminiowa rama z rurek już wtedy uchodziła za przeżytek, ale obecnie dumny był ze swego starego plecaka, świadczącego o tym, że jest on wytrawnym turystą. Kosmiczne ramy z włókna węglowego może były lżejsze, ale zamiast wydać czterysta dolców na taką nowość, mógł za tę sumę dodatkowo poćwiczyć w dowolny dzień tygodnia.

Ostrożnie odchylił klapę plecaka, z nadzieją, że nie zasypie go lawina skarpetek i bielizny. Nic takiego się nie stało. Jego ręka spoczęła na czymś ostrym. Z ramy wystawał cieniutki srebrny drucik, z kawałkiem porwanego papieru.

Kiedy zdał sobie sprawę, że było tu kiedyś zamocowane zezwolenie na biwakowanie, które teraz zniknęło, poczuł ukłucie w piersiach.

9

Do dziesiątej Russel Coates był już gotów, żeby ruszać dalej. Rój techników policyjnych pojawił się około godziny szóstej, a on nauczył się już dawno temu, że rozsądni ludzie nie wchodzą im w drogę. Nim skończyli, połowa góry znalazła się w ich torbach, opatrzona notatkami i skatalogowana; pierwszy krok w polowaniu na tę jedną informację dowodową, która pchnie naprzód całą sprawę.

W tym czasie Sarah Rodgers dwukrotnie apelowała, żeby przyspieszył wszystkie czynności oraz zwolnił jej pojazdy i personel. Za pierwszym razem starała się ukryć rozdrażnienie, ale potem już się nie krępowała. Russel pomyślał, że to na swój sposób urocze, jak czerwienieją jej uszy, kiedy krzyczy. Ale kropelki śliny, które pojawiły się przy paru silniej wypowiedzianych spółgłoskach, były zdecydowanie odstręczające.

Teraz Sarah znów tu była. Idąc w górę, aż do ogrodzenia z taśmy, niosła w jednej ręce stertę papierów, a w drugiej krótkofalówkę. Russel nie potrafiłby wskazać nikogo lepiej

predysponowanego do pracy w służbie leśnej. Niewątpliwie niedźwiedzie i pумы chowały się po krzakach, widząc, jak idzie przez las z szaleństwem na twarzy.

- Myślę, że ona cię lubi - powiedział cicho Tim.

- Przyciągam niczym magnes wszystkie panny, które próbują mnie wycisnąć jak cytrynę - jęknął Russel.

Z urzędowym uśmiechem przeszedł przez tłum techników, żeby spotkać się z nią przy taśmie.

- Sarah, przysięgam, że pracujemy najszybciej, jak się tylko da.

Na dźwięk jego głosu uniosła głowę i spojrzała zmieszana.

- Co? A, tak... Z moimi ludźmi skończyli dobrą godzinę temu. Wszyscy wrócili już do pracy. Dzięki.

- O co więc chodzi?

Wręczyła mu ogromy stos kart szarego papieru.

- To rejestracje wjazdu do parku z ubiegłego tygodnia. Miałam ci je dać, prawda?

Russel wziął je od niej i uśmiechnął się.

- Tak, dziękuję.

- Prosiłeś o wszystkie, więc je zabrałam. Prawdopodobnie jest ich tutaj pięć, sześć setek. Ale spójrz tutaj. W tym czasie obozowało około trzydziestu pięciu par; wygląda na to, że tylko piętnaście, może dwadzieścia spośród nich dotarło do miejsca, z którego szlak prowadzi tędy.

Russel nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Dziękuję. To może się bardzo przydać.

Roześmiała się i po raz pierwszy zobaczył, że pod tą służbową maską ma całkiem ładną buzię.

- Nie musisz udawać takiego zaskoczonego - dorzuciła.

Roześmiał się niezręcznie i wrzucił ramionami.

- Po prostu doszedłem do wniosku, że po naszej pierwszej dyskusji możesz być, no...

- Wkurzona?

- Dokładnie tak.

- Byłam. Ale kiedy twoi ludzie pozwolili nam wrócić do pracy, poczułam się lepiej.

Spróbowała mówić tak, żeby w jej słowach nie było jadu.

Russel przyjrzał się bliżej kartom rejestracyjnym. Nazwiska, adresy, telefony i numery kart zezwolenia na wjazd ciągnęły się całymi metrami.

- Muszę cię jednak przestrzec, że nie wszyscy się rejestrują - dodała Sarah, unosząc

brwi. - Rejestracja kosztuje pięć dolarów, więc niektórzy próbują jej uniknąć. Kiedy ich znajdujemy, wyrzucamy z parku i nakładamy grzywnę w wysokości siedemdziesięciu pięciu dolarów, ale nie wszyscy obawiają się takiego ryzyka.

- Zwłaszcza ci, którzy przybyli tutaj, żeby popełnić morderstwo. Jednak daje to nam punkt zaczepienia - Russel skinął głową.

- Pani Rodgers!

Z góry schodził następny strażnik, prowadząc ze sobą dwoje ludzi z plecakami. Byli to mężczyzna i kobieta, w wieku dwudziestu paru lat, którzy wyglądali tak, jakby dawno się nie myli.

Sarah szeroko się uśmiechnęła.

- George! Jak się masz! - zawołała.

Przywitała się ze strażnikiem, jakby byli na zjeździe absolwentów szkoły. Potem obróciła się do Russela.

- Agencie Coates, to nasza najjaśniejsza gwiazda, George Majewski. George, to pan Coates, agent FBI.

Russel uściskał dłoń mężczyzny. Młody strażnik wyglądał tak, jakby stało się coś niezwykle ważnego.

- Ci ludzie mają informacje, które mogą być przydatne.

Russel prześlizgnął się pod taśmą i podszedł do młodej pary.

- Jestem agentem FBI, prowadzącym śledztwo w sprawie morderstwa.

Zwrócił się z tym wyjaśnieniem do turystów, ale wiedział, że odpowiada także na niezadane pytanie Georga. Kątem oka zauważył, jak Tim przysuwa się bliżej, żeby też posłuchać.

- Gary Combs - przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę. - A to jest moja żona, Mandy.

Russel uściskał im dłonie.

- Miło mi was poznać. Co chcecie mi powiedzieć?

Próbował być czarujący, co czasem mu się udawało.

- Czy to on? - zapytał Gary, wskazując ruchem głowy na leżącą dalej niebieską płachtę.

Russel zmrużył oczy.

- Skąd pan wie, że to był mężczyzna?

Młody turysta natychmiast wpadł w przerażenie.

- Ja... nie wiedziałem. To znaczy, wiedziałem... ale...

- Powiedziałem mu o morderstwie - wyjaśnił strażnik George. - Czy nie należało tego mówić?

Powinien był trzymać się jak najdalej od śledztwa i ganiać wiewiórki po lesie, ale Russel przeszedł nad tym do porządku.

- Nie, wszystko jest w porządku. Postąpiłeś słusznie.

- Nie potrzebujemy adwokata, prawda? - zapytała Mandy, głosem małej dziewczynki.

- Nie, o ile nie zamierzacie przyznać się do popełnienia przestępstwa.

Russel chciał, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale chyba nikt nie odebrał tego w ten sposób. Dlaczego ludzie w Zachodniej Wirginii byli tak pozbawieni poczucia humoru?

- Nie, nie potrzebujecie prawnika. Po prostu musicie powiedzieć mi to, co wiecie.

Wymienili nerwowe spojrzenia. Coś bąknęli i zaraz zamilkli.

- Gary, ty zacznij - ponaglił Russel.

- Dobra... Nie wiem, czy to naprawdę cokolwiek znaczy, ale ostatniej nocy, około dwunastej, słyszeliśmy gdzieś tutaj jakieś krzyki, jakby ktoś próbował komuś zrobić krzywdę...

- Nie możemy jednak powiedzieć na pewno, że komuś robiono krzywdę - poprawiła Mandy.

- Nie, nie... Oczywiście, że nie, ponieważ nic nie widzieliśmy. Ale tak to właśnie brzmiało?

- Tak sobie wtedy powiedzieliśmy, ale teraz, kiedy znów o tym myślę...

- Słyszeliście krzyki - wtrącił się Russel, czując jak podnosi mu się ciśnienie. - Będziemy się tego trzymać. Były krzyki, ale nie jesteście pewni, co one oznaczały.

- Właśnie - przytaknął Gary.

- W tych krzykach była złość, ale, wie pan, tutaj na otwartej przestrzeni, w nocy... - dodała Mandy.

W spojrzeniu Coatesa zobaczyła coś, co sprawiło, że słowa uwięzły jej w gardle.

- Krzyki - Russel znów zwrócił się do Gary'ego.

- Tak. To brzmiało jak krzyk małego dziecka.

Tim przeszedł pod taśmą i stał teraz obok swego szefa.

- To ciekawe - stwierdził Russel. - Czy mogliście zrozumieć, co mówili?

- Nie. Właściwie nie jestem pewien, czy w ogóle coś mówili. Dlatego myślę, że w sprawę wplątane było dziecko. Dzieci czasem krzyczą w taki sposób, że naprawdę nie można zrozumieć, o co chodzi.

- A jak blisko byliście tych krzyczących ludzi?

Gary i Mandy popatrzyli po sobie.

- Nie wiem - powiedziała Mandy. - W lesie trudno to określić, ale myślę, że byli ze sto, może sto pięćdziesiąt metrów od naszego obozowiska.

- A jak daleko stąd obozowaliście? - zapytał Tim.

- Mniej więcej w tym miejscu, gdzie pan po raz pierwszy nas zobaczył. Jak to jest daleko? - Gary zwrócił się teraz do George'a.

- Jakiś kilometr ścieżką pod górę.

Russel przetrwał nowe informacje. Jak sprzeczka z udziałem dziecka mogła doprowadzić do tej strzelaniny?

- Kiedy tu przyjechaliście? - zapytała Sarah.

Teraz wszyscy chcieli przyłączyć się do prowadzonego przez Russela śledztwa.

- Ubiegłej nocy - odpowiedziała Mandy.

- Ze szczytu góry, czy z dołu?

- Z dołu.

- A więc mijaliście ludzi, którzy tu obozowali?

Kolejna niema konferencja.

- Pamiętam, że widziałem tam obozowisko, ale nie przypominam sobie ludzi. Jednak mógłbym się założyć, że była tam przynajmniej jedna kobieta - powiedział Gary.

- Z przodu namiotu wisiał piękny wianuszek z kwiatów - dodała Mandy. - Skomentowaliśmy to, mijając ich.

Russel spojrzął na karty rejestracyjne i zaczął je przekładać.

- Pani Rodgers, pewnie nie pamięta pani, jak wiele par było na tym terenie?

- Sześć - odpowiedziała bez wahania.

- Naprawdę? - Russel nie potrafił ukryć w głosie zdziwienia. - Skąd pani to wie?

- Fotograficzna pamięć - odpowiedziała z uśmiechem. - Ocena cztery zero z ekonomii na Harvardzie.

Dlaczego tak bardzo to go zaskoczyło? Wetknął karty do kieszeni kurtki.

- Sześć. To rzeczywiście zawęzi rozmiar naszych początkowych poszukiwań, prawda? Wróćmy tam, gdzie byliście, kiedy usłyszeliście krzyki.

*

April Simpson jeszcze raz spojrzała na zegarek, po czym podeszła do wysokiego okna, żeby zobaczyć, czy kierownik działu używanych samochodów jest gdzieś w zasięgu wzroku. Minęło już piętnaście minut, odkąd wziął jej geo na jazdę kontrolną i przez ten czas z pewnością mógł już podjąć decyzję. April była dumna ze stanu, w jakim utrzymywała to

autko i liczyła na dobrą cenę.

Wylała zimną kawę do kosza na śmieci i zanim wrzuciła tam również kubek, sprawdziła nadruk na jego spodzie. Walet pik - świetnie. Zawsze miała pecha.

Za morzem zaparkowanych samochodów i obracających się reklam próbowała dojrzeć tłustego menedżera w niedopasowanym garniturze. Ani śladu. Po drugiej stronie parkingu para starych ludzi aż śliniła się na widok modelu caprice koloru szampana, a łowiacemu okazji sprzedawcy ciekła ślinka na ich widok. April po drodze przypadkiem zobaczyła karteczkę z ceną tego krążownika szos i rozgniewało ją, że ludzie mogą w ogóle rozważać wydanie 40 000 dolarów na samochód - prawie dwa razy tyle, ile zarabiała brutto przez cały rok, pracując na dwóch posadach. Jezu, życie nie jest sprawiedliwe.

Ile trzeba zarabiać, żeby pozwolić sobie na taki samochód? Sto patyków rocznie? Babcia i dziadek prawdopodobnie byli już na emeryturze i żyli z procentów od swoich inwestycji. Ile mogli być warci? Milion dolców? Pół miliona? Całą forszę świata.

A ona próbuje wyskrobać trochę groszy, żeby wykupić swojego syna.

Poczuła piekący wstyd. Na świecie nie powinny istnieć takie skrajności, nie powinno być tak, że starzy, bogaci ludzie planują swoją beztróską emeryturę w tej samej chwili, kiedy ona nawet nie wie, czy jej mały chłopiec jeszcze żyje.

Para emerytów podniosła głowy znad bagażnika limuzyny. Wyglądali na zadowolonych, niezrażonych ceną.

April nienawidziła ich w tej chwili.

Jak to jest, że wszystko w jej życiu ułożyło się tak źle? Co stało się z tymi dniami, kiedy razem z tatą marzyli o jej karierze aktorskiej? Bóg świadkiem, miała do tego odpowiedni wygląd; bujne kasztanowe włosy i pociągłe śródziemnomorskie rysy. Była gwiazdą każdego przedstawienia wystawianego w liceum.

Mieli jasny plan. Ojciec będzie pracował na dwie zmiany tak długo, dopóki ona nie ukończy Szkoły Sztuki w Północnej Karolinie. A kiedy w końcu zrobi karierę na Broadwayu, w swoim domu w Hamptons dobuduje dla niego skrzydło. Za to, ile zniósł, by ich wspólne życie uczynić przyzwoitym i godnym szacunku, była mu winna coś lepszego. Ilekroć głośno marzyli, dostrzegała w jego oczach rozpaczliwą nadzieję.

April właśnie zakończyła drugi tydzień nauki w college'u w Winston - Salem, kiedy otrzymała telefon, że ma pędzić do domu. Jej ojciec kosił trawę przed domem, gdy nagle stracił przytomność i upadł. Rokowania były najgorsze z możliwych. Lekarze powiedzieli jej, że rak od lat rozwijał się w mózgu. Jeśli nawet ojciec zauważyłby objawy, prawdopodobnie i tak nic nie można byłoby zrobić. W tym stanie dawano mu jeszcze dwa miesiące życia.

Trwało to jednak tylko trzy dni.

W ten sposób, mając osiemnaście lat, została sierotą. Jednym ruchem kosi śmierć uczyniła ją osobą dorosłą, w każdym znaczeniu tego słowa. Wraz z dorosłością przybyły wszelkie towarzyszące jej problemy. Jej ojciec był bez grosza. A nawet gorzej. Miał takie długi, że sam nigdy by się z nich nie wydobył.

Chyba że jego córka - jedyne dziecko - zrobi karierę w Hollywood.

Przypuszczała, że praca ojca na dwie zmiany mogła zapewnić dochody, które pozwoliłyby się utrzymać przez kilka lat, ale kiedy zobaczyła jego rachunki, ogarnęło ją przerażenie.

Mogła odejść, może nawet powinna była. Ale pozwolić, by wszystko, na co pracował ojciec, zostało wyprzedane na aukcji? Wydawało jej się to potwornie niesprawiedliwe - wręcz świętokradcze. Przez całe życie ani razu nie odwrócił się do niej plecami. Jak mogłaby go porzucić po śmierci?

Wtedy to rozumowanie miało sens, choć przyjaciele ojca z pracy próbowali ją od tego odwieść. April odziedziczyła po ojcu nie tylko skłonność do marzeń, ale również upór. Machnęła ręką na spłatę wszystkich niezabezpieczonych należności. Karta debetowa pozwoliła zmniejszyć pięciocyfrowe długi ojca. Dzięki temu pozostał dom, samochód i najrozmaitsze, zakupione w samą porę części wyposażenia gospodarstwa domowego. Większość z nich udało się jej zatrzymać za darmo tylko dzięki temu, że ośmieliła się powstrzymać windykatorów z Sears & Monkey Wards, którzy przyszli odebrać swoje rzeczy biednej sierocie.

Każde zwycięstwo poprzedzała zajadła walka.

- No dalej - mówiła. - Jestem pewna, że informacja o tym w telewizyjnych wiadomościach będzie dla was doskonałą reklamą.

Wiedziała, że walka o pralkę i lodówkę to tylko rozgrzewka. Prawdziwa wojna zostanie stoczona o kredyt hipoteczny na dom, za który raty miały być spłacane jeszcze tylko przez dziesięć lat. Jeden z kierowników banku, pompatyczny gnojek o nazwisku Morgan oświadczył, że ojciec, mimo monitów, zalegał już z trzema spłatami i był zadłużony w chwili śmierci. Morganowi było przykro, że jej sprawy nie układają się dobrze; tak samo jak wszystkim innym, którzy kazali się jej wynosić. No cóż, biznes to biznes.

Morgan dał jej do wyboru dwie możliwości. Mogła opuścić dom - w tym przypadku bank zająłby go jako zastaw i w rezultacie zagrabiłby trzysta procent wartości początkowej inwestycji - albo też zmienić zasady finansowania kredytu i spróbować go spłacać.

Zapytała go, jak wysokie byłyby raty. To pytanie wyzwoliło w nim przypływ

aktywności. Jego długie, kobiece palce zaczęły fruwać na przyciskach kalkulatora. Kiedy uniósł głowę, był z siebie tak cholernie dumny, że chciało się jej rzygać.

- Wygląda na to, że pani rata razem z odsetkami wyniosłaby około ośmiuset pięćdziesięciu dolarów. Razem z podatkami i ubezpieczeniem może nawet ponad tysiąc.

- Tysiąc? - April zaczerpnęła powietrza. - Tysiąc dolarów? Co miesiąc?

Morgan roześmiał się, widząc, jak zareagowała. Do dziś pamiętała tę chwilę. Aż do dziś rano, kiedy zaginął Justin, uważała, że była wtedy bliska zabicia człowieka.

- Obawiam się, że tak - zachichotał. - Czy to przekracza pani możliwości?

Wciąż jeszcze czuła, jak zrobiło jej się gorąco, gdy tak siedziała w lśniącej poczekalni Mildford Bank & Trust Company. Wiedziała, że powinna po prostu wyjść, ale nawet teraz, we wspomnieniach, nie była w stanie tego uczynić.

- Ty arogancki gnoju - powiedziała, głośniejsz niż wypadało w tych okolicznościach, ale wtedy właśnie o to chodziło. Chciała, żeby cały świat dowiedział się, jak ten dupek ją traktuje.

- Panno Fitzgerald, naprawdę... - Morgan zaczerwienił się. - Nie uważam, żeby...

April ani trochę nie spuściła z tonu.

- Taaak, to więcej niż mogę sobie pozwolić! Mam osiemnaście lat, ty wale! Jak możesz sądzić, że stać mnie na zapłacenie tysiąca dolarów miesięcznie?

Tak jak miała nadzieję, zwróciły się na nich wszystkie oczy w banku.

- Moja matka, panie Morgan, zmarła cztery lata temu. Mój ojciec zmarł w ubiegłym tygodniu. Nie zostawili mi nic oprócz tego domu.

- Może mogłaby pani ściszyć głos...

- Niczego nie będę ściszać, panie Morgan! To jest mój dom, a wy mnie z niego wyrzucacie! Czy w taki sposób traktujecie wszystkich swoich klientów?!

Ludzie przyglądali się, jak od strony drzwi zbliża się do niej strażnik. April obróciła się do ubranego na niebiesko ochraniacza, wynajętego z agencji, i wskazała go palcem.

- Dotknij mnie tylko, dupku, a nie wyjdiesz z sądu przez następne dziesięć lat. Nie zrobiłam tutaj nic niezgodnego z prawem i powiem to, co zamierzam powiedzieć.

Morgan wstał.

- Zakłóca pani naszą pracę, panno Fitzgerald. Jeśli pani nie przestanie, będę musiał wezwać policję.

- Wezwij. Cholera, przynajmniej będę miała gdzie spać. Jeśli postawisz na swoim, pozbawisz mnie nawet łóżka.

Morgan skinął głową na asystenta, który podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Nie chce mi się wierzyć, że właśnie w ten sposób zarabia pan na życie, panie Morgan. Powinien się pan wstydzić.

- To nie ja robię z siebie głupca, panno Fitzgerald.

O Boże, jakże nienawidziła tego człowieka. Gdyby miała tego dnia ze sobą swój pistolet, ten facet na pewno byłby martwy. Ale nie miała. W końcu wyszła z banku, nie przekonawszy nikogo do zmiany decyzji.

- Panie Morgan, wie pan, gdzie mieszkam, przynajmniej na razie. Proszę się nie krępować nasyłając gliny - rzuciła jeszcze w drodze do wyjścia.

Policja zjawiała się sześćdziesiąt dni później. Nie po to, żeby ją aresztować, lecz żeby wyrzucić ją na ulicę. Gliniarzy było mnóstwo. Oczywiście Morgan ostrzegł ich, że jest impulsywna. Przyjechali o ósmej rano i opadli dom jak szarańcza, wszystko z niego wynosząc. Na koniec zamknęli drzwi na wielką kłódkę. Akcja trwała niecałą godzinę.

Zanim jeszcze odeszli, April pomyślała, żeby zapytać ich, gdzie ma nocować, ale zdawało się, że żaden z nich nie ma czasu na rozmowę. Trzymali głowy opuszczone i robili to, co im kazano.

Tak rozpoczął się przerażający zjazd do rynsztoka. Coraz szybciej zmierzała ku ciemnościom, które spowiły jej przyszłość. Dziwiła się, że jej wspomnienia po dziewięciu latach wciąż są tak wyraźne, że ból, który ze sobą niosły, ani trochę nie osłabł. Niewypowiedzianie tęskniła za ojcem, lecz najbardziej brakowało nadziei, która kiedyś była tak ważną częścią jej życia. Czasami, kiedy miała parę spokojniejszych chwil, zamykała oczy i próbowała sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy się o czymś marzy. Kiedy wierzy się w sukces. Nigdy potem nie potrafiła na nowo rozniecić tej pasji, która kiedyś prowadziła ją przez życie.

Teraz już wiedziała - korzyść płynąca ze spojrzenia za siebie - że młodość umiera, kiedy człowiek przestaje wierzyć, że potrafi wygrać tym kartami, które dostał do ręki przy narodzinach. Rzeczywistość jest taka, że czasami dostaje się gówniane karty i nieważne jest, jak wiele się planuje, jak ciężko się pracuje, żeby coś osiągnąć; że chodzi się do kościoła i myśli się we właściwy sposób. Nikt nigdy nie odkrył sposobu, żeby można było powtórzyć rozdanie.

Nagle pojawienie się za szybą jej małego chryslera geo przeniosło April z powrotem do terażniejszości.

Patrzyła, powstrzymując płonący w niej gniew, jak kierownik działu gramoli się zza kierownicy.

Mały dzwonek zadzwieczał u drzwi, kiedy Simenson kaczym krokiem wszedł z

powrotem do biura. Mimo że było tylko parę stopni, zdołał się spocić i April aż się cofnęła, by uniknąć zapachu, jaki mógł wydzielać.

- Czy ma pani potwierdzenia dokonywania przeglądów technicznych? - zapytał, siadając na trzeszczącym metalowym krześle.

- O jakie potwierdzenie panu chodzi? - zapytała April potrząsając głową. Simenson otworzył teczkę z dokumentami i mozolnie przerzucał strony.

- Cóż... patrzę na wszystko, co pani ma, ale brak tu ustawienia hamulców, wymiany oleju, regulacji...

- Robiłam na bieżąco, wszystko co trzeba.

- Ale czy może pani tego dowieść?

Poczuła, że krew zaczyna w niej wrzeć. Mogła się założyć, że ta para starszych ludzi nie musiała udowadniać niczego?

Odpowiedź April zabrała wiele czasu.

- Nie, nie mogę.

Głowa Simensona kiwała się, kiedy tłustymi palcami przeprowadzał obliczenia na kalkulatorze. Próbowwała je odczytać, ale pochylił się tak, że zasłonił jej widok. Kiedy sięgnął po katalog cen April powiedziała:

- Zanim tu przyszłam, zajrzałam do katalogu w bibliotece. Według niego ten samochód jest wart ponad pięć tysięcy.

- Nie zamierzam tyle zapłacić. Rozumie pani, muszę mieć zysk - roześmiał się Simenson.

Oczy April zwięziły się.

- A więc ile?

Nie odpowiadał od razu, jeszcze coś przeliczając. W końcu spojrzął na nią i uśmiechnął się pod nosem.

- Mogę dać pani tysiąc siedemset pięćdziesiąt.

April opadła szczęka.

- Tysiąc siedemset pięćdziesiąt?! Co to jest? Zaliczka?

Simenson sapnął, co miało być chyba grzecznościowym uśmiechem, po czym wzruszył ramionami.

- Jak powiedziałem, muszę mieć zysk.

- Ależ ja tak dbałam o ten samochód! Jest w świetnym stanie!

- Przebieg jest zbyt wysoki, a lakier zaczyna blaknąć. Za samochód w takim stanie nie może pani dostać najwyższej ceny.

- Ale tysiąc siedemset pięćdziesiąt? Musi pan dać więcej!

Simenson uniósł ręce w pozornym geście poddania się.

- Dziś nie mogę, proszę pani. I z pewnością nie jestem w tym mieście jedynym człowiekiem handlującym używanymi samochodami. Niech pani spróbuje sama go sprzedać. W ten sposób może pani otrzymać wyższą cenę.

April rzuciła wściekle spojrzenie. Coś w twarzy Simensona doprowadzało ją na skraj wytrzymałości. Jakby wiedział coś, o czym ona nie wiedziała.

No oczywiście. Wyczuł jej desperację, a więc jej słabość i łatwy łup.

- Chyba, że są pani szybko potrzebne pieniądze - dodał i po raz pierwszy uśmiechnął się szczerze.

10

Susan przebudziła się natychmiast, zeszytniała ze strachu. Usłyszała stuknięcie, a może trzaśnięcie drzwiami. Cokolwiek to było, zatrząsł się od tego cały dom.

- Bobby? - wyszeptała.

Chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko szept.

- Bobby, co się dzieje? - powtórzyła pytanie.

Wciąż nie mogła zawołać Bobby'ego. Spróbowała wstać, ale nie udało jej się to. Tkwiła w bujanym fotelu, jakby została przywiązana do niego niewidzialnymi sznurami. Zrozumiała, że to wszystko jest snem. Śmiała się z własnej głupoty, gdyby nie usłyszała kroków kogoś wchodzącego po schodach. Pod jego ciężarem trzeszczały stopnie.

Pomyślała, że czas się obudzić.

Ale nie mogła. A więc to był sen czy nie? Rozejrzała się dokoła. Chłopiec nadal spał w łóżeczku; wszystkie ozdoby na ścianie wyglądały dokładnie tak, jak powinny, a jednak jakby nagle powróciła noc. Światło księżyca tworzyło niesamowite cienie, które można zobaczyć tylko w filmach. To musiał być sen, w którym śpiąca osoba przekonuje samą siebie, że już nie śpi, chociaż w rzeczywistości jest inaczej.

Odgłosy kroków nie ustały. Ktoś szedł na górę, stawiając nogi tak wolno, jakby chciał celowo wzbudzić strach. Ktokolwiek wchodził na pierwsze piętro - ktokolwiek przywiązał ją do fotela - chciał ją śmiertelnie nastraszyć. Świetnie mu się udało.

Susan znów próbowała krzyknąć, żeby przerwać tę grozę, ale teraz z ust nie wydobył

się nawet szeptał.

O Boże... Och Bobby, Bobby, błagam, pomóż mi...

Kroki zatrzymały się nagle tuż przed drzwiami dzieciennego pokoju i Susan nagle odkryła, że posiada nadludzką zdolność powiększania obrazu gałki drzwi, tak jak w zbliżeniach kamery filmowej, co widziała wiele razy na filmach. I ta gałka zaczęła się obracać.

Gdyby był to film, drzwi skrzypnęłyby otwierając się. Jednak dom Martinów był jeszcze zbyt nowy, żeby drzwi miały skrzypieć. Wszystko tutaj było dziewicze, działało całkiem sprawnie. Tylko w paru miejscach w głównej łazience odpadał tynk, a pod prysznicem były szczeliny, których nie udało się uszczelnić fugą. Drzwi nie zaskrzypiały. A więc to się dzieje naprawdę?

O, Boże, Bobby, dlaczego cię tutaj nie ma?

Drzwi uchyliły się i zobaczyła stopy przybysza. Nosił robocze buty, które były pokryte błotem i krwią. Spod podwiniętych nogawek niebieskich dzinsów wystawały wystrzępione sznurowadła.

- Kim jesteś? - zdołała zapytać, ale jej gość nadal milczał.

Podszedł krok bliżej. Trzymał coś w dłoniach, jakby składając rytualną ofiarę. Susan bezskutecznie próbowała zobaczyć, co to takiego. Widziała tylko silne palce i brud tkwiący pod paznokciami.

Mężczyzna podszedł bliżej i wtedy rozpoznała jego flanelową koszulę i kurtkę. W kurtce były dziury, z których sączyła się krew. W ciemnościach dzieciennego pokoju zabarwiała niebieską kurtkę na czarno.

Przeszył ją dreszcz i chciała krzyknąć, ale powstrzymała się.

Wtedy właśnie zauważyła krew zakrzepłą na zębach przybysza i dziurę na czubku głowy.

Ja tego nie zrobiłam. To Bobby. To jego szukasz.

Jednak martwy mężczyzna potrząsnął głową. Nie przyszedł tutaj, żeby się zemścić. Chciał ubić interes. Przyniósł prezent w zamian za coś, co ona posiadała.

Wiedziała, co to jest. Wiedziała instynktownie i nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Wyteżyła siły, walcząc z niewidzialnymi mocami, które trzymały ją unieruchomioną w fotelu. Próbowała krzyknąć, zawołać na ratunek Bobby'ego. Bezskutecznie. Nie mogła powstrzymać tego, co było nieuniknione; w końcu opuściła wzrok na ręce martwego mężczyzny. Leżał na nich Steven. Na tle ogromnych dłoni wydawał się taki maluteńki. Z jego brzuszka wciąż wychodziła poskręcana pepowina. Nie chciała jeszcze raz przez to przechodzić. Cierpienie

było zbyt wielkie. Jej biedny dzidzius leżał bez życia na dłoniach przybysza.

I wtedy stópki dziecka poruszyły się gwałtownie i Susan zobaczyła, że maluch oddycha. Najśłodszy Jezu! Steven żył! Tylko dlaczego? Dlaczego ten demon sprowadził go z powrotem? Czego chciał?

Mały chłopiec znaleziony w lesie poruszył się w łóżeczku.

Ależ tak! On chciał dokonać wymiany. Noworodek za chłopca! Mogła po prostu oddać mu obce dziecko i mieć z powrotem swojego ukochanego Stevena. Ale co by się wtedy stało? Co stałoby się z tym małym chłopcem? Oczywiście wiedziała. Czy nie było jej wszystko jedno? Czy ta wymiana nie była tego warta?

Bóg świadkiem, że raniło to jej serce, kładąc się na nim potwornym ciężarem. Co miała zrobić? Jak można żądać, żeby podjęła taką decyzję?

Wtedy Steven ponownie się poruszył. Przeciągnął się, jakby się budził i ziewnął. Kiedy tak nie mógł się zdecydować, czy się obudzić, zmarszczył małe czołko. W końcu otworzył oczy. Były duże, brązowe, zupełnie jak oczy jego ojca. Kiedy na nią patrzył, zobaczyła w nich miłość. Widziała, że ją rozpoznał. Chciał z nią być. Chciał żyć.

Gdy otworzył usta, żeby coś jej powiedzieć, wielki skrzep krwi z głowy martwego mężczyzny wylądował dokładnie na nosku Stevena, zniekształcając jego rysy.

Nieeeee!

Tym razem krzyk przyszedł z łatwością. Jak syrena rozległ się w ciemnościach pokoju. Rósł i rósł, nabierał siły i wysokości, osiągając ton, jakiego nie słyszała nigdy wcześniej.

Postaci mężczyzny i dziecka rozplynęły się w tym hałasie, a razem z nimi odeszła ciemność. Więc mimo wszystko był to sen!

Ale te krzyki! Trwały dalej, szarpiąc jej nerwy i drażniąc uszy. To nie ona robiła ten hałas. To był ktoś inny.

Chłopiec!

Całkiem rozbudzona, poderwała się z krzesła. Z szeroko otwartymi oczyma rozglądała się po pokoju, czy ktoś nie robi dziecku krzywdy.

Bóg jeden wie, jak długo malec tkwił z głową pomiędzy szczebelkami łóżeczka. Próbując się uwolnić, zaciskał na nich mocno piąstki i gwałtownie kołysał ciałem w przód i w tył. Jego ciemne oczy były ogromne, tak jak wcześniej we śnie, ale w świetle dnia strach, który z nich wyzierał, wyglądał na jeszcze bardziej rozpaczliwy.

Susan w sekundę była przy nim. Wyjęła go i mocno przytuliła. To nie była dziecięca histeria ani złość. Nigdy nie widziała nikogo w takim stanie, a już na pewno nie dziecko. Z

początku walczył z nią, usiłując uwolnić się z jej objęć, ale potem chyba ją rozpoznał i w końcu pozwolił się przytulić. Na szyi czuła jego rozplakaną twarz. Strach już go chyba opuszczał. Malec starał się zapanować nad płaczem. Przy każdym wdechu aż się krztusił, by powstrzymać łkanie.

- Ciii... cicho... cicho... - uspokajała go, gładząc brudną, zmierzwioną grzywkę, za długą przynajmniej o pięć centymetrów. - Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Nic jednak nie było dobrze. Susan skrzywiła się wypowiadając to kłamstwo. Sprawy miały się tak samo źle jak przedtem. Chłopiec tyle wycierpiał, że nie wystarczyło go przytulić i dać dom, żeby o tym zapomniał. Ktoś skrzywdził to dziecko i wystraszył je bardziej niż Susan mogła pojąć. Nawet jeśli człowiek za to odpowiedzialny leżał teraz w lesie martwy, ten mały chłopiec będzie już zawsze nosić w sobie cierpienie.

Susan w milczeniu przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie okłamie tego bezradnego dziecka.

- Nie wiem, co ci się przydarzyło, kochanie, ale obiecuję, że nikt już cię nie skrzywdzi, dopóki ja tu będę. Jesteś tutaj bezpieczny, rozumiesz? Przynajmniej tyle mogę ci obiecać. Będziesz tutaj bezpieczny.

Kołysała go, kiedy raz za razem szeptała mu te słowa do ucha. Pomyślała, że być może nie liczyło się, co mówiła, najistotniejszy był ton jej głosu. Ten chłopiec potrzebował miłości bardziej niż zapewnień, których nie rozumiał. Kiedy odnosiła go z powrotem na fotel, wydawało się, że się uspokaja; jego oddech znów stał się równy. Nadal ciasno do niej przywierał, ale czuła, jak rozluźniają się jego mięśnie.

Po pięciu minutach już z ciekawością rozglądał się po pokoju. Z jego twarzy zniknął niepokój, ale nie wyrażała ona ani szczęścia, ani smutku.

Dopiero teraz Susan poczuła, jak malec cuchnie. Nie była pewna, czy zwykła kąpiel wystarczy. Być może najlepsza byłaby łaźnia parowa. Pot, mocz i zabrudzona pieluszka wydawały woń tak silną, że aż zapierało dech.

- A co powiesz na to, żebyśmy cię umyli? - zapytała, ale jej słowa wywołały gwałtowny protest.

- Nie! - krzyknął malec. Wygiął plecy w łuk, wysliznął się z jej objęć i zeskoczył na podłogę.

Taka reakcja przestraszyła ją. Była jednak zadowolona, że w końcu usłyszała jego głos.

- Ale ty śmierdzisz, mój mały przyjacielu. Musimy cię wykapać.

Chłopiec zatupał nogami i potrząsnął głową.

- Nie!

- Nie zrobię ci nic złego.

- Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie! - upierał się chłopiec i ruszył w kierunku drzwi.

Tak szybko znalazł się przy drzwiach i przekręcił gałkę, że Susan nawet nie zdążyła unieść się z krzesła.

- Zaczekaj! - krzyknęła, ale jej głos jakby dodał mu skrzydeł. Co zrobiła nie tak? Co takiego powiedziała, że go wystraszyła? Nim dotarła do drzwi, był już w połowie schodów. Leżąc na brzuchu, ześlizgiwał się po stopniach. Był wolny i nie miał zamiaru dać się znów złapać.

- Przepraszam! - krzyknęła za nim. - Wracaj!

I wtedy dostrzegła wyraz jego twarzy. Malował się na niej nie strach, ale uśmiech. W jednej sekundzie pojęła, że jest to część jakiegoś ustalonego od dawna rytuału. On nie bał się kąpieli, tylko tak się bawił.

- Wracaj tutaj, mały śmierdziuchu! - zawołała.

Roześmiała się i szybko zbiegła po szerokich schodach, mając nadzieję, że zdąży go złapać. Nie było to możliwe. Chłopiec zniknął gdzieś w domu. Susan skręciła za róg, do salonu. W ostatniej chwili zobaczyła szybki jak strzała cień, przesuający się po podłodze biblioteki Bobby'ego. Usłyszała dźwięk kółeczek toczących się po drewnianej podłodze i zobaczyła, jak porusza się krzesło przy biurku. Tam się ukrył!

Susan weszła do biblioteki, ale celowo patrzyła w stronę kuchni.

- Gdzie może być ten mały chłopiec? - zapytała, rozglądając się po pokoju. - Ciekawa jestem, czy jest tutaj? Odegrała przedstawienie, zaglądając za biblioteczkę, za zasłony i za drzwi. Sprawdziła nawet pod dywanikiem. Wszędzie, tylko nie pod biurkiem. - A miałam nadzieję, że znajdziemy czystą pieluszkę, a potem umyjemy buzię. I może zjemy sobie parę ciasteczek? Ach, jaka szkoda.

Przez chwilę stała nieruchomo, patrząc przez wysokie, sięgające od podłogi do sufitu przeszklone drzwi biblioteki. Za nią poruszyło się krzesło. Usłyszała, że chłopiec je przesuwa i wstaje.

- Pewno sama będę musiała zjeść te ciasteczka.

Kiedy usłyszała dziecięcy śmiech, obróciła się i złapała się obiema rękami za głowę. Chłopiec patrzył na nią zza biurka. Jego wielkie jasne oczy lśniły.

- A więc tu jesteś! - zawołała, a chłopiec podbiegł do niej w podskokach. - Ty mały śmierdziuszk, naprawdę nie mogłam cię znaleźć.

Znów zachichotał i przyłożył obie pięści do ust, co było u niego oznaką wielkiej

radości.

- Chciałbyś ciasteczko?

Dalej przyciskając piąstki do buzi skinał głową.

- Pozwolisz, żebym cię wykapała?

Znów przytaknął.

- Dobrze. No to chodź ze mną.

Susan obróciła się w stronę kuchni i wyciągnęła rękę. Mały przyskoczył do niej i bez wahania chwycił ją za palec. Susan poczuła falę ciepła, jakby ktoś wewnątrz jej ciała włączył światło. Jej oczy napęłniły się łzami. Dotarła do niego. Ten mały chłopiec, który jeszcze kilka godzin temu był tak przestraszony i samotny, teraz jej ufał.

Kiedy wyprowadziła malca przez boczne drzwi biblioteki, a potem przeszli krótkim korytarzem do kuchni, pokazała, jak poruszał się Charli Chaplin. Na ten widok chłopiec ponownie się zaśmiał. Wtedy zdała sobie sprawę, że nie mogłaby żyć bez tego śmiechu.

Zabrała chłopca do spiżarni - wielkiej wnęki z półkami, pełnymi makaronów, puszek z zupą. Wiedziała jednak, że gdzieś tutaj znajduje się paczka wafli waniliowych - całe pudełko, jeśli to prawda, że Bobby chciał zrzucić parę kilogramów.

- Wiem, że są gdzieś tutaj - powiedziała chłopcu, szperając po półkach.

W końcu wyciągnęła wafle zza lukrowanych płatków, z których Bobby nie chciał zrezygnować. Rzeczywiście - pudełko wafli było nietknięte.

- Lubisz takie ciasteczka?

Spojrzenie, które posłał w odpowiedzi, powiedziało jej, że lubi wszystkie ciastka. Widoczny na jego twarzy niepokój sprawił, że się roześmiała.

- Dobrze, więc otworzymy to pudełko.

Trzy wafle, które dała chłopcu, zniknęły w ciągu paru sekund. Poczęstowała go trzema kolejnymi.

- Na razie tyle - oświadczyła w końcu. - Nikt nie je więcej niż sześć ciastek naraz.

Uśmiechnęła się na myśl, że powiedziała to jak matka do swego dziecka.

Dopiero kiedy kładła pudełko na blacie kuchni, zauważyła kartkę, zapisaną trudnym do odczytania pismem Bobby'ego.

Kochanie,

nie mogłem spać i nie mogłem usiedzieć na miejscu. Zdecydowałem więc, że wyjdę z domu i kupię parę rzeczy. Wrócę około południa.

Kocham Cię B.

A więc poszedł na zakupy! Susan sądziła, że pobiegł dokądś, żeby zebrać myśli - zawsze walczył ze stresem w taki sposób. Była zadowolona, że dobrze wykorzystuje czas.

- Dobra, panie Śmierzące Gatki. Czas, żebyś się doprowadził do porządku - zapowiedziała chłopcu.

Obawiała się, że znów może zacząć uciekać, ale on zamierzał przestrzegać umowy. Poszedł pierwszy z powrotem po schodach na górę. Kiedy gramolił się na pierwsze piętro i potem do pokoju dzieciennego, podpierał się obiema rękami. Czy on dopiero niedawno nie nauczył się chodzić?

Szła kilka kroków za nim i musiała przyspieszyć, kiedy zniknął w pokoju dzieciennym. Stał tam oko w oko z wypchanym tygrysem, którego ktoś z biura Bobby'ego kupił w prezencie dla Stevena i dał im na przyjęciu. Była to pluszowa zabawka - prawdopodobnie tak droga, że Susan wolałaby nie znać ceny. Wyglądała jak skrzyżowanie tygrysa z opakowań płatków śniadaniowych, które jadał Bobby, i Tygryśka z *Kubusia Puchatka*. Najważniejsze było jednak to, że mały, brudny chłopiec ze śmierdzącą pieluszką zakochał się w nim.

- Podoba ci się ten tygrys? - zapytała.

Chłopiec odwrócił głowę i szeroko się do niej uśmiechnął.

- Możesz go przytulić, jeśli chcesz - roześmiała się Susan.

Chłopiec zareagował natychmiast, obejmując zabawkę obiema ramionami. Jego uśmiech sięgał od ucha do ucha.

- Jaki miły tygrys, prawda, kochanie?

Chłopiec skinął głową.

- Czy chciałbyś go zatrzymać?

Chłopiec przytaknął jeszcze bardziej entuzjastycznie, jeśli w ogóle to było możliwe.

- Doskonale, a więc jest twój.

Na widok jego szczerzej radości znów napłynęły jej łzy do oczu.

- A teraz już pora cię umyć.

Tym razem, kiedy zmierzali z pokoju do łazienki, pierwsza szła Susan.

- Najpierw pieluszka - powiedziała i chłopiec od razu wiedział, co robić. Nie wypuszczając z rąk tygrysa, położył się na plecach na małym dywaniku naprzeciw wielkiego lustra, by można było zmienić mu pieluszkę. Susan wyrzuciła brudnego pampersa. Potem napuściła do umywalki gorącej wody. W ciepłej wodzie zmoczyła myjkę i wyżeła ją prawie do sucha.

Dzięki chłopcu doprowadzenie go do porządku było prostsze, niż się spodziewała. Wiedział, kiedy unieść pupkę i kiedy ją opuścić, a Susan podążała za jego ruchami.

Potem zaczęła napszczać wodę do kąpieli. Dziesięć razy sprawdzała temperaturę wody, zanim udało się jej wyregulować ją na letnią.

- Może wejdiesz do wanny?

Chłopiec zawahał się przez chwilę. Nie wiedział, co zrobić z tygrysem. W końcu delikatnie położył zabawkę na podłodze, chwycił się mocno rękami krawędzi wanny i wstawił do wody najpierw jedną, potem drugą nogę.

- Nie za gorąca?

Żadnej odpowiedzi.

- Za zimna?

Cisza.

Czy coś było nie w porządku? Dlaczego przestał się odzywać?

Namydliła myjkę i delikatnie wyszorowała go do czysta, cicho nucąc. Na każde jego spojrzenie odpowiadała uśmiechem.

Starła się dotykać go delikatnie i łagodnie. Omijała wielki purpurowy siniak nad jego lewym barkiem - niewątpliwie pamiątka po zderzeniu z drzewem. Zmartwiła się, znajdując przypadkiem jeszcze jedno bolesne miejsce.

- Zrobiłeś sobie kuku? Boli cię? - wypytywała.

Prawdę mówiąc, nie oczekiwała odpowiedzi. Wydawało się jej, że łagodnie przemawiając do chłopca uspokaja go.

Co wiedziała o tym chłopcu? Wyglądał na zupełnie zdrowego, jeśli nie liczyć tego siniaka, i na dobrze odżywionego. Z całą pewnością nie przypominał tych głodujących dzieci, które pokazywano w telewizji z prośbą o wsparcie. Kiedy myślała mu pupę, nie bronił się, a więc chyba nie padł ofiarą pedofila.

Przyszło jej do głowy, że w dzisiejszych czasach, kiedy ludzie są tak przewrażliwieni na punkcie seksualnego wykorzystywania dzieci, kąpanie chłopca bez zezwolenia jego rodziców stanowi przestępstwo. Natychmiast jej puls dwukrotnie przyspieszył. Przed oczami przemknęła jej lista przepisów, które złamali w ciągu paru ostatnich godzin. Zakręciło się jej w głowie i poczuła ucisk w sercu.

Boże! Pójdę do więzienia!

Ale co zrobili złego? Przecież uratowali to dziecko.

I zabili człowieka.

A co innego mieli zrobić? Nie mogła zostawić tego dziecka samego w lesie. Zamarzłoby na śmierć. I tak malec miał szczęście, że nie zagryzło go jakieś zwierzę. I na pewno nie mogła pozostawić go w rękach tego strasznego mężczyzny z zakrwawionymi

zębami.

To były głupie i niszczące ją myśli. Wiedziała o tym. Odepchnęła je i spróbowała skoncentrować się na potrzebach małego chłopca, którego Bóg zesłał w odpowiedzi na jej modlitwy.

- Odchyl głowę do tyłu, kochanie - poprosiła.

Chłopiec zrobił to w tej samej chwili, gdy skierowała strumień wody na jego długie włosy, a potem wtarła w nie trochę szamponu. Zamknął oczy, a kiedy nadszedł czas, żeby splukać pianę, znów położył się na plecach.

Kiedy skończyli, wyjęła go z wanny i owinęła chłopca i tygrysa grubym zielonym ręcznikiem. Potem wzięła ich na kolana i delikatnie rozczesywała splątane włosy malca. Uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała tak pięknego dziecka. Po zmyciu warstwy brudu jego oczy stały się jeszcze większe. Wyglądał na tak zadowolonego, że jej serce mocniej zabiło.

- Czy już jesteś gotów, kochanie, żeby ze mną porozmawiać? - zapytała, robiąc na koniec równy przedziałek w jego ciemnobrązowej grzywce.

Wydawało się, że nawet jej nie usłyszał.

- Jak masz na imię? Musisz mieć jakieś. Każdy ma imię.

Połąskotała go i chłopiec roześmiał się, ale dalej nie odzywał się ani słowem.

- Dobrze. A więc ja dam ci imię, co ty na to? Szczególne imię. Będziemy nazywać cię Steven. Steven Martin. Będziesz moim synem. A do mnie możesz mówić „mamo”.

11

April miała wrażenie, że torebka zawieszona na ramieniu parzy ją. Wydawało się jej, że każdy w autobusie i na ulicy wie, że w środku jest zwitek gotówki. Te pieniądze błyszcząły jak wielki neon, przyzywały w tej nędznej okolicy każdego, kto nawet przez chwilę nie zawahałby się jej zabić dla siedemnastu dolarów, nie mówiąc o siedemnastu setkach.

Wiedziała, że powinna była wytargować więcej. Należało z oburzeniem odrzucić ofertę sprzedawcy samochodów. Jutro, kiedy jej syn wróci, i znów wszystko będzie dobrze, niewątpliwie będzie sobie robić wyrzuty, że jest taką oferentką. Ale teraz potrzebowała tysiąca dolarów, by Justin ani minuty dłużej nie musiał już znosić strachu, bólu i nieszczęścia. Mając już pieniądze na jego uwolnienie, modliła się, żeby któryś z ulicznych zbirów nie wyrwał jej

torebki. Musiała je oddać jednemu z nich, ale nie przypadkowo napotkanemu.

Kierowca autobusu spojrział na nią dziwnie, kiedy szła do drzwi, jakby chciał ją zapytać, czy wie, w jakiej okolicy wysiada. Zanim po trzech niskich stopniach zeszła do piekła, podziękowała mu lekkim skinieniem głowy. Strach chwycił ją za serce, kiedy autobus odjechał od krawężnika, odcinając ją od jedynej drogi ucieczki. Uspokoila się widząc, że ulica jest wyjątkowo pusta. Kogoś obcego mógłby zmylić pozorny spokój tego miejsca, ale April spędziła tutaj dość czasu, by wiedzieć, że w tej okolicy ruch w interesach zaczynał się w nocy.

Jak to jest, że cały świat wie, gdzie mieszka Patrick Logan i z czego żyje, ale policja nigdy nie może go przyłapać? Jak to jest, że burmistrz, rada miasta i te wszystkie gnoje, które co cztery lata wygłaszają mowy o sile pomocy sąsiedzkiej i bezpieczeństwie dzieci, nigdy nie zjawia się tutaj, żeby zobaczyć, co się naprawdę dzieje? Dopóki narkotyki, AIDS i zużyte prezerwatywy walające się po ulicach były problemem mieszkańców dzielnicy, władze w ogóle się tym nie interesowały. Gdy w kontenerach znajdowano zwłoki bardziej szacownych obywateli miasta, napędzana przez media akcja specjalna trwała najwyżej tydzień. Do dwóch tygodni przeciągnęła się tylko raz, gdy okazało się, że zwłoki należą do asystenta burmistrza.

April ruszyła w dół Siódmej Alei. Po chwili zatrzymała się, żeby sprawdzić, czy obrała właściwy kierunek. Jak to możliwe, że okolica wyglądała jeszcze gorzej niż cztery lata temu, kiedy ją opuszczała? Gangi oznaczyły każdy metr powierzchni, od wspaniałych kiedyś, wykładanych piaskowcem ścian budynków, po opuszczone metalowe kraty, którymi zamknięto je przed bezdomnymi, szukającymi schronienia w zimie. Była to strefa działań wojennych, gdzie nic nie ocalało ze zniszczenia. Ulice zaśmiecało potłuczone szkło, z przepełnionych koszy wysypywały się odpadki. Wszystko przenikał ich ciężki, słodkawy odór.

Już sam fakt, że tu była, wywołał lawinę wspomnień, o których chciała zapomnieć. Z powodu narkotyków, które kierowały jej życiem w tamtych dniach, te wspomnienia były raczej związane z doznaniem ciała niż z obrazami. Pamiętała przede wszystkim nieustanny lęk i bezlitosne zimno. Żyła wtedy na kolanach. Tańczyła we wszystkich klubach ze striptizem, które ciągnęły się wzdłuż ulicy. Nigdy jednak nie uległa żądaniom Patricka Logana, żeby dołączyć do grupy jego kurewek.

To był jedyny powód do dumy w tamtych strasznych czasach.

Po drugiej stronie ulicy trzech punków w markowych džinsach i obszernych zimowych kurtkach rozmawiało przy schodach prowadzących do budynku, który rzucał się w oczy tym, że nie był pokryty graffiti, a w jego oknach nie było wszechobecnych tutaj krat. To

był dom Patricka Logana. Wyróżniał się też tym, że trójka punków była jego ochroniarzami, którzy pod kurtkami ukrywali siłę ognia większą niż komando „Foki”. Kiedy April podeszła do nich, zagrodzili jej drogę. Wydawali się autentycznie zaskoczeni, kiedy zatrzymała się i zwróciła do nich.

- Muszę mówić z Loganem - powiedziała, przechodząc od razu do rzeczy. Jej serce waliło jak młotem; tysiąc uderzeń na minutę. Ale wiedziała, że jeśli ma mieć jakiegokolwiek szanse na sukces, to lepiej nie okazywać strachu.

Dwa zbiry stojące po bokach zwróciły się w kierunku najwyższego.

- Tak? - odezwał się środkowy i jakby jeszcze urósł. - Sądzę, że pan Logan dziś nie przyjmuje gości.

Oficjalny ton wywołał chichot dwóch pozostałych.

- Powiedz mu tylko, że tutaj jestem. Nazywam się April Simpson i mam dla niego pieniądze.

Na to zbir z lewej ożywił się i podszedł pół kroku.

- A ile?

April ani drgnęła.

- Tyle, ile jestem mu winna, co do centa - odpowiedziała.

Zbir ze środka wyciągnął rękę.

- Możesz dać je mnie. Zapewniam cię, że to dostanie.

Tym razem April się roześmiała. Był to sztuczny śmiech, ale osiągnęła swój cel.

- Nie wydaje mi się.

- Nie ufasz mi?

April zorientowała się, że to trudny moment. Zawsze to wyczuwała. Ten facet, który z nią rozmawiał, był tutaj szefem i ani on, ani ona nie mogli pozwolić sobie na to, żeby stracił twarz w obecności swoich podwładnych.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Ricky - odpowiedział, a potem rozejrzał się zdziwiony, że w ogóle się odezwał.

- Zrozum, Ricky, nie chcę z tego robić wielkiego problemu. Jestem pewna, że twój szef nie byłby zachwycony, że omawiam jego interesy na ulicy. Wyświadczy mi więc przysługę i powiedz mu, że April Simpson jest tutaj, żeby oddać mu pieniądze. Ale chce też omówić zwrot czegoś w zamian.

Przeszył ją lodowaty dreszcz, kiedy usłyszała, że mówi o Justinie jak o martwym przedmiocie.

Ricky rozważał to przez długą chwilę, w końcu skinął głową. Wspiął się na szczyt

betonowych schodów i zniknął za masywnymi drzwiami. Teraz zobaczyła, że w istocie są wykonane ze stali. Dwie minuty później drzwi znów się otworzyły i Ricky skinął na nią, by podeszła.

Kiedy wchodziła na górę, Ricky warknął:

- Przez cały czas będę obok. Zrobisz fałszywy ruch, a zabiję, rozumiesz?

Zimno jego głosu zaparło jej dech w piersiach. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko skinęła głową. Ricky przepuścił ją, a potem szybko wszedł za nią. Logan czekał na nich w holu. Miał na sobie kapcie i szlafrok. Pił przez słomkę ze szklanki sok pomarańczowy. Prawie tak szeroki jak wysoki, Logan łączył w sobie wszystkie najgorsze cechy irlandzkich przodków. Przy innym świetle jego rude włosy mogły wyglądać na fioletowe, a wielka, okrągła głowa łączyła się z barkami, pozornie bez pośrednictwa szyi. Obrazu dopełniał bulwiasty czerwony nos, jeszcze bardziej purpurowy niż rdzawa cera, pokryta istną mapą drogową naczyń krwionośnych, które wskazywały na jego upodobanie do irlandzkiej whiskey.

Oczy Logana zwęziły się, kiedy weszła do holu, a potem rozszerzyły, gdy rozpoznał jej twarz.

- April! - wykrzyknął, jakby spotykał się ze starym przyjacielem. - Mój Boże, nigdy nie myślałem, że jeszcze cię zobaczę.

April poczuła się zakłopotana. Nic nie odpowiedziała.

Logan nagle przypomniał sobie o manierach i odsunął się na bok, zapraszając ją do środka. Nie poruszyła się. Już w drzwiach poczuła, że za bardzo przypomina jej to wchodzenie do gniazda pająka. Zamiast tego sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła szarą kopertę wypchaną gotówką. Odliczyła dziesięć setek.

- Oto twoje pieniądze.

Logan wyglądał na zaskoczonego.

- Przyszłaś tutaj, żeby coś kupić? - zapytał.

- Przyszłam, żeby spłacić dług mojego męża.

Logan rzucił szybkie spojrzenie Rickowi, a ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- A kto jest twoim mężem?

Ciśnienie krwi skoczyło jej o osiemdziesiąt kresk, na twarzy poczuła uderzenie gorąca. Mój Boże, on nawet tego nie wie.

- To ten mężczyzna, któremu twoje bandziory ukradły mojego syna.

Logan jakby zaczynał coś rozumieć.

- Nie jestem pewien, o czym mówisz - powiedział ostrożnie.

- Porywasz tak wiele dzieci, że nie możesz ich zliczyć?

Przestraszyła się własnych słów, ale trzymała się mocno. Nie wyjdzie stąd, zanim nie spełni swojej misji.

Wzrok Logana stwardniał.

- Uważaj, April. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

- O niczym nie zapominam, ty Świnio. Chcę z powrotem mojego syna. Gdzie on jest?

Logan zarechotał i rzucił szybkie spojrzenie na Rickiego.

- Powiedzmy, że mam twoje dziecko. Czy myślisz, że zabrałbym je bez należytego powodu?

- Nie ma czegoś takiego jak należyty powód - wypluła April. - Twoje interesy z moim mężem nie mają nic wspólnego z moim synem.

Irlandczyk przechylił głowę na bok.

- Ani też z tobą, a jednak tu jesteś. Czy twój mąż tak się mnie boi, że przysłała żonkę, żeby załatwiła sprawę za niego?

- Chcę odzyskać dziecko.

Logan przez długą chwilę patrzył jej w oczy, potem wyciągnął ręce po pieniądze. Ich palce spotkały się, kiedy przekazała mu stosik banknotów. Z trudem powstrzymała się przed wytarciem ręki.

Przeliczył banknoty i zmarszczył brwi.

- Tu jest tylko tysiąc dolarów - powiedział.

- Tyle, ile był ci dłużny.

Logan znów się roześmiał.

- Mój Boże, April, za kogo ty właściwie wysłaś za mąż? On mi ukradł ponad osiemnaście stów. Doliczając sensowny procent wychodzi przeszło dwadzieścia dwie setki. Plus kolejny tysiąc dolarów na koszty.

April poczuła, jak krew odpływa jej z głowy. Oparła się o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Żaden z mężczyzn nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby jej pomóc.

- Koszty - wydyszała. - Jakie to koszty, kiedy matce zabiera się małego chłopca?

- Z pewnością nie sądzisz, że sam mógłbym się zajmować taką kłopotliwą sprawą? - zadzwiał Logan. - Wynająłem do tego utalentowanego człowieka.

Utalentowanego człowieka! Jezu! On mówił o tym okrucieństwie tak, jakby to był jakiś legalny biznes. Czy nie rozumiał, że Justin był wszystkim, co miała na świecie? Był jej synem!

Nagle cała chęć do walki znikła i ugięły się pod nią nogi.

- Proszę cię - błagała. - Chcę tylko odzyskać mojego małego chłopca. Mojego małego Justina.

Logan wręczył banknoty Rickiemu, który wepchnął je do kieszeni kurtki. Potem przykląkł obok April i delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

- Będiesz go mieć, jeśli zaraz przyniesiesz jeszcze dwadzieścia dwie stówy; a dwadzieścia siedem jutro o tej porze.

Jego dotyk sprawił, że zadrzała z obrzydzenia odepchnęła jego rękę.

- Nie dotykaj mnie - warknęła.

Logan usunął się i wstał.

- Uspokój się - Jak możesz to robić?

- Jak mogę to robić? Twój mąż obrabowuje mnie z pieniędzy, a ty pytasz mnie, jak mogę to zrobić? Pozwoliłem temu głupiemu skurwysynowi żyć, prawda? Kochanie, chcę tylko swoich pieniędzy. I widzisz? Dostałem już pierwszą ratę, a więc ta metoda się sprawdza.

- Ricky, weź jej torebkę - rzucił do swojego kumpla.

April nie próbowała się opierać, kiedy wielki ochroniarz zerwał jej torebkę z ramienia.

Logan wziął ją od niego i otworzył.

- A co z tą resztą, która jest w środku? Czy to też dla mnie? Co my tu mamy?

Logan szybko przeliczył banknoty, zaginając je w rogach jak karty przy tasowaniu. - Siedemset pięćdziesiąt dolców. Widzisz April? Jeszcze tylko dwa patyki i będziemy w domu.

Nie mogła już tego znieść. Strach i gniew, który wzbierał gdzieś bardzo głęboko w jej duszy, wylał się zdławionym łkaniem.

- Nie mogę zebrać takich pieniędzy! Sprzedałam już samochód! Nic mi nie zostało.

Na znak Logana Ricky pochylił się i podniósł April za ramię. Wstała nie opierając się. Cała jej wola walki odeszła.

- Spójrz na mnie, April - powiedział spokojnie Logan.

Uniosła oczy i napotkała jego wzrok. Na jej twarzy, jeszcze niedawno palącej gniewem, teraz był już tylko smutek.

- Musisz je znaleźć - oznajmił Logan i dał jej prztyczka w brodę. - Obrabuj bank, jeśli nie ma innego sposobu; nie obchodzi mnie to. Ale musisz szybko zdobyć pieniądze, bo utrzymam dzieciaka przy życiu tylko przez tydzień. Rozumiesz? Tydzień. Siedem dni, licząc od ubiegłej nocy.

Logan uśmiechnął się, a ona odwróciła wzrok.

- April, czy ten twój chujek wspomniał, co się stanie, jeśli pójdziecie na policję?

Spuściła wzrok, ale Logan uniósł jej podbródek.

- Odpowiedz.

April skinęła głową. Wiedziała, że nawet gdyby spróbowała coś powiedzieć, głos odmówi jej posłuszeństwa.

- Nigdy nie zobaczysz nawet ciała swego gówniarza. Wiedz o tym, na pewno nigdy, przenigdy go nie zobaczysz.

12

- Niczego nie dotykaj - kolejny raz nakazał Russel strażnikowi George'owi.

Czy to rzeczywiście tak trudno było pojąć?

- Tylko sobie patrzę - odpowiedział strażnik i pochylił się jeszcze niżej.

Russel posłał Sarah spojrzenie, które natychmiast zrozumiała.

- George - rzekła. - Powinieneś wrócić na dół, na szlak, i dopilnować, żeby nikt nie zabłądził?

George odszedł z miną skrzywdzonego dziecka, któremu zabroniono zabawy.

- Dzięki - powiedział Russel i uśmiechnął się do Sarah. - Jesteś dobrą dyplomatką. - Miał dobre chęci.

- Wszyscy je mają. Dlatego tak źle się czuję strzelając do nich, kiedy wchodzą mi w drogę - roześmiał się z własnego żartu, żeby upewnić Sarah, że nie mówi poważnie.

- Przepraszam panią, ale pani również powinna opuścić to miejsce - niespodziewanie oświadczył Tim, opierając zaciśnięte dłonie o biodra i przybierając agresywną postawę.

Spojrzenie, jakim Russel obdarzył asystenta, powinno było wbić go w ziemię, ale Tim utrzymał się na nogach.

- Wiesz co, Tim? - powiedział. - Właściwie ty też powinieneś zejść na dół, na szlak. Będziesz sprawował funkcję mojego łącznika ze strażnikiem Georgiem.

Tim wyglądał tak, jakby został spoliczkowany.

- Russel, wiesz, że mam rację. To nie jest miejsce dla niej.

- Jestem pewien, że zamieścisz tę uwagę w swoich notatkach. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, o co cię poprosiłem...

- Wyślij ją - Tim ruchem głowy wskazał Sarah.

- Wysyłam ciebie.

Mógł wymyślić jakieś wytłumaczenie albo usprawiedliwić decyzję, ale nie miał ochoty. Oczywiście obecność Sarah na miejscu przestępstwa była niezgodna z zasadami prowadzenia śledztwa, ale asystent oficera kierującego operacją musiał wykonywać jego polecenia.

Zanim Tim zostawił ich samych, zdążyli jeszcze zobaczyć, jak zalewa go po uszy purpurowy rumieniec. Sarah wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

- Panie Coates, naprawdę nie chciałam...

- Nie przejmuj się tym. Nie zrobiłaś nic niewłaściwego. Jesteś tutaj dlatego, że cię zaprosiłem.

Sarah wyglądała na zmieszaną.

- Niezbyt go lubisz, prawda?

- Nie znoszę sukinsyna. Jest bezczelny, arogancki. A powinien trzymać gębę na kłódkę, żeby czegoś się nauczyć.

- No cóż, nie każdy może być taki nieśmiały i skłonny do kompromisów, jak ty - Znów się uśmiechnęła. - Nie jesteś tak sztywny, oficjalny, jak większość znanych mi agentów federalnych.

- Znacznie złagodniałem, kiedy stałem się dorosły.

Tym razem roześmiała się głośno, a Russel był zadowolony, że w końcu zburzył dzielący ich mur.

- Lubisz bywać nieprzewidywalny?

- Już sam nie wiem, co wolę - wzruszył ramionami. - Za długo już grzebię się w tym gównie. Takie pęta jak agent Burrows to przyszłość FBI.

- Wydaje się, że jest bardzo zaangażowany.

- O tak, poświęcenie i oddanie służbie to jego ulubiona piosenka - roześmiał się Russel. - Tylko nie należy zapominać, czemu tak się poświęca.

- O co mu chodzi?

- O zrobienie kariery. Główny cel tego tysiąclecia: za wszelką cenę zrobić karierę.

- Wydaje mi się, że słyszę rozgoryczenie w twoim głosie - Sarah pokręciła głową.

- Mówię jedynie o faktach. To pragmatyzm.

Russel nie czuł potrzeby głębszych wywodów. Odwrócił się od Sarah i skupił uwagę na ich najświeższym odkryciu.

Zwolnił Combsów, gdy tylko wskazali lokalizację ich obozowiska z ostatniej nocy. Było oczywiste, że nic nie wiedzieli. Zresztą, gdyby okazało się, że trzeba zadać im jeszcze jakieś pytania, miał ich adres i numer telefonu.

Russel, Tim, Sarah i George rozeszli się po lesie, szukając czegoś, co mogłoby wyjaśnić odgłosy, o których opowiadali Combsowie. Po półgodzinnych poszukiwaniach odkryli coś niezwykłego.

Russel podszedł do dziury o nieregularnym, prostokątnym obrysie. Mierzyła półtora na trzy metry i była na dwa metry głęboka. Z obu jej końców piętrzyły się wysoko sterty ziemi, a wewnątrz wyglądała tak, jakby ktoś usiłował przystosować ją do zamieszkania, wykładając ściany pniakami o przekroju kilkunastu centymetrów. Dopóki tego miejsca nie obejrzą policyjni technicy, mógł tylko stać i gapić się.

Sarah dołączyła do niego.

- Czy to grób? - zapytała.

- Możliwe - odpowiedział Russel, choć wcale tak nie myślał. Jeśli ktoś chce pogrzebać zwłoki, to po prostu kopie dół. Drewno, którym wyłożono ściany, świadczyło o daleko gorszej możliwości.

Sarah pochyliła się mocno do przodu, opierając ręce o kolana i w tej pozycji próbowała lepiej przyjrzeć się dnu jamy, na którym leżało kilkadziesiąt małych słoików.

- Czy to jedzenie dla dzieci?

- Na to mi właśnie wygląda - przytaknął Russel.

- Zakopali tu słoiki zjedzeniem dla dzieci?

- Nie, obawiam się, że zakopali tu żywcem swoją ofiarę.

Sarah westchnęła i wyprostowała się gwałtownie, jakby chciała uciec od przerażającej myśli o tym, co tu się wydarzyło.

- Jednak to jedzenie dla dzieci oznacza pewien zwrot w naszym myśleniu - kontynuował Russel. - Taka ilość żywności pozwoliłaby na utrzymanie dziecka przy życiu przez tydzień albo i dwa.

- Ale kto by tu trzymał dziecko? I po co?

- To są bardzo istotne pytania - uśmiechnął się Russel. - Kiedy na nie odpowiemy, będziemy już mieli mordercę.

Kiedy wyjaśniał Sarah te wszystkie rzeczy, pomyślał o Timie. Poczł wyrzuty sumienia. Nic nie usprawiedliwiałoby takiego traktowania kolegi. Wiedział, że pewnego dnia, kiedy role się odwrócą, powinien liczyć się z mściwym rewanżem. Należało odesłać Sarah do jej zajęć z chwilą, kiedy zrozumiał, że odkryli nowe miejsce przestępstwa, ale, szczerze mówiąc, cieszyło go jej towarzystwo. Mógł się też przy niej trochę popisać. Później, kiedy Tim narobi wokół tej sprawy smrodu, powie, że Sarah była oficjalnym przedstawicielem Służby Parków Narodowych i mogła wnieść sporo do tej sprawy.

- Bardzo uważaj, gdzie chodzisz i czego dotykasz - ostrzegł na wszelki wypadek Russel.

Ostrożnie obszedł dziurę dookoła, mając nadzieję, że w jakiś sposób naprowadzi go to na ukryte ślady w miejscu przestępstwa. Wydało mu się, że po drugiej stronie, powyżej skraju jamy, rozpoznaje odciski takiego wzoru podeszwy jakie odkryli przy zwłokach. Rozstrzygną to analitycy kryminalni, ale Russel już wiedział swoje, jak też to, że klucz do rozwiązania tej sprawy kryje się w połączeniu obu miejsc przestępstwa.

A także, dlaczego na jego biurko nie dotarła nawet wzmianka o zaginionym policjancie? Ta sprawa bardzo go niepokoiła. To prawda, parę dni go nie było, ale Tim na pewno zwróciłby uwagę na taką informację. Zwłaszcza że każde przestępstwo, którego ofiarą padał policjant, natychmiast powodowało całą lawinę plotek. Stawało się tematem rozmów przy kawie w każdym pokoju, w którym ktoś nosił policyjną odznakę. A teraz panowała cisza. Interesujące.

Miejsce przestępstwa przemawia do tych śledczych, którzy mają ochotę wysłuchać jego słów, ale okłamuje ludzi, którzy ignorują fakty niezgodne z ich teoriami. Problem braku raportu o zaginionym funkcjonariuszu był dla Russela wielkim znakiem zapytania.

Znów podszedł do dołu. Dlaczego, nie zastrzelili swojego więźnia na miejscu, kiedy zaczął uciekać? To, że pozwolili mu uciec, było kompletnie niezrozumiałe.

Pomyślał, że może w istocie nigdy mu na to nie pozwolili.

Nie, to niemożliwe. Odciski butów jasno wskazywały, że ofiara obeszła jamę wokół i skierowała się na górę. Russel nie potrafił określić, czy zanim mężczyzna zginął, minęły minuty, czy też godziny, ale było jasne, że stanął na górze.

- Wyglądasz na zakłopotanego - zauważyła Sarah.

Skinął głową.

- Próbuję wyobrazić sobie całe zdarzenie. Załóżmy, że zostałeś porwana.

- Lepiej nie.

- Tylko teoretycznie. Zostałeś tu zabrana i zauważasz, co zamierzają z tobą zrobić, więc wpadasz w panikę. To ma sens, prawda? Co wtedy? Przecież nie prosisz, żeby po prostu pozwolili ci wpełznąć do własnego grobu. Będziesz walczyć do upadłego.

- Słusznie.

- A gdzie są ślady walki?

Sarah bez przekonania rozejrzała się dookoła.

- No więc nie ma żadnych takich śladów - odpowiedział za nią Russel.

- Przynajmniej niczego nie zauważyłem. Więc może zamiast walczyć, po prostu byś

uciekła? Tylko dlaczego ci faceci nie zastrzelili cię tam, gdzie stałaś?

- Może chybili?

- Może. Poszukamy tutaj śladu strzałów, ale z pewnością byłaby to pierwsza rzecz, o której powiedzieliby Gary i Mandy. Tak czy inaczej wpadasz do lasu ścigana przez porywaczy. Dlaczego giniesz kilometr dalej, w dole zbocza?

- Pewnie ludzie w namiocie czekali na niego.

Russel skinął głową. Części łamigłówek zaczęły do siebie pasować.

- Dobrze, więc wpadasz na tych ludzi, którzy w jakiś sposób uczestniczą w spisku, a oni cię zabijają i... - w głowie Russela zabrzączał ostrzegawczy dzwonek. - Nie! To bez sensu. Pamiętasz, miał poparzoną twarz. Najpierw walczyli ze sobą.

- Poparzoną? - zapytała z przerażeniem.

- Nie widziałaś ciała. Zapomniałem o tym. Miał na twarzy blizny, które wyglądały na oparzenia.

- To straszne - Sarah wzdrygnęła się.

- Tak, ale skąd się wzięły te poparzenia?

Dla Sarah to było jasne.

- Nie wiem, ale na przykład gotujesz jajka, a tu nagle z lasu wybiega ten facet. Przestraszony sięgasz po pierwszą rzecz, jaka wpadła ci w ręce.

- Dobrze, ale to znaczy, że oni nie należeli do spisku. Kto gotowałby wodę w trakcie porwania?

- Czyli nie byli w to zamieszani.

- Dopóki go nie zastrzelili.

Russel przetarł oczy wnętrzem dłoni i poczuł, że zbliża się do rozwiązania zagadki. Ma dość informacji, żeby złożyć wszystko w całość.

- Panie Coates?

Uniósł do góry rękę, prosząc o ciszę. Ich ofiara - ten Thomas Stipton z Pittsburga - przyszedł do obozu w jakimś celu. Szukał pomocy? Jeśli tak, to dlaczego obozowicze go zastrzelili? Jeśli zaś obozujący brali udział w tym spisku, to po co do nich przyszedł? A kiedy już go zabili, dlaczego nie pochowali ciała?

Tutaj nikt nie postępował logicznie. Oznaczało to, że Russel zabrnął w ślepą uliczkę. Miał wszystko, czego potrzebował, ale nie był dość bystry, żeby to dostrzec.

I w końcu objawiła mu się nowa myśl, w pełni ukształtowana. Kiedy powtórnie spojrzał na Sarah, wszystko nagle nabrało sensu.

- Podchodziliśmy do tego z niewłaściwej strony - oświadczył. - Zakładaliśmy, że

nieżyjący policjant był dobrym człowiekiem, a zabójca złym. Przypuśćmy jednak, że grób przeznaczono dla naszych obozowiczów.

Oczy Sarah rozszerzyły się, gdy pojęła, jakie wnioski można wyciągnąć z takiego przypuszczenia.

- Tak więc ofiara bierze udział w przygotowaniach do tego, co ma się tutaj wydarzyć, potem podkrada się do naszych znajomych w dole wzgórza i wtedy rozpętuje się piekło. Walcząc, oblewają policjanta wrzątkiem, w końcu napastnik ginie - kontynuował Russel.

- A co z krzykami?

- Z krzykami? - powtórzył.

Dopiero teraz przypomniał sobie o tym. To te krzyki przywiodły ich tutaj, dlatego stąd zaczęli.

- O, cholera! Nie wydaje mi się, żeby krzyki można było usłyszeć z takiej odległości, nawet w nocy.

- Chyba nie - zaproponowała Sarah.

- Cholera!

A więc jeden poważny szczegół nadal nie pasował. Nie znaczyło to jednak, że całą teorię trzeba wyrzucić do kosza. Może tamci ludzie pokłócili się ze sobą. Mogły istnieć tysiące wytłumaczeń. Nagle Russel doszedł do wniosku, że to ofiara była czarnym charakterem. Może to jakaś sprawa związana z gangami i narkotykami? Jeśli tak, to szkoda, że w ogóle ktoś z takiej walki uszedł cało.

Najbardziej spodobała mu się myśl, że biwakujący ludzie byli Bogu ducha winni. Odtworzył w myślach całe wydarzenie. Młoda para jest zajęta własnymi sprawami. Nagle z lasu wynurza się facet z bronią, grożąc porwaniem któregoś z nich. Wtedy jeden z biwakujących chlusnął wrzątkiem i wywiązała się walka. Potem udało mu się wyrwać pistolet napastnikowi i wystrzelić.

To tłumaczy także, dlaczego kule weszły pod takim kątem.

Tak, to jest odpowiedź. Biwakujący zabili w obronie własnej. Potem uciekli. Ale dlaczego? Co takiego musieli ukryć? Teraz, kiedy już znalazł punkt zaczepienia, doprowadzi do wyjaśnienia całej tajemnicy.

Russel lubił patrzeć, jak tajemnica sama się odsłania. Teraz wystarczyło tylko nie wchodzić w drogę technikom policyjnym i porozmawiać z obozowiczami z listy Sarah. Mógł się założyć, że do południa dnia jutrzejszego zamknie sprawę.

Hałas na szlaku wskazywał na to, że jego zespół jest już w drodze.

13

Samuel siedział na starym traktorze w stodole, z ręką na rozruszniku. Przez podwójne, chylące się wrota gapił się na dom, od którego dzieliło go sto metrów niekoszonej trawy. Miał dużo do zrobienia w gospodarstwie i zamierzał od razu zabrać się do pracy; nie potrafił jednak pojąć, dlaczego poszło im tak źle. Nie mógł przyzwycząić się do faktu, że obok nie było Jacoba, który zawsze nim kierował. A im więcej o tym myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z tego, ile pozostawało do zrobienia.

Czasami, kiedy rozmyślał o rzeczach, które musiał robić, i o tych, o których musiał pamiętać, puchła mu głowa. Nienawidził, kiedy Jacob nim komenderował, ale to komenderowanie przynajmniej nadawało jakiś kierunek jego myślom.

Teraz Jacob był martwy.

Pozostawienie go tak w lesie było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie Samuel w życiu zrobił. Każdy wie, że pozostawione zwłoki zjadają dzikie zwierzęta. Kiedy Samuel zamykał oczy, widział dzikie zwierzęta z filmów w telewizji, jak walczyły nad jego bratem. Te sceny sprawiały, że znów chciało mu się płakać.

Zostawił go tam i z tego powodu czuł się strasznie. Po prostu strasznie. I będzie tak każdego dnia przez resztę życia. Ale cóż innego mógł wtedy zrobić? Jacob zawsze podkreślał dobitnie, żeby nigdy, przenigdy nie dotykać martwego ciała. Tylko w rękawiczkach. A on nie miał ich wtedy przy sobie. Brat powtarzał mu tysiące razy, że ilekroć dotyka ciała, pozostawia na nim odrobinę samego siebie, a przez to może skończyć na krześle elektrycznym.

Samuel nie zrozumiał, jak to dokładnie działa, ale wiedział, że na krześle elektrycznym można spalić człowieka i cholernie nie chciał, żeby tak się z nim stało, ponieważ kogoś dotknął, nawet jeśli byłby to jego jedyny brat. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiałby na krześle, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Najważniejsze, że Jacob bardzo się o to martwił.

Kto powie mu teraz, o co trzeba się martwić? Samuel nie miał do tego głowy. Omal nie zapomniał wyłączyć alarmu przeciw włamaniowemu, zanim wszedł frontowymi drzwiami. Tylko pomyśleć, co by się wtedy mogło stać! O alarmie w żadnym wypadku nie wolno było zapominać.

Przestań się martwić, ty babo - usłyszał i aż podskoczył.

- Jacob, czy to ty?

Jednak nie usłyszał odpowiedzi.

- No, Jacob, takie kawały wcale nie są śmieszne. Pokaż się! Bezpiecznie doprowadziłeś do domu ciężarówkę, prawda?

Czyj to był głos? Tak jak wtedy w lesie coraz trudniej było to stwierdzić. Być może jesteś babą ale przynajmniej dojechałeś ciężarówką do domu. Ktoś rozgarnięty na tyle, żeby to zrobić, potrafi też zająć się domowymi obowiązkami.

- Miałem szczęście, Jacob. Po prostu głupie szczęście. Nie wiedziałem, co robię.

Ale zrobiłeś to. I to też się liczy. Poradzisz sobie.

- Zostawiłem cię w lesie, zjedzą cię zwierzęta - odpowiedział.

Kiedy mówił głośno, czuł się głupio. Wiedział, że Jacoba tutaj nie ma - na miłość Boską widział zwłoki! Dlaczego brat z nim rozmawiał? Rozbolała go od tego głowa.

A jaki miałeś wybór? Powiedziałem ci, żebyś mnie nie dotykał. Powiedziałem, żebyś nie dotykał nikogo, prawda?

Samuel poczuł, że wargi zaczynają mu drżeć i już wiedział, co będzie później.

Przestań się mazgaić, ty babo. Bądź mężczyzną. Teraz, kiedy odszedłem, musisz być mężczyzną.

- Odszedłeś, ponieważ cię zabiłem.

W zasadzie to prawda. Zabiłeś mnie, Samuelu, ale to samo zrobiły te wścibskie cioty w lesie. To mężczyzna przy ognisku pociągnął za spust, a nie ty.

- Ale ja patrzyłem na to.

Zrobiłeś tak, jak ci kazałem. Wiesz, że zawsze lubiłem, kiedy robiłeś, co powiedziałem.

- Czyli zrobiłem dobrze?

Postąpiłeś dobrze, Samuelu. Postąpiłeś naprawdę dobrze. No, ale czy nie masz teraz do wykonania pewnych obowiązków?

Jak zawsze Jacob miał rację pod każdym względem. Samuel przecież miał dużo pracy. I przecież bezpiecznie przyprowadził z powrotem ciężarówkę. Zupełnie sam. Nie została nawet draśnięta. Wiadomo, nie każdy by to potrafił. Nie, nie, na pewno nie każdy. Pięćdziesiąt pięć minut jazdy bez draśnięcia. Trzeba coś w sobie mieć, żeby samemu doprowadzić ciężarówkę do domu. Siedział już od dłuższego czasu w stodole, z dłonią nad rozrusznikiem, i kiedy w końcu ruszył ręką poczuł, że zeszywniały mu ramiona. Nacisnął sprzęgło i przekręcił kluczyk. Przez parę sekund wydawało się, że akumulator nie przetrzymał zimy, ale w końcu iskra przeskoczyła i silnik kaszłąc ożył. Tak wyglądało to co roku od dwudziestu kilku lat przy pierwszym koszeniu trawy w sezonie, od kiedy zajmował się tym

Samuel. Przez parę minut wielki stary silnik pracował ciężko, jakby ktoś nasypał do środka żwiru. Z wysokiego komina, który jak drzewo wyrastał z osłony silnika, strzeliły kłęby czarnego dymu i napełniły całą stodołę zapachem źle spalanej mieszanki.

Co roku, kiedy Samuel uruchamiał silnik, Jacob też był tutaj i odstawiał całe przedstawienie. Kaszłał, zatykał sobie usta i nos z powodu tego zapachu i przysięgał, że któregoś dnia wsadzi kulę w tę bestię. W istocie Samuel nawet trochę lubił ten zapach i wiedział, że Jacob z tą kulą tylko żartuje. Nigdy nie strzeliłby przecież do starego przyjaciela, którym był ich traktor. Nawet Jacob nie strzeliłby do starego przyjaciela.

Zerkając przez ramię, Samuel upewnił się, że kosiarka wciąż jest zaczepiona (kto miałby ją odczepić w przeciągu ostatnich piętnastu minut?), delikatnie wrzucił pierwszy bieg i uniósł stopę ze sprzęgła. Wielki John Deere ruszył do przodu gładko jak po maśle. Samuel zmusił się do skoncentrowania na widoku bezpośrednio przed sobą. Przeprowadzenie wielkiej maszyny przez wrota stodoły to była najtrudniejsza część zadania. Z każdej strony pozostawał niecały metr i należało być bardzo ostrożnym, żeby całkiem nie ściągnąć dużych, drewnianych wrót z zawiasów. Raz tak zrobił, dawno temu, i nie chciałby nigdy tego powtórnie. Już wiele lat temu przekonał się, że jeśli spojrzy w którąś stronę podczas przeciskania się traktorem przez wąskie przejście, uderzy dokładnie w to miejsce. Jedyne sposoby, żeby jechać prosto, to patrzeć na wprost.

Kiedy wydostał się na słońce, znów zatrzymał maszynę. Według jakiego systemu powinien dzisiaj kosić? I gdzie zacząć? Z lewej strony, na szczycie pagórka znajdował się mały cmentarzyk. Od dziewięciu miesięcy niekoszona tam trawa sięgała już czubków próchniejących białych słupków. Same nagrobki były pewnie całkiem niewidoczne.

Pewnie tam powinien zacząć. Należy zejść z traktora i zaciągnąć kosiarkę na pagórek, a potem przeprowadzić traktor przez wąską furtkę i zacząć robotę od tego miejsca. Da w ten sposób tacie i mamie szansę, żeby znów zobaczyli świat wokół siebie.

Ale nie chciał tego robić. Nie lubił tam chodzić. Kiedy była tam tylko mama, lubił rozmawiać z nią o rzeczach, które zdarzyły się w ciągu dnia. Jednak od czasu, gdy pochowali tam tatę - pochował go tam on, Samuel (Jacob nie miał z tym nic wspólnego. „Dajmy sukinsyna rozdziobać ptakom” - powiedział wtedy) - nie lubił tam chodzić.

Ponadto nie był jeszcze gotów, żeby opowiedzieć im o tym, co przytrafiło się Jacobowi. Jego brat był zawsze ulubieńcem taty, który wkurzy się kiedy usłyszy, że Samuel przyczynił się do jego śmierci.

Cmentarz mógł zaczekać.

Zamiast tego Samuel zdecydował, że zajmie się dziesięcioma hektarami terenu, które

rozpościerały się dookoła. Nawet mając tak dużą kosiarkę potrzebował sześciu, siedmiu godzin. Musiał czymś zabić czas.

Kiedyś mieli nie dziesięć, ale przeszło czterdzieści hektarów i wypasali na nich bydło. Gdy już nie było stada, Jacob oznajmił, że praca na farmie jest dobra dla głupków i przyzwolił na to, żeby wszystko oprócz pól położonych najbliżej domu i stodoły poszło w diabły. Kiedyś na tych polach uprawiali kukurydzę, soję. Teraz leżały odłogiem.

Gdzieś w tym bałaganie stał stary kurnik o niskim dachu, z drucianymi klatkami i małymi drzwiami z siatki rozpiętej na drewnianej ramie. Czasem, zazwyczaj nocą, czuł dawny zapach tego miejsca. Śmiał się, przypominając sobie mamę goniącą po podwórku kury, które szaleńczo umykały w różne strony, usiłując uratować się przed trafieniem do garnka.

Samuel żywił dla kurczaków pewną sympatię, ale nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Być może było tak, jak kiedyś mawiał tata: że na całym bożym świecie tylko kurczaki są głupsze od niego. Jacob nienawidził gdaczących, cuchnących ptaków i chętnie ukrecał im łebki. Samuel nigdy nie mógł się zmusić, żeby na to patrzeć. Nie miał nic przeciwko ich zjadaniu, ale nie lubił patrzeć, jak umierają.

Nadawał im imiona, choć mama kazała mu przestać to robić. Uważała, że to straszne dawać imiona stworzeniom, które zamierza się zjeść. Samuel nie widział w tym nic złego. Przecież nie zaprzyjaźniał się z nimi.

Hej! Do roboty! Znów marnujesz czas!

- Tak, tak, tak... Już się za to zabieram - odpowiedział i przerzucił napęd na wał. Kiedy ostrza nabierały prędkości, kosiarka zatrzęsła się.

Samuel znał się na niektórych sprawach lepiej niż Jacob. Wcale nie marnował czasu. Planował koszenie. Koszenie było jego pracą i był w tym dobry; może nawet najlepszy. Lubił wycinać na otwartym terenie idealnie proste przekątne i wykańczać je „w kwiatek” perfekcyjnie symetrycznymi łukami w narożnikach, gdzie robił zwroty. Kiedy siedział wysoko, tak jak teraz, i ciągnął za sobą kosiarkę, godziny upływały mu jak jedna chwila. Nikt wówczas nie krzyczał na niego, nie popychał. Godziny spędzone na traktorze należały tylko i wyłącznie do niego. Nie było nic lepszego od koszenia.

Trzeba było lat, żeby zakończyć koszenie dokładnie w takim miejscu, z którego mógł wprowadzić traktor do stodoły bez cofania, bez niszczenia idealnego wzoru. Wiedział, że to głupie, ponieważ wzór ulegał zniszczeniu, kiedy tylko ktoś przeszedł przez trawnik, ale dla niego liczyło się właściwe wykonanie pracy. Czasami nawet chwycił spojrzenie Jacoba, który przyglądał mu się z uśmiechem na twarzy.

Jeszcze parę tygodni i wiosenna trawa stanie się intensywnie zielona, niebieskawa. Samuel nie mógł się tego doczekać. Uwielbiał wilgotną, świeżą woń dopiero co ściętej trawy.

A kto przygotowuje w tym roku świąteczne dania na Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia?

Poczuł, jak panika nabrzmiwa mu wewnątrz piersi, i szybko nabrał powietrza, a potem wstrzymał oddech, by odepchnąć strach tam, gdzie było jego miejsce.

Bardzo się przestraszył. Czasem potrafił pozbyć się strachu wstrzymując oddech, a czasem odmawiając modlitwę. Jednak ubiegłej nocy, kiedy Jacob bił się z tymi dwiema wścibskimi ciotami i wrzeszczał, żeby brat mu pomógł, żaden z tych sposobów nie odniósł skutku. Samuel nigdy jeszcze nie czuł takiego strachu. Był jak sparaliżowany. Powiedział sobie - a także Bogu i swojemu bratu - że nie poruszył się, bo tak mu kazał Jacob, ale to było kłamstwo. Po prostu zbyt się przestraszył.

To właśnie wtedy wyruszył w podróż.

Zawsze wyruszał w podróż, kiedy nie mógł czegoś zrozumieć. A to wszystko, co wydarzyło się w lesie - szarpanie się chłopca wewnątrz jutowego worka, jego krzyk, a wreszcie ucieczka - było nie do przyjęcia. Działo się zbyt szybko, żeby mógł nadążyć. W dodatku jeszcze Jacob wpadł w szal. Jak nigdy dotąd. Aż strach było na niego patrzeć.

Dlaczego zawsze musiał się bać? Dlaczego nie mógł być takim zuchem jak Jacob? O Boże.

Był cholerną babą, tak jak zawsze mówiono. A teraz Jacob nie żył. Boże Wszechmogący, co teraz zrobić? Tutaj, na tym ogromnym polu, gdzie nozdrza wypełniał mu zapach traw, próbował odnaleźć spokój, lecz ból go nie opuszczał. Czy to się kiedykolwiek zmieni? Poczuł wewnątrz falę gorąca, że aż zgiał się w pół na siodełku traktora.

Hej, babo. Załatwione. Koniec. Zacznij myśleć, Samuelu.

Ale jak miał to zrobić, kiedy czuł się tak bardzo, bardzo wystraszony?

Kazałem ci tam stać, a ty zrobiłeś, jak ci powiedziałem. Tym razem, Samuelu, to ja byłem głupkiem, nie ty. Ty robiłeś tylko to, co kazałem ci robić.

Ale gdybym wtedy nie zasnął, nic by się nie zdarzyło. Wciąż byłbyś tutaj.

To jest moja wina, Samuelu, nie twoja. Moja. I tych wścibskich ciot.

Och, te wścibskie cioty. Gdyby tylko zrobili to, czego chciał od nich Jacob. Gdyby tylko oddali im chłopca. Wtedy wszystko zakończyłoby się w taki sposób, w jaki miało się zakończyć. W taki sposób, w jaki zawsze kończyło się przedtem.

Kiedy ciągnął kosiarkę, wzdłuż linii ogrodzenia na drugim końcu posiadłości, przygnębienie zaczęło go opuszczać. To okropne gorąco w dole brzucha zaczęło się

zmniejszać, za to serce zaczęło mu mocno walić, a twarz wręcz płonęła. Zdał sobie sprawę, że wpada w złość - było to coś, co rzadko mu się przytrafiało i czego tata nigdy nie tolerował. Skupił się na tym wszystkim, co utracił. Teraz na zawsze już utkwiał tutaj na farmie. Sam. Nawet gdyby któregoś dnia się ożenił, to i tak będzie tkwił na tej farmie zupełnie sam. Nikt nigdy nie nauczy się tak idealnie kosić trawę, jak on, więc utknie tutaj na zawsze. Sam. Jak Robinson Crusoe, ale bez pomocy Piętaszka.

Właśnie, teraz i zawsze, i na wieki wieków amen.

Wszystko przez te wścibskie cioty! Zawrócił i skierował się z powrotem, w stronę domu. Co zrobiłby Jacob, gdyby ostatniej nocy sprawy potoczyły się inaczej. Co by zrobił, gdyby to Samuel wołał o pomoc, a te wścibskie cioty chciałyby go skrzywdzić? Mógł się założyć, że Jacob skoczyłby, żeby go ratować. A jeśli by jednak zginął? Dokładnie wiedział, co zrobiłby wówczas Jacob. Nie spocząłby, dopóki by się nie zemścił. Oko za oko - to było jedno z ulubionych powiedzeń Jacoba. Dowiedziałyby się, kim są te wścibskie cioty, wytropiłby je, żeby przytrzeć im nosa na resztę życia.

Nie stałbym sobie w lesie płacząc, smarkając i śliniąc się, to pewne.

- Zamknij się, Jacob.

Dziwna sprawa z tym gniewem. Kiedy już odkręci się ten kran gdzieś głęboko w człowieku i gniew zacznie tryskać, nie można go powstrzymać. Struga zamienia się w powódź, a kiedy próbuje się kran zakręcić, nic to nie daje. Równie dobrze można by było próbować nałożyć końcówkę na ogrodowego węża, który ma do końca otwarty zawór. Im bardziej się próbuje, tym gorsze są efekty, a gniew rozpryskuje się i ogarnia wszystko.

Tak właśnie miała się rzecz z Samuelem i wścibskimi ciotami. Gdyby tylko mógł się dowiedzieć, kim byli ci ludzie, a potem dostać ich w swoje ręce, to wyrównałby rachunki. O, tak!

Dam ci lekcję, której nie zapomnisz, ty głupi gnoju. Na dźwięk głosu, który odezwał się w jego głowie, zaparło mu dech. Już od lat nie słyszał taty i teraz serce stanęło mu na sekundę.

Co robił tutaj tata? Samuel nie zajechał na cmentarzyk głównie dlatego, żeby nie słyszeć jego głosu. Nie lubił o nim nawet myśleć, tak samo, jak nie myślał o diable ani o tej rzeczy, która czasami czekała na niego pod łóżkiem. Dawno temu nauczył się nie myśleć o rzeczach, które najbardziej go przerażały. Jeśli się o nich nie myśli, nie zjawiają się.

- Odejdź! - zawołał. - Nie żyjesz! Wynoś się!

Chciał, żeby zabrzmiało to tak, jak powiedziałby Jacob, ale słyszał drżenie własnego głosu. Nagle utonął w wirze zapomnianych głosów i wspomnień. Znów był małym chłopcem

i z powrotem znalazł się w kurniku.

- Nie, nie, nie tutaj. Tylko nie tutaj.

Tata miał właśnie dać mu lekcję.

To lekcja, której nawet taki głupi gówniarz jak ty nigdy nie zapomni.

Samuel wyciął już dla siebie różgę. Starał się, żeby była duża (gdyby wyciął za małą, tata użyłby styliska od siekiery). Kiedy odpiął szelki, jego kombinezon opadł na ziemię, a mała klamerka w kształcie klepsydry, przez którą szelki krzyżowały się na plecach, wylądowała w kurzej kupie.

„Nie bij mnie, to boli” - błagał.

Ale to miało boleć. Bardzo. Lekcje, których nigdy się nie zapomina, zawsze sprawiają ból.

*

To był chłodny dzień, taki, który sprawia, że człowiek trzęsie się, jeśli stoi bez ruchu zbyt długo, ale może też się spocić, jeśli biega. Mogło to więc dziać się wiosną lub wczesną jesienią. Mały Samuel oddychał ustami, żeby nie wdychać obrzydliwego fetoru kurczaków.

Wiesz, co masz robić chłopcze. Nie zmuszaj mnie, żebym ci to powiedział jeszcze raz. Znasz zasady musztry.

Musztra. Zawsze musztra i zawsze tam, razem z kurczakami.

Samuel rzeczywiście wiedział, co robić. Teraz przyszła kolej na majtki. Donaszał je po Jacobie i były na niego zbyt duże. Wystarczyło lekkie pociągnięcie, żeby opadły. W kurniku była półeczka, która biegła przez całą długość frontowej ściany, rodzaj parapetu przymocowanego drutem do zabrudzonych sosnowych ścian. I właśnie na nim Samuel położył ręce. Deski utrzymywały jego wagę - wszystkiego dwadzieścia pięć, może trzydzieści kilo - kiedy „przyjmował pozycję”. Przełożył palce przez sześciokątne oczka siatki i zacisnął je.

- Poła koszuli! - warknął tata i Samuel sięgnął do tyłu za siebie, żeby odsłonić pupę.

Patrzył w dół pomiędzy stopy, tam, gdzie noski jego pomarańczowych roboczych butów wystawały spod opadniętych spodni i majtek. Widział, jak duża, tłusta kura bada dziobem jego bieliznę. Miał kurę na oku, na wypadek, gdyby zdecydowała się spojrzeć w górę i dziobnąć jego małego robaczka, między nogami. Sama myśl o tym przeraziła go.

Tnąc powietrze różga gwizdnęła i ukąsiła skórę na plecach, jakby uządlili go wielki szerszeń. Nie słyszał odgłosu uderzenia, ale usłyszała je kura i pognała w poszukiwaniu schronienia.

- Raz, proszę pana - powiedział, z całych sił próbując nie okazać bólu. Żadnego

zaciskania zębów, żadnych jęków. To wszystko było częścią musztry.

Kątem oka zobaczył z prawej strony cień taty; kiedy podnosił ramię, cofał je i uderzał ponad głową, w słońcu późnego popołudnia był ze trzy razy większy niż normalnie. W cieniu różga była niewidoczna, ale gdy cień ramienia stał się rozmazaną plamą, znów gwizdnęła i uderzyła silniej niż poprzednio dokładnie w to samo miejsce.

- Dwa, proszę pana. O Boże, o Boże, jak to bolało! Chciało mu się płakać. Chciał krzyczeć tak głośno, ale wiedział, że jeśli to zrobi, różgę zastąpi pięść, która sięgnie twarzy. Potem, zamiast chodzić do szkoły, będzie musiał przez tydzień zostać w domu, dopóki nie zejdzie opuchlizna. Będzie tu spędzał każdy cholerny dzień.

Świst!

O tak, tym razem to słyszał. Tym razem usłyszał to cały świat. Kiedy różga uderzyła, zobaczył wszystkie gwiazdy, a błyskawica bólu przeszła ciało, sięgając do brzucha.

- Trzy, proszę pana - szepnął.

- Nie słyszę cię, chłopcze.

- Trzy, proszę pana! Powiedział to za głośno. O wiele za głośno. W oczekiwaniu na to, co musiało nastąpić, instynkt nakazywał mu zamknąć oczy, ale bał się, że gdyby to zrobił, mógłby wycisnąć parę łez i wtedy wszyscy by się dowiedzieli, jak wygląda musztra dla tych, którzy płaczą niczym baby.

Świst!

Cztery, proszę pana. - Tata zaczął się pocić. Nawet nie patrząc, Samuel dobrze o tym wiedział. Nie chciał patrzeć. Coraz silniej czuł odór przetrawionej whisky zmieszany ze smrodem kurzego gówna, potu i krwi, spływającej z pośladków.

Pięć, proszę pana.

Sześć, proszę pana.

Sześć to było dwa razy więcej niż zwykle, ale ledwo połowa tego, co miał otrzymać. Z palców zaciśniętych na drucie sączyły się kropelki krwi. Przez głowę przemknął mu obraz, w którym galwanizowane sześciokątne oczka siatki wrzynały mu się w ciało do kości. Do jego stóp wróciła kura, żeby jeszcze raz sobie na niego zerknąć. A może dziobnąć?

Nie słyszę cię!

Siedem! - wycharczał, tracąc już rachunek. Teraz już przy każdym uderzeniu w oczach zapalały mu się świece. Przy ostatnim, wszystko jedno, które to było, ugięły się pod nim nogi. Nigdy jeszcze tak nie upadł. Osuwał się na kolana powoli, świadomy tego, że za chwilę zemdleje. Wcale się nie bał. Cieszył się, że przez moment będzie nieprzytomny.

Kura znów uciekła. Może żeby złożyć kolejne jajko? Pomyślał, że dobrze by było,

gdyby skręcił sobie kark i raz na zawsze z tym skończył.

Usiłował wyciągnąć ręce przed siebie, ale nie chciały się ruszyć. Miał wrażenie, że są przywiązane do drutu. Kiedy upadał, obróciły nim tak, że nie wylądował na kolanach, lecz klapnął obitym tyłkiem w kupę kurzego gnoju.

Właśnie wtedy krzyknął. Nie mógł na to nic poradzić. Każda część jego ciała nagle zaczęła działać na własną rękę, nie słuchając mózgu, który mówił, że ma zacisnąć zęby i zachowywać się jak mężczyzna. To było coś więcej niż krzyk. Wylewało się z jego gardła z takim hałasem, że bolały go uszy. Usiłował to powstrzymać, ale cholerne gardło wcale go nie słuchało.

I wtedy, tak jak przewidywał, różgę zastąpiła pięść.

14

Bobby uznał, że wystrój biura firmy Donnelly, Wall i Bevis pasuje do jej działalności. Poczekalnia tej jednej z największych firm prawniczych chlubiła się wszystkim, co tylko mogły zaoferować miejscowe hipermarkety. Winył dostatecznie dobrze udawał skórę, a tablica z informacjami naśladowała mahoń na tyle dobrze, by każdy klient czuł, że opłata w wysokości stu czterdziestu dolarów za godzinę nie jest aż tak wygórowana, jak może się wydawać.

Kiedy po przejściu przez drzwi dotarł do recepcji, poczuł jeszcze większy ucisk serca, który nie ustępował przez cały dzień. Zamierzał porozmawiać z prawnikiem. O zastrzeleniu człowieka. Zdał sobie sprawę, że od tej chwili zrzeka się pełni praw do kierowania własnym życiem. Zamierzał podzielić się taką tajemnicą, o której ze wszech miar nikt na świecie nie powinien wiedzieć. Kiedy już ujawni ten sekret, nic nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Przywilej bycia klientem adwokata chronił go przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, ale trudno wyobrazić sobie, jaka będzie atmosfera następnym razem, kiedy spotkają się na lunchu albo będą czekać na przerwę na herbatę podczas kolejnego turnieju golfowego na imprezie dobroczynnej.

O, Bobby. Co słyhać w sprawie morderstwa?

Dzięki, w porządku. Wciąż mnie nie złapali.

Jezu! W co też on się wpakował?

Bobby wręczył wizytówkę recepcjonistce o nieładnej twarzy, która właśnie odkładała

słuchawkę.

- Chciałbym porozmawiać z... - zaczął.

Telefon znów się rozdzwonił i kobieta podniosła do góry palec, przerywając mu.

- Donnelly, Wall i Bevis, słucham? Chwileczkę, sprawdzę, czy jest w biurze - dorzuciła po kilku sekundach. Przycisnęła guzik, przełączając do kogoś rozmowę i dopiero wtedy spojrzała na Bobby'ego. Zauważył, że przygląda się jego posiniaczonemu oku, ale w swojej pracy miała już na tyle doświadczenia, że nic nie powiedziała.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z Barbarą Dettrick.

Coś w jego głosie zaalarmowało recepcjonistkę.

- Czy jest pan umówiony?

- Proszę jej powiedzieć, kim jestem i że to nagły wypadek..

Znów zadzwonił telefon, ale kiedy kobieta sięgała po słuchawkę, Bobby przytrzymał jej rękę.

- Proszę pani, to nagły wypadek.

Recepcjonistka wyglądała na zaskoczoną taką reakcją. Patrząc mu w twarz podniosła słuchawkę przy trzecim dzwonku.

- Donnelly, Wall i Bevis, proszę się nie rozłączać - powiedziała.

Tym razem wcisnęła trzy klawisze, po krótkiej przerwie obejrzała wizytówkę i rzekła.

- Mam tu pana Roberta Martina, który chce się zobaczyć z panią Dettrick. Mówi, że to nagły wypadek... Nie wiem... Dobrze, zaraz przekażę...

Znów spojrzała na Bobby'ego.

- Spotka się z panem za dziesięć minut - oznajmiła.

Bobby zajął trzeszczące krzesło, kryte sztuczną skórą. Był to pretensjonalny, niewygodny mebel. Kiedy jednak znajdzie się już w więzieniu, może go wspomni jako coś luksusowego.

Boże, pomóż mi.

Drzwi poczekalni otworzyły się i Barbara Dettrick weszła przywitać się ze swoim klientem.

- Przepraszam, Bobby, ale nie mogłam przerwać prowadzonej rozmowy.

Podeszła i wyciągnęła rękę. Była namiętym graczem w golfa i entuzjastką spędzania czasu na świeżym powietrzu, co zapewniało jej dobry humor.

- Miło cię widzieć - zaczęła. - Mój Boże, co ci się stało?!

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego sińca, ale uchylił się.

- Mogłabyś wyjść ze mną na chwilę?

- Wyjść z tobą? A dokąd idziesz? - spytała zmieszana.

Wziął ją pod prawe ramię i poprowadził w kierunku drzwi wejściowych.

- Wytlumaczę ci to w samochodzie. Ponieważ i tak wystawisz mi rachunek, czy sprawia ci to jakąś różnicę, gdzie będziemy rozmawiać?

Barbara wyglądała na zupełnie skonsternowaną, pozwoliła się zaprowadzić na parking i posadzić na przednim siedzeniu w explorerze Bobby'ego.

- Dokąd jedziemy?

Bobby usiadł za kierownicą i włączył silnik.

- Jedziemy na zakupy.

- Na zakupy? Bobby, co się dzieje?

Uśmiechnął się.

- Zrozum, zaciska mi się sznur wokół szyi. Daj mi mówić, a wszystko zrozumiesz.

- Sekretarka powiedziała mi, że to...

- Nagły wypadek. Tak właśnie jest. Muszę więc szybko zrobić zakupy, które wykorzystałem jako pretekst, żeby się tutaj wymknąć. Rozumiesz?

- Ani trochę.

Bobby zaczerpnął głęboko powietrza. Oczywiście, że nie rozumiała. On sam wszystkiego nie rozumiał. Nie znajdując właściwych słów powiedział wprost:

- Barbaro, mam poważne kłopoty. Złamałem prawo, ale jeszcze nie zostałem schwytany. Mówię jeszcze, bo to się wkrótce może zmienić.

Ściągnęła brwi.

- O czym mówisz? Prowadziłeś po pijanemu?

Odetchnął głęboko.

- Mówię o kidnappingu.

- O czym? Kidnapping? Żartujesz, prawda?!

Włączył się do ruchu i skierował w stronę Kmart Plaża.

- A także o morderstwie - dodał.

Zapadła taka cisza, że aż obrócił głowę, żeby sprawdzić, czy ona jeszcze jest obok.

- Jezu, Bobby!

Skinął głową. Dobrze to ujęła.

- Chcesz usłyszeć szczegóły?

- O, cholera! - powiedziała.

Było jasne, że to jej pierwsza w tym dniu sprawa o przestępstwo zagrożone najwyższym wymiarem kary. Wśród wszystkich ludzi na świecie, których Barbara Dettrick

mogła podejrzewać o to, że zobaczy ich w swoim gabinecie, nie było Bobby'ego Martina. Typowy konserwatysta, człowiek, który przechodził przez ulicę tylko na pasach. Ten sam Bobby Martin, który w college'u bez końca krytykował pazernych adwokatów i potępiał ją za to, że zamierzała dołączyć do nich.

Nie, nie chciała usłyszeć szczegółów, ale było jasne, że zaraz je pozna. Podała się temu, co było nieuniknione.

- Dobra. Mów.

- Obowiązuje cię tajemnica adwokacka, prawda?

Barbara skinęła głową.

- Nie martw się o to. Jesteś niewinny, prawda?

Spojrzał na nią bez słowa.

- O cholera!

- Nie jestem też winny - powiedział szybko i zaczął opowiadać o wydarzeniach z ostatniej nocy. Starał się jak mógł, żeby niczego nie opuścić, a kiedy zaczęły go ponosić emocje, Barbara uspokoiła go i zadała parę sondujących pytań.

- Nie wiem, gdzie popełniłem największy błąd - kończył Bobby - ale teraz mam dzieciaka w moim domu i nie wiem, co z nim zrobić. Jeśli zwrócę się z tym do policji, to przyznam się do morderstwa. Jeśli go zatrzymam... Cholera, wiemy, że nie mogę. Więc co mam robić?

Od kiedy znał Barbarę Dettrick, czyli od trzeciej klasy, zawsze nawijała sobie na palce włosy, co i teraz zaczęła robić, kiedy siedzieli w samochodzie na parkingu Kmartu, rozprawiając o sprawach życia i śmierci. Długo nic nie mówiła. W końcu, gdy się odezwała, Bobby'emu wydało się, że widzi w jej oczach cień przerażenia.

- Czy sądzisz, że facet, którego zastrzeliłeś, chciał ci zrobić krzywdę?

- Teraz, patrząc na to wstecz, nic już nie wiem.

- No to nie patrz wstecz - warknęła. - Czy bardzo się bałeś, że skrzywdzi ciebie lub Susan?

Bobby widział w telewizji dość programów z udziałem prawników, żeby wiedzieć, że jest na to tylko jedna dobra odpowiedź.

- Wtedy byłem tego absolutnie pewny. Kiedy usłyszał głos chłopca, coś się w nim zmieniło.

- A więc rzucił się pierwszy? - naciskała Barbara.

- No, rozumiesz... - Widząc irytację w jej oczach, Bobby przestał się wahać. - Tak - odpowiedział, prawie niedostrzegalnie przytakując ruchem głowy. - Tak, zdecydowanie to on

rzucił się pierwszy.

- Więc nie miałeś wyboru i musiałeś się bronić?

- Właśnie. - Bobby zaczynał to pojmować. - Gdy ruszył w moją stronę, sięgnąłem po szczapę.

- A jak myślisz, co by się stało, gdybyś nie odebrał mu broni i nie zabił go?

Bobby zastanowił się zanim odpowiedział.

- Zabiłby mnie. Zabiłby też Susan i dziecko.

Barbara skinęła głową zadowolona.

- To jest właśnie podstawa do udowodnienia, że dokonałeś zabójstwa w obronie koniecznej. Zakładam, że Susan była świadkiem tego wszystkiego?

Bobby przygarbił się.

- No... właśnie...

- Gdyby była świadkiem, bardzo by ci to pomogło. Nie byłoby dobrze, gdybyś tylko ty mógł przedstawić okoliczności śmierci gliniarza.

Bobby spojrzał jej w oczy, próbując dokładnie zrozumieć to, co chciała mu zasugerować.

- Pomówię z Susan - powiedział w końcu. - Zapytam ją, co widziała.

- Dobrze. Miejmy nadzieję, że widziała to samo, co ty.

Przez długi czas siedzieli w samochodzie, pogrążeni w myślach.

- Miałem kupić rzeczy dla dziecka i jeśli wkrótce nie wrócę, Susan zacznie się niepokoić - powiedział w końcu Bobby.

Barbara skinęła głową, ale zaraz się skrzywiła. Coś tu było nie w porządku.

- Powiedziałeś, że Susan nie wie, że tu jesteś.

Bobby skinął głową.

- Taak, właśnie to powiedziałem. Nie wie, że z tobą rozmawiam. Nie chcę, żeby wiedziała.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi usłyszała kolejne głębokie westchnienie.

- Ona... w pewien sposób przywiązała się do tego dziecka - wyszeptał.

- No cóż, dlaczego by nie? W tych okolicznościach...

- To nie jest tak, jak myślisz. Ona wierzy, że Bóg zesłał nam to dziecko, żebyśmy je wychowali jako własne.

- Nie rozumiem.

- W ciągu ostatnich kilku lat mieliśmy kilka poronień - wyjaśnił łagodnie. - Wiesz o

Stevenie. Wydawało się, że nigdy nie będziemy mogli mieć dzieci. To głównie dlatego byliśmy tam na wycieczce. Chcieliśmy uporządkować swoje myśli? Kiedy tak siedzieliśmy tam na skałach, odmówiliśmy wspólnie modlitwę. Odmówiliśmy wiele modlitw. Do cholery, wypowiedziałem nawet życzenie, kiedy spadała gwiazda. A więc modliliśmy się, płakaliśmy, a potem on się zjawił. Teraz Susan uważa, że to część odwiecznych boskich planów. Kto może powiedzieć, że tak nie jest?

Kiedy spojrzał na Barbarę, czekając co mu odpowie, patrzyła w bok, skręcając pasemko włosów.

Bobby ciągnął dalej:

- Muszę być z tobą szczery. Jeszcze ze dwanaście godzin temu sam się zastanawiałem, czy ona nie ma racji. Mówi się, że Bóg działa w tajemniczy sposób. Kto miałby stwierdzić, że to nie jest jedno z jego działań?

Barbara skinęła głową, przytłoczona tym wszystkim.

- Ale mówią też „uważaj, czego sobie życzysz”.

- Zakładam, że szukasz u mnie porady prawnej, czy tak?

- Oczywiście.

- Dobrze, a więc najpierw zajmijmy się sprawą morderstwa.

Bobby wzdrygnął się na te słowa.

- Przykro mi, ale właśnie w ten sposób zostanie określony twój czyn, kiedy odnajdą zwłoki. Od tej chwili policja zrobi wszystko, żeby zidentyfikować zabójcę. Będziesz więc zaprzeczał, że... - Coś w wyrazie twarzy Bobby'ego sprawiło, że urwała. - O co chodzi?

- Sądzę, że nie będzie trudno dowiedzieć się, kto zabił. Kiedy dziś rano rozładowywałem samochód, zauważyłem, że brakuje naszego pozwolenia na biwakowanie w parku. Prawdopodobnie zgubiłem je w nocy.

Oczy Barbary zrobiły się jeszcze większe.

- Co takiego?

Bobby nie potrafił na nią spojrzeć i przyznać się do skrajnej głupoty.

- Myślę, że zostało gdzieś na wzgórzu, na miejscu zabójstwa.

- O Boże! - westchnęła. - Jak to się stało?

Bobby zaśmiał się nerwowo.

- Jak to się stało? No cóż, przysięgam, że nie zostawiłem go tam celowo. Pewnie po prostu wypadło. Może podczas walki, nie wiem. To tylko kawałek papieru przyczepiony drucikiem.

- Ale jest na nim twoje nazwisko i adres?

- Właśnie.

- Boże, Bobby...

- Właśnie dlatego jestem tutaj, Barbaro. Powiedziałem ci, że to nagły wypadek. Teraz w każdej chwili może ktoś stanąć na progu mojego domu z kajdankami, a ja muszę wiedzieć, co robić.

Barbara nagle zbladła i w jej oczach pojawił się smutek.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Jednak jeszcze jest za wcześnie, żeby wpadać w panikę. Zanim ktoś odnajdzie ciało, zabierze to trochę czasu i może...

Teraz zbladł Bobby.

- Co takiego? - zapytała z niepokojem.

- Ja... dziś rano, wracając do domu zadzwoniłem na policję. Znaleźli zwłoki dawno temu. Może nawet zanim wróciliśmy.

- Czy ty zwariowałeś?

- Przepraszam. Na szczęście nie mam wielkiej praktyki w takich sprawach. Wiedziałem, że jeśli uciekniemy, przyznamy się do winy. Dlatego pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli sam o tym poinformuję. Wtedy, jeśli zostanę złapany, moja pozycja nie będzie tak słaba. Nie wiedziałem, że zostawiłem tam tę kartę z moim telefonem.

Barbara wyglądała na zaskoczoną, że ktoś, kto osiągnął w życiu liczące się sukcesy, mógł zrobić coś tak głupiego.

- Boże, Bobby, nie mam pojęcia... Poczekaj... Kiedy dzwoniłeś?

- Chyba około czwartej.

Spojrzała na zegarek.

- Dobrze, teraz jest parę minut po trzynastej. A więc jak to się stało, że jeszcze po ciebie nie przyszli?

Bobby wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Znaleźli zwłoki, mają nazwisko i adres człowieka, który tam obozował. Czy przyjdzie po ciebie i doprowadzenie na komisariat to tak trudna sprawa? Zwłaszcza, że ofiara to gliniarz.

- Więc twoim zdaniem...

- Moim zdaniem nie znaleźli twojej przepustki do parku - wyjaśniła z uśmiechem. - Może leży pod jakimś kamieniem, którego nie odwrócili, albo zgubiłeś ją gdzieś indziej. Jeśli tak, to nie mają na ciebie zbyt wiele.

- Dlaczego tak uważasz?

- Pomyśl tylko.

- A co im powiem, kiedy zaczną zadawać pytania?

Barbara odwinęła włosy z palca i spróbowała je wyprostować.

- Przemyślmy wszystko. Powiedziałeś, że wydarzyło się to w parku narodowym, prawda? Co oznacza, że sprawą zajęła się FBI. Cmoknęła i potrząsnęła głową. - To nie jest dobra wiadomość.

- Wspaniale.

- Okłamywanie czy nawet zwodzenie prowadzących śledztwo funkcjonariuszy federalnych, w przeciwieństwie do policji lokalnej, jest przestępstwem.

- To znaczy, że okłamywanie miejscowego czy stanowego policjanta jest w porządku?

- Niezupełnie, ale nie można za to posłać do więzienia. O ile nie jesteś związany przysięgą, możesz mówić właściwie wszystko, co chcesz, zwłaszcza, jeśli próbujesz ratować się w ten sposób. Oskarżyciele próbują niekiedy uznać takie kłamstewka za utrudnianie śledztwa, ale nie jest to regułą. Właśnie dlatego lokalni policjanci są tacy gburowaci. Po prostu zakładają, że każdy, z kim rozmawiają, jest kłamcą. Jednak z FBI musisz być bardziej ostrożny.

- Więc co im odpowiem, jeśli zapytają czy zabiłem tego człowieka?

Barbara myślała przez chwilę, w końcu westchnęła.

- Bobby, stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji. Za udzielanie klientowi porad, jak ma kogoś okłamać, mogłabym stracić uprawnienia zawodowe.

- A tak... hipotetycznie?

- Hipotetycznie... Mogłabym wszystko opowiedzieć i zafundować sobie pobyt w więzieniu, ale mogłabym spróbować wymyślić jakąś sensowną historyjkę, która by mi tego oszczędziła. Gdyby później odkryto, że to, co powiedziałam, nie było prawdą, to oczywiście musiałabym odbyć dodatkową karę. Taką, którą by dodano do wyroku śmierci.

Bobby poczuł się tak, jakby dostał nożem w brzuch. Jezu! Wyrok śmierci. Czy ta otchłań nie ma dna?

- To tylko tak hipotetycznie - zaczęła wycofywać się Barbara. - Ale gdybym była pewna, że faktycznie działałam w samoobronie... może nawet zdecydowałabym się o wszystkim opowiedzieć, zanim FBI pojawiłoby się przed moimi drzwiami.

Bobby nabrał powietrza i położył głowę na oparciu fotela. W głębi duszy czuł, że powinien wszystko opowiedzieć, dokładnie tak, jak się to zdarzyło. Wiedział o tym przez cały czas - od kiedy anonimowo zadzwonił na policję. I gdyby wszystko, co powiedział Barbarze, było w stu procentach prawdziwe, może łatwiej byłoby znaleźć odpowiedź.

Susan niczego nie widziała i Bobby miał absolutną pewność, że nie wytrzymaliby presji policji.

- Nie jestem pewny, czy potrafię to zrobić - powiedział w końcu. - Z powodów, o których zapewne nie chciałabyś się dowiedzieć.

Barbara uśmiechnęła się zrezygowana.

- Z powodów, o których zapewne już wiem, choć nie mówiłeś o nich.

- Więc kiedy federalni zapukają do moich drzwi, mam do ciebie zadzwonić?

- Kiedy tylko uznają, że jesteś podejrzany.

- Nie przyszliby, gdyby tak nie było.

- Kiedy uznają, że jesteś bardziej podejrzany, niż ktokolwiek inny, kto jechał przez park tej nocy.

Bobby nie był pewien, czego dokładnie oczekiwał, idąc na spotkanie z Barbarą, ale wiedział, że nie otrzymał tego. Być może pragnął uzyskać jakiś scenariusz postępowania, zestaw precyzyjnych odpowiedzi na każde pytanie, jakie zostanie mu postawione.

A może tylko szukał kogoś, kto by mu powiedział, że nie ma się czym martwić? Teraz zyskał pewność, że musi sam uporać się ze swoimi problemami. Rozbolała go głowa. Ból narastał od środka i zaskakująco szybko ją wypełnił.

- Barbaro, a co z dowodami? Z tymi wszystkimi rzeczami, które łączą mnie z obozowiskiem, takimi, jak namiot, resztki jedzenia, nasze ubrania. Co mam z tym zrobić?

Barbara popatrzyła na niego, jakby zwariował.

- Ależ Bobby! Masz w swoich rękach dziecko, do którego nie możecie rościć żadnych praw. Wydaje mi się, że namiot nie jest tu najważniejszy.

15

Mając metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, przy wadze siedemdziesięciu pięciu kilo, z idealnie białymi zębami i nieskazitelną oliwkową cerą, Carlos Ortega mógłby być gwiazdą kina. Gęste, lśniące czarne włosy nosił krótko obcięte i zaczesane do tyłu, a z jego twarzy nie schodził swobodny uśmiech biznesmena. Siedział cicho i uśmiechał się, patrząc, jak mała Christa sadowi się na krześle. Odkąd ostatni raz grali razem, w pokoju do ćwiczeń muzycznych nic się nie zmieniło. Jego dwunastoletnia córka była jednak perfekcjonistką. Pieczołowicie sprawdziła, czy pasek jej czarnej sukni znajduje się w

odpowiednim miejscu. Zrobiwszy to, wzięła wiolonczelę i uniosła smyczek. Była gotowa.

- Dobra - rzekł Carlos. - Poddam ci dwa takty partii basowej i wtedy wejdiesz.

- Wiem, tatusiu - westchnęła Christa, w charakterystyczny dla niej sposób przyglądając się przygotowaniu.

Carlos uśmiechnął się. Jego córka stawiała się tak poważna, kiedy miała grać. Miała talent, którym obdarowała ją chyba sama święta Cecylia, patronka muzyki.

Grając na fortepianie, Carlos trzymał na kolanach prawą rękę, lewą grając początkowe nuty *Kanonu* Pachelbela - utworu stanowiącego oprawę muzyczną każdego ślubu. Dumny był z Christy. Na koncercie dziś wieczorem zespół smyczkowy zagra ten utwór, a Christa w trzeciej części wykona partię solową. Teraz odbywa się próba generalna.

- Wsłuchaj się w swoją część, Christa. Nie pozwól, żeby altówki ściągały cię w dół. Niech się dostosują do ciebie. Wsłuchaj się w tę melodię, nie zwracaj uwagi na poszczególne nuty.

Muzyka rozkwitała pod jej smyczkiem, unosiła się i wypełniała pokój o szklanych ścianach. Spróbowała zagrać *vibrato*, ale ojciec natychmiast zaprotestował:

- Nigdy nie eksperymentuj podczas publicznego wykonania.

Christa uśmiechnęła się, jakby chciała dać do zrozumienia, że zrobiła to specjalnie, żeby go sprowokować. Carlos się roześmiał.

- W porządku, panno mądralińska, udało ci się. A teraz zagramy całość, bez przerwy.

Christa odpowiedziała skinieniem głowy i znów pogrążyła się w muzyce.

Z tyłu Carlos wyczuł ruch i obrócił głowę. Zobaczył stojącego w progu Jesusa Peñę; wyraz jego wiecznie rozgniewanej twarzy był teraz trochę mniej surowy niż zazwyczaj. Ten człowiek potrzebował w swoim życiu więcej muzyki. Po nawiązaniu kontaktu wzrokowego z szefem Peña wycofał się. Doskonale wiedział, jak bardzo jego szef lubi spędzać czas z Christą. Nie śmiał im przeszkadzać.

Kiedy skończyli grać, a dźwięki finału zabrzmiały idealnym akordem, ojciec i córka uśmiechnęli się.

- To było bardzo ładne - powiedziała Christa, mistrzyni niedopowiedzeń.

- To było piękne - poprawił ją ojciec i wstał od fortepianu.

- Nie będziemy już więcej ćwiczyć? - spytała. W jej głosie dało się wyczuć rozczarowanie.

- Dziś już nie. Wieczorem jest koncert - Carlos pogłaskał ją po włosach.

- Właśnie z powodu koncertu powinnam poćwiczyć więcej.

- Nie, musisz odpocząć. Nie wolno przedobrzyć. Grając w kółko ten utwór możesz

przestać go wyczuwać.

Christy to nie przekonało. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co dzieje się za plecami ojca, ale przy wejściu do pokoju było pusto.

- To *tío* Jesús, prawda? - zapytała. Rodzina Ortegów rzadko mówiła w domu po hiszpańsku, ale słowo *tío*, czyli wujek, przetrwało jako grzecznościowy zwrot używany przez Christę wobec Peñy. Nie był on wprawdzie spokrewniony z rodziną, ale zajmował ważne miejsce w życiu dziewczynki.

- Kwiatuszku, muszę coś zrobić.

- Ale to jest nasz czas. Sam to powiedziałeś.

Carlos pogłaskał córkę po twarzy.

- Był i jest. Niekiedy jednak przeszkadzają mi różne sprawy. Wiem, że to zrozumiesz. Idź teraz na górę i skończ odrabiać lekcje. Po koncercie mama i ja zamierzamy dokądś cię zabrać, żeby to uczcić. Nie chcę, żeby nasze plany zostały pokrzyżowane przez matematykę.

Christa próbowała jeszcze oponować, ale rozumiała dobrze, że interesy czasem przeszkadzają ojcu. Delikatnie odłożyła wiolonczelę, wstała, przytuliła się do taty i skierowała się do drzwi.

- *Tío* Jesús, już możesz wejść! - zawołała, zanim dotarła do progu.

- Carlos, bardzo mi przykro - powiedział Peña, wchodząc do pokoju.

Ortega machnął ręką i uśmiechnął się.

- Ona wszystko rozumie, jakby miała trzydzieści lat, a nie dwanaście.

Peña uśmiechnął się również. Na bardziej swobodne zachowanie wobec szefa nie pozwalał sobie.

- W czym problem, Jesús?

- Jakaś kobieta przysłała tutaj, żeby się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że zna cię od dawna. Jest bardzo zdenerwowana. Nazywa się April Simpson. Powiedziałem jej, że jesteś zajęty, ale nalegała. Wręcz błagała.

- Nie znam żadnej April Simpson.

- Mówi, że kiedyś nazywała się April Fitzgerald.

Carlos pochylił głowę na bok. Co u diabła mogło tutaj sprowadzić tę sukę?

- Czego chce?

- Nie powiedziała. Mówi tylko, że musi się z tobą zobaczyć, i że to bardzo ważne.

- Ważne - powtórzył Carlos. Zdawało się, że wręcz smakuje to słowo.

- Powiedziała, że to sprawa życia i śmierci. Mogę ją posłać w cholere, jeśli chcesz.

Carlos chwilę się zastanowił. Gdyby odprawił ją, nawet nie kiwnąwszy jej głową,

miałby tylko niewielką satysfakcję. Ale że też ona tu przyszła! Z pewnością w jej życiu musiało stać się coś strasznego. Coś mu podpowiedziało, że mógłby się niezłe zabawić, słuchając szczegółów.

- Nie - odpowiedział po dłuższym namyśle. - Przyślij ją tutaj.

Peña zaczekał, czy będą jeszcze jakieś polecenia, po czym wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Carlos szybko podszedł do białej skórzanej sofy, ustawionej w rogu pokoju, z dala od drzwi, i usiadł na niej.

Chwilę później drzwi znów się otworzyły i do środka weszła April Fitzgerald. Wyglądała okropnie; czerwone obwódki i cienie szpeciły jej niegdyś piękne niebieskie oczy. Jeszcze w szkole średniej ścięła lśniące, długie włosy, pozostawiając na głowie coś w rodzaju kasztanowego kasku, który mu się bardzo nie podobał. Kiedy teraz na nią patrzył, nie rozumiał, co takiego mógł w niej kiedyś widzieć.

Przez długą chwilę nic nie mówił, pozwalając, żeby poczuła się zakłopotana bogactwem tego pomieszczenia. Pod zawieszonym na wysokości trzech metrów sufitem, na tle paneli z drewna orzechowego wydawała się całkiem malutka. Tak jak większość ludzi, którzy go tutaj odwiedzali, stała pełna szacunku, nie wiedząc, co robić.

- Minęło wiele czasu, April - powiedział w końcu Carlos nie podnosząc się z sofy.

Przytaknęła ruchem głowy i zmusiła się do uśmiechu. Ale nie wytrzymała jego wzroku i spojrzała w dół, na ręce, którymi nerwowo szarpała torebkę.

- Jak długo, April? Dziesięć lat? Dwanaście?

Nie odpowiedziała. Carlos nie oczekiwał, że to zrobi.

- Proszę - powiedział, wskazując stojące z boku wspaniałe, obite skórą krzesła. - Usiądź.

Poruszyła się z wahaniem, jakby bojąc się, że mógłby się na nią rzucić i ostrożnie usiadła na samym brzegu krzesła. Carlos zauważył, że ubrała się specjalnie na to spotkanie. Wydawało mu się jednak, że różowa sukienka pod jej kurtką jest zbyt lekka jak na tak chłodne dni. Kiedy szła, jej wydatne piersi kołysały się i podskakiwały. Gdyby nie to, że była w ciąży, mogłaby go zaintrygować.

- Od dawna nie miałem od ciebie żadnych wiadomości - zarzucił przynętę. - Żadnych kartek z życzeniami na Boże Narodzenie, żadnych zaproszeń na wspólny obiad, w ogóle nic.

April wciąż milczała, obciągając sukienkę na brzuchu.

- Czy to możliwe, żebyś nadal uważała, że jestem, hm... zobaczmy, czy potrafię przypomnieć sobie, jak to wcześniej ujęłaś... ach tak... bezwartościowym, śmierdzącym latynoskim gnojkiem?

April coraz ciaśniej owijała pasek torebki wokół dłoni.

Carlos wychylił się do przodu i oparł łokcie na stoliku.

- Spójrz na mnie, April.

Uniosła oczy.

- Musisz coś powiedzieć. Nie możesz tak sobie przyjść tutaj i zajmować mi czas, nie odzywając się.

- Próbowaleś mnie zgwałcić.

Nie było w tych słowach żadnego gniewu. Po prostu stwierdzenie faktu.

Carlos roześmiał się, ale już po chwili stał się śmiertelnie poważny.

- Rozkładałaś te śliczne uda przed każdym oprócz mnie. Ale kiedy i ja spróbowałem, to już był gwałt.

Cisza. Nie przyszła tu po to, żeby się spierać.

Carlos oparł się wygodnie i założył ręce na piersiach.

- Trudno być lepszym od wszystkich innych - zadrwił. Zlustrował ją wzrokiem. Nie potrzebował jej mówić, jak nisko upadła. Jak daleko była od swoich wzniosłych marzeń! - Wiesz co, April? Myślałem, że przyszłaś tutaj, ponieważ czegoś chcesz. Jeśli przyszłaś tu sobie posiedzieć, to wołałbym, żebyś marnowała tylko własny czas.

Potrzebowała jeszcze trochę czasu, zanim powiedziała:

- Mój syn został porwany. - Wypowiedziała te słowa w pośpiechu. Sam ich dźwięk był jak ożywanie koszmaru.

Czegoś takiego Carlos się nie spodziewał. Zakładał, że chodzi o pieniądze, ale widząc na jej twarzy cierpienie, powinien był się domyślić, że to poważniejsza sprawa. Coś się zmieniło w jego spojrzeniu. Z niskiego stolika wziął pretensjonalne pudełko z brązu, pełne jednorazowych chusteczek, i trzymał je przed nią, kiedy po nie sięgnęła. Czekał cierpliwie, aż dojdzie do siebie.

- Mów dalej - powiedział, kiedy wydawało się, że jest już gotowa.

- Mój mąż, William, zabrał jakieś pieniądze facetowi, który pracuje dla Patricka Logana. Sądzę, że znasz Logana?

Carlos zachował obojętny wyraz twarzy.

- Mogłem słyszeć to nazwisko - odpowiedział ostrożnie.

Domyślał się dalszego ciągu tej historii. Logan próbował już takich rzeczy w przeszłości.

April opowiedziała wszystko, co wiedziała: o błędach tego idioty Williama, o samym porwaniu i swoich wysiłkach, żeby spłacić dług na własną rękę.

- Nie mamy takich pieniędzy, Carlos. Zrobiłam, co mogłam, ale po prostu nie mam takiej forsy.

Kiedy skończyła, Carlos potrząsnął głową i cmoknął.

- To straszne, April, ale dlaczego do mnie przyszedłaś?

Znów spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że może mógłbyś coś zrobić.

O tak, mógłbyś coś zrobić. Za takie draństwo warto Logana nauczyć rozumu. Ale ta kobieta nie jest tego warta.

- Jestem biznesmenem, a nie policjantem - powiedział łagodnym tonem. - Nie wiem, jaką pomocą mógłbym ci służyć.

- Jesteś handlarzem narkotyków, Carlos - wypluła z siebie April, a on aż się wzdrygnął.

April pochyliła się w jego stronę.

- Twoja praca polega na zastraszaniu ludzi, na załatwianiu spraw. Potrafisz mówić takim samym językiem jak Logan.

Carlos szybko się opanował.

- Tak. Potrafię mówić takim samym językiem, ale prowadzę interesy w zupełnie inny sposób. Zresztą czego oczekujesz? Co ma zrobić facet, któremu ktoś ukradł tysiąc dolarów? Wzruszyć ramionami i o wszystkim zapomnieć?

- Carlos, mój syn jeszcze nie ma trzech lat! Logan nie grozi, że zabije Williama - człowieka, który go okradł. Grozi, że zabije dziecko! - zawołała April.

Słyszając jej podniesiony głos, do drzwi podszedł Peña, który jednak wycofał się, gdy szef do niego skinął.

Carlos długo myślał, zanim cokolwiek odpowiedział. Gniew rozsadzał go jak para kocioł, gdy przypominał sobie, co przez lata wyprawiał Logan. To, że jeszcze żył, mógł zawdzięczać tylko Carlosowi. Jeśli widział zachód słońca, jadł loda czy kochał się z którąś ze swoich dziwek, to dlatego, że Carlos darował mu jeszcze jeden dzień.

W jego sposobie prowadzenia interesów z Loganem nie było nic szczególnego. Taki sam kompromis należało wynegocjować z każdym innym ważniakiem, który zdecydował się wypróbować swoje siły, rywalizując z Carlosem. Zamiast prowadzić z nimi wojnę, Carlos raczej przyciągał ich do siebie. Za pięćdziesiąt procent udziału we wszystkim, co sprzedawali, pozwalał im żyć - w istocie żyć bardzo dobrze, jeśli byli trochę dobrzy w tym, co robili. W zamian on, Peña i ludzie, którym ufali, pomagali im bronić terenu przed wtargnięciem obcych. Każdy czerpał korzyści z siły grupy jako całości. Gdy nie padały strzały, policja też

rzadziej mieszała się w ich sprawy.

System działał dobrze i przynosił zyski od prawie siedmiu lat. Carlos czasem miał wrażenie, jakby prowadził niezwykle zyskową sieć licencjonowanych pizzerii lub budek z hamburgerami. Odkrył, że trzymając krótko swoich dostawców, potrafi uniknąć przemocy, która pobudza do działania policję i miejskich radnych. Ludzie mieli swoje słabości, a on był przedsiębiorcą, który musiał nad nimi zapanować.

Logan nawet nie wyobrażał sobie, jak bliski był śmierci. Dwa razy Carlos miał powody, by przypuszczać, że Logan coś przed nim ukrywa, i dwa razy ten głupi gnój zostałby załatwiony w ciągu pięciu godzin. Uratowało go to, że dobrowolnie przedstawił coś, co nazwał poprawkami księgowymi. Carlosa denerwowali ludzie, którzy tak igrali z własnym życiem.

Teraz znów Logan zachowywał się w porządku, regularnie wpłacając piętnaście, dwadzieścia patyków w anielskim pyłe, cracku i metadonie. Ale był chorym futem, sadystą, który nie potrafił oddzielić swoich skłonności od interesów. Ta cała sprawa z dzieciakiem April zagrażała wszystkiemu, co Carlos zbudował.

Nie sraj we własne gniazdo! Ile razy Carlos powtarzał to swoim współpracownikom? Jeśli chcesz zarabiać pieniądze na ludzkich słabościach, możesz uchodzić za najbardziej pożądanego sąsiada, najpewniejszego przyjaciela. Musisz dbać o dzieci, upewnić się, że bezpiecznie idą do szkoły i z niej wracają. Masz działać tak, żeby jakiś inny popapraniec z sąsiedztwa zastanowił się pięć, dziesięć, tysiąc razy, zanim zacznie myśleć o tym, żeby przejąć twój teren. Dlaczego Loganowi tak trudno było to zrozumieć?

- Widzisz, April - rzekł Carlos z potężnym westchnieniem - twój mąż zrobił tutaj bardzo zły ruch. Logan to zwierzę. Co on sobie myślał?

- To nie dotyczy Williama, tylko Justina. Nie mam pojęcia, gdzie William miał wtedy głowę. Nie dbam o to. Chcę tylko odzyskać swoje dziecko. Dam ci, co zechcesz. Zrobię, co zechcesz.

Przy tych słowach zakrztusiła się i sięgnęła po kolejną chusteczkę. Przyciskając ją do ust, zdławiła szloch.

Carlos w końcu zrozumiał. Zrobiło mu się jej żal - a było to uczucie raczej obce dla niego.

- Czy dlatego tak się ubrałaś? Kołyszące się piersi, prześwitujący materiał... Chcesz oddać siebie w zamian za syna?

Wbiła wzrok w podłogę.

- To nie będzie łatwe, April.

Kiedy podniosła oczy, były już twarde i zimne jak onyks.

- Chcę odzyskać syna. I ty możesz to dla mnie załatwić. Mój Justin nie ma z tym nic wspólnego. Ani ja nie mam z tym nic wspólnego. Kiedyś był z ciebie sympatyczny chłopiec, Carlosie, a teraz jesteś masz władzę i dlatego do ciebie przyszedłem. Przykro mi, jeśli się myliłam. I przykro mi także z powodu twojej córki, kiedy się dowie, kim jest jej ojciec.

Ostatnie zdanie zabrzmiało złowrogo.

- April, czy ty mi grozisz? - zapytał. Groźby nigdy go nie martwiły. Było ich już zbyt wiele przez te wszystkie lata, a ludzie tacy jak on wiedzieli, jak sobie z nimi radzić. Jednak coś w układzie jej ust sprawiło, że w głowie zabręczał mu ostrzegawczy dzwonek.

- Złożyłam obietnicę - powiedziała April. - Przysięgam na Boga, że jeśli nie dostanę z powrotem mojego syna, cały świat się dowie, jakie prowadzisz interesy. Wymienię nazwiska, ja...

- Umrzesz.

Skinęła głową; jej oczy były teraz czyste i żywe. Gdy przedstawiła już całą sprawę, dodało jej to energii.

- Być może. Spodziewam się, że mnie spróbujesz zabić. Właśnie dlatego pierwszy akapit mojego listu zaczyna się od zdania: „Teraz, kiedy to czytacie, prawdopodobnie już nie żyję, zabita przez Carlosa Orteę i Patricka Logana”.

- List? Jaki list? - zapytał Carlos, pochylając się ku niej.

Tym razem to ona miała powody do zadowolenia.

- List, który zostanie wysłany z jutrzejszą pocztą, jeśli nie dostanę tego, czego chcę.

- Blefujesz. Nie masz żadnych dowodów.

- Porwano mi syna i zrobię wszystko, żeby go odzyskać.

- April, możesz sobie narobić wrogów.

- Jeśli będę miała wrogów, to nie na własne życzenie, tylko dlatego, że oni tego chcieli.

Carlos długo się jej przyglądał, szukając oznak strachu, świadczących o tym, że wszystko to jest częścią gry, ale dostrzegł tylko determinację.

- Dlaczego więc nie pójdziesz na policję, skoro jesteś tak żądna zemsty?

- Wierzę Loganowi, który mówi, że zabije Justina, jak tylko sprawą zajmie się policja. Byłby głupi, gdyby tego nie zrobił. Jednak na razie nie stało się jeszcze nic, czego nie można by odwrócić.

- Dlaczego on po prostu nie zabije was obojga?

- Może to zrobi. Mam nadzieję, że nie. Tak czy owak chcę, żeby mój syn wrócił. Ty

jesteś jedynym człowiekiem, który może powiedzieć Loganowi, żeby się opamiętał.

Carlos westchnął.

- Masz charakterek, April, przyznaję. Rozumiesz jednak, że bez względu na to, co się stanie, nie będę mógł ochronić twojego męża, prawda?

April zrozumiała, że interes został ubity.

- O to bym cię nawet nie prosiła.

16

Russel Coates zawsze uważał, że agenci FBI powinni robić kariery, pozostając dla mediów ludźmi anonimowymi, tak, jak to było w czasach Hoovera. Melvin Purvis jako pierwszy przekonał się, co to znaczy sława. Kiedy dziennikarze ośmielili się przedstawiać go jako bohatera, podczas gdy J. Edgar Hoover wolał kierować światła reflektorów na siebie, musiał połknąć kulkę z własnego pistoletu.

Obecnie kariery były już uzależnione od mediów. Liczył się czas pokazywania własnej twarzy w sprawie interesującej opinię publiczną.

Russel nie chciał niczego takiego. W każdym reporterze widział wroga utrudniającego śledztwo. Organicznie nienawidził dziennikarzy. Nie była to dobra cecha, jeśli udziela się na żywo wywiadu w telewizji.

Z tego powodu Russel nie przeproszał nikogo za to, że punkt dowodzenia założył na wzgórzu, na miejscu przestępstwa, a nie na dole przy drodze pożarowej, gdzie byłoby to o wiele wygodniejsze dla innych. Wiedział, że ta decyzja nie spodobała się też Timowi Burrowsowi. No bo czyż Tim ubierałby się w wojskowy mundur polowy, gdyby nie chciał się trochę pomizdrzyć przed kamerami?

Russel usiadł na powalonym drzewie, które wyglądało na dąb. A może był to jesion? Cholera, nie potrafił odróżnić drzew! Inni albo przykucnęli, albo stali wokół, jak turyści, którzy, zebrani wokół ogniska, czekają na opowieść o duchach. Naprzeciw swojego szefa siedział Burrows, a obok niego Henry Parker, główny kryminolog pracujący na miejscu przestępstwa. Powinien być tutaj także porucznik Homer LaRue, reprezentujący policję stanu Zachodnia Wirginia (Russel pomyślał, że tylko w Zachodniej Wirginii rodzice mogą dać dziecku na imię Homer), ale jeszcze nie wrócił z parkingu. Na samym końcu szeregu siedziała jego nowa przyjaciółka, Sarah Rodgers, reprezentująca służby leśne, której obecność

utwierdziła go w przekonaniu, że być może wiek średni nie jest aż taki zły.

- Henry, słuchamy cię? - powiedział Russel, rozpoczynając zebranie. W życiu nie spotkał faceta, który miałby równie dobre oko do szczegółów, co Parker. Liczył na to, że Henry, jak zawsze, skieruje tok myślenia wszystkich obecnych na właściwy tor.

Henry Parker, wielki mężczyzna o potężnych barach i wąskiej talii, wyglądał bardziej na wykidajkę niż na człowieka, który zarabia na życie pracując głową. Miał taki głos, że niedźwiedzie i lwy schodziły mu z drogi.

- Prawdopodobnie jutro dostaniemy raport koronera, ale użyta tutaj broń palna była dużego kalibru. W ciele ofiary są wielkie dziury, a na drzewie wielka blizna. Nie wydobyto jednak jeszcze żadnych kul. Wydaje się, że zarówno ofiara jak i zabójca znajdowali się na ziemi, kiedy oddano strzały. Ponieważ cała odzież denata jest na miejscu, jestem skłonny odrzucić teorię gwałtu. Naturalnie, lekarz, który przeprowadzi badania określi na podstawie śladów na bieliźnie, czy ofiara miała w ciągu dnia wzwód. Jednak i tak trudno będzie z tego wyciągnąć jakieś rozstrzygające wnioski.

Kątem oka Russel zauważył, że Sarah wierci się niespokojnie.

- Myślę, że scenariusz gwałtu wykluczaliśmy - wtrącił się Tim Burrows.

Parker zerknął na niego.

- Czy już nic nie mówić, agencie Burrows? - zapytał.

- Nie, proszę kontynuować. Pomyślałem tylko, że może chciałby pan usłyszeć, jakim tropem podążamy - zaczerwienił się Burrows.

Według obliczeń Russela Tim Burrows uczył się jeździć na dwukołowym rowerku, kiedy Henry Parker zamykał swoją pierwszą sprawę. Parker nie znosił takich wyszczekanych agentów.

- A więc kontynuując... Po zbadaniu odlewów zdjętych z odcisków butów otrzymałem kilkanaście zestawów śladów.

- To nie jest policjant! - usłyszeli jakiś nowy głos.

Zwrócili się w tę stronę i zobaczyli Homera LaRue, śpieszącego do nich. Mimo sporego brzuszyska, miał atletyczną budowę ciała. Wyglądał na człowieka, na którego widok złoczyńcy nie mają wątpliwości, że lepiej być aresztowanym, bo wtedy prawo chroni przed nim.

- Martwy facet nie jest policjantem. Przynajmniej nie tym policjantem, którego odznakę mamy. Sprawdziłem gościa. Policja w Pittsburgu poinformowała mnie, że ich Thomas Stipton miał dziś rano służbę i przepracował dwie zmiany. Przy czym dwa miesiące temu zameldował, że jego odznaka została skradziona.

Homer przyłączył się do nich, ale nie usiadł.

Ta ingerencja w oczywisty sposób zdenerwowała Parkera, który chciał już coś powiedzieć, ale Russel go powstrzymał.

- Sprawy przyjmują interesujący obrót - zauważył Russel. - Mamy więc teraz uzbrojonego mężczyznę w środku lasu, który podszywa się pod funkcjonariusza policji. To jest właśnie szczegół, który nie powinien trafić do mediów, prawda? Poruczniku, kto jeszcze wie o tym, o czym pan nam powiedział? - zwrócił się do Homera.

- Myślę, że nikt. Sam z nim rozmawiałem.

- A więc w porządku. Jeśli dowiedzą się o tym dziennikarze, będę wiedział, że wyszło to od was - ostrzegł Russel. - Pozatykam wszelkie przecieki własnym palcem i będę to traktował jak sprawę osobistą. Czy są jakieś pytania? - zapytał, patrząc badawczo na agenta Burrowsa.

Przyjrzał się badawczo każdemu z osobna, a potem zwrócił się do Parkera:

- Wybacz, Henry.

Parker odchrząknął i kiwnął głową.

- Jak mówiłem, mamy wiele odcisków butów. Takie ślady są w istocie niezidentyfikowanymi obiektami. Wiemy tylko, że kilkanaście osób chodziło w okolicy tych miejsc. Co mamy tu interesującego? Otóż spośród tych odcisków tylko trzy pary znaleziono zarówno tutaj, jak i przy grobie, jamie, czy jak tam nazywać tę wielką dziurę w ziemi na wzgórzu.

- Według mnie jest to grób - wtrącił Russel.

- Wydaje się, że jedna z tych trzech par należy do dziecka, dwu- lub trzyletniego. Miało coś na nogach, ale to nie były buty. Raczej kaptcie, albo skarpetki. Nie wiem, czy był to chłopiec, czy dziewczynka.

Russel skinął głową i gestem poprosił Parkera, żeby mówił dalej.

Henry po raz pierwszy zerknął do swoich notatek.

- Druga z trzech par śladów należy do martwego policjanta... do naszego denata. Trzeci ślad jest taki sam jak znaleziony w lesie, gdzie ktoś stał przez długi czas. Sądząc z głębokości odcisków, to był duży gość. Nazwijmy go jedynką. Dwójka to będzie nasz martwy facet, który nie jest policjantem, a trójka to dzieciak. Nadażacie za mną?

Wszyscy pokiwali głowami, Sarah nawet bardziej entuzjastycznie niż inni, co wywołało uśmiech Russela. Dziewczyny lubią gliniarzy.

- Dobrze. Domyślam się, że ślady czwórki i piątki należą do mężczyzny i kobiety. Są wszędzie na miejscu przestępstwa, ale nie ma ich nigdzie na wzgórzu powyżej. Co ciekawe,

znalazłem odciski czwórki, piątki i dzieciaka na dole, na drodze pożarowej, obok śladów opon, które należą, jak mi się wydaje, do jakiegoś podrasowanego wozu.

Wszyscy patrzyli na Parkera, oczekując dalszych informacji.

- To tyle - oświadczył Henry. - Przynajmniej dopóki nie dostanę raportów z laboratorium w sprawie śladów opon.

- Zdołasz ustalić markę i typ opon? - zapytał Russel.

Henry wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Możesz to mieć dziś wieczorem. Z butami może być trochę trudniej. Zwłaszcza w przypadku odcisków czwórki i trójki. Kiedy zbadam odlewy, dowiem się więcej, ale na pierwszy rzut oka wyglądają na standardowe wibramowe podeszwy. Można to zawęzić do kilkudziesięciu marek handlowych. W przypadku dwójki masz całe zwłoki, więc nie powinno tu być większych problemów. Największe nadzieje łączę z jedyką. Te odciski z lasu wyglądają na dość niezwykle. Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek widziałem taki kwadratowy wzór. Jutro będę znał szczegóły.

- Dobrze - rzekł Russel - Tim, teraz twoja kolej. Powiedz, co wiemy o przypuszczalnych sprawcach.

Tim wydawał się lekko przestraszony, że wywołano go do tablicy.

- No cóż, wiemy już trochę więcej niż parę godzin temu - rzekł.

Zrelacjonował oświadczenia pary młodych turystów - Gary'ego i Mandy - którzy byli przekonani, że widzieli w dole wzgórza ślady świadczące o obecności kobiety i mężczyzny, choć osobiście nikogo nie spotkali. Od tego momentu lista potencjalnych kandydatów została ograniczona do sześciu par.

- Och, chwileczkę... - zawołał, kiedy Russel zamierzał już poprowadzić dyskusję dalej.

- Henry, powiedziałaś, że pojazd, którego ślady opon nie zostały zidentyfikowane, był samochodem w wersji sportowej?

- Miło słyszeć, że ktoś tak pilnie wytycza uwagę. Tak, powiedziałem właśnie to - odparł drwiąco Henry.

- Przejrzałem wszystkie nazwiska na liście i tylko jedna para miała taki pojazd - oznajmił Tim. Przerzucał notatki, aż w końcu znalazł to, czego szukał. - Jest to niejaki Robert Martin, zamieszkały pod numerem 7844 przy Clinton Road w Clinton, w Wirginii.

Brwi Russela leciutko drgnęły. Czasem ta policyjna robota nie była aż tak trudna, jak lubili udawać.

- Co jeszcze?

- Nic. Mogę jednak zadzwonić do oddziału regionalnego w Richmond albo w

Alexandrii i w ciągu paru minut będziemy kogoś mieli pod ich drzwiami.

Russel zastanowił się nad tym, ale odrzucił pomysł.

- Nie. Chciałbym sam z nimi porozmawiać. Kiedy będę badał sprawę, chcę spojrzeć im w oczy.

Ostatnio agenci lubili wyręczać się w terenie wszyscy innymi. On jednak wołał sam się przekonać, w jaki sposób ci ludzie odpowiedzą na jego spojrzenie, jak będzie wyglądała ich obrona. Tego typu sądy wartościujące stanowiły część składową każdego raportu z przesłuchania, prowadzonego przez agenta operacyjnego. Ale ponieważ była to reszta subiektywna, Russel sam wołał wyciągać wnioski z zachowania się podejrzanych.

- Pojadę tam dziś wieczorem. Może czegoś zdołam się dowiedzieć.

Zwrócił się do Sarah.

- Teraz pani kolej, pani Rodgers.

- Moja? - zapytała zaskoczona.

- Tak. Potrzebuję twojej pomocy, by przekazać nazwiska i numery rejestracyjne wszystkim posterunkom przy wjazdach na teren parku i poprosić strażników, żeby mieli na nie oko.

- Myślisz, że oni mogą wrócić?

- Zdarza się to dość często. Lepiej, żebyśmy rzeczywiście mieli na to oko.

Sarah machinalnie potaknęła ale nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Te posterunki są obsadzone tylko przez osiem godzin dziennie. Potem ludzie wpisują się sami, jeśli mają na to ochotę.

- O cholera! - powiedział Homer, wyrażając zawód pozostałych.

- Co się stało? - zapytała Sarah.

- Mogła pani wspomnieć o tym szczególnie parę godzin temu - mruknął Tim.

- Dość! - warknął Russel, uciszając ich. - Także mogliśmy zapytać o to parę godzin temu, a więc dajcie spokój.

Kiedy Russel zwrócił się do Sarah, nie wydawał się rozgniewany na nią. Po raz pierwszy miała wrażenie, że traktuje ją w szczególny sposób. Aż się zaczerwieniła i modliła się, żeby nikt tego nie zauważył.

- Nie wiedzieliśmy, że posterunki nie są obsadzone przez cały czas - wyjaśnił Russel. - To oznacza, że ta lista z nazwiskami, którą mamy, niekoniecznie musi być tak krótka. Prawda wygląda tak, że jeśli ja zamierzałbym tu przyjechać i popełnić morderstwo, to pewnie poczekałbym, dopóki twoi ludzie nie zejdą ze służby, a potem prawdopodobnie nie przejmowałbym się za bardzo tym systemem opartym na poczuciu obowiązku.

Opuściła wzrok. Czuła się naprawdę głupio.

- Nie martw się - pocieszył ją Russel. - Nie wyrządziłaś śledztwu żadnej szkody. Sprawiałaś tylko to, że będziemy musieli dobrze zapracować na swoje pensje.

Russel miał sympatyczny uśmiech. Sarah nie zauważyła tego wcześniej, dziś rano, kiedy uznała go za straszego dupka. Teraz jednak pomyślała, że chyba jest to zupełnie miły facet. Był całkiem przystojny, z długimi bokobrodami i trochę przerzedzonymi ciemnoblonde włosami. Wydawał się całkowicie niepodatny na opinie innych ludzi. Wiedziała, że każdy, kto znalazł się przy władzy, musi w pewien sposób grać. Spodobało jej się, jak ten mężczyzna odgrywa rolę rzetelnego profesjonalisty. Bez tego całego pieprzenia, mowy-trawy, które zawsze towarzyszą odznace.

Zebranie skończyło się wkrótce potem. Jedynym punktem spornym było to, czy jest sens zabezpieczenia miejsca przestępstwa. Russel chętnie opieczętowałby cały taki teren na tak długi czas, dopóki sprawcy nie zostaną aresztowani. Jednak w praktyce nigdy nie było to możliwe. W niektórych sprawach dom pozostawał opieczętowany, aż zebrano wszystkie, nawet mikroskopijne ślady. Jednak tutaj, gdzie wiatr wiał ze wszystkich stron, a często padał deszcz, próba zachowania miejsca przestępstwa w stanie nietkniętym byłaby tylko stratą czasu.

- Jestem skłonny zwinąć się stąd - oświadczył Russel. - Czy masz jakieś zastrzeżenia, Henry?

Henry zaprzeczył ruchem głowy.

- Może nie zebraliśmy dostatecznie dużo materiału, żeby jednoznacznie określić, kto jest winien, ale jeśli sprowadzicie mi podejrzanego, to mam więcej niż potrzeba, żeby albo go przyszpilić, albo wykluczyć - oznajmił.

- Ponadto - rzekł Tim - kiedy już się ściemni, nie będziemy mogli przysiąc, że w miejscu przestępstwa ktoś czegoś nie zmagistrował.

Russel klasnął w dłonie.

- No właśnie. Nasza praca tutaj jest skończona. Pani Rodgers, ma pani swój park z powrotem.

- Doceniam to - odpowiedziała.

- Dziękuję wam, panie i panowie, za miłą współpracę. Henry, jak tylko dowiesz się jakichś istotnych szczegółów...

- To ci je przekażę, Russel. Do tej pory jeszcze cię nie zawiodłem, prawda?

Russel przytaknął, poklepał go po ramieniu i zwrócił się do agenta Burrowsa.

- Timbo, chcę, żebyś się upewnił, że grób, czy jak to tam, do cholery go nazwać...

- Drugorzędne miejsce przestępstwa - podpowiedział Tim.

- Właśnie. Chcę żebyś się upewnił, że drugorzędne miejsce przestępstwa jest doprowadzone do stanu, w jakim było. Zapełnijcie czymś tę dziurę. Nie chcę, żeby ktoś do niej wpadł i zaskarżył wuja Sama, dobra?

Tim skinął głową.

- I upewnij się jeszcze, że wszystko, co tu zrobiliśmy, jest udokumentowane, a dokumenty są uporządkowane. Sprawdź trzy razy, czy formularze protokołów są wypełnione zgodnie z zasadami procedury specjalnej. Kiedy znajdę przestępcę, nie chcę tego schrzanić z powodu niedopełnienia jakichś formalności.

Twarz Tima spochmurniała.

- Myślałem, że porozmawiamy z tą parą, której nazwisko jest na formularzu rejestracji wjazdu - zaprotestował.

Russel przecząco pokręcił głową.

- Nie. To ja porozmawiam z nimi. Ty zostaniesz tutaj i sprawdzisz to wszystko, o czym mówiłem. Tim aż zagotował się w środku. Zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale w końcu powłócząc nogami powłókł się na górę.

17

April Simpson wysiadła z autobusu, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest. Gdzieś na przedmieściu, ale na którym, albo z jakiego kierunku przyjechała? Wybrała ten przystanek, ponieważ po drugiej stronie ulicy znajdowało się centrum handlowe, a chciała pobyć przez chwilę w tłumie. Potrzebowała towarzystwa ludzi, których dzisiejsze troski dotyczyły innych spraw niż śmierć i zaginione dzieci. Musiała zobaczyć, że taki świat wciąż istnieje.

Musiała dostrzec jakiś przeblýsk zdrowego rozsądku.

Zapowiedziano, że dziś będzie cieplej niż wczoraj, ale wcale się tego nie czuło. Kiedy przechodziła przez ulicę, a potem przez rozległy parking, otuliła się kurtką, próbując opanować wstrząsające ją dreszcze.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie. Carlos obiecał. Nikt nie będzie na tyle głupi, żeby mu się narazić. Nawet Logan.

Dała sobie trzy godziny, żeby skupić się na myśleniu o niczym; trzy godziny, żeby sobie pochodzić i poudawać, że wszystko jest takie, jakie miało być. Jedna godzina już jakoś

się ulotniła, a drugiej potrzebowała, żeby odnaleźć drogę powrotną do domu, więc na marzenia pozostawało jej tylko sześćdziesiąt minut.

Była już prawie trzecia, a ona zapomniała zadzwonić do pracy. Miała pracować na drugiej zmianie. Nie było wątpliwości, że czeka ją piekielna awantura. Ale głównie ją to teraz obchodziło. W to popołudnie cholerni klienci równie dobrze sami mogli zrobić sobie hamburgery.

Wszystko będzie z nim dobrze, powiedziała sobie po raz milionowy. Wiem, że będzie dobrze.

Nieważne, na co patrzyła, do jakich myśli się zmuszała, przed oczami miała małego Justina, kulącego się w rogu jakiegoś pomieszczenia i płaczącego z tęsknoty za nią. Odpowiadała mu tylko cisza. Albo, co jeszcze gorsze, uderzenie lub kopniak.

Król wszystkich narkotykowych dealerów dał jej słowo, że jej syn wróci nietknięty. Wtedy wyglądało to na zwycięstwo, ale gdy myślała o tym teraz, zastanawiała się, jaka jest wartość obietnicy zbira. Co się stanie, jeśli Carlos wygłosi swoją mowę, a Logan powie mu, żeby poszedł do diabła? Przypuśćmy, zdecyduje się zabić Justina tylko z powodu tego zamieszania - ponieważ ona miała odwagę, żeby pójść i podkablować go przed Ortega. Co by wtedy zrobiła? Co mogłaby zrobić?

W centrum handlowym było bardzo gorąco, o jakieś dziesięć stopni za bardzo. Jakby do kotłowni nie dotarła informacja, że na dworze nie jest już poniżej zera. Mając po raz pierwszy od dawna wolną godzinę w ciągu dnia, April była zaskoczona widokiem tłumu ludzi, którzy w poniedziałkowe popołudnie nie mieli nic do roboty. Ci ludzie - właściwie kobiety, ponieważ w zasięgu wzroku nie było mężczyzny - wyszły sobie na beztroską przechadzkę, a każda z nich prowadziła dziecko.

Wszystkie wyglądały na tak szczęśliwe! To było dla niej najtrudniejsze. Wyglądały na tak cholernie szczęśliwe. Nosiły dzieci w nosidełkach, wozily w spacerówkach albo mocno trzymały za rękę. Wszystkie były takie normalne. Boże, co ona by zrobiła, żeby zamienić się miejscami z którąkolwiek z nich? Poczuc bodaj najdrobniejszy ślad szczęścia we własnej duszy? Co te szczęśliwe kobiety wiedzą o bólu? Pewnie mają mnóstwo pieniędzy i wędrując przez centrum szukają tylko pretekstu, żeby część z nich wydać. Mają uśmiechniętych mężów, którzy harują w prawdziwej pracy, żeby zapewnić utrzymanie swoim rodzinom. Nigdy nie słyszały o takich jak Carlos Ortega czy Patrick Logan. Nie wiedzą, jak to jest być porzuconym przez wszystkich i wszystko, na czym im zależało.

Wędrując szerokimi, wspaniałymi uliczkami centrum, April minęła sklepy Macy'ego, Neimana Marcusa, Bloomingdales'a i zrozumiała, że jest tutaj niepożądana. Przechwyciła

rzucane z ukosa spojrzenia kilku kupujących i z początku nie wiedziała, jak ma je interpretować.

April Simpson reprezentowała świat, którego damy w spodniach za sto doliców, obwieszane świecidełkami za tysiąc, zapewne nie mogły zrozumieć - świat, o którym nic nie chciały wiedzieć. Przypomniały jej się te dni z własnej młodości, kiedy żyła bezpiecznie, a rachunki płacone były w terminie. Gdy największym problemem była nie walka o przetrwanie, ale dobór odcienia szminki. Wtedy sukces nie miał nic wspólnego ze szczęściem czy pozycją społeczną. Polegał na tym, że ciężko pracowało się przez długie godziny.

April obserwowała te ładne, bogate panie, małe dzieci i jakoś czuła, że ich zdaniem sama jest wszystkiemu winna. Zakładały, że była złą matką, że w jakiś sposób sama ściągnęła na siebie nieszczęście. Pomagało im to czuć się lepiej, kiedy wydawały rocznie tysiące dolarów na biżuterię i może z setkę na akcje charytatywne, które takim ludziom jak April pomagały utrzymać się przy życiu.

Ci ludzie nie chcieli jej tutaj, ponieważ reprezentowała wszystko, co sprawiało, że czuli dyskomfort. Im nic podobnego nie mogło się przytrafić. Nie mieszkali w dzielnicy, gdzie ludzkie życie było tak tanie. Nie zadawali się z takimi jak Carlos Ortega i nie pozwalali wejść do swego życia takim jak William - ludziom, którzy na ulicy okradali innych i zabierali dwuletnich synów do pobliskich knajp.

Krzyczała w myślach, że nie miała wyboru. Przypuśćmy jednak, że wiedziałyby o tym, iż pewnego dnia zabiorą jej przemocą Justina. Czy potrafiłaby wtedy znaleźć rozwiązanie?

Z pewnością nie!

Znała niebezpieczeństwa wynikające z mieszkania w swojej dzielnicy. Przerazały ją każdego dnia. Ale się nie wyprowadziła. Poślubiła Williama, bo wpadła w panikę. Chciała szybko znaleźć kogoś, ponieważ zaszła w ciążę, a wybrała jego, bo to było najprostsze rozwiązanie. Jednak w ten sposób naraziła siebie i swoje niewinne dziecko na całą masę nie dających się opisać zagrożeń.

Kiedy przechodziła obok sklepu z wymyślnymi ciastkami - Jezu Chryste, jedno ciastko za półtora dolara! - napotkała wzrok małego chłopca w spacerówce. Był takiego samego wzrostu i miał taki sam kolor skóry, jak Justin. I uśmiechał się, kiedy na niego patrzyła. W odpowiedzi też się uśmiechnęła, ale coś w wyrazie jej twarzy wzbudziło strach w matce chłopca. Wyczuła, że coś wisi w powietrzu, i obróciła się twarzą do April.

- W czym mogę pomóc? - zapytała ostrym tonem. Szybko zajęła miejsce pomiędzy swoim synem a tą zaniedbaną kobietą, która stała przed nią.

April uśmiechnęła się z przymusem, a łzy napłynęły jej do oczu.

- Podziwiałam tylko twojego syna - odpowiedziała. Chciała, by zabrzmiało to przyjaźnie, ale w jej słowach była rozpacz. - Jest taki ładny.

- Idź podziwiać kogoś innego - warknęła ze złością kobieta, a w jej oczach widać było strach. Szybko odjechała ze swoim małym chłopcem. Kiedy odwrócił się, żeby pomachać April na pożegnanie, matka skarciła go, każąc patrzeć przed siebie.

I wtedy April stwierdziła, że ten mały chłopiec to Justin! Ta obca kobieta zabierała jej dziecko!

- Zaczekaj! - krzyknęła, a kobieta zaczęła biec. - Stój! - April ruszyła, żeby ją dogonić, ale kobieta była szybsza. To niemożliwe! To po prostu niemożliwe! Dlaczego ona miałaby mieć jej dziecko? Czy mogłaby być porywaczem? Na pewno nie!

Z prawej strony inna kobieta wychodziła ze sklepu BabyGap, w jednej ręce trzymając wypchaną plastikową torbę, a drugą... On znów tu był, trzymał ją za rękę. Teraz Justin towarzyszył drugiej kobiecie, która wyglądała znacznie młodziej niż poprzednia, choć była równie dobrze ubrana. April gwałtownie zatrzymała się i westchnęła tak głośno, że kobieta z torbą obejrzała się.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała.

April nie mogła zaczerpnąć powietrza. W porządku? Czy ta kobieta zwariowała? Na miłość boską, ona ma jej dziecko! April chciała to wykrzyzczeć, przyciągnąć uwagę ludzi, ale z jej gardła wydobył się tylko słaby pisk.

A Justin wciąż tam był! Nie z kobietą z torbą, ale z kimś innym, dalej, w korytarzu. W jakiś sposób znów się nim wymienili. Co, do cholery, dzieje się tutaj?!

- Chryste! - jęknęła. - O, słodki Jezu!

Justin był wszędzie! I to naraz w kilku miejscach! Znów był w tym sklepie z ciastkami! I tam, w tym głupio wyglądającym sztucznym parku, który zbudowano w środku centrum! Wszędzie!

Kobieta z torbą podeszła bliżej i wzięła ją za łokieć. Powiedziała coś, czego April nie mogła zrozumieć. Wiedziała, że powinna bać się porywaczki, ale nie czuła lęku. Nie czuła już niczego.

Kobieta pomogła jej dojść do ławki w parku. Ktoś powiedział, żeby zwiesiła głowę między kolanami. Na samą myśl o tym zachciało się jej śmiać. Jednak zrobiła tak i chwilę później świat zaczął nabierać barw, a dźwięki wokół odzyskały dawne znaczenie.

- Nic pani nie jest? - zapytał ktoś.

Podniosła wzrok i zobaczyła kobietę z torbą ze sklepu BabyGap. Obok niej stał

przestraszony mały chłopiec, który wcale nie był podobny do Justina.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie należało tu przychodzić. Od razu po złożeniu wizyty Carlosowi Ortedze powinna była iść do domu i czekać przy telefonie na sygnał, że wszystko znów jest w porządku.

Ten telefon miał jednak też oznaczać, że doszło do tragedii.

- Stało się coś złego? - spytała niepewnie kobieta.

- Co ty możesz o tym wiedzieć - odpowiedziała April takim tonem, że kobieta z torbą obraziła się.

Chwyciła kurczowo swojego syna za ramię, jakby zrobił coś złego, i szybko wmieszała się w tłum, pozostawiając April na ławce, zapłakaną i bliską szaleństwa.

Zewsząd przyglądali się jej ludzie - w taki sposób patrzy się na kloszarda, który na ulicy mówi sam do siebie. Na ich twarzach widać było lekkie rozbawienie, nawet kiedy usiłowali wyglądać na zajętych własnymi sprawami. Nienawidziła ich wszystkich. Kim byli, aby ją osądzać? Kim byli, żeby bawić się jej kosztem?

Nagle poczuła, że robi jej się tu duszno. Zapragnęła uciec od tłumu. Musiała dostać się do domu, przemyśleć sprawę i przygotować alternatywny plan działania. Złożyła los swojego chłopca w ręce morderców i handlarzy narkotyków. Logan porwał dziecko, a Carlos miał ściągnąć je z powrotem. Jezu, czy ona zwariowała? To ona była odpowiedzialna za jego odzyskanie. Co Logan powiedział jej o pieniądzach? Dwa tysiące dolarów do jutra. Dwa tysiące czy dwieście tysięcy, to i tak wszystko jedno, jeśli się ich nie ma.

Obrabuj bank, jeśli musisz.

Tak właśnie powiedział.

Nagle wydało jej się, że jej mały pistolet w kieszeni kurtki waży z dziesięć kilo. Czy to naprawdę mogło być takie proste? Czy rzeczywiście mogłaby, ot, tak sobie, wejść do banku i wyjść stamtąd z forszą, której potrzebowała? Ludzie robili tak zawsze. Pewno, że potem trafiali do więzienia, ale ona potrzebowała tylko paru godzin. Tylko tyle, żeby dać pieniądze Loganowi i wziąć Justina do domu. Potem mogli ją aresztować. Justin byłby już bezpieczny.

Parę godzin. Mogłaby to zrobić. April wyobraziła sobie, że staje przed okienkiem z pistoletem wycelowanym w twarz starszej kobiety i żąda całej gotówki z kasy. Oczywiście by ją dostała, ponieważ kasjerki właśnie tak zostały przeszkolone. Z pieniędzmi w ręku za jednym zamachem April mogła rozwiązać wszystkie swoje problemy.

Być może nawet nie potrzebowałyby broni. Mogłaby wsunąć karteczkę do boku kasjerki, żądając, czego chciała.

Parę godzin. To było wszystko, czego potrzebowała.

Jezu, o czym ona myśli?! Obrabować bank? Czy zwariowała? Za napad na bank ludzie szli do więzienia na całe życie. Nikt nie dbał o to, co mieli na usprawiedliwienie. Zagrożając czyimś pieniędzom, należy liczyć się z długimi wczasami w celi więziennej.

April zawędrowała do sklepu Macy'ego i zagapiła się na wieszak z koszulami. Męskie koszule, owinięte w plastik, pospinane licznymi szpilkami.

Przy tylnej ścianie, April dojrzała srebrzystoszare, lekko wypukłe litery napisu „Dział kredytowy”. Inne napisy informowały o „Dziale obsługi klienta”, „Telefonach” i „Pomieszczeniach rekreacyjnych”, ale to jej nie obchodziło. To właśnie w dziale kredytów trzymali gotówkę. Wiedziała o tym od czasu, gdy poszła do sklepu Monkey Ward, żeby walczyć o swoją lodówkę. Dział kredytowy był podobny do banku: szereg boksów dla pracowników i kasetki na pieniądze. Ponadto, o ile się orientowała, obrabowanie działu kredytowego podlegało prawu stanowemu, a nie federalnemu. Chyba miało to jakieś znaczenie?

Dla tych ludzi dwa tysiące dolarów to tyle co nic. Mieli tutaj sukienki, które kosztowały drożej. Ciuchy, które były warte więcej niż życie jej syna. Co to za świat?

Po drugiej stronie, za przejściem, światła były jaśniejsze, a wystrój o wiele mniej luksusowy. Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, nikt nie ma czasu podziwiać dekoracji. Ponadto ludzie bogaci, posiadający zdolności kredytowe bez limitu, nie musieli załatwiać tutaj swoich spraw. Ta część sklepu została wydzielona dla życiowych bankrutów.

W szeregu okienek pracowały tylko dwie osoby. Były to kobiety. Jedna z nich obsługiwała w tej chwili klientów, a druga, młodsza od tamtej przynajmniej o trzydzieści lat, była zajęta przeliczaniem pieniędzy w kasie. Forsa. Grube pliki forsy. Potrzebowała tylko jednej takiej małej kupki! Wiedziała o tym, ponieważ kilka godzin temu prawie tyle samo niosła w portmonetce. Starsza kobieta, która wyglądała na pięćdziesiąt lat, siedziała bliżej. Sięgnęła po zawieszony na łańcuszku okulary do czytania i nasadziła je na nos, zerkając na to, co podsuwała jej klientka. Zaczęła kręcić przecząco głową, zanim jeszcze zaczęła czytać. Czerwony łańcuszek, na którym były zawieszony okulary, tańczyły wokół jej twarzy.

- No nie, kochana, to nie jest żaden dowód. To tylko list, który do nas wysłałaś. Muszę zobaczyć, co otrzymałaś z powrotem - powiedziała kobieta.

Klientka, która wydawała się o wiele za młoda na trójkę dzieci czepiające się jej nóg, wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozplakać.

- Nie mogę znaleźć tego dokumentu - jęknęła. - Czy nie macie kopii własnych listów?

- Oczywiście, mam w kieszeni kopie wszystkich listów, jakie wysłano z firmy -

roześmiała się kobieta w boksie.

Te słowa i ton, jakim je wypowiedziała, rozgniewały April. Ta matka zalegała ze spłatą, a sklep uprzykrzał jej życie. Zrobią tak, że nie zaufa jej już żadna firma wydająca karty kredytowe. Wyślą listy z informacją o długu i nawet jej czeki staną się bezużyteczne. Jeśli spóźniła się więcej niż o kilka tygodni, zaczną co wieczór wydzwaniać do niej do domu, porozmawiają z jej szefem i kolegami z pracy... Zrobią wszystko, żeby zepsuć jej opinię. April już wiedziała, że ściąganie długów jest formą zalegalizowanego szantażu. Jeżeli ofiara nie ma dość szczęścia, by przyciągnąć uwagę dziennikarzy, nikt nie zainteresuje się jej losem.

Kiedy podchodziła do małego stolika, ustawionego naprzeciwko boksów, starała się wyglądać na całkiem spokojną. Czuła się jednak tak, jakby na szyi miała wielką tabliczkę z napisem „Patrz na mnie”. Na stoliku znalazła pojemniki pełne formularzy i katalogów, były nawet mamie zatemperowane ołówki, ale ani kawałeczka papieru. W końcu wzięła formularz opinii klienta, gdzie na dole strony było dość miejsca, żeby mogła napisać to, co chciała. Zdziwiająco pewną ręką napisała dużymi, drukowanymi literami:

DAJ MI WSZYSTKIE PIENIĄDZE Z KASY. NIE WPADAJ W PANIKĘ I NIE WŁĄCZAJ ŻADNYCH ALARMÓW. MAM BRONŃ.

Kiedy już to zrobiła, przez długą chwilę patrzyła na kartkę, upewniając się, że napisała dokładnie to, co chciała. Potem stanęła za kobietą z piszczącymi dziećmi. Pomyślała, że powinna czuć strach. Że jej ręce powinny się trząść, a serce walić. Tymczasem nic takiego się nie działo. Być może dlatego, że jeszcze miała czas na zmianę decyzji. Aż do chwili, kiedy ta suka w okienku przeczyta kartkę, mogła sobie po prostu stąd wyjść i nikt by się o niczym nie dowiedział.

Powiedziała sobie, że robi to dla Justina. Kiedy niebezpieczeństwo zagraża jej synowi, wszystko jest dozwolone.

- Zapraszam panią tutaj. Czym mogę służyć?

Przestraszona April podniosła wzrok i w drugim boksie zobaczyła młodą kobietę, która uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Moja kasa jest już gotowa. Mogę się panią zająć - powiedziała kobieta i pomachała do niej ręką.

April rzuciła okiem na starszą kasjerkę, która drwiąco popatrzyła na nią.

Chciała zawołać, że nie jest gotowa, ale nic nie powiedziała. Po prostu wyszła z kolejki i przeszła pięć kroków do młodej kobiety z plakietką „Debby”.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała Debby.

Chryste! Ona zachowywała się tak sympatycznie. April nie chciała zrobić jej krzywdy.

Chciała dopaść sukę o skwaszonej gębie, która doprowadzała młodą matkę do płaczu.

- Czy dobrze się pani czuje? - zapytała Debby ze szczerą troską.

April kiwnęła głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Czym mogę pani służyć? - teraz Debby mówiła do niej tak, jakby April była debilką. Pewnie sądziła, że jeśli będzie mówiła wolno, starannie wymawiając wyrazy, jej klientka lepiej ją zrozumie.

April spojrzała na kartkę, którą trzymała w ręku, a potem znów na Debby. Jej ręka z wahaniem prześliznęła się po rozdzielającym je kontuarze. Koniuszki palców obu kobiet spotkały się i Debby wyciągnęła kartkę spod dłoni April.

April wiedziała teraz, że popełniła błąd.

- Nie, zaczekaj - powiedziała, ale Debby już rozwinęła kartkę i przeczytała ją; trwało to może ze dwie sekundy. Z twarzy dziewczyny odbiegła krew, a usta rozchyliły się. Odruchowo cofnęła się od kontuaru.

- Boże! - jęknęła, podnosząc rękę do ust, a jej oczy wypełniły się łzami. - Boże! - powtórzyła.

Stara suka obok usłyszała ją i odwróciła się od klientki z dziećmi. Po wyrazie twarzy dziewczyny od razu zorientowała się, co się dzieje, i szybko podeszła, by otworzyć jej kasę.

- Daj jej to - powiedziała ponagłająco. - Daj jej wszystko, czego chce. Ale Debby nie mogła się ruszyć.

- Nie zabijaj mnie. Nie strzelaj - błagała.

Teraz również matka z dziećmi zrozumiała, co się dzieje. Jej oczy zrobiły się wielkie, kiedy centymetr za centymetrem, osłaniając swoje potomstwo, zaczęła wycofywać się w kierunku drzwi.

Starsza kasjerka wyciągnęła z kasy pełne garście banknotów i rzuciła je na kontuar.

- Bierz, co zechcesz.

April wciąż się nie poruszyła, skamieniała ze strachu. W kieszeni kurtki jej ręka mocniej zacisnęła się na pistolecie. Wszystko działo się tak prędko, a miała wrażenie, jakby minęły całe dni. Na kontuarze piętrzyły się pieniądze, w większości dwudziestki i jeszcze mniejsze banknoty, ale dojrzała tam również parę setek.

- Weź to - powiedziała jeszcze raz kobieta, podsuwając pieniądze bliżej April. - Tylko nie rób nam nic złego.

Kilka banknotów leniwie poszybowało ku podłodze.

I wtedy ktoś krzyknął. Weszła młoda matka ze spacerówką i na pierwszy rzut oka zorientowała się, co się dzieje. Krzyżąc, rzuciła się do ucieczki. April słyszała jej głos:

„Boże, napad na sklep!”

Wybuchła panika. April zrozumiała, że już nie ma szans.

- Weź to - nalegała starsza kasjerka, jakby zaniepokojona tym, że nie zechce ona zabrać pieniędzy i wynieść się stąd.

April sięgnęła po pieniądze, ale zawahała się. Potrzebowała dwóch tysięcy dolarów. Osiem czy dwanaście setek nie wystarczy; te banknoty leżały na kontuarze w luźnych kupkach, a jej nigdy nie uda się chwycić aż tyle i uciec. Jeśli w ogóle będzie mogła uciec.

- Weź to!

Nie. To nie wystarczy. Pieniądzy było za mało. A jeśli tak, to zrukuje sobie życie na próżno. Zdecydowała, że nic nie weźmie. Bez słowa zwróciła się do drzwi. Zrobiła to tak gwałtownie, że klientka z czepiającymi się jej ubrania dziećmi krzyknęła i upadła na podłogę, zasłaniając maluchy własnym ciałem.

Droga April prowadziła przez labirynt wieszaków i półek. Uznała, że tu będzie bezpieczniej niż na szerokich głównych przejściach. Nie mogła tu biec, ale może tak było lepiej? Może łatwiej uda jej się wymknąć z tego sklepu nim będzie za późno?

- Tam! - krzyknął ktoś i April błyskawicznie odwróciła głowę. Przez lewą ramię zobaczyła, że zbliża się do niej grupka młodych mężczyzn i kobiet.

Nikt z tych ludzi nie miał munduru ani broni w ręku, mogła więc sądzić, że są to pracownicy ochrony.

Rzuciła się do biegu. Nie zdołała się już wtopić w otoczenie. Jej jedyną szansą była ucieczka.

April kiedyś dobrze biegła. Nawet teraz, choć była w ciąży, wieszaki z ubraniami tylko śmigły obok. Z daleka zobaczyła szerokie przejście i tam się skierowała. Sylwetki pracowników i kupujących stawały się coraz większe w miarę, jak się do nich zbliżyła. W pobliżu stoiska z męskimi koszulami, gdzie przejście się zwężało, zderzyła się z szerokim, okrągłym wieszakiem pełnym przecenionych o połowę koszul. Straciła równowagę i rozbiła dziwnego manekina. Z dala zobaczyła kobietę, która, nie patrząc na nią, szła w jej stronę, mówiąc do papierowej torby. Jeszcze jedna z ochrony! Chryste, to miejsce było strzeżone lepiej niż fort Knox!

April pożałowała, że nie ma planu. Zdała sobie sprawę, jaka była głupia, decydując się na obrabowanie luksusowego sklepu, takiego jak ten, pełnego kamer i strażników. Jednak teraz niewiele już mogła poradzić. Za plecami słyszała narastający odgłos kroków. Doganiała ją armia ochroniarzy. Z przodu jeszcze większa blokowała boczne wejścia. Zobaczyła, że zbliżają się do niej nawet umundurowani strażnicy spoza centrum. Co za pech! Dlaczego

akurat teraz wszyscy strażnicy ochrony zebrali się przy wejściu do sklepu Macy'ego, a inni rabusie mogli uciekać, dokąd tylko chcieli?!

Będzie ciężko. Rzucając szybkie spojrzenie przez ramię, April skupiła się na zamaskowanym ochroniarzu - kobiecie z krótkofalówką w torbie. Teraz dzieliło je już około siedmiu metrów i kobieta przystanąła, mając nadzieję zablokować swojej ofierze drogę. April nawet nie zwolniła, kiedy skierowała się prosto na nią. Uderzyła w nią barkiem z taką siłą, że kobieta frunęła w powietrze, po czym wylądowała z trzaskiem na małym cokoliku, który brzęczał, gdy ktoś usiłował wynieść skradziony towar. April nie miała pojęcia, z czego zrobione są te czujniki, ale nie były odporne na uderzenia.

Wydawało się, że taki obrót sprawy wszystkich zaskoczył. Kiedy April jak strzała wypadła ze sklepu, ochroniarze zwolnili, żeby zobaczyć, czy ich koleżance nic się nie stało. April wiedziała, że te kilka sekund może zadecydować o jej życiu. Ludzie z ochrony sklepu w zasadzie już się nie liczyli. Teraz miała już tylko przeciwko sobie trzech umundurowanych facetów z centrum. Ruszyła w ich stronę i wyciągnęła swój mały pistolet.

- Ona ma broń! - krzyknął jeden ze strażników i wszyscy trzej gwałtownie przystanęli.

Z prawej strony zaczęła krzyczeć jakaś kobieta. Jej panika podziałała jak zapalka rzucona w suchą trawę. Niektórzy kupujący padli na ziemię, inni próbowali uciekać, większość jednak stała, skamieniała ze strachu. April nigdy nie widziała takiej reakcji. Najbardziej przestraszeni ze wszystkich wydawali się strażnicy; padli na podłogę i krzyczeli jak szaleni do krótkofalówek.

Cokolwiek miała zrobić, teraz był na to czas. Nie zwalniając tempa, April pomknęła przez park w centrum, z łatwością omijając drzewa i sztuczne skały. Jej obcasy wbijały się głęboko w poszycie. Chwytając za umieszczoną na wysokości pasa poręcz, która oddzielała teren dla gości od mocno chlorowanej wody w pluskającym potoku, wylądowała po kolana w lodowatej wodzie, po czym na czworakach przeszła pod poręczą z drugiej strony. Sunęła przez rabaty bratków i nagietków, przez kępy derenia, aż w końcu znalazła się po drugiej stronie parku.

Ludzie zachowywali się tu spokojnie, jakby nieświadomi tego, co się stało. Szybko spojrziała na obie strony. Pomiedzy nią i długim korytarzem do wyjścia awaryjnego nie było nikogo.

Wypadła przez podwójne drzwi. Pchnęła jakiegoś sprzedawcę, który odbił się od ściany i upadł na podłogę. Zanim zdołał się podnieść, wpadła na niego armia ochroniarzy. Nieszczęsny facet tylko jęknął.

Nie wiedziała, dlaczego uznała to za zabawne. Ta wyprawa do centrum była tak

surrealistyczna, że we wszystkim tkwiła teraz odrobina szaleństwa.

Uderzyła biodrem w drzwi awaryjne. Ich skrzydła pofrunęły na boki, jakby zrobiono je z kartonu. Zawył alarm.

April znów znalazła się na zewnątrz i w świetle dnia skierowała się na parking. Ciągle żałowała, że nie ma planu. Gdzie ma się ukryć? Jak uciec? Może strzelić za siebie w tłum prześladowców, żeby zatrzymać pościg? Odrzuciła ten pomysł. Strzelając na ślepo mogła kogoś śmiertelnie ranić.

Już bardzo długo biegła. Nogi zrobiły się tak ciężkie jak brzuch, nawet cięższe, bo każda nogawka nasiąkała wodą. Opuszczały ją siły. Gdyby jednak się poddała straciłaby Justina. Nie wolno jej do tego dopuścić.

Ale co to byłaby za walka? Po piętnastu, trzydziestu sekundach już ją dopadną. A było ich tak wielu przeciwko jej jednej, że Bóg wie, co mogłoby się zdarzyć.

Więc strzeliła. W ziemię, pod własne nogi. Na rozległym parkingu w ogóle nie było tego słychać - nic. Na pewno to nie wystarczyło, żeby przestraszyć ścigających. Strzeliła więc jeszcze raz. Tym razem zobaczyła, jak na nagrzanym słońcem chodniku w miejscu, w które wwierciła się kula, powstaje dołek.

Kroki goniących ustały. Wciąż nie odważyła się spojrzeć na bok, ale usłyszałyby je, gdyby nadal się zbliżały. Bardzo dobrze. To była jej szansa.

Nim dotarła do końca długiego szeregu samochodów, nogi miała jak z waty. Zobaczyła drogę, która pod kątem prostym przecinała jej trasę, a za nią był parking. Jak to możliwe...

Nie widziała, skąd znalazł się tu ten mężczyzna. Mignęła jej niebieska koszula, a potem znalazła się w powietrzu. Rzucił ją na tylne drzwi ogromnego terenowego samochodu. Ramię wycieraczki weszło w jej ciało, a gdy uderzyła uchem w szybę, usłyszała trzask. Posypał się grad drobniutkich odłamków szklanych. Kiedy runęła na chodnik, w rozbite szkło, w oczach płąsały jej niebieskie i żółte błyski. Miała wrażenie, że nigdy nie dotrze do ziemi. To był długi upadek, ale nie czuła uderzenia. Leżała teraz na pokrytej szkłem ziemi, otoczona ludźmi, którzy na nią krzyczeli, żeby... coś zrobiła. Kiedy próbowała wstać, odłamki weszły głębiej w ciało. Na swoich rękach zobaczyła krew. Krew? Skąd się ona wzięła?

W końcu uniosła głowę na tyle, że zobaczyła kilka twarzy. Rozpoznała niebieski mundur. Zauważyła też, że stojący obok chłopiec - bo trudno go było jeszcze nazwać mężczyzną - ma piękne oczy, niemal tak niebieskie jak jego koszula. Był tak przystojny, kiedy się uśmiechał, jego zęby błyszcząły jak na reklamie pasty.

Tyle że to nie był uśmiech. To był grymas. A chłopak miał w rękę pałkę. April zobaczyła, jak pałka zatacza łuk w kierunku jej głowy. Próbowała coś powiedzieć, żeby go powstrzymać, ale nie zdążyła.

18

Bobby wyłączył radio i zamknął oczy. Długo siedział bez ruchu w samochodzie, zanim wcisnął przycisk podnoszący wrota garażu. Ten wspinały dom - z trudem mogli sobie na niego pozwolić - zakupiony z nadzieją wypełnienia jego kilkusetmetrowej powierzchni przez gromadkę krzyczących i śmiejących się dzieci, drwił sobie teraz z niego. Kiedy do garażu wpadło światło dzienne, dojrzał deski, które kiedyś ułożył pod ścianą, zamierzając pewnego dnia zbić z nich półki. Westchnął tylko, rozumiejąc, że wszystkie wspinałe projekty, nigdy nie zostaną zrealizowane. Wrota z trzaskiem unosiły się do góry, a Bobby myślał o listach, które powinien napisać do swoich rodziców i przyjaciół z dzieciństwa.

W wyobraźni zobaczył gigantyczny, kościsty palec śmierci. Kiwała na niego, żeby zdjął nogę z hamulca i ruszył przed siebie w drogę, z której nie ma powrotu.

Porwanie.

Morderstwo.

Oba przestępstwa zagrożone najwyższą karą. Jezu, co powinien teraz zrobić?

Naturalnie znał rozwiązanie. Grunt to zebrać się na odwagę. W istocie istniały dwa rozwiązania, ale wiedział, że nigdy nie odebrałby sobie życia.

Mógł jednak uciec. Mógł skrócić w bok i parę sekund później pędzić już sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę do jakiegokolwiek miejsca na ziemi. To było aż za proste.

Brakowałoby mu Susan, ale ona miałaby dziecko, którego zawsze chciała. Mogłaby żyć sobie dalej własnym życiem.

Bo czego mogła oczekiwać od życia? Jak miałaby wytłumaczyć lub usprawiedliwić pojawienie się tego malca? Trzyletniego dzieciaka? Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że oboje zostali zapędzeni w kozi róg.

Może mogliby wyjechać. Zniknąć z oczu wszystkim, których znali, i wychowywać dziecko tak, jakby mieli je od zawsze. Ale gdzie tu sens? Pragnienie posiadania dzieci było związane z potrzebą posiadania rodziny, z potrzebą obdarzania większą miłością niż czuł to wobec swoich rodziców, żony i rodzeństwa. Zniknąć tylko po to, żeby mieć dziecko nie miało

sensu. Żadnego sensu.

Pozostanie oznaczało jednak poniesienie odpowiedzialności. Jeśli nie dziś, to wkrótce, a kiedy już do tego dojdzie, skończą się marzenia o ich wspólnej przyszłości.

A może podrzucić chłopca w nocy na ganek kościoła lub szpitala? Zakładając, że zdołałby namówić na to Susan. Czy jednak poprawi to, czy pogorszy jego sytuację? I co z chłopcem? Ile razy niewinne dziecko może być porzucane, zanim wyrządzi mu się tym krzywdę nie do naprawienia?

Te myśli, z którymi nie mógł sobie poradzić, paraliżowały go. Wiedział, że zawsze istniały odpowiedzi na takie pytania. Najważniejsza jest prawda. Tak napisano w Biblii.

Mijały minuty, a on siedział przy podjeździe pogrążony w myślach. Nie rozumiał wielu rzeczy. Na przykład, dlaczego ten gliniarz znalazł się wtedy w lesie o tak dziwnej porze? Jeśli był tam jego tajemniczy partner imieniem Samuel, to czemu nie przyszedł mu z pomocą?

Dlaczego ten mały chłopiec tak strasznie bał się policjanta, który przypuszczalnie znalazł się tam, żeby mu pomóc?

Ponieważ dobre uczynki nie są wpisane do rozkładu zajęć funkcjonariuszy policji, jest wielu policjantów, którzy przekroczyli cienką linię i dołączyli do przestępców. I dlaczego nie wspomniano w radiu, że zabity był glina? Mówiono o śladach i prowadzonym śledztwie, ale ani słowa o tak ważnym szczególe.

Policja czasem nie chce ujawniać pewnych aspektów dochodzenia, ale czy to możliwe, żeby mogli ukryć ważny szczegół? Czemu mieliby to robić? Ludzie byliby o wiele bardziej chętni do pomocy, gdyby wiedzieli, że ścigają zabójcę policjanta.

Nie było również ani słowa o zaginionym dziecku. Dlaczego? Może dlatego, ponieważ wydarzyło się to w Zachodniej Wirginii i radiostacje w Waszyngtonie uznały to za sprawę lokalną, którą nie warto sobie zawracać głowy. Ale przecież nawet najbardziej tępy dziennikarz spróbowałby powiązać oba wątki.

A może policja i FBI wiedziały już wszystko, co było im potrzebne, i tylko gromadziły siły, które spadną na małe, uśpione Clinton razem z oddziałami specjalnymi?

Im więcej rozmyślał, tym szybciej waliło mu serce.

W końcu stopą zwolnił hamulec i samochód wtoczył się do garażu na swoje miejsce, jak w każdy normalny dzień. Kiedy otworzył drzwi zorientował się, że nie ma tu należącego do Susan starego chryslera concorde. Zaniepokoił się. Gdzie ona mogła się wybrać? Postawił plastikową torbę z Kmartu na betonowej podłodze i pośpieszył do drzwi.

Otworzył je kluczem i pędem wpadł do kuchni.

- Halo! - zawołał, ale odpowiedziała mu tylko cisza. - Susan?!

Żadnej odpowiedzi.

- Susan? Gdzie jesteś?!

Natychmiast zauważył, że brakuje kartki, którą zostawił na stole w kuchni. Spojrzał przelotnie na niewykończony dwupoziomowy salon z wielkim kamiennym kominkiem. Ani śladu Susan. Nie było nawet codziennej gazety, która zawsze leżała na otomanie.

- Susan?

Przeszedł przez jadalnię i znalazł się w wyłożonym sztucznym marmurem holu. Jego głos odbijał się echem. Wszedł po szerokich schodach na górę.

Czemu położyli tu białą wykładzinę? To śmieszne, co za myśli przychodzą człowiekowi do głowy, kiedy jest się śmiertelnie przestraszony.

- Susan? - nawoływał dalej.

Teraz poruszał się szybciej. Skierował się najpierw do dzieciennego pokoju, gdzie również nikogo nie znalazł.

O cholera! Drzwi do sypialni małżeńskiej były zamknięte. Zbliżając się do nich, raz jeszcze zawołał:

- Susan!

Wokół łóżka leżały w nieładzie pudełka; część była otwarta, większość nie. Bobby rozpoznał skrawki ozdobnego papieru, w który opakowano prezenty, jakie jeszcze w grudniu dostali dla Stevena, kiedy jego personel wydał przyjęcie na cześć chłopca.

Już wiedział. Susan przekopywała paczki szukając ubrań dla dziecka. Ale po co? Właśnie w tym celu wymknął się do sklepu. Oczywiście musiała o tym wiedzieć, bo przecież przeczytała wiadomość, którą jej zostawił. Jak można nałożyć dziecku ubranka przeznaczone dla niemowlęcia?

Daniel Portis!

W jednej sekundzie wszystko stało się jasne. Daniel był młodszym przedstawicielem handlowym. Nie miał pojęcia, jak wygląda noworodek. W prezencie dał ubranko pasujące raczej na pierwszoklasistę. Bobby pamiętał, jak wszyscy z tego się śmieli.

Naturalnie Susan przypomniawszy sobie o tym prezencie. Ale dokąd poszła?

Może stało się coś złego i pojechała z małym do szpitala?

Samuel!

To imię bezustannie przychodziło mu na myśl. Ten tajemniczy Samuel, który odmówił pomocy swojemu przyjacielowi. Może w końcu dowiedział się, kim są i przyszedł się zemścić? Może ich zabrał?

Nie, nie... To niedorzeczne.

- Skończ z tym, Bobby - powiedział do siebie głośno. Wszystko musi mieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Ludzie nie znikają ot, tak sobie.

Przetrząsnął sypialnię w poszukiwaniu kartki z wiadomością, jakiejś wskazówki, dokąd Susan mogła się udać. Następnie przeszukał pokój dziecinny, a w końcu cały parter. Ani śladu.

I co miał teraz zrobić?

*

Susan wiedziała, że zrobiła bardzo, bardzo głupią rzecz.

Powinna siedzieć zamknięta w domu jak w klasztorze i zaciągnąć zasłony, ale nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Bobby zwiął. Nigdy nie robił żadnych zakupów, zawsze denerwował się, kiedy chciała, żeby coś kupili; nawet kiedy celem wyjścia do centrum handlowego było uzupełnienie jego garderoby. Dlaczego więc zdecydował się pojechać dzisiaj? To oczywiste. Chciał wydostać się z domu. Nie mogła go za to winić, ale przecież jej też należało się coś od życia. Jeśli spędziłaby w tym domu, niczym kura w kurniku, jeszcze jedną minutę, to z pewnością by zwariowała. Od tygodni nie było tu ani cienia uśmiechu. I nawet nowy członek ich rodziny niewiele zmienił pod tym względem. Przygnębienie wciąż zalegało całunem we wszystkich pomieszczeniach, jakby zostały wyklejone czarną tapetą.

Ponadto Steven potrzebował zmiany otoczenia. Teraz, gdy wypoczął i został nakarmiony, nie można już go było upilnować. Bez przerwy biegał po domu, zaglądając w każdy kąt, otwierając wszystkie szafki i szuflady. Patrząc na jego figle, przypomniała sobie Diabła Tasmańskiego ze starych kreskówek z królikiem Bugsem. Nigdy jeszcze nie widziała dziecka tak uważnie badającego swoje otoczenie. Wszystkiego musiał dotknąć. Zablokował przyciski na odtwarzaczu płyt kompaktowych w salonie - jakby zamiast palców używał młotka. Naderwał ucho nieszczęsnego pluszowego tygrysa, z którym się nie rozstawał.

Teraz znajdowała się w hrabstwie Montgomery w Marylandzie. Wyjmując z samochodu swojego nowego synka, zastanawiała się, co powie, jeśli przypadkiem wpadnie na kogoś znajomego. Dzięki temu, że dostali tyle prezentów z okazji narodzin dziecka, była w stanie ubrać chłopca. Fotelik samochodowy też pasował, chociaż jego obsługa wymagała czterech rąk. Kiedy wyciągała spacerówkę z bagażnika, trzymała rękę chłopca w uścisku silnym jak w imadle. Bała się, że ucieknie na parking, by bawić się w berka na zajmującej hektary powierzchni centrum handlowego.

Steven ciągnął ze wszystkich sił, chcąc się uwolnić. Choć nie ważył jeszcze piętnastu kilo, był bardzo silny. Susan w końcu miała tego dosyć i odezwała się gniewnie:

- Steven, natychmiast przestań!

Nie posłuchał. Podkurczył nogi i zawisł w powietrzu, trzymany przez nią za jedną rękę. Szarpnięciem postawiła go na nogi i mocno nim potrząsnęła. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Kiedy jesteśmy na ulicy, masz mnie trzymać za rękę, zrozumiałeś?

Najwyraźniej zastanawiał się, czy nie pociągnąć w swoją stronę jeszcze raz.

- Pytam, czy mnie rozumiesz?

W końcu kiwnął głową.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. Więc poczekaj chwilę, a ja wyjmę twój wózek.

Tym razem stał spokojnie, a ona wyjęła spacerówkę z bagażnika.

- Dwa latka? - usłyszała z tyłu.

Aż podskoczyła. Gdy się obróciła, zobaczyła starszą panią, przechodzącą przez parking. Kobieta uśmiechała się, ale jej uśmiech zbladł, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Susan.

- W moim domu nie było dwuletniego dziecka prawie od czterdziestu lat, ale rozpoznaję je z daleka - wyjaśniła kobieta.

Susan zrobiło się gorąco.

- Ach, tak!

Babcia uśmiechnęła się i poszła dalej.

To spotkanie dowiodło, że wyprawa do centrum była głupim pomysłem. Kobieta mogła być jej sąsiadką, albo kimś z firmy Bobby'ego. Ludzie wiedzieli o prawdziwym Stevenie i niewątpliwie zadawaliby pytania, na które nie była przygotowana.

W tym momencie zdała sobie sprawę, o czym Bobby chciał z nią porozmawiać. Musieli opuścić Clinton, Wirginię, a może nawet Wschodnie Wybrzeże. Musieli pojechać dokądś, gdzie nikt nie zadawałby pytań, na które nie było racjonalnych odpowiedzi. Potrzebowali czasu, żeby wszystko się ułożyło. Ludzie musieli zapomnieć o zwłokach w lesie, a Bobby i ona stopniowo poznaliby tego chłopca, który stał się częścią ich rodziny.

Teraz wszystko było jasne. To Bóg zesłał tego małego chłopca do lasu, aby oni go tam znaleźli. Niech się dzieje Jego wola.

Nie unikną problemów. Pozostaną jakieś gorzkie wspomnienia z przeszłości chłopca, z którymi będzie się on musiał zmierzyć, kiedy dorośnie. Po prostu nie da się przewidzieć efektów dramatycznych przeżyć okresu wczesnego dzieciństwa.

Ale to jest zadanie matki, czyż nie tak? Chronienie swojego dziecka przed wszelkimi zagrożeniami, niezależnie od tego, czy mają charakter fizyczny, czy emocjonalny. Ona i

Bobby mogą sobie pozwolić na najlepszych lekarzy, czy to w Stanach, czy gdzieś za granicą. I stać ich na wielką miłość, którą mogą dać chłopcu, by właściwie się rozwijał.

Dni złego traktowania Stevena już minęły. Nie będzie już żył w brudzie - dostanie najlepsze zabawki i ubrania. Świat stanie przed nim otworem, czego ona osobiście dopilnuje. Proszę, jak dobrze zareagował na parkingu, gdy delikatnie zwróciła mu uwagę. Ma talent rodzicielski - a to wszystko sprawił Bóg.

Susan spacerowała po centrum handlowym wyprostowana i dumna. Właśnie o takiej chwili najbardziej marzyła przed narodzinami Stevena. Tak jak Bobby fantazjował o zwycięstwach na boiskach do bejsbola i piłki nożnej, ona marzyła o całodziennych wyprawach do centrum. Kupowałyby razem ubrania, jedli coś, a może pobawiliby się przez chwilę na jednym z tych małych placów zabaw MacDonalda's'a. To byłby czas do umacniania wzajemnych więzi. Mogliby po prostu spacerować, rozmawiać i przyglądać się ludziom. Synek opowiadałby jej o swoich lękach i pragnieniach. Nie byłoby żadnych problemów z porozumieniem, o jakich się słyszy w innych rodzinach. Susan i Bobby stworzyliby atmosferę, w której dzieci mogą mówić o wszystkim, nie obawiając się reprymendy.

Martwiła się, że chłopiec nie chce mówić. Kiedy czegoś chciał, wskazywał na to, jęczał i pisał, ale nic nie mówił. Czy to nie skutek zaniedbania? Prawdopodobnie cierpiał z powodu zaburzeń rozwojowych, a dawna matka nigdy nie pomyślała o tym, żeby go zbadać.

Ucieszyła się, gdy wyraźnie powiedział słowo „tygrys”. Zabrzmiało jak dzwoneczka, kiedy wymówił je słodkim głosem małego aniołka. Jak ktoś mógł skrzywdzić takie piękne dziecko?

Ich pierwszym przystankiem był sklep dziecięcy Saks Fifth Avenue. Susan długo sprawdzała wszystkie sklepy w okolicy i zdecydowała, że jej dziecko będzie miało tylko to, co najlepsze. W ciągu trzydziestu minut kupiła mu parę spodni, sześć koszul, koszulkę do spania i stos bielizny. A on w tym czasie zabawiał się pociągając za dyndające karteczki z cenami i piszcząc ze śmiechu, kiedy coś z trzaskiem zsuwało się z wieszaka i spadało mu na głowę.

Susan nawet nie próbowała przymierzać kupowanych rzeczy. Był na to zbyt ruchliwy. Poza tym, czemu miała psuć mu zabawę?

W końcu skierowała się do kasy. W jednym ręku niosła górę ubrań, a drugą pchała spacerówkę.

- Ależ on śliczny! - zawołała z zachwytem kasjerka. - Jest podobny do pani jak dwie krople wody!

Susan promieniała.

Carlos Ortega od lat sam nie prowadził samochodu. Stać go było na każdy samochód na świecie, ale wybrał jeepa cherokee. Cherokee zapewniał mu komfort i status, ale nie budził takich skojarzeń, jak bajeranckie limuzyny i szpanerskie samochody sportowe. Ortega nie był alfonselem i nie życzył sobie, żeby ludzie myśleli inaczej.

Prowadził Peña. Żadnej wielkiej kawalkady towarzyszących mu ochroniarzy. Tak niech sobie jeżdżą Włosi w Nowym Jorku. Carlos wierzył, że siła polega na wzbudzaniu strachu i szacunku. Ludzie, którzy podróżowali otoczeni przez paranoicznych zbirów, okazywali słabość, lęk, że nie poradzą sobie bez posiłków. Ponieważ Carlos utrzymywał *image* człowieka bliskiego społeczeństwu, ludzie najpierw widzieli w nim przyjaciela, a dopiero potem biznesmena. Gdyby ktoś chciał do niego strzelić, najpierw musiałby się zmierzyć z Peñą. Do tej pory próbowało to zrobić dwóch ludzi i żaden z nich nie przeżył tego doświadczenia.

Carlos nie myślał zbyt wiele o własnej śmierci. Nie musiał tego czynić od czasu, kiedy przekonał swoich dostawców, że hierarchia zależności jest dla nich korzystna. W sąsiedztwie Mildford Carlosa znali wszyscy i większość przyznawała, że żyje im się znacznie lepiej niż wtedy, kiedy na każdym rogu ulicy rządził inny gang. Wiedziały to nawet gliny i okazywały niewielkie zainteresowanie rozwojem handlu. Dopóki był spokój, wszyscy byli szczęśliwi.

I właśnie dlatego ciemnowiśniowy cherokee jechał pokrytą śmieciami ulicą na spotkanie z Loganem. Carlos był tutaj od tego, aby utrzymywać pokój.

Peña zatrzymał się naprzeciwko domu Logana. Carlos zauważył trzech młodych mężczyzn, którzy stali przy wejściu na schody. Najwyższy z trójki pierwszy zobaczył samochód i przekazał wiadomość pozostałym. Trwało to krócej niż w sekundę. Najwyższy pomknął na górę po betonowych stopniach i zniknął wewnątrz, podczas gdy dwaj pozostali na dole zwarli szereg.

- Ooo... wyglądają na twardzieli - roześmiał się Peña.

- Nie traktuj ich surowo - ostrzegł go Carlos. - Są młodzi.

- I wrażliwi.

- Nie chcę na tej ulicy żadnych scen - zaznaczył Carlos. Wysiadł z samochodu i zaczekał, aż Peña do niego dołączy. Wtedy razem skierowali się do frontowych drzwi.

Chłopak, którego Carlos nigdy wcześniej nie widział - miał może z osiemnaście lat i

paradował z ufarbowanymi na pomarańczowo włosami - zagroził im przejście.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał wyzywająco.

- Nie sędzę - odpowiedział Carlos i łokciem odsunął go na bok.

- Ej! - krzyknął tamten i sięgnął pod kurtkę, ale zamarł, kiedy Peña zacisnął dłoń na jego tchawicy.

- To jest Carlos Ortega, gówniarzu - powiedział. - Nie wchodź nam w drogę.

Uwolnił chłopaka i nie czekając na jego reakcję, dołączył do szefa, który wspinał się po schodach.

Carlos najpierw spróbował przekręcić gałkę, potem zadzwonił. Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich człowiek, który przedtem pobiegł ostrzec swego szefa. Z tak bliska Carlos rozpoznał w nim Rickiego Timmonsa, przybocznego Logana. Wyglądał tak, jakby miał właśnie coś powiedzieć, kiedy Peña silnie pchnął drzwi, zmuszając go do wycofania się do holu.

- Gdzie jest Logan? - warknął.

Przez ułamek sekundy Timmons rozważał, jak się zachować. Skrzyżował spojrzenie z Peñą, ale nie zamierzał zrobić niczego głupiego.

- Jestem tutaj - zza zamkniętych drzwi po lewej stronie dobiegł do nich głos Logana.

Carlos otworzył drzwi i wszedł do tandetnie urządzonego salonu. Począł na Peñę i zamknął drzwi. Ściany wymagały odmalowania, a meblom przydałyby się nowe pokrowce. Carlos znał parę szczegółów na temat tego, jak Logan się wychowywał, i wiedział, że dla niego to prawdziwy pałac Buckingham.

Logan siedział z nogami na biurku. Nie udało mu się ukryć zdziwienia, kiedy wstał, żeby powitać gości. Był potężnym mężczyzną, a jego nos świadczył o tym, że często zaglądał do kieliszka.

- Carlos! Co cię tu sprowadza?

Carlos nie zamierzał prowadzić towarzyskich pogawędek.

- Co ja słyszę? Porywasz dzieci?

Logan chciał udąć, że o niczym nie wie, ale zrozumiał, że Carlos tego nie kupi.

- Mam pewne problemy związane z interesami, o które muszę się troszczyć. Od kiedy to mówisz mi, jak mam prowadzić moje interesy?

Logan górował nad Carlosem o dobre dwadzieścia pięć centymetrów. Cofnął się jednak, kiedy Carlos podszedł bliżej.

- To nie jest twój interes, Patrick. Ile razy mam wbijać ci to do głowy? To jest mój interes, a ja przypadkiem pozwalam ci uszczknąć z niego kawałek.

- Na miłość boską, Carlos - mruknął Logan i rozejrzał się.

- Zamknij się. Powtórzę to jeszcze raz, żebyś miał pewność, że usłyszałeś. To jest mój pieprzony interes. Chcesz ze mną pracować? No to żyj według zasad i przepisów korporacji. Czy mówię jasno?

- Kto, do diabła... - zaczął Logan. Jego twarz poczerwieniała.

- Zamknij się! - tym razem Carlos krzyknął i Logan aż podskoczył - Zamknij się, kurwa, i posłuchaj. Siadaj!

Logan usiadł.

- Jestem tutaj po to, żeby wygłosić mowę, a ty masz jej wysłuchać. Nawet nie chcę wiedzieć, dlaczego porwałś to dziecko, nic mnie to nie obchodzi. Zrobiłeś cholerne głupstwo.

Irlandczyk uderzył rękoma w blat i skoczył na nogi.

- Przychodzisz tutaj i masz czelność...

- Siadaj! - Kiedy tym razem Carlos krzyknął, zdawało się, że zatrzęsł się cały budynek Logan jeszcze usiłował się opierać, ale gdy Carlos przeszył go wzrokiem, skulił się i usiadł.

- Idioto - powiedział Carlos, patrząc Loganowi w oczy. - Zrobiłeś cholerne głupstwo. Jeśli masz z kimś na pieńku, załatw to. Twoja sprawa. Dopóki nie przelewasz krwi na moich ulicach, nic mnie to nie obchodzi.

- Więc czego chcesz ode mnie? Stary dzieciaka jest mi dłużny osiemnaście setek.

- Jego ojciec, Patrick, jego ojciec jest ci winien pieniądze. Nie jego matka, która odwiedziła mnie po tym, jak ją tu sponiewierałeś, i nie sam dzieciak, ale jego ojciec.

- Zabrałem mu dzieciaka, żeby znalazł sposób na to, jak oddać mi pieniądze.

Ręka Carlosa mignęła w powietrzu. Logan poczuł uderzenie w twarz. Gdy rozwścieczony zerwał się błyskawicznie na nogi, Carlos uderzył powtórnie.

- Usiądź - tym razem powiedział to tak łagodnie, że Logan zaczął go słuchać. Przez dłuższy czas obaj patrzyli na siebie.

- Mógłbym cię zabić - zagroził Logan, kipiąc ze złości.

- Więc lepiej zrób to pierwszym strzałem - odwarknął Carlos.

Wyglądali jak Dawid i Goliat. Gdyby ta sprawa dotyczyła kogoś innego, całe zajście byłoby komiczne. Logan znów usiadł.

- Oto, co zrobisz - kontynuował Carlos. - Zwrócisz dziecko. Wypucujesz je na wysoki połysk i oddasz matce. Ma być w takim stanie, żeby widziała, iż włos nie spadł mu z głowy. Zrobisz to przed zachodem słońca.

- A co z moimi pieniędzmi?

- Zapomnij o tych pieprzonych pieniądzach. Albo połam dupkowi nogi czy wrzucić go do rzeki, nie obchodzi mnie to. Tylko oddaj dziecko.

- Mogę to zrobić dopiero wieczorem.

- Dlaczego?

- Ponieważ dzieciaka tutaj nie ma.

- Więc gdzie, u diabła, jest?

- Co ty myślisz? Że zajmowałbym się nim sam? Przekazałem gówniarza na zewnątrz.

- Komu?

- Pewnemu znajomemu facetowi ze wsi.

- Ile cię to kosztowało?

- Kolejny tysiąc - Logan wzruszył ramionami.

Carlos nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Zwrócił się do Peñy, żeby to potwierdził. Ten odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Ustalmy fakty. Facet jest ci dłużny parę tysięcy dolarów, ale nie chcesz zrobić mu krzywdy, bo chcesz dostać pieniądze z powrotem. To ma sens. Jednak ty dzwonicz do jakiegoś innego dupka, który jest twoim przyjacielem, żeby porwał chłopca. I to kosztuje cię następny tysiąc. Co ty do cholery sobie myślisz?

Logan skrzywił usta w grymasie, który miał być uśmiechem.

- Nazywam to kosztami i odsetkami.

- Więc ile ten gość, Simpson, jest ci dłużny?

Irlandczyk spojrzał na sufit i zamknął oczy, jakby rozwiązywał jakieś równanie.

- Jego stara złożyła już depozyt, więc na dziś mógłby to załatwić za osiemnaście stów.

Jutro... Wygląda na to, że będzie to przeszło dwa tysiące.

Carlos zrozumiał, do czego to prowadziło, ale chciał to usłyszeć od Logana.

- A co się stanie, kiedy on ci w końcu powie, że nie może zapłacić?

- Wtedy będzie miał zły, naprawdę zły dzień - Logan znów wzruszył ramionami.

Śmiał się, nie zwracając uwagi na to, że tylko jego bawią te słowa.

Carlos podszedł do biurka, a Logan cofnął się wraz z krzesłem i wpadł na Peñę. Nawet go wcześniej nie zauważył.

Carlos oparł ręce na poręczach krzesła, na którym siedział Logan, i pochylił się tak, że ich nosy dzieliło mniej niż trzydzieści centymetrów. Z rozmysłem demonstrował, że niczego się nie obawia ze strony tego sukinsyna.

- A co z chłopcem? - wysyczał. - Co się z nim stanie, jeśli jego ojciec nie będzie mógł zapłacić?

Po raz pierwszy na twarzy Logana pojawiły się oznaki prawdziwego niepokoju. W końcu pojął, że jest w niebezpieczeństwie. Trzymał wyciągnięte ręce, żeby Ortega nie mógł się bardziej zbliżyć.

- No cóż, Carlos... ja nigdy nie spodziewałem się, żeby on zapłacił - wyjąkał.

- Co stanie się z chłopcem? - powtórzył Ortega.

Logan spojrzał przez ramię, żeby sprawdzić, czy może zostać zaatakowany od tyłu.

- On... no wiesz... On... - jąkał się. Bał się powiedzieć prawdę... - Carlos, na miłość boską, to tylko dzieciak!

Carlos przez długi czas patrzył Loganowi w oczy, a potem, nie odwracając wzroku, skinął głową.

Logan chyba przeczuł, co się szykuje, ale kiedy usiłował wstać, Carlos pchnął go z powrotem do tyłu. Nim zdążył spróbować jeszcze raz, Peña zarzucił mu na szyję pętlę z cienkiej nylonowej linki, mocno ją zaciągnął, szarpnął do tyłu i powalił Irlandczyka na podłogę. Logan rzucał się niczym ryba, walcząc o oddech. Jego oczy wypełniły się przerażeniem, palce wczepiały się w garotę.

- Posłuchaj mnie, Patrick - powiedział Carlos o wiele bardziej łagodnie niż przedtem. - To bardzo ważne. Uważasz?

Logan gorliwie przytaknął, a jego twarz zrobiła się purpurowa.

Carlos spojrzał na Peñę, który rozluźnił sznur na tyle, żeby krew mogła krążyć. Powietrze z charczeniem zaczęło przepływać przez posiniaczoną tchawicę Irlandczyka.

- Logan, jesteś idiotą - oznajmił Carlos, nie podnosząc głosu. - Bezwartościowym, pieprzonym idiotą. Czy nie rozumiesz, dlaczego mogliśmy odnieść sukces tak szybko? Dlatego, że ludzie się mnie obawiają, i ponieważ wiedzą, że jestem użyteczny dla społeczności. Jestem w jednej osobie ONZ-tem i najpotężniejszym związkiem zawodowym. Mamy zasady, według których prowadzimy biznes, i trzeba wyeliminować każdego, kto się do nich nie stosuje. Wiesz o tym, prawda? Powiedz mi, że rozumiesz.

Logan nabrał powietrza i skinął głową. Tak, rozumiał.

- To dobrze. To dobrze, że rozumiesz. Rozumiesz więc również, że gliny zostawiają nas w spokoju, ponieważ nie sprawiamy im kłopotów. Kiedy chcemy komuś wpięprzyć, zabieramy go gdzie indziej. Nie sramy do własnego gniazda. Mam nadzieję, że to też rozumiesz.

Kolejny haust powietrza i kolejne potwierdzenie.

- Dobrze. Kiedy tylko ktoś szepnie słówko, że jeden z ludzi, którzy pracują dla mnie, jest pieprzonym kidnaperelem i obiera sobie za cel dwuletnie dzieci, to czy myślisz, że policja

dalej będzie patrzeć przez palce? A może sądzisz, że ludzie w okolicy nadal będą naszymi przyjaciółmi, jeśli zdadzą sobie sprawę z tego, że dla paru dolarów zabijasz ich dzieci? Czy tak właśnie myślisz?

Tym razem sapnięcie oznaczało przeczenie.

- Otóż to. I właśnie dlatego skontaktujesz się ze swoim kumplem, który ma dziecko, i powiesz mu, żeby odwiózł je do domu. Myślisz, że możesz to zrobić?

Peña tym razem szarpnął linką, żeby podkreślić znaczenie tego pytania. Carlos nie czekał na odpowiedź.

- Jeśli chodzi o pieniądze, gównu mnie obchodzi, co z tym zrobisz. Ale dzieciak wraca do domu. Dziś wieczór.

Logan energicznie przytaknął i Carlos skinął na Peñę, żeby rozluźnił pętlę. Logan odetchnął.

- Dziś wieczorem nie zdążę! On jest za daleko! Jutro! Mogę go odesłać do domu jutro wieczorem!

Oczy Carlosa zwęziły się.

- Gdzie on jest?

- Gdzieś w górach.

- W jakich górach?!

- W Zachodniej Wirginii. Rozumiesz, nie chciałem, żeby znaleziono ciało - wyjaśnił Logan. - Jeśli do tego by doszło - dodał szybko.

Carlos znów uderzył go w twarz, tym razem rozcinając Irlandczykowi wargę.

- Ty chory sukinsynu! - warknął.

Policzek mu jednak nie wystarczył. Poprawił uderzeniem pięści, rozbijając nos Loganowi, któremu spływała teraz po twarzy krew i smarki. Carlos wziął od Peñy końce garoty i sam mocno je zacisnął.

- Masz osiemnaście godzin. Osiemnaście. Do dziesiątej rano dziecko ma być w domu u mamy. W innym razie pożałujesz, że nie zabiłem cię już dzisiaj.

Przez chwilę Carlos zastanawiał się, czy z powodu tej afery i tak go nie zabić; byłoby to całkiem łatwe. Jednak zasady obowiązywały wszystkich. Nie należy srać do własnego gniazda. Ponadto chodziło o odzyskanie dzieciaka. Jeśli Logan zginie, w żaden sposób nie będzie można go odnaleźć.

- Osiemnaście godzin - mruknął Carlos. - Dzieciak nie może mieć nawet zadrapania. Od tej chwili przy życiu utrzymuje cię tylko ten mały chłopiec.

Kiedy Carlos i Peña odwrócili się, zobaczyli Ricky'ego Timmonsa, który stał w

drzwiach i gapił się z otwartymi ustami.

- Mam nadzieję, że zdążyłeś to zanotować - powiedział ze śmiechem Peña.

Ricky poczekał, aż goście sobie poszli, i wtedy popędził pomóc szefowi, który ciężko łapał oddech.

20

Im dłużej Bobby rozmyślał, tym silniej rozpalał się w nim gniew. Miał nerwy w strzępach. Był pewien, że nie zniesie tego dłużej. W chwili posępnej refleksji zrozumiał, że jeśli nie zrobi czegoś, to przerażenie, w jakim teraz żył - objawiające się nieustającymi lekkimi mdłościami - będzie mu towarzyszyć przez resztę życia. Tego, czego doświadczał teraz, doświadczać będzie również w przyszłości. Każdy, kto zapuka do drzwi, może być gliną. Spojrzenie każdego, kto rozpozna go w sklepie spożywczym, będzie oskarżeniem.

To absurd. Jak pięciominutowy epizod mógł spowodować tak wiele problemów w trzydziestoczteroletnim życiu? Dziewiętnaście lat spędzonych na nauce w szkołach, przewodniczenie klubowi dyskusyjnemu ani też następne lata, kiedy doskonalił się w świecie biznesu, nie przygotowały go na taką chwilę. Kiedy życie stwarza zaskakujące okoliczności, jak piłki z lewej strony boiska, reaguje się instynktownie. Przeżyjesz lub zginiesz. Tymczasem on przeżył, ale zwyciężając ściągnął na siebie niezliczone komplikacje.

Niech szlag trafi dowody - powinien oddać się w ręce policji. Był niewinny, jeśli nie według litery prawa, to zgodnie z własnym sumieniem. Oczywiście policja, sędzia i ława przysięgłych to dostrzegą. A kiedy zostanie uznany za niewinnego, odzyska własne życie. Jakie ono by było? Z pewnością straciłby pracę. Bentomn i Arbrosi nie mogą sobie pozwolić na atmosferę skandalu wokół jednego ze swoich przedstawicieli, podobnie jak nie zrobiliby tego ich konkurenci. Czy mu się to podoba, czy nie, aresztowanie za morderstwo zaciąży na jego życiorysie, a późniejsze uniewinnienie nie będzie już miało znaczenia. Razem z posadą straci dom, który zostanie zajęty przez bank. Swój wielki dzień będzie miała prasa, ekscytując się jeszcze jedną sprawą związaną z porwaniem dziecka. Nawet jeśli zostanie uznany za niewinnego, będzie miał szczęście, znajdując sobie posadę sprzedawcy w CompUSA, nie mówiąc o jakiejś innej prestiżowej firmie softwarowej.

I to był ten najlepszy scenariusz. Bóg jeden wie, co może się zdarzyć w innej sytuacji. W najgorszym wypadku trafi do celi śmierci. Albo dostanie dożywocie bez prawa do

przedterminowego zwolnienia. Kiedyś nie myślał o takich sprawach. A w tej chwili nie potrafił rozstrzygnąć, która możliwość jest gorsza.

Usiadł ciężko na obitej niebieskim materiałem sofie w salonie i oparł głowę o poduszki, próbując wyobrazić sobie następny ruch. Przez długi czas unikał podejmowania ważnych życiowych decyzji: pracował, szedł na spacer lub grał na komputerze, zamiast bezpośrednio stawić czoło twardym realiom. Doświadczenie uczyło, że większość kryzysów, jeśli pozostawić je w spokoju, rozwiązuje się sama. Ale sytuacja z każdą sekundą tylko się pogarszała.

Oddanie się w ręce policji nie wchodziło w grę. Musiała jednak istnieć jakaś inna droga.

Podstawowym problemem było dziecko, zwłaszcza kwestia tego, dokąd je oddać. Gdzieś tam rodzice wariują ze zmartwienia z powodu straty syna. Przy odrobinie szczęścia oddanie go w ich ręce wszystko naprawi. Jeśli tylko jego ojciec nie był tym gliną, który leży teraz martwy gdzieś w środku lasów Zachodniej Wirginii. Tak czy owak powinni zwrócić dziecko.

Bobby'emu spodobał się pomysł podrzucenia małego w kościele. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym rozsądniej to wyglądało. Oczywiście musiałyby wybrać właściwą porę. Poczekać, aż zapadnie zmrok i wpuścić chłopca do kościoła. Już ktoś go tam znajdzie. Tak, to mogło się powieść!

Jeśli dzieciak nie powędruje gdzieś indziej.

Bobbi wyobraził sobie, jak ten chłopiec o słodkiej buzi wychodzi z kościoła i trafia w uliczny ruch. Czy nie ponosiłby za niego odpowiedzialności?

Do diabła, jak w ogóle można myśleć w takich kategoriach?

Jakiegolwiek wybiorą miejsce, muszą mieć na małego oko, dopóki ktoś się nim nie zajmie.

Może dom towarowy? Tam ktoś od razu zauważy zagubionego chłopca wędrującego między stoiskami. Jedyne mankament to kamery systemu bezpieczeństwa, które są tam wszędzie. Bobby wyobraził sobie, jak w wieczornych wiadomościach pokazują niewyraźny obraz: ktoś wchodzi do sklepu, ciągnąc za sobą małego chłopca, a potem wychodzi bez niego. Prawie słyszał, jak prezenter wzywa widzów, żeby pomogli zidentyfikować tę tajemniczą osobę, która postąpiła tak nieodpowiedzialnie z własnym dzieckiem.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się nowa alternatywa, szybko ją odrzucał, ponieważ była albo zbyt ryzykowna dla dziecka, albo zbyt ryzykowna dla niego. Jak ktoś może zgubić dziecko? Skoro tak trudno zrobić to umyślnie, w jaki sposób wielu ludziom

przydarzało się to przypadkiem?

Zadzwoił telefon i Bobby wstrząsnął się na jego dźwięk. Zerwał się z sofy, jak strzała pomknął do kuchni i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Cześć Bobby, to ja - powiedziała radośnie Susan. - Zapomniałam zostawić ci wiadomość, że u Stevena i u mnie wszystko w porządku. Przez większą część popołudnia będziemy poza domem.

- U Stevena? - próbował zachowywać spokój, ale poczuł bolesny skurcz w żołądku.

Susan zaśmiała się.

- Właśnie tak postanowiłam go nazwać. Zawsze podobało mi się imię Steven.

Bobby oparł się o krawędź lady i przyłożył słuchawkę do drugiego ucha, usiłując zapanować nad oddechem.

- Mnie też się podoba. Właśnie dlatego mieliśmy tak nazwać swoje dziecko.

- I nazwałam. Boże, jaki on ładny.

To prawda. Rozmawiali o tym.

- Kochanie, gdzie jesteś? Musimy porozmawiać o pewnych sprawach.

- Jestem w centrum handlowym. Myślałam, że zdecydowaliśmy się porozmawiać o tym później.

- W centrum! - wykrzyknął. - Czy ty zwariowałaś? Co będzie, jeśli ktoś cię zobaczy?

- Jestem w White Flint - roześmiała się Susan. - Nie poszłabym nigdzie, gdzie może nas ktoś znać. Dasz mi nagrodę za pomysłowość, prawda?

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Powinieneś zobaczyć, jak Steven kontaktuje się z ludźmi. Jest czarujący. Po prostu uwielbiam z nim być.

Serce Bobby'ego tłukło się o zebra. Było źle. Nie rozumiał dokładnie, co się dzieje, ale było naprawdę bardzo źle.

- Susan, zostań tam, gdzie jesteś, dobrze? Wsiądę do samochodu, podjadę i zabiorę cię.

- Nie, nie, wszystko jest w porządku. Cudownie się bawimy. Poza tym nie wiem, jak długo jeszcze tu będę.

- Nie, nie kochanie. Przyjadę za czterdzieści pięć minut. Dobrze?

- Bobby, powinieneś odpocząć. Na pewno jesteś wyczerpany.

- Nie, czuję się świetnie. Daj mi tylko chwilę i...

- Nie potrzebujemy cię tutaj. Wolimy być sami - powiedziała mniej przyjemnym

tonem.

W jego głowie kłębiły się myśli. Nie wiedział, co robić. Oni natychmiast muszą wrócić do domu.

- Kochanie, posłuchaj...

- Czas na nas. Steven zaczyna kaprysić w wózku. Kocham cię, Bobby.

Rozłączyła się.

- A niech to cholera! - krzyknął, aż jego głos odbił się echem po domu, który nagle znienawidził bardziej niż cokolwiek w życiu. To było miejsce, które ciążyło na jego życiu jak kotwica. Z trzaskiem odłożył słuchawkę na widełki umieszczone na ścianie, potem znów ją podniósł i cisnął w granitowy blat. Na lśniącą podłogę kuchni posypał się grad plastikowych odłamków.

*

Detektyw Tom Stipton potarł brwi. Miał już dość tego wszystkiego, a pozostało mu jeszcze dwanaście lat do emerytury.

Pięć godzin temu dowiedział się, że został zastrzelony w Zachodniej Wirginii. Tak szczęśliwie się złożyło, że siedział za własnym biurkiem, kiedy dowódca zmiany, kapitan Mason, przełączył do niego rozmowę.

- Cześć, Tom. Mam na trzeciej linii policjanta z policji stanowej z Zachodniej Wirginii, który chce porozmawiać z tobą o kimś, kogo znasz.

Po głosie kapitana Tom zrozumiał, że stało się coś bardzo złego.

- W czym problem?

- Po prostu przyjmij rozmowę. Zachowaj spokój. Obawiam się, że nie jest to dobra wiadomość.

Tom nacisnął migoczący przycisk.

- Słucham - powiedział.

Głos z drugiej strony był ponury, poważny.

- Mówi porucznik LaRue z policji stanowej Zachodniej Wirginii. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa jednego z waszych funkcjonariuszy.

- Jezu! - jęknął Tom. - Jednego z naszych? Kogo?

- Detektywa Stiptona.

W tym momencie Tom musiał mieć taki wyraz twarzy, na który jego koledzy tylko czekali, bo wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem. Wprost ryczeli, waląc się rękoma w kolana.

Kiedy mógł już znów usłyszeć własny głos, wyjaśnił, jak to się stało, że jego policyjna

odznaka została skradziona z szafki w klubie sportowym. Teraz ta sprawa właśnie się kończyła. Pozbawiono go za karę tygodniowych poborów i początkowo panowała opinia, że cała sprawa nie zaszkodzi jego karierze. Niewątpliwie jednak w Wydziale Spraw Wewnętrznych zastanawiano się, czy Stipton nie ułatwił kradzieży swojej odznaki, żeby jacyś przestępcy mogli z niej skorzystać?

Usunięto go z wydziału zabójstw i przeniesiono do wydziału drobnych przestępstw - przechowalni nieudaczników i ludzi tak bliskich odejścia na emeryturę, że wydział nie chciał, by stała im się jakakolwiek krzywda.

Podniósł głowę i zobaczył, że przyprowadzono zatrzymaną kobietę. Była wysoka - miała ze sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. W zaplamionym, kupionym w sklepie z używaną odzieżą ubraniu wyglądała jak kupa nieszczęścia. Jej głowę pokrywał ogromny bandaż, który niemal zasłaniał lewe oko. Widok był tym bardziej zaskakujący, że kobieta była w zaawansowanej ciąży. Idący po obu stronach umundurowani funkcjonariusze wprowadzili ją do pokoju przesłuchań, zdjęli kajdanki i usadzili na krześle.

- To jest ten nasz uzbrojony rabuś? - zapytał Tom.

- Tak, to ona. Od czasu, kiedy ją przejeżdżaliśmy, nie powiedziała ani słowa - odparł sierżant Sammy Feitner, starszy stopniem, mający prawie dwa metry wzrostu.

- Wygląda raczej na ofiarę niż na przestępcę. To ty załatwiłeś jej ten bandaż na głowie?

- To nie w moim stylu, Tom - skrzywił się Feitner. - Poniosło jednego z ochroniarzy. Nazywa się Brandon i był w liceum mistrzem w wybijaniu piłki do bazy.

Tom aż skrzywił się na myśl, że można tak komuś rozbić głowę..

- Była już w szpitalu?

- Odmówiła leczenia - powiedział sierżant i pokręcił głową.

- Czuje się dobrze?

- Chyba, tak. Ale, jak wiesz, minęło już trochę czasu, od kiedy skończyłem medycynę.

O, ten sarkazm charakterystyczny dla komisariatu. Jak Tom mógłby bez niego żyć?

- A co z jej aktami? Już je wyciągnęliście?

- Nie ma tego za wiele. Kilka lat temu aresztowano ją za posiadanie narkotyków, ale wyszła z tego - oznajmił Feitner, wyciągając z tylnej kieszeni komputerowy wydruk.

Stipton przede wszystkim zwrócił uwagę na adres - Sosnowe Osiedle. Już samo to wystarczyło, żeby ją aresztować.

- Tu mamy zeznania od ludzi z ochrony sklepu - dodał drugi policjant, wręczając mu kolejną porcję papierów oraz torbę na zakupy ze sklepu Macy'ego. - A tutaj kopię nagrania

wideo z kamer systemu ochrony.

Tom podpisał się na druczku przejęcia aresztanta.

- I nic nie powiedziała?

- Nawet nie otworzyła ust.

- Nie zażądała adwokata?

W odpowiedzi Feitner tylko pokręcił głową.

- A zatem, panowie, bardzo wam dziękuję za dobrze wykonaną pracę - oświadczył Tom, mówiąc umyślnie przesadnie oficjalnym tonem, co wywołało u nich uśmiechy. - Za dużo pracujesz, Tom - powiedział śmiejąc się Feitner. - Zaczyna ci odbijać.

Gdyby tylko wiedział, jak bardzo.

April nawet nie uniosła głowy, by spojrzeć na niego, kiedy otworzył drzwi i podszedł do stołu, żeby usiąść na krześle naprzeciwko.

- Pani Simpson, jestem detektyw Stipton z policji w Pittsburgu. Może coś pani podać? Woda mineralna, szklanka kawy?

April nawet nie drgnęła.

Tom skinął głową. W takich przypadkach jego cierpliwość była niewyczerpana. Prawdę mówiąc, zachowywanie milczenia nie było w tym przypadku złą strategią.

- Dobrze, w takim razie, chociaż jestem pewien, że policjanci, którzy panią aresztowali, odczytali już pani prawa, zrobię to jeszcze raz. Choćby po to, żeby upewnić się, że wszystko odbyło się jak trzeba.

Wydobył z wewnętrznej kieszeni portfel i wyciągnął zalaminowaną kartkę z wydrukowanymi prawami aresztowanego. Dla każdego obrońcy to był tak ważny moment, że zmusił się do odczytania tego, co zna na pamięć każdy fan serialu *N. Y. P. D. Blue*. Słowa niczym uderzenia młota, wbijały kobietę coraz głębiej w krzesło. Kiedy skończył, dotykała podbródkiem piersi. Zrobił przerwę na tyle długą, żeby schować kartę. Potem ciężko oparł rękę na stole.

- Hej, April - powiedział łagodnie. - Spójrz na mnie.

Zawahała się, potem powiodła wokoło oczami, chwiejnie unosząc głowę. Mimo siniaków i opuchlizny nadal była piękną kobietą.

- Dostałaś paskudny cios w głowę. Jesteś pewna, że nie chcesz zobaczyć się z lekarzem?

Kiedy potrząsnęła przecząco głową, musiało ją to zaboлеć, bo sięgnęła dłonią do opatrunku przyklejonego plastrem. Tom zauważył manicure na jej palcach.

- Czy możesz mi opowiedzieć, jak to się stało? - Zawsze trzeba zaczynać od

zadawania pytań, na które zna się już odpowiedzi. - Czy ten, kto cię uderzył, był jednym z naszych ludzi?

- Czy to ważne?

- Myślę, że tak - odpowiedział Tom, wzruszając ramionami. - Nie lubię, gdy policjanci biją ludzi na ulicach.

Zastanawiała się, czy odpowiedzieć, ale w końcu znów potrząsnęła głową, słabiej niż poprzednio.

- Wydaje mi się, że nie. Myślę, że to był jeden z wynajętych przez centrum ochroniarzy.

Tom z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął notes i zapisał jej słowa.

- Czy chcesz wnieść oskarżenie? - zapytał. Nigdy nie zaszkodzi, jeśli podejrzany ma złudzenie, że przesłuchujący go stoi po jego stronie.

April uśmiechnęła się, jakby nagle zrozumiała, co się za tym pytaniem kryje.

- Może tak zrobię. Będę musiała to przemyśleć.

Tom znów coś zanotował, maskując rozczarowanie. Gdyby odpowiedziała „nie”, byłby to argument świadczący o jej winie.

- Słusznie. A co z adwokatem? Czy chcesz, żeby był obecny przy naszej rozmowie?

- Nie mam nic do powiedzenia.

Tom skinął głową, jakby podzielał jej punkt widzenia.

- No cóż, prawda jest taka, pani Simpson... Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym mówił do pani April?

- Mów do mnie Abe Lincoln, jeśli chcesz. Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała, wzruszając ramionami.

- Dobra, a więc będę mówił do ciebie April. Prawda jest taka, że potrzebuję twojej odpowiedzi do zaprotokołowania. Czy chcesz, żeby podczas naszej rozmowy był obecny adwokat?

April wciągnęła głęboko powietrze i zamknęła oczy, widocznie czując ukłucie bólu.

- Nie obchodzi mnie to - powtórzyła.

- To znaczy tak czy nie?

- Nie, bo i tak nic nie powiem.

Zanotował to.

- W porządku. A teraz obejrzymy sobie razem coś w telewizji.

Telewizor i magnetowid stały w rogu pokoju, na wózku. Tom przyciągnął go bliżej stołu i ustawił tak, żeby oglądając nie musieli odwracać się do tyłu. Ekran z trzaskiem

przebudził się do życia. Zanim Tom włożył kasetę do magnetowidu, sprawdził, czy taśma z zapisem przestępstwa nie jest oryginałem, który powinien być zamknięty w szafce z dowodami. Nie, to była kopia. Przez parę sekund obraz tańczył, aż w końcu zobaczyli nakręconą z wysoka scenę: April wchodzi do działu kredytów, podchodzi do stolika, bierze kawałek papieru i coś na nim pisze.

Tom zatrzymał taśmę, potem przez parę sekund grzebał w szarej kopercie. W końcu wydobyl z niej plastikową torebkę, do której ktoś włożył ankietę dla klientów, o wymiarach osiem na trzynaście centymetrów.

- Jak wiesz - powiedział Tom - osoba, którą tu widzimy, pisze: „Oddaj mi wszystkie pieniądze z kasy. Nie wpadaj w panikę i nie włączaj żadnych alarmów. Jestem uzbrojona.”

Gdy znów włączył taśmę, oboje zobaczyli, jak kobieta poszła najpierw do okienka po lewej, a potem do nowo otwartego okienka po prawej. Taśma nie odtwarzała dźwięku, ale kobieta, która wyglądała jak April, była bardzo podekscytowana. Kiedy przesunęła zwitek przez ladę, obraz zaczął się powiększać, aż rysy twarzy stały się wyraźne. Tom zatrzymał taśmę, cofnął ją, a potem pokazał tę część jeszcze raz.

- Ludzie w biurze ochrony zauważyli, że dzieje się tutaj coś niezwykłego i postanowili przyjrzeć się temu nieco dokładniej. Jaki ten obraz jest wyraźny, prawda?

Jeszcze raz puścił taśmę i zobaczyli wtedy poruszenie w oddziale kredytowym. Patrzyli, jak kobieta, podobna do April wybiega w panice z biura. W tym miejscu zaczęła filmować inna kamera. Kobieta biegła przez dział męski, przewracając elementy ekspozycji. Całą jej drogę przez sklep śledziły kolejne dwie kamery, aż do miejsca, gdzie popchnęła kobietę przy drzwiach i wypadła na zewnątrz. Wtedy film się urwał i Tom zatrzymał magnetowid.

- Bardzo interesująca sprawa, nie uważasz? Chciałabyś to zobaczyć jeszcze raz?

April nic nie odpowiedziała. Z uwagą studiowała wypaloną przez niedopałek papierosa dziurę na fornirze stołu.

Tom wzruszył ramionami i przewinął taśmę, po czym wepchnął wózek z powrotem w róg. Kiedy powrócił na krzesło, przysunął się do biurka i ciężko oparł się na nim rękami.

- Czy widzisz na tej taśmie coś interesującego?

Zaczerwieniła się, ale nie podniosła wzroku.

- Zauważyłam, że ona nie zabrała żadnych pieniędzy - powiedziała.

Tom skinął głową.

- Też to zauważyłem, tak samo jak widziałem, że nie wyciągnęła broni, o której wspomniano w raporcie. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to.

Znów sięgnął do szarej koperty. Tym razem wyciągnął torbę, która zawierała mały pistolet. Położył ją na blacie bez słowa. April zerknęła na broń, a potem znów wbiła wzrok w to samo miejsce na stole.

- April, muszę ci powiedzieć, że to wszystko źle wygląda.

Oderwała wzrok od blatu i spojrzała w bok.

- Zrozum, mówiłam ci już, że... - zaczęła.

- Wiem, że nie chcesz złożyć oświadczenia. Ale przynajmniej wysłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia.

Nic nie odpowiedziała, tylko gniewnie zagryzła wargi.

- Możemy wnieść sprawę o napad z bronią w rękę. To od razu dwadzieścia, trzydzieści lat. Prawdopodobnie można by cię także oskarżyć o usiłowanie morderstwa.

April gwałtownie pokręciła głową, w jej oczach ukazało się przerażenie.

- Chodzi o strzały, które oddałaś na parkingu. Według ścisłej interpretacji prawa jest to usiłowanie morderstwa. Zrozum, że ja nie podejmuję w tej sprawie żadnych decyzji. Od tego jest prokurator. Chciałem tylko, żebyś zrozumiała, że masz naprawdę poważne kłopoty.

April wyglądała teraz jeszcze bardziej żałośnie.

Tom wstał z krzesła i podszedł do automatu z wodą, stojącego obok drzwi, wziął jednorazowy kubeczek i napełnił go, a potem postawił na stole przed przesłuchiwaną kobietą.

- Pozwól, że wyłożę na stół wszystkie karty. Potrzebuję twojego podpisu pod oświadczeniem, że zrobiłaś to, o czym i tak już dobrze wiemy. Należy wykluczyć pomyłkę co do tożsamości. Mam grupę naocznych świadków, którzy cię rozpoznają. Jest także nagranie wideo. To najprostsza sprawa, na jaką kiedykolwiek trafiłem.

- A jeśli... - zaczęła April. Unosząc wzrok, napotkała spojrzenie Toma.

Podniósł rękę, by jej przerwać.

- Nic teraz nie mów. Nie mogę ci niczego obiecać. To nie ja wniosę oskarżenie. Ale jeśli ułatwisz nam sprawę, podpisując oświadczenie, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby przekonać prokuratora, by potraktował cię łagodnie.

April długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Zakładając, że przyznałabym się do winy. Nie zrobiłam tego, ale...

- Rozumiem.

- ...ale przypuśćmy, że się przyznam. Czy jeśli miałabym naprawdę poważny powód, żeby tak postąpić, wzięto by to pod uwagę? Oczywiście hipotetycznie... Jeśli strzelałam tylko po to, by powstrzymać tych ludzi na tyle długo, żebym mogła uciec? Czy coś z tego by się liczyło?

Tom lekko się uśmiechnął. Zbliżali się do zawarcia porozumienia. Wyczuwał to.

- Przypuszczam, że tak. Ale powtarzam ci raz jeszcze, że nie ja o tym decyduję.

April starannie to rozważała.

- Wiesz - Tom naciskał delikatnie dalej - kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem sobie, że w tej sprawie jest coś więcej niż może się wydawać. Przyglądam ci się. Jesteś atrakcyjną kobietą, spodziewasz się dziecka, a pomijając tę sprawę z narkotykami sprzed wielu lat żyłaś zgodnie z prawem. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, zadałem sobie pytanie: dlaczego ta kobieta postanowiła zrujnować sobie życie?

Pochylił się do niej i zniżył głos prawie do szeptu.

- April, co takiego dziś się wydarzyło? Co takiego pchnęło cię do obrabowania sklepu?

Otworzyła usta i zaczerpnęła powietrza, jakby chciała zacząć mówić, ale znów je zamknęła. A potem jeszcze raz spojrzała na niego.

- Nie jest łatwo przyznać się do czegoś, czego się nie zrobiło - powiedziała. - Będę to jeszcze musiała przemyśleć.

Tom westchnął. Właściwa chwila minęła. Dzisiaj nie przyzna się już do winy. Zmusił się do uśmiechu, który bardziej wyglądał na grymas.

- Dobrze, April. Zrobisz, co zechcesz. A kiedy będziesz rozmyślać, ja wciągnę cię do rejestru spraw dotyczących włamań, nielegalnego posiadania broni i usiłowania zabójstwa.

- Ale będę mogła później zmienić zdanie, przyznać się do przestępstwa, którego, nie popełniłam?

Tom nie odpowiedział. Nie chciał zrezygnować z przewagi nad nią. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy lekko wzruszył ramionami.

Zamknął drzwi i jeszcze raz zerknął na nią przez wzmocnioną drutem szybę. Kiedy zaczęła płakać, zrobiło mu się jej żal.

21

Co on sobie myśli, ten pieprzony latynoski tłusty gnojek?! - szalał Patrick Logan, wybijając w ścianie działowej następną dziurę - już czwartą. Za każdym ciosem trząsł się cały dom.

- Wchodzi do mojego domu i w obecności moich ludzi traktuje mnie jak gówno!

Myśli sobie, że kim, kurwa, jest?!

Ricky Timmons nieraz już widział, jak wścieka się jego szef, ale to przekraczało wszelkie granice. Nie wiedział, co robić. Czy powinien usiąść i słuchać? Może powinien mu przytakiwać? Najchętniej wyniósłby się stąd w cholere, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Patrick Logan zawsze był nieprzewidywalny, kiedy tak jak teraz nie panował nad sobą, był wprost straszny.

Pokój Logana zamienił się w ruinę. Najpierw powybił dziury w ścianach. Potem jednym ruchem oczyścił swoje biurko. Krzesło zatoczyło wielki łuk i wylądowało przy drzwiach. Telewizor za tysiąc dwieście dolarów, który wcześniej królował w rogu obok okna, zamienił się w bezwartościową kupę potrzaskanego plastyku i szkła.

- Do cholery, Ricky, zadałem ci pytanie! - wrzasnął Logan. - Co on sobie myśli? Kim on, kurwa, jest?

Ricky podskoczył. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby musiał odpowiadać.

- Nie wiem. Chyba myśli, że jest szefem.

- Szefem! Pieprzonym szefem! - Logan uniósł twarz i ręce do sufitu, jakby prosił o radę. - Ma czelność myśleć, że jest moim pieprzonym szefem? Moim? Patrick Logan nie ma żadnego szefa!

Ricky wolał już nic nie mówić. W Pittsburgu Carlos Ortega był szefem wszystkich.

Nagle szalejąca burza uspokoiła się. Logan zaczął nerwowo chodzić po pokoju, jakby rozważając coś w myślach.

- Uważam, że już czas, żeby zmienić pewne sprawy. Co ty na to, Ricky? Czas, żeby ktoś inny zaczął wydawać rozkazy.

Ricky sapnął i zamknął oczy w oczekiwaniu na to, co było nieuniknione. Patrick Logan zmierzał do tego, czego Ricky najbardziej się obawiał.

- W czym problem? - ponaglił go Logan. - Nie chcesz być kogutem w kurniku? To jest nasza szansa, żeby wziąć wszystko.

- To jest nasza szansa na wojnę - odpowiedział. - Szansa, żeby zostać zabitym i stracić wszystko.

- Ricky, czy ty się boisz Carlosa? Ty boisz się tego nic nie wartego latynoskiego gnojka?

Czy to możliwe, żeby Logan tego nie kapował? Każdy bał się Carlosa, ponieważ otoczył się on całą armią lojalnych ludzi. Cholera, nawet narkomani na ulicy staną w obronie tego sukinsyna. Ale Loganowi powiedział co innego.

- Uważam, Pat, że na wszystko jest czas i miejsce. Niech będzie tak, jak chcesz, ale

nie teraz. Teraz jesteś wkurzony, ponieważ on tu przyszedł i zrobił z ciebie gówno i masz wszelkie powody na świecie, żeby nienawidzić sukinsyna. Musisz jednak pomyśleć o całym mieście. O wszystkich innych Patrickach Loganach, którym podoba się obecna sytuacja. Są tłuści, zadowoleni i nie strzelają do siebie jak kilka lat temu. To nimi powinieneś się martwić. Dlaczego sądzisz, że zechcą dla ciebie pracować?

Logan patrzył na niego z osłupieniem.

- A co mnie oni obchodzą? Jeśli usuniemy Ortegę, będą musieli się podporządkować. Jeśli tego nie zrobią, również oni pójdą do piachu.

Logan okręcił się na pięcie, plecami zwracając się do Ricky'ego, co znaczyło, że powiedział już ostatnie słowo.

Jednak Ricky nie ustępował.

- Przemyśl to, dobrze? Najpierw pomyśl, zanim zdecydujesz się na coś takiego. Każdy nienawidzi Ortegi tak samo jak ty, ale też każdy boi się go. Ortega z pewnością również z innymi rozmawia w ten sposób.

- Ludziom brakuje jaj, żeby coś z tym zrobić.

Ricky wzruszył ramionami.

- Zgoda. Ale jeśli teraz wkroczymy i załatwimy Ortegę, to te fiuty odzyskają siłę i wcale nie padną przed tobą plackiem. Czy jesteś przygotowany, żeby z nimi walczyć? Czy naprawdę chcesz to zrobić?

Logan zwrócił się do niego twarzą. Oczy mu gorzały.

- Chcę tylko - powiedział drżącym z wściekłości głosem - żeby tego sukinsyna szlag trafił. Chcę, żeby umierał w męczarniach, jak baba błagając o życie. Chcę, żeby wiedział, że nie można bezkarnie zadzierać z Patrickiem Loganem. I chcę, żeby cały pierdolony świat się o tym dowiedział.

- To nie jest odpowiedź...

- Pieprzę ich wszystkich. Gówno mnie obchodzi, czy zaczną pracować dla mnie, czy pójdą do CIA, rozumiesz? Już czas, żebym zaczął prowadzić swoje interesy w taki sposób, jaki zechcę.

Ricky zrozumiał to, czego Logan albo nie potrafi, albo nie chciał dostrzec - że wszystko sprowadza się do zemsty, że zemsta jest sposobem na prowadzenie każdego interesu.

- Wiesz, że cię zaatakują. I nie myślę o ludziach Ortegi. Każdy silniejszy fiutek, który ma na ulicy jakiś interes, zemści się przeciwko tobie. A każdy z nich założy, że ma pełne poparcie pozostałych. Dlaczego chcesz tak sobie zaszkodzić?

Logan zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie zrobią tego. Każdy z nich będzie mi wdzięczny za usunięcie tej pijawki.

Wszyscy życzą mu śmierci.

- Ale nie zechcą go zabić.

Logan postawił krzesło w pobliżu sofy, na której siedział Ricky, i usadowił się na nim, krzyżując nogi.

- Zabijanie nie ma związku z nienawiścią, Ricky. Ani z gniewem. To sprawa honoru. Carlos Ortega żyje do dziś, ponieważ nikt nie miał dość odwagi, żeby zrobić to, co trzeba. Cóż, mnie nie brakuje odwagi - kontynuował Logan. - I ty też musisz ją mieć, bo jeśli nie zaczniemy działać pierwsi, Ortega nas zaatakuje.

Ricky spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc.

- Chodzi mi o dzieciaka tego pieprzonego złodzieja.

- Nie oddasz go?

- Oddam. W jednym worku kości, a w drugim flaki.

- Jezu, Pat! Słyszałeś, co powiedział Ortega...

- Na miłość boską, czy nigdy nie przestaniesz mówić o Ortedze? Ortega już nie żyje. Już się nie liczy.

- A co z tą suką Simpson?

- Ona też jest już martwa. I jej mąż. Cała pieprzona rodzina.

Logan wstał gwałtownie i znów odwrócił się plecami. Ricky wiedział, że ostateczna decyzja została podjęta.

- Mnóstwo trupów, Patrick. Gliny nam nie popuszczą.

Logan zbył to wzruszeniem ramion.

- Chwilę potem znów interes zacznie się kręcić jak zwykle. Kiedy gazety przestaną pisać o tej sprawie, nikt nie będzie się już zajmował tym martwym gnojkiem.

Ricky westchnął. Logan uważał, że sprawa jest już załatwiona. Reszta to tylko szczegóły.

- Więc jak zamierzasz to zrobić?

- Jeśli zrobimy to należycie, gliny nigdy się o niczym nie dowiedzą. Utrzymamy to w tajemnicy, zachowamy ostrożność.

- Gliny będą nas ścigać.

- A gówno, Ricky. Będą ścigać wszystkich, tylko nie nas. Będą ścigać Bauera, Jacksona i Hernandeza. Zrobi się z tego polowanie na czarownice. I co z tego? Nikt nic nie będzie widział. Nie doniosą glinom. Będą na to za mądrzy. A jak nie, damy im szkołę Logan

zawsze zakładał, że wszystko pójdzie po jego myśli - i prawie zawsze miał rację - ale w tej grze stawka była ogromna.

- Boisz się, że cię złapią, prawda? - zapytał Logan, odgadując myśli Ricky'ego. - Dlatego tak blado wyglądasz?

Ricky wzruszył ramionami.

- Nie palę się do załatwienia tego dzieciaka. To nie moja specjalność.

Logan zachichotał i potrząsnął głową, jakby to była najdziwniejsza rzecz, jaką słyszał.

- Przede wszystkim nie musisz załatwić dzieciaka. Każę się nim zająć innym. W ten sposób zostają ci tylko Simpsonowie. A mnie Ortega. Możemy to załatwić i być w domu przed dziewiątą.

Ricky wypuścił z płuc powietrze. Nieraz już zabijał, ale za każdym razem mógł wtedy wszystko zaplanować. W takiej okolicy jak ta, policja nie przeprowadzała drobiazgowego śledztwa. Zamykano tego, kto nawinął się pod rękę. Tutaj, jeśli zachowano ostrożność, wszystko uchodziło na sucho. Jednak zabijanie dzieci to nie była jego działka.

- Dobra - odpowiedział w zamyśleniu Ricky. - Więc ten popapraniec i jego żona to moje zmartwienie. Ty, Pat, będziesz miał o wiele trudniejsze zadanie.

Logan uśmiechnął się.

- Nudziłbyś się tutaj, gdybym nie wziął ciebie do tej zabawy.

- Będziemy potrzebować alibi.

Logan roześmiał się.

- Pieprz alibi. Byliśmy razem, graliśmy w karty u Champa. Champ poświadczy, że leciał z nami promem kosmicznym, jeśli mu każę. To nie jest problem. I co z tego, że mogą nas złapać? Rzykujemy każdego dnia. W najgorszym wypadku mogą cię zabić. Czy to wielki problem?

Spojrzenie Ricky'ego stwardniało.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem, że boję się iść do więzienia? Po prostu nie chcę, żeby ludzie na ulicy mówili, że byliśmy pieprzonymi głupkami, biorąc się za taką robotę.

- Wszyscy będą podejrzewać wszystkich - powiedział Logan, szczerząc w uśmiechu zęby. - Widzisz Ricky, ja nie zamierzam być następnym Ortega. Nie chcę być żadnym pieprzonym ojcem chrzestnym. Po prostu poprowadzę interes na swój sposób. To wszystko. I niech ten pojebaniec dowie się przed śmiercią, że podskoczył do niewłaściwego faceta.

Ricky przytaknął. Kiedy Ortega zostanie usunięty, zyski będą wyższe, a oni nie będą już musieli obchodzić przeszkód, które Carlos umieścił na drodze do wszystkiego. Będą sprzedawać, co zechcą i komukolwiek zechcą, nie będą się już musieli martwić, że wkurzą

koncesjonodawcę. Tak właśnie Carlos lubił się nazywać. Koncesjonodawca. Co za fiut!

- Dobra - powiedział w końcu Ricky. - Myślę, że możemy to zrobić. Ale wyświadczyć mi jedną przysługę?

Logan zachował obojętny wyraz twarzy.

- Pozwól mi przeprowadzić wszystkie przygotowania. Nie dotykaj broni, nic nikomu nie mów. Sam zadbam o wszystko.

- Ricky, nie wyobrażałem sobie tego w żaden inny sposób - odpowiedział Logan i wzruszył ramionami.

*

Tim Burrows zabezpieczył miejsce przestępstwa i uważał, że jego obowiązkiem jest upewnić się, czy wszystko zostało prawidłowo zrobione. Zebrano jak najwięcej próbek w miejscu, w którym natura zmieniała warunki z godziny na godzinę.

Obserwował Henry'ego Parkera nadzorującego katalogowanie dowodów, zastanawiając się w duchu, jak może on poruszać się z takim niedbałym wdziękiem mimo swej potężnej postury. Torby z dowodami - plastikowe albo papierowe, zależnie od zawartości - trafiały potem do rozmaitych skrzyń, które miały zostać przetransportowane do biura regionalnego w Charleston, albo do kwatery głównej w Waszyngtonie.

Tim zazdrościł Parkerowi, że tak potrafi współpracować ze swoimi ludźmi.

Technicy wsłuchiwali się w każde jego słowo, a potem czynili nadzwyczajne wysiłki, żeby podporządkować się jego życzeniom. Nawet takie stare pierdoły jak Coates najwyraźniej miały do niego respekt. Słuchano z uwagą wszystkiego, co mówił, choćby były to zwykłe banały. Wydawał tłumowi polecenia ze spokojnym naciskiem. Wystarczyło jedno spojrzenie Henry'ego Parkera, by innym słowa więzły w gardle.

- Hej, agencie Burrows - krzyknął ktoś z tyłu.

Tim obrócił się i zobaczył wchodzącego na wzgórze Homera LaRue, machającego trzymaną w ręce cienką teczką.

- Dowiedzieliśmy się, kim jest nasz sztywniak - obwieścił Homer. - To znaczy, kim był.

Tim otworzył teczkę, którą dał mu Homer i przeczytał sobie to, co LaRue i tak mu opowiedział.

- Na podstawie odcisków, które zdjęliśmy, komputer ustalił tożsamość. Zajęło to trochę czasu, bo facet próbował sobie zetrzeć linie papilarne.

Tim skinął głową, przerzucając strony raportu.

- W każdym razie uzyskaliście imię i nazwisko - Jacob Stanns, z hrabstwa Wetzel,

niedaleko granicy z Pensylwanią. Sprawiał kłopoty od dzieciństwa. Miał sprawę za narkotyki i kradzieże samochodów. Został aresztowany piętnaście lat temu pod zarzutem morderstwa własnego ojca, ale prokurator stanowy wypuścił go z braku dowodów.

Teraz Tim uniósł wzrok.

- Jak umarł jego ojciec?

- Znalaziono zwłoki w zgliszczach spalonego kurnika. Koroner znalazł dowód, że został uderzony w głowę, ale nie potrafiono stwierdzić z całą pewnością, czy zrobił to jego syn, czy też coś na niego spadło - odpowiedział Homer.

Ciekawe. Ale czy może to wpłynąć na przebieg śledztwa?

- Czy ten... Jacob Stanns jest żonaty? - zapytał.

Homer pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Raport podaje, że mieszka ze swoim bratem Samuelem na rodzinnej farmie. Samuelowi najwyraźniej brakuje piątej klepki. To jest jeden z powodów, dla którego umorzono oskarżenie o morderstwo. Gdyby Jacob trafił do więzienia, to nie byłoby nikogo, kto zatroszczyłby się o jego brata.

- To małe dziecko?

- Wtedy był mały. Teraz ma około trzydziestki.

- I od czasu tej sprawy o morderstwo Jacob nie miał już żadnych kłopotów?

- Nic, co trafiłoby do akt.

Tim zastanowił się. Dlaczego uczciwy człowiek zadawałby sobie trud ścierania linii papilarnych? Strach pomyśleć, jak musi to boleć.

- Co jeszcze wiemy o jego bracie, oprócz tego, że jest niedorozwinięty?

- Nic. Nie jest notowany. Dawno temu do ich domu wysłano pracownika opieki społecznej, który miał sprawdzić doniesienie, że rodzice maltretują dzieciaki. Było to pewnie w latach osiemdziesiątych. Może nawet w siedemdziesiątych, nie pamiętam. W każdym razie zanim ludzie zaczęli poważnie traktować takie rzeczy. Akta nie mówią, co dalej się z tym działo.

Porucznik przekazał też trochę więcej informacji o wynikach sekcji zwłok Jacoba Stannsa, takich jak kąt strzałów i czas śmierci, ale nie było to dla Tima nic nowego. Cofnął się myślą do odcisków butów w lesie - tam, gdzie ktoś tylko stał i patrzył. A jeśli odciski należały do jego brata? Co by to znaczyło?

No cóż, z jednej strony oznaczałoby to, że powinni porozmawiać z tym - sprawdził jeszcze raz w dokumentach - Samuelem Stannsem. Szczerze mówiąc, to wszystko coraz mniej przypominało ich scenariusze wydarzeń. Gwałt z pewnością należało wykluczyć, jak

również to, że denat był ofiarą. Timowi nie przypadła do gustu teoryjka Coatesa o udaremnieniu porwania. Zmuszenie kogoś do porwania drugiej osoby to duża sprawa, a zastrzelenie jej - jeszcze większa. Dlaczego więc biwakująca para nie doniosła o tym? Dlaczego nie przyszli z krzykiem do najbliższego strażnika i nie opowiedzieli mu o tym? Dlaczego nie uciekli na posterunek strażników, gdzie byliby bezpieczni przed dalszymi atakami?

- Agencie Burrows, czy pan mnie w ogóle słucha?

Tim powrócił do rzeczywistości i uśmiechnął się w poczuciu winy.

- Przepraszam, poruczniku. Zastanawiałem się nad pewną sprawą.

LaRue zmarszczył brwi.

- Nie muszę dzielić się z panem informacjami na ten temat. Dostałby pan te raporty oficjalnymi kanałami.

- Przepraszam - powiedział Tim szczerze. - Myślałem o odciskach butów w lesie i zastanawiałem się, czy mogą one należeć do jego brata?

- Do diabła, jaki człowiek stałby tak beczynnie gdy mordują mu brata?

- Nie wiem. Ale byłoby interesujące się tego dowiedzieć.

Homer spojrzał na dokumenty.

- Aha. Prześledziliśmy rozmowę na numer 911, która sprowadziła nas tutaj na samym początku. Okazuje się, że dzwoniło z automatu przy sklepie w Winchester w Wirginii. Moi policjanci odszukali sprzedawcę, który w nocy pracował przy kasie. Mówi, że po północy przypomina sobie tylko jednego faceta, który nie był stałym klientem. Kupił paliwo i pieluszki.

Tim przechylił głowę w bok.

- Pieluszki? Takie dla niemowlaka?

- Pampersy. Powiedział, że facet był zaskoczony, ile kosztują.

- Zapłacił kartą kredytową?

Homer pokręcił przecząco głową.

- Niestety nie. Gotówką. Oczywiście nie miał jej przy sobie dużo. Kiedy dowiedział się, jaka jest cena pieluszek, wziął mniej paliwa. Nie ma tam kamer systemu ochrony, więc nie dysponujemy żadnymi zdjęciami.

Tim był coraz lepszego mniemania o poruczniku Homerze LaRue.

- Pampersy przywodzą na myśl te odciski stóp, prawda?

- Myślałem o tym samym - zauważył Homer. - Nie jest to niepodważalny dowód, ale zbliżamy się do rozwiązania sprawy.

Obydwaj wiedzieli, że każdy biwakujący, który kiedykolwiek wjechał do parku narodowego Cacoctin, prawdopodobnie zatrzymywał się przy tym sklepie, żeby coś kupić. Tak więc do oskarżenia kogoś o morderstwo droga była jeszcze daleka.

- Wie pan - Homer kontynuował ostrożnie, jakby przygotowując Tima na gorsze wiadomości - zapytałem sprzedawcę czy widział, jaki był to samochód, a on odpowiedział, że nie.

- Nie mamy więc żadnego świadka łączącego kupującego z rozmową telefoniczną.

- Nie mamy. Jak na razie to tylko domysły sprzedawcy.

Tim westchnął i podrapał się w głowę. Nadszedł czas, żeby coś zrobić.

- Co by pan powiedział na to, poruczniku, gdybyśmy we dwóch pojechali na wycieczkę do hrabstwa Wetzel, żeby złożyć wizytę Samuelowi Stannsowi? Może rzuci jakieś światło na to, co się tutaj stało.

- Może lepiej sprowadzić go tutaj?

Tim, potrząsnął głową. Nie chciał dzielić się nagrodą za rozwiązanie sprawy z gromadą miejscowych gliniarzy.

- Chciałbym zobaczyć ich dom - powiedział.

22

Nigdy nie dotykaj małego telefonu.

Te słowa wytrąciły Samuela z drzemki. Po skończeniu koszenia trawy, po całym tym podekscytowaniu i dramacie ostatniej nocy nie mógł już dłużej utrzymać otwartych oczu. Omal nie zasnął na traktorze. Bóg jeden wie, co by się wtedy mogło stać.

Telefon komórkowy znów zaczął dzwonić.

Nigdy nie dotykaj małego telefonu.

I co miał teraz zrobić? To był telefon Jacoba, na który zawsze dzwonił Szeff - telefon, którego Samuel nigdy, przenigdy nie miał dotykać, oprócz podłączania go do ładowarki, co zrobił natychmiast, kiedy tylko wrócił do domu. Przez całą powrotną drogę z parku ostatniej nocy właśnie tylko o tym myślał - żeby sprawdzić, czy telefon jest podłączony do ładowarki. Był to taki test: jeśli może zapamiętać, żeby to zrobić, to może też zapamiętać wszystko inne.

Z wyjątkiem tego, żeby wyłączyć alarm. Pieprzony alarm. Rzecz najważniejsza ze wszystkich. Nigdy nie zostawiać domu bez włączenia alarmu i nigdy nie zapomnieć go

wyłączyć. To oznaczałoby wielkie, wielkie kłopoty.

Telefon ćwierknął.

Co powiedzieć temu, kto był po drugiej stronie? I co on jemu odpowie? Cholera, przecież on miał nic nie odpowiadać! Teraz, kiedy Jacob nie żył, najbardziej martwiło to Samuela.

Telefon znów zaćwierkał.

Nie miał wyboru. Musiał odpowiedzieć. Podnosząc się ze swojego miejsca na sofie, przeszedł powoli do ładowarki przy telewizorze, zawiesił nad nią rękę i czekał. Może telefon nie zadzwoni następnym razem, a on nie będzie musiał się martwić takimi rzeczami?

Zadzwonił.

Powoli wyciągnął rękę i podniósł telefon z ładowarki. Kiedy dzwonił, wydawał się cięższy. Nacisnął guziczek tak, jak robił to Jacob, i podniósł aparat do ucha.

- Halo - odezwał się. Nie, to nie w taki sposób odpowiada się na telefon. Jacob zawsze mówił „taaak”..

Głos z drugiej strony był nieprzyjemny, gwałtowny.

- Spal pakunek - oznajmił.

- Co? - wykrztusił z siebie Samuel.

Człowiek po tamtej stronie stał się nagle podejrzliwy.

- Kto mówi? - zapytał.

- Samuel. Czy mówię z Szefem?

Zapadła cisza. Samuel zamknął pokrywę telefonu i odłożył go z powrotem na ładowarkę. Dwie sekundy później telefon znów zadzwonił. Tym razem, kiedy odpowiadał, zrobił wysiłek, żeby zabrzmiało to tak jak trzeba.

- Taaak? - odezwał się.

- Czy to Moonlighter?

Moonlighter! Samuel słyszał wcześniej, jak Jacob używa tego imienia, ale nigdy nie wyjaśniał, co to znaczy. Dlaczego ktoś miałby chcieć tak się nazywać?

- Hmm.... Nie... Mmmówi jego brat.

- Jego brat?

- Tak. Rozumie pan...

Na linii znów zapadła cisza. Samuel zaczął się nawet zastanawiać, czy ktoś mu nie robi kawałów. Słyszał o dzieciach, które dzwoniły do obcych ludzi. Mówiły coś, a potem odkładały słuchawkę. A może widział to w jakimś filmie? Kiedy jeszcze raz sięgał po telefon, był pewny, że właśnie o to chodzi.

Bo telefon znów zadzwonił.

Tym razem przyjęcie właściwego tonu przyszło mu z łatwością.

- Czego?! - zapytał.

- Chcę rozmawiać z Moonlighterem.

- A czemu się ciągle rozłączasz?

- A czemu ciągle odbierasz ten pieprzony telefon?

- Bo ciągle dzwonisz. Jacoba... Moonlightera nie ma teraz tutaj.

- A gdzie u diabła jest? Przecież zawsze był tutaj.

- A kto mówi?

Głos na sekundę umilkł i Samuel pomyślał, że mężczyzna znów zamierza się rozłączyć. Teraz to już by go naprawdę wkurzyło. Jednak tamten nie rozłączył się.

- Spał pakunek - powiedział.

Samuel nienawidził takich sytuacji jak ta. To było tak, jakby wszedł w środek rozmowy i nie miał pojęcia, o czym jest mowa.

- Czy Szefer? - zapytał w końcu.

Znów przerwa.

- Tak. Kiedy wróci Moonlighter? - odezwał się w końcu głos.

Samuel westchnął. Chyba będzie musiał o tym powiedzieć. Jacob powtarzał tysiące razy, żeby nigdy nie zadzierać z Szeferem.

- Jesteś tam, czy nie? - ponaglił Szefer.

- Jestem. Jacob, to znaczy Moonlighter, nigdy nie wróci - powiedział Samuel i aż zaskoczyła go siła własnego głosu. Mimo wszystko to po raz pierwszy powie o tym komuś głośno. - Moonlighter nie żyje.

Znów przerwa.

- Dobra, a co z pakunkiem?

- Jakim pakunkiem? Nie wiem, o czym mówisz.

- To ty jesteś tym głupim bratem, prawda? - mruknął mężczyzna na drugim końcu linii.

- Wcale nie jestem głupi! - krzyknął Samuel. - Nie zawsze jestem bystry, ale nie jestem głupi!

- Taaak. - roześmiał się jego rozmówca. - Niech będzie, jak mówisz. Byłeś z nim ostatniej nocy, prawda?

Samuel skinął głową, choć bez szczególnego entuzjazmu. Teraz zrozumiał, dlaczego Jacob nie lubił tego gościa.

- Byłem tam - przyznał.

- Mielicie tam coś takiego trzyletniego?

- Masz na myśli tego małego chłopca? - zapytał. Dlaczego ten cholerny facet nie powiedział od razu, o co mu chodzi?

- Zamknij się, debilu. Nie można o tym mówić przez telefon.

Samuel nic nie odpowiedział. Nie musiał rozmawiać z człowiekiem, który traktuje go w taki sposób. Może tym razem to on powinien się rozłączyć. Może to nauczyłoby tego faceta, żeby uważał, co mówi.

- No jak, byłeś przy tym, czy nie?

- Tak, byłem. - Samuel powiedział to takim tonem, żeby ten facet dowiedział się, że go wkurzył.

- I wiesz, gdzie Moonlighter go ułokował?

Samuel poczuł przyływ gorąca i zaczął przebierać nogami. Rozmowa stawała się coraz bardziej kłopotliwa.

- No, wiem, gdzie próbował go ułokować - wymamrotał.

- Próbował? Co masz na myśli?

Samuel włożył ręce do kieszeni, ramieniem przyciskając telefon do ucha. Jak miał to wyjaśnić? Jak miał powiedzieć, że wtedy zasnął i chłopiec zwiął? Chciał się rozłączyć. Ale to oznaczałoby zdrzeć z Szefem.

- On, no... jakby uciekł - powiedział Samuel, starając się, żeby zabrzmiało to jak coś mało ważnego.

- Co to znaczy, jakby uciekł”?

No i co? Szef też uważał, że to ważna sprawa? Pewnie tak, bo inaczej by nie krzyczał.

Myśli w głowie Samuela kłębiły się, kiedy próbował wymyślić coś, co uspokoiłoby Szefa.

- To znaczy - zająknął się - mieliśmy go, a potem... no... uciekł. Pobiegnął do lasu. Próbowaliśmy go złapać i właśnie wtedy Jacob... znaczy, Moonlighter... zaczął się bić z tymi ludźmi i zabili go. Czy ci o tym mówiłem? Jacob został w nocy zabity.

- Więc nie wiesz, gdzie jest pakunek?

Kiedy Samuel rozmawiał, jego ręka natrafiła w kieszeni na pognieciony kawałek papieru. Lubił zapisany papier, bo jemu samemu pisanie sprawiało wielką trudność.

- Odpowiedz mi, ty głupi gnoju.

Nagle wyzwiska, którymi obdarzał go tamten mężczyzna nic już nie znaczyły. Nagle Samuel wiedział, że zna odpowiedź, która sprawi, że to wszystko będzie wyglądało lepiej. I

Szef nie będzie już na niego wkurzony. Na tej małej kartce papieru, którą podniósł, kiedy miał pocałować Jacoba na dobranoc, zobaczył nazwisko i adres: „Robert i Susan Martinowie”. Pamiętał, że tak mówili do siebie. I był tu ich adres.

- Wiem, gdzie on jest - oświadczył tryumfalnie Samuel.

- Taak? A gdzie? - głos Szefa brzmiał tak, jakby mu nie uwierzył, ale nim Samuel zdążył odpowiedzieć, Szef dodał: - Nie, zaczekaj. Nie chcę, żebyś to mówił teraz przez telefon.

- Ale mogę go sprowadzić - Samuel pomyślał, że Szef będzie z tego przynajmniej trochę bardziej zadowolony.

Na drugim końcu zaległa cisza, kiedy Szef rozważał sprawę.

- Wiesz co? - zagadnął w końcu. - Chcę, żebyś dostarczył pakunek. Wiesz, co mam na myśli?

- Masz na myśli małego chłopca.

- Słusznie - warknął Szef. - A więc chcę, żebyś dostarczył go i spotkał się ze mną dziś o północy w miejscu, w którym go zgubiliście. Potrafisz odnaleźć to miejsce? Nie jesteś na to za głupi?

- Nie jestem głupi! - krzyknął Samuel. - Sam prowadziłem auto całą drogę stamtąd aż do domu. Potrafię je znaleźć.

- Dobrze - głos Szefa zabrzmiał nieco łagodniej. - Więc masz być tam z chłopcem dziś o północy.

Coś w tonie tego głosu sprawiło, że Samuel poczuł się trochę dziwnie.

- Nie zamierzacie zrobić mi nic złego, prawda? - zapytał.

Zapadło milczenie.

- Nie, nie chcę nikomu zrobić krzywdy.

Samuel zastanawiał się, czy powinien mu zaufać.

- Bo ja nie chcę, żeby stało mu się coś złego. Nigdy nie chcieliśmy tego zrobić. To wszystko była taka gra. Jacob powiedział mi o tym.

Szef roześmiał się w odpowiedzi.

- A więc Jacob powiedział ci o tym? Nie, nie chcemy nikomu zrobić nic złego. Bądź tam o północy. Już czas zabrać chłopca do domu.

- Będę tam - powiedział Samuel, martwiąc się, że może ryzykowne było składać takie obietnice, nie spojrzawszy najpierw na mapę, jak daleko będzie musiał jechać. Miał nadzieję, że zdoła dotrzeć tam, gdzie trzeba, i wrócić do parku przed północą, ale nie był całkiem pewien, a nie chciał zadzierać z Szefem. Z drugiej strony nie chciał już z nim rozmawiać.

- Będę tam - powtórzył, ale na linii panowała już cisza.

Samuel lubił mapy. Miał do nich głowę, podobnie jak do pewnych liczb. Takich jak kombinacje zamków i numery telefonów. Zapamiętywał je nawet bez powtarzania, a czytanie map sprawiało mu radość. Bo to nie było jak zwykle czytanie, gdzie trzeba w głowie składać słowa, żeby utworzyły całość.

Atlas stał na półce w salonie. Znalazł Wirginię a potem Clinton. Wyglądało, że starczy na to cztery godziny jazdy. Spojrzał na zegarek. Jeśli się pośpieszy, bez trudu zdąży na czas.

A jeśli ci Martinowie nie wrócili do Clinton? Przypuśćmy, że...

Że co? Co oni innego mogli zrobić? Pamiętał, jak byli przestraszeni tam w lesie i wiedział, że przestraszeni ludzie robią tylko jedną rzecz - jadą do domu. Więc tam ich znajdzie, ale co wtedy?

Zemścisz się.

- Jacob? Już o tym myślał. Zemści się na tych wścibskich ciotach, które zastrzeliły jego brata.

Wtedy on i Jacob mogliby wrócić do tej gry z chłopcem. Gry, której nigdy do końca nie zrozumiał. Zwykle, kiedy wychodzili na robotę, ucierali innym nosa, czasem strzelali, ale zawsze robili to z dorosłymi. Jacob nigdy nie skrzywdziłby małego chłopca. On nigdy nie zrobiłby krzywdy nikomu, kogo Samuel lubił.

Wprawiało go w zakłopotanie, że ten dzieciak - miał na imię Justin - nie chciał się z nimi bawić. A jaka to była trudna gra! Ten dół wyglądał naprawdę przerażająco. Jeszcze bardziej niż worek.

Bo kiedy Jacob już zatrzymał na boku drogi tego Simpsona i pokazał mu odznakę, zadanie Samuela polegało na tym, żeby podejść chyłkiem do jego samochodu. Jacob uparł się, żeby najpierw kilka razy obejrzeł film *Gliny*. Potem, kiedy zaczął okładać pięściami Simpsona, Samuel miał narzucić dzieciakowi worek na głowę i mocno go zawiązać.

- Spokojnie - powiedział, kiedy dziecko rzucało się, krzyczało i piszczalo. - To tylko taka zabawa. Naprawdę nie zamierzamy zrobić ci krzywdy. I będziemy dla ciebie naprawdę bardzo dobrzy, jeśli się tylko, kurwa, zamkniesz.

Ale dzieciak chyba nie rozumiał po angielsku. Kiedy Samuel pierwszy raz uderzył workiem o ziemię, zaczął się drzeć jeszcze głośniejsze. To samo było za drugim razem. Jednak po trzecim uderzeniu krzyki przeszły w ciche, słabe kwilenie i tak już zostało.

To była długa jazda, bite dwie godziny, Jacob odzyskał humor. Gdy droga zrobiła się gorsza, Samuel zauważył słoiczki z jedzeniem dla dzieci, które grzechotały w tyle wozu.

- Dlaczego kupiłeś takie malutkie słoiki? - zapytał, żeby przerwać ciszę. - Niewiele w

nie wchodzi.

- O Jezu, to jedzenie dla dzieci, ty idioto. Nikt nie kupuje jedzenia dla dzieci w dużych słoikach. Mały dzieciak pękłby, gdybyś spróbował wepchnąć mu w gardło cały słoik przecieru jabłkowego.

Samuel spróbował to sobie wyobrazić, ale nie spodobał mu się taki obraz.

- Więc to całe jedzenie jest dla małego Justina?

- Tak.

- Oho, musi być naprawdę głodny.

Tym razem Jacob się roześmiał. Zawsze stawał się bardziej przystępny kiedy się śmiał.

- On nie zje tego wszystkiego naraz. Będzie tam przebywał przez jakiś czas.

- W lesie? Sam?

- Ma domek - powiedział Jacob, mając na myśli dół, który wykopali. - Będzie tam bezpieczny przed zwierzętami i nie grozi mu głód.

Samuel skrzywił się i potarł kark.

- Nie wiem, Jacob. Nie wygląda mi to na zabawną grę.

Jacob milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- No cóż, Samuelu, są różne zabawy.

Samuel kiwnął tylko głową, ponieważ był zbyt zmęczony, żeby słuchać wyjaśnień.

W końcu przybyli na miejsce, które tak starannie przygotowywali. Znajdowało się spory kawał od drogi. Szli przez gęste zagajniki i kolczaste krzaki. Samuel niósł worek z dzieciakiem. Był ciężki, ale chłopak trzymał buzię na kłódce. To grunt. W środku nocy w lesie było i tak dość strasznie bez krzyżącego dzieciaka. Samuel dźwigał również w plecaku słoiki z jedzeniem, ciężkie jak wszyscy diabli. Jacob niósł wodę i latarkę.

- No to jesteśmy na miejscu - obwieścił Jacob, stawiając butlę z wodą na ziemi. Poświecił latarką na wycięty przez nich z ziemi prostokąt. Samuel przysunął się i zerknął do środka. W nocy dół wyglądał na głębszy niż za dnia.

- To wszystko nie jest takie zabawne - powiedział.

- Zaufaj mi. To jest o wiele bardziej zabawne od innych gier, w jakie bawiliśmy się.

- Wygląda jak trumny, które zrobiłeś dla mamy i taty.

Jacob zaczął tracić cierpliwość.

- To nie jest trumna, Samuelu. To jest o wiele, wiele większe. Dla dziecka o takich rozmiarach będzie tam mnóstwo miejsca, żeby raczkować, jeść i załatwiać się.

- Jacob, no nie wiem...

Jacob szybko obszedł dół i znalazł się po drugiej stronie.

- Poza tym popatrz tutaj. Widzisz? Zrobiłem w pokrywie duży otwór wentylacyjny.

- Ale chcesz przecież zasypać to ziemią.

- Na miłość boską, nie zasypię otworu wentylacyjnego. Dzieciak będzie mógł oddychać. To w niczym nie przypomina trumny, Samuelu. W niczym, więc wyrzuć z głowy tę myśl.

Brat nie kłamałby w takich sprawach, ale dla Samuela wyglądało to jak trumna.

- Chcę, żebyś zajął się teraz dzieckiem. - Jacob zmienił temat. - Wyciągnij go z worka, włóż do dołu, a może nawet sam zejdź tam z nim, pokaż mu, gdzie położyłeś jedzenie i resztę rzeczy. Będzie tam ciemno, więc musi wszystko odnajdywać po omacku.

- Dokąd idziesz?

- Jest ciemno. Muszę zdobyć trochę drewna na ognisko, żeby było łatwiej się poruszać.

Samuelowi nie spodobało się to ani trochę.

- Nie pójdziesz daleko, prawda?

Jacob rzucił mu jedno z tych swoich spojrzeń.

- Samuelu, tutaj nie ma nic takiego, co mogłoby ci wyrządzić krzywdę. Nie masz się czego bać.

- Ale nie pójdziesz daleko?

- Nie, nie pójde daleko - roześmiał się Jacob.

- Jak długo cię nie będzie?

- Tylko parę minut. Spokojnie.

Spokojnie! Łatwo mu tak mówić. On wszystko rozumiał. Wiedział, czego należy się bać, a czego nie. Dla Samuela to była zawsze zgadywanka. Zanim zdążył coś powiedzieć, Jacob już poszedł, zostawiając go całkiem samego w ciemnym lesie.

Na szczęście zostawił latarkę. Dobre i to.

Samuel, poruszając się ostrożnie, zbliżył się do worka i szturchnął go lekko czubkiem buta.

- Hej tam, dzieciaku - powiedział scenicznym szeptem. - Hej, Justin, jesteś tam jeszcze?

Chłopiec nic nie odpowiedział, ale worek poruszył się. Samuel pomyślał, że Justin na pewno kiwa potakująco głową.

- No dobrze, rozwiążę teraz worek. Pokażę ci, gdzie będziesz się bawić. Ale musisz obiecać, że nie narobisz takiego hałasu jak przedtem, dobra? Hałas sprawia, że robię się

naprawę nerwowy.

Zastanawiał się przez chwilę, jak dużo chłopiec mógł zrozumieć z tego, co mówił. Ten dzieciak był jeszcze mały. A siedzenie w tym worku nie mogło być zabawne. Pomyślał, że Justinowi spodoba się, jak go wypuści.

No i tak właśnie zrobił. W ciemnościach z trudem rozwiązał skomplikowany węzeł. Kiedy otworzył worek zobaczył chłopca. Miał czerwone od płaczu wielkie oczy.

- Czyżbyś się bał? - zapytał Samuel. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Justina po głowie, ale malec cofnął się. - Nie musisz się mnie bać. Chcemy się tylko pobawić z tobą w lesie.

Chłopiec patrzył na niego. Wargi mu trochę drżały, ale nie wydał żadnego dźwięku. Byłoby chyba lepiej, gdyby to zrobił. Taki dźwięk oznaczałby, że usłyszał, co mówił Samuel.

- Zimno ci? Dlatego tak się trzęsiesz?

Justin był ubrany w piżamę ze stopkami - taką, jaką noszą małe dzieci.

- Jacob powiedział, że powinienem pokazać ci twój nowy domek do zabawy, więc może pójdziesz ze mną?

Oczy dziecka zrobiły się jeszcze większe, cofnął się.

- No chodź, Justin, pokażę ci go - Samuel wstał i wyciągnął rękę.

Wargi Justina drżały coraz bardziej, a w oczach ukazały się łzy. Dźwięk płaczu małego chłopca wypełnił las.

- Justin, cicho! - wysyczał Samuel. - Zamknij się! Chcesz, żeby wszyscy nas usłyszeli?

Ale chłopiec wciąż zawodził. Łzy ściekały mu po policzkach, tworząc ze śliną i smarkami śliską maź.

- Powiedziałem, zamknij się. - Samuel dał szybko krok do przodu, a chłopiec, próbując uciec, zerwał się na nogi. Samuel był szybszy, złapał dziecko w pól i podniósł bez wysiłku. Justin miotał się, kopał, zachowywał się jak nieznośne bachory, które Samuel widywał w sklepach; ale on tylko wzmocnił chwyt wokół brzucha chłopca.

- No, chodź tu, zobaczysz swój nowy domek do zabawy - zachęcał.

Próbował delikatnie wsadzić go do dziury, ale Justin tak się rzucał, że wyrwał mu się z rąk, odbił się od ściany wykopu, a stamtąd z głuchym stuknięciem wylądował w dole na deskach.

Dopiero teraz zaczęły się prawdziwe wrzaski, jakby ktoś na cały regulator nastawił głośniki.

- Ciii... - powtarzał bez końca Samuel. - Ciii... zamknij się.

Wiedział, że Jacob nie chce, żeby inni ludzie słyszeli dziecko. Będzie niezadowolony, że dzieciak narobił tyle hałasu. Powie, że Samuel nic nie potrafi dobrze zrobić.

Chcąc uniknąć takiego gadania, Samuel zeskoczył na dół do Justina i przydusił go mocno.

- Justin przestań - błagał. - Przestań tak hałasować. Lepiej rozejrzyj się. Popatrz, jak tu ładnie. Damy ci jedzenie i wszystko, co zechcesz, ale musisz się zamknąć.

Chłopiec rzeczywiście ucichł i wtedy...

I co się wtedy stało, tego Samuel nie mógł już sobie przypomnieć. Nagle ujrzał Jacoba, stojącego nad dziurą i obrzucającego go wyzwiskami.

- Ty głupi idioto! Miałeś do zrobienia jedną prostą rzecz, a ty nic nie potrafisz dobrze zrobić.

Przypomniał sobie, jak musiał stłumić uczucie dumy z tego, że tak dokładnie przewidział słowa brata. Trafił w dziesiątkę. Słowo w słowo.

A potem zaczął się pościg i Jacob został zabity.

Teraz Samuel miał być już zawsze sam - nikt mu nie powie, co i jak ma zrobić. Nikt nie pomoże mu przy podejmowaniu trudnych decyzji. Ogarnęło go przygnębienie.

Kiedy spróbował się z tego otrząsnąć, jeszcze mocniej spowijało go lepkiem, czarnym całunem.

Jedynym sposobem na to była zemsta. Wiedział o tym nawet bez Jacoba. Kiedy już złoży wizytę tym wścibskim ludziom, poczuje się lepiej. A kiedy odda chłopca, Szefer będzie zadowolony.

I może wtedy znów wszystko się ułoży.

23

Russel zaklął pod nosem, gdy nie udało mu się wyłączyć ogrzewania. Bez skutku spróbował jeszcze raz. Nigdy w życiu nie jechał wynajętym samochodem, w którym wszystko działałoby jak należy. Dzisiaj w ogrzewaniu jakby zamieszkały gremlinsy - dawało się ustawiać tylko w dwóch pozycjach i agent Coates albo spływał potem, albo dygotał z zimna. Czasami właśnie takie drobne rzeczy sprawiają, że życie staje się godne pożałowania. Wreszcie dojechał na miejsce. W porównaniu z bałaganiarskimi przedmieściami Waszyngtonu Clinton wyglądało całkiem dobrze. Schludne, porządne domy, każdy z

obowiązkowym, wysokim na niecały metr płótkiem (białe drewniane sztachetki lub czarne żeliwne pręty) stały wzdłuż drogi prowadzącej do centralnej dzielnicy handlowej, na którą składały się trzy restauracje, dom towarowy, kościół baptystów i więcej sklepów z drobną biżuterią i drobiazgami, niż Russel zdołałby policzyć.

Centrum handlowe otoczone było łąkami, na których pasły się stada koni. Ludzie płacili ciężkie pieniądze, żeby mieszkać w tej disneyowskiej wizji Ameryki. Tutejsi ludzie nie mogli sobie pozwolić na zamieszkanie wśród dziedziców starych fortun w Leesburgu lub Middleburgu, spędzających czas na gonitwach za lisem. Było to doskonałe miejsce dla nowobogackich.

Russel przejechał przez centrum miasta i znalazł się na krętej drodze, prowadzącej wśród rezydencji. Przesuwający się za oknami wynajętego chryslera krajobraz zdominowały ogromne domy, w których, jak się zdawało, nie było nikogo. Po rozległych pastwiskach, porośniętych przed laty lasem, wykarczowanym przez przodków dzisiejszych mieszkańców, wędrowały tylko konie. Ich właściciele wciąż jeszcze siedzieli w swoich firmach w centrum, przygotowując się do codziennej, godnej gladiatorów bitwy, którą eufemistycznie nazywali powrotem z pracy. Russel domyślał się, że mieszkając tak daleko od centrum potrzebują dobrej godziny, a może i półtorej, na przejazd w jedną stronę. Mógł sobie wyobrazić ich ponury nastrój, gdy po całym dniu pracy odbierali dzieci od opiekunek i wracali do swoich nieukończonych pałaców. Nie rozumiał takich ludzi. Z pewnością było to prześlizgłe miejsce. Ale czy mieszkanie tutaj miało sens, skoro wymagało to takiego wysiłku?

Od pewnego czasu coraz bardziej podobały mu się mieszkania z dwiema sypialniami, które można w całości umeblować za trzy tysiące dolarów, odkurzać raz w tygodniu i zwyczajnie zamykać na klucz. Było to też nadzwyczaj dogodne ze względu na fakt, że miał wyjątkowego pecha w kontaktach z adwokatami byłych żon.

Znów ogarnęło go przygnębienie, z którego miała go wyleczyć niedawna podróż na Karaiby. Jego ostatnie małżeństwo wydawało się udane. Teraz, patrząc wstecz, próbował zrozumieć, dlaczego Vicki zaczęła się puszczać z jednym ze swoich studentów z filologii angielskiej. Podziwiał ludzi, którzy zdołali pozostać w związku małżeńskim z jednym partnerem przez całe życie. Dlaczego wszystkie jego związki rozpadały się już po kilkunastu miesiącach?

Terapeuta powiedział mu, że być może to wina jego żon, ale Russel nie bardzo mu wierzył. Tym bardziej, że ten dupek wyglądał tak, jakby sam znajdował się na progu załamania psychicznego. Russel zrezygnował z jego usług i postanowił sam borykać się z przeciwnościami tego świata. Zajęty pracą, starał się nie myśleć o swym nieudanym życiu.

Zdarzały się jednak takie chwile jak ta, kiedy zazdrościł ludziom, którzy mogli pozwolić sobie na mieszkanie we wspaniałych rezydencjach.

Nie mogąc zabrać ze sobą kart rejestracyjnych z parku, które dała mu Sarah, przeniósł wszystkie dane do swojego notesu. Pokonując ostre zakręty na zadziwiająco wąskiej drodze, próbował odcyfrować własne pismo.

Russel widział, że ta sprawa lada moment zostanie zamknięta. Czuł przez skórę, że Martinowie to ludzie, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tuż po odczytaniu im ich praw odpowiedzą na wszystkie pytania. Wciąż brakowało mu motywu, ale właśnie przez telefon komórkowy dowiedział się, że jechali nowym modelem fordą explorera. Taki zaś pojazd, w którym często zakładano opony firestone wildemess AT, został zatrzymany przez strażnika z parku we wczesnych godzinach rannych. Niestety, strażnik nie zapisał numeru prawa jazdy, więc Russelowi brakowało żelaznego dowodu. Jeśli jednak dostatecznie wiele drobnych elementów łączy się w całość, trudno to uznać za zbieg okoliczności.

Russel Coates miał swoisty dar. Nie przepadający za nim współpracownicy nazywali to ślepym szczęściem, a zwierzchnicy, którzy na tym korzystali - wybitnym profesjonalizmem. W rzeczywistości było tak, że Russel miał smykałkę do postrzegania rzeczy takimi, jakimi naprawdę były. Próbował coś zrozumieć, a wtedy, zjawiał się dowód. Zawsze tak było.

Omali nie minął domu, którego szukał - numer 7844. Mocno nacisnął na hamulec. Z drogi nie widział żadnego budynku, była tylko skrzynka na listy obok długiego podjazdu, który wił się w górę po stromym zboczu i znikał za drzewami. Ciekawe, co psycholog powiedziałby o odmienności ludzkich upodobań: jedni chwalili się swoim bogactwem, a inni - jak ci tutaj - ukrywali je.

Sprawdził jeszcze raz adres i skręcił w lewo, rozpoczynając długą wspinaczkę pod górę, w stronę domu Martinów.

*

Bobby był całkiem załamany.

Gdzież są te klucze? Chryste, miał je przecież parę minut temu.

- Dobra, Bobby, ochłoń, odetchnij głęboko. Wszystko będzie w porządku - powiedział sobie.

Nie, nie będzie w porządku. Nic i nigdy nie będzie już w porządku.

Spróbował przypomnieć sobie, co powiedziała mu Barbara Dettrick. Nawet gdyby go złapali, potrafi wy tłumaczyć to, co się wydarzyło. Przecież zawiadomił ich o zwłokach, prawda? Musiało to być coś warte.

Ściskając w garści klucze, szybko przeszedł przez kuchnię. Zanim otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, zatrzymał się i włączył alarm.

Zanim dotarł do swojego samochodu, zobaczył wspinającego się po podjeździe chryslera. Facet za kierownicą miał ten charakterystyczny wyraz twarzy, który wykluczał, aby mógł być sprzedawcą lub nowym sąsiadem, zmierzającym tutaj z wizytą. Mógł się założyć, że to glina.

24

Niektórzy są urodzonymi przestępcami. Russel spędził długie godziny z ludźmi, którzy popełnili potworne zbrodnie, lecz rozmawiając z nimi, można było pomyśleć, że są to aniołowie. Byli zaskoczeni, oburzeni tym, że mógł ich podejrzewać o zrobienie czegoś niezgodnego z prawem. Nawet kiedy przedstawiano bezsporne dowody na to, czego się dopuścili, nie drgnęła im powieka. Russel wierzył, że najwięksi przestępcy są zarazem największymi kłamcami.

Robert Martin z Clinton w Wirginii nie był jednym z nich. Ten facet sprawiał wrażenie dziecka, które podkrada mamie ciastka ze spizami. Kiedy Russel prowadził chryslera długim podjazdem pod górę, dostrzegł swoją ofiarę w garażu, wyraźnie śpieszącą się, by dokąds pojechać. Oczywiście fordem explorer. Facet omal nie zemdlął na jego widok.

Ze sposobu, w jaki człowiek reaguje na nieprzyjemną niespodziankę, da się wiele o nim powiedzieć. Niektóre spostrzeżenia Russela, jak to, że podejrzany zbladł i poruszał się niepewnie, można było wykorzystać w sądzie.

Russel zauważył, że facet nie wyszedł mu naprzeciw. Ale też nie uciekał. Po prostu stał w miejscu i patrzył. Russel zastanawiał się, co to oznacza i jakie znaczenie mogą mieć sińce na twarzy Martina. Sądy apelacyjne uginają się pod ciężarem spraw, w których nadgorliwi funkcjonariusze policji naruszyli prawa podejrzanych w ślepym pościgu za dowodami, które poddane procedurom rozprawy sądowej okazały się niewystarczające.

Nie można za bardzo polegać na przeczuciach. Russel wysiadł z samochodu i podszedł do Bobby'ego.

- Dzień dobry - powiedział. - Piękny dom.

Bobby lekko się uśmiechnął.

- Dzięki.

- Pan Robert Martin? - Russel podszedł całkiem blisko, blokując podejrzanemu drogę odwrotu.

- Tak... Bobby Martin. W czym mogę pomóc?

Russel rozejrzył się po garażu. A potem sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył skórzany portfel ze swoją legitymacją.

- Jestem Russel Coates z FBI - przedstawił się. Po raz pierwszy w jego karierze ktoś sięgnął po te dokumenty, żeby je sprawdzić.

- Rzeczywiście - stwierdził Bobby. - O co chodzi?

Wydawało się, że początkowy lęk go opuścił. Russel miał już pewność, że jego wizyta nie jest dla Martina niespodzianką.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa - wyjaśnił. Czasami najlepiej jest zacząć z grubej rury i wytrącić podejrzanego z równowagi.

- Ach tak. Spodziewałem się, że pan zadzwoni. - powiedział Bobby.

Russel uniósł brwi. Ta rozmowa zmierzała w całkiem nieoczekiwanym kierunku.

- Dlaczego?

- Mówi pan o zabójstwie w parku narodowym, prawda?

- Wie pan o tym?

- Wraz z żoną obozowaliśmy tam ostatniej nocy, kiedy więc usłyszałem o tym wydarzeniu w wiadomościach, byłem pewien, że wcześniej czy później ktoś zechce z nami porozmawiać. Mogę jednak oszczędzić panu trudu. Nie mam nic do powiedzenia.

Russel zastanowił się nad tym. Albo przynajmniej udawał, że tak czyni.

- Dlaczego jednak nie miałby mi pan opowiedzieć o tym, co pan wie?

Bobby wzruszył ramionami.

- Byłem w parku ostatniej nocy, a potem usłyszałem, że popełniono tam morderstwo. Ponieważ o tej porze roku jest niewielu obozujących, doszedłem do wniosku, że wcześniej lub później będziecie chcieli porozmawiać z nami wszystkimi.

- Z wami wszystkimi?

- Mam na myśli wszystkich obozujących w parku ostatniej nocy.

Russel wyciągnął z kieszeni notatnik.

- I co tam się działo? Z kim pan tam był?

- Z moją żoną.

- Z nikim więcej?

- Tylko my dwoje.

Russel dostrzegł na podłodze pudełko pampersów i Bobby pochwycił jego spojrzenie.

- Pieluszki. Kilka tygodni temu straciliśmy dziecko - wyjaśnił - My...

Nie dokończył zdania. Russel nie nalegał. Ten gość był albo piekielnie dobrym aktorem, albo też mówienie o tym faktycznie sprawiało mu ból.

- Jak ma na imię pańska żona? - spytał Russel.

- Susan.

Russel zapisał to sobie.

- A więc nic pan nie widział i nic pan nie słyszał?

- Było bardzo ciemno i bardzo zimno. To wszystko - odpowiedział Bobby i zaśmiał się.

W głowie Russela zadzwonił alarm. Podejrzany mówił zbyt gładko, zbyt ogólnikowo.

- Czy widział pan lub słyszał coś co mogło mieć związek z morderstwem?

- Na przykład co?

Facet był dobry. Gdyby kontynuować tę taktykę, należałoby przedstawiać Martinowi kolejne scenariusze, którym z łatwością mógłby zaprzeczać. W istocie oznaczało to odwrócenie ról.

- Wie pan, co - rzekł Russel, zamykając notes i wsadzając go z powrotem do kieszeni.

- Tutaj jest trochę za zimno. Może weszlibyśmy do środka i trochę porozmawiali? To nie zajmie wiele czasu.

Bobby pokręcił przecząco głową, a w jego oczach znów pojawił się strach.

- Wolałbym nie.

- Dlaczego?

- Czy muszę mieć powód, żeby nie zaprosić pana do mojego domu? - Bobby powiedział to takim tonem, jakby nigdy nie słyszał o czymś równie przerażającym.

- Czy zawsze podejmuje pan swoich gości na zewnątrz, na podjeździe?

- Nie jest pan gościem - Bobby postawił sprawę jasno. - Jest pan agentem FBI, a z pańskiego zachowania mogę wnosić, że podejrzewa pan, iż miałem coś wspólnego z tym zamieszaniem w parku.

- I, szczerze mówiąc, pańskie zachowanie się tutaj nie przyczynia się do tego, żebym miał myśleć inaczej.

- W sumie jest to tylko kolejny powód, żebym już z panem nie rozmawiał - Bobby wzruszył ramionami i odwrócił się, chcąc wrócić do domu.

Russela rozbawiła absurdalność tej sytuacji.

- No, wie pan, nie musimy załatwiać tego w tak prosty sposób.

Bobby stanął i odwrócił się.

- Co pan przez to rozumie?

- Mam na myśli to, że mogę kazać pana doprowadzić pod przymusem i przesłuchiwać przez całą noc jako świadka.

Bobby wiedział, że to blef, ale wołał nie drażnić agenta.

- Zamierza pan to zrobić? - zapytał.

- Mógłbym.

- Nie wydaję mi się - odpowiedział. - W takim razie przyszedłby pan tutaj z całą armią agentów. Widzę, że próbuje pan łowić ryby w mętnej wodzie.

Russel pozwolił sobie na uśmiech.

- Jest jeszcze podejrzany, który robi, co może, żeby wyglądać na winnego.

Bobby obojętnie pokiwał głową, jakby przyjmując to do wiadomości.

- Myślę, agencie Coates, że w tym przypadku musi się pan zdecydować. Albo ma pan powód, by doprowadzić mnie na przesłuchanie, albo idę do domu oglądać telewizję.

- A co z pana wyjazdem? - zapytał Russel, unosząc brwi.

Bobby nie wiedział, o czym agent mówi.

- Kiedy zbliżałem się tutaj, szedł pan do samochodu. Sądziłem, że miał pan dokądś pojechać - Russel wskazał ruchem głowy explorera.

Bobby wyglądał tak, jakby chciał mu się odciąć, ale zrezygnował.

- Miłego dnia, agencie Coates.

Russel patrzył, jak Bobby idzie do domu i wciska przycisk zamykający drzwi do garażu.

- Fajny samochód. Widzę, że ma pan takie same opony jak te, których odciski znaleźliśmy na szlaku Powhite. - Ucieszył się widząc, że słowa wywarły oczekiwany skutek. - Wkrótce znów się zobaczymy - zawołał jeszcze Russel, ale drzwi już się prawie zamknęły.

*

Bobby zdołał dojść tylko do przedsionka. Tam chwycił się ściany i osunął na podłogę. Wielkimi haustami łykał powietrze. Zaciskał mocno powieki, dopóki nie przestały mu wirować mroczki przed oczami.

Co on zrobił? Boże Wszechmogący, co on zrobił?! Teraz jest już po wszystkim. Kluczem do wszystkiego były opony. On widział te pieprzone opony i niedługo pojawi się tutaj cała armia gliniarzy z nakazem rewizji. Za dwie godziny zjawią się tu fotoreporterzy i ekipy telewizyjne. Będzie zhańbiony. Sąsiedzi i koledzy z pracy zaczną mówić, jak bardzo są zaskoczeni, że taki miły facet jak Bobby Martin okazał się mordercą i porywaczem.

Natychmiast wszyscy zwrócą się przeciwko niemu. Wiele razy widział takie obrazki

w telewizji. Pokażą go wyprowadzanego z sądu, ze skutymi rękoma i nogami, z opuszczoną nisko głową. Zobaczy to cały świat i nikt nie będzie miał wątpliwości, że jest winny.

Dlaczego nie oczyścił się z podejrzeń?

Pośród niezliczonych tysięcy pytań, które opadły go i kłębiły się w jego głowie, to zajmowało centralną pozycję. Dlaczego po prostu nie wyznał wszystkiego? Nie opowiedział całej tej historii? Teraz nie będzie się już liczyć, co komuś opowie, pod przysięgą czy bez. Zostanie to uznane za kolejne łgarstwo wystraszonego kryminalisty, który już dowiódł swojej skłonności do kłamania.

Ale on nie skłamał. Był bardzo ostrożny. Wszystko, co powiedział, znajdowało się na samej krawędzi oddzielającej prawdę od fałszu, której jednak nigdy nie przekroczył.

Duma. Obecnie to pojęcie nie znaczyło już wiele. Duma to luksus, o którym nie mógł marzyć w realnym świecie. W tej chwili zapłaciłby fortunę za jakąś gwarancję zachowania godności.

Podnosząc głowę i rozglądając się po pokoju usiłował wymyślić, co mógłby zrobić - coś, przybliżyłoby go o krok do rozwiązania całej sprawy. Przypuszczał, że zawsze mógłby uciec. Wejść na pokład jakiegoś samolotu i odlecieć dokądkolwiek. Wiedział, że to dziwaczny pomysł. Inni już tego próbowali i zawsze ich łapano.

Znów wyobraził sobie przyjęcie przed przejściem na emeryturę. I znów pojawili się policjanci wyłamujący drzwi i rzucający jego gości na podłogę.

Nie, nic z tego nie będzie.

Dźwignął się na nogi i powędrował do kuchni, gdzie nalał sobie soku pomarańczowego do wysokiej szklanki. Chętnie napiłby się alkoholu, ale musiał pozostać w pełni świadomy i czujny. Musiał wszystko przemyśleć.

Dopóki zimny, kwaśny sok nie spłynął w głąb gardła, nie zdawał sobie sprawy, jak sucho zrobiło mu się w ustach.

- Wiesz, co powinieneś zrobić - powiedział głośno. - Nie masz wyboru.

Wypił duszkiem resztę soku i skrzywił się, kiedy jego żołądek nie bardzo chciał go przyjąć.

Nadszedł czas, by zadzwonić.

Sądząc z tonu głosu recepcjonistki, Barbara Dettrick uprzedziła ją o tej rozmowie, a sama podniosła słuchawkę przy pierwszym dzwonku.

- Bobby?

- Facet z FBI właśnie sobie poszedł - powiedział. - Myślę, że wie.

- Co ci powiedział?

- Widziałem to w jego oczach. Słyszałem w jego głosie. Wie, że to ja.

- Nieważne, co on wie - odpowiedziała ostro Barbara. - Nieważne, co myśli. Liczy się tylko to, czego może dowieść. Opowiedz mi, jak przebiegała rozmowa.

- Wiedział, że ubiegłej nocy byliśmy w parku, i chciał, żebym udzielił mu informacji.

- Cholera, Bobby, może przestałbyś mówić tak niejasno? Opowiedz mi, o co pytał i co mu odpowiedziałeś.

Bobby jak najdokładniej odtworzył rozmowę. Powiedział, że przyznał się do pobytu w parku tej nocy, i że udało mu się nie mijać z prawdą.

- Nie bądź tak z siebie dumny - skarciła go Barbara. - Ten facet nie jest jakimś zastępcą szeryfa. Jest z FBI i ma doświadczenie. Zapytał, czy może wejść do domu?

- Odmówiłem mu. Powiedziałem, że widzę, iż uważa mnie za podejrzanego, i że nie sądzę, żebym mógł cokolwiek zyskać, zapraszając go do środka. Byłoby to jak zapraszanie wampira, nie sądzisz?

Barbara roześmiała się, co podziałało na niego odprężająco.

- Dobrze. Bardzo dobrze. A co z tym zezwoleniem na wjazd, którym tak się martwiłeś? Czy on coś o tym wspomniał?

- Nie, nic nie mówił. Jak myślisz, co to znaczy?

- Mam nadzieję, że nie odnalazł tego cholernego świstka. Może wiatr zdmuchnął go do rzeki? Zgubione zezwolenie będzie istotnym elementem tylko wtedy, gdyby znaleziono je w bliskiej odległości od miejsca przestępstwa. W takim wypadku już byś wylądował w areszcie. A co z nakazem rewizji? Czy twój kumpel z FBI nie wspomniał, że wróci z czymś takim?

- Nie dosłownie. Powiedział jednak, że opony w moim samochodzie są takiej samej marki jak te, których odciski znaleziono w miejscu przestępstwa.

- Myślałam, że zaparkowałeś u stóp wzgórza, z dala od miejsca przestępstwa.

- Tak właśnie zrobiłem. Jakies półtora kilometra stamtąd.

- Półtora kilometra! A więc blefuje. Te półtora kilometra znaczą prawie tyle, co rok świetlny. Ponadto, jeśli dobrze sobie przypominam, twoje opony nie są nowe.

- To oryginalne opony. Zrobiłem na nich przeszło sto tysięcy kilometrów.

- Każdy explorer używa takich samych opon. Wydaje mi się, że nic nam nie grozi z tej strony.

- Co teraz nastąpi?

- To zależy. Na tym etapie następny ruch należy do drugiej strony. Po prostu trzeba siedzieć i czekać.

Bobby zamilkł. Czekanie, aż druga strona zrobi następny krok, doprowadzi go do skrajnej wytrzymałości.

- Chcę zgłosić się na policję - wyłożył otwarcie karty. - Wyjašnjmy to wszystko i zobaczmy, jak się rozstrzygnie.

Cisza po drugiej stronie zaniepokoiła go.

- Barbara?

- Jestem tutaj. Myślę, że to błąd.

- Błąd? Co to ma znaczyć? Właśnie tego ode mnie chciałaś dziś rano!

- Od tego czasu miałam okazję porozmawiać z paru moimi kolegami i zmieniłam zdanie. Uważam, że na jakiś czas musisz powstrzymać się od działania.

- Ale dlaczego, na miłość boską?! - przestraszył się gniewu we własnym głosie.

- Szczerze? Ponieważ federalni mają teraz prawo zażądać kary śmierci, a zawsze szukają do tego okazji. Uważam, że póki nie dowiem się więcej na temat tego, co już wiedzą, musimy trzymać buzię na kłódkę.

- Dlaczego ich nie zapytasz?

- Właśnie tak chcę zrobić, ale wymaga to czasu. Powiem, że ich wizyta zaniepokoiła cię i dlatego muszę wiedzieć co na ciebie mają.

- Powiedzą?

- Prawdopodobnie nie, przynajmniej dopóki oficjalnie nie uznają cię za podejrzanego. Teraz nie będą chcieli jeszcze zdradzać swoich zamiarów. Uważam, że powinieneś poczekać i milczeć.

- Jezu, nie wiem, czy to zniosę.

- Poradzisz sobie - pocieszyła go. - Musisz. Pamiętaj, że wyrok dożywocia to aż nadto dużo czasu, żeby żałować pośpiesznie podjętej decyzji. Chyba nie potrafisz ci tego dobitniej wyjaśnić.

Miała rację. Wiedział, że miała rację, ale wiedział też, że kiedy mówił jej, jak niewiele brakuje, żeby załamał się pod wpływem stresu, była to najświętsza prawda.

- Jak długo mam czekać?

- Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz otrzymać odpowiedzi. Teraz porozmawiajmy o tym zabłąkanym dziecku, którym się zajmujesz.

Zaniepokoiła go nagła zmiana tematu.

- Tutaj nie zrobiłem żadnych postępów. Kiedy miałem spotkanie z tobą, Susan zabrała go na zakupy.

- Na zakupy? Zabrała go z domu w miejsce, gdzie mogą ją zobaczyć inni? Czy ona

zwariowała?

Bobby zamknął oczy.

- Myślę, że zwariowała. I niech mnie szlag, jeśli wiem, co z tym zrobić.

25

Ricky Timmons ze wszystkich sił starał się siedzieć spokojnie, gdy słuchał projektu zmiany planów. Wreszcie Logan skończył. Kiedy Ricky zaczął mówić, starannie ważył słowa, wiedząc, że krzykiem nigdy nie wygra.

- Patrick, myślę, że nie możemy tego zrobić. Gdybyśmy nawet zdążyli dotrzeć do Zachodniej Wirginii przed północą, to szanse, że to wszystko ujdzie nam na sucho, są o wiele za małe.

Logan zbył to machnięciem ręki.

- Nie mamy wyboru. Już ci to powiedziałem. Ten Samuel to pieprzony głupek. Teraz, kiedy jego brat nie żyje, sami musimy łątać dziury. Nie ma innego sposobu.

Kiepsko zaplanowane posunięcia kończyły się kłopotami. Dlatego właśnie trzeba postępować planowo. Żądny zemsty na Carlosie Ortedze Logan tak gotował się w środku, że nie dostrzegał już niczego innego.

- A więc załatwmy Ortegę z karabinu - zasugerował Ricky. - Strzelimy do niego ze stu metrów i znikniemy w zachodzącym słońcu.

- Nie - Logan potrząsnął przecząco głową. - Ten sukinsyn musi wiedzieć, kto go trafił.

- Ale wtedy wszyscy cię rozpoznają, cała szkoła.

- Na pewno nie w przebraniu, które przygotowuje dla mnie facet, będący moją prawą ręką - powiedział Logan z uśmiechem.

Ricky roześmiał się.

- Co niby miałbym zrobić? Załatwić ci nos Groucho Marksa i okulary? Patrick, bądź poważny.

- Jestem bardzo poważny - zawołał Logan. - A ty zachowujesz się jak stara baba. Co, u diabła, w ciebie wstąpiło?

Ricky zjeżył się. Gdyby ktokolwiek inny nazwał go starą babą, już by nie żył.

Wydawało się, że Logan wyczuł gniew swojego adiutanta i postanowił go udobruchać. Rozparł się w fotelu i wskazał Rickiemu miejsce obok siebie.

- Spokojnie, Ricky. Chciałem tylko, żebyś wiedział, jak wierzę w twoje zdolności, rozumiesz? Oczywiście nie jesteś żadną starą babą i przepraszam, że tak cię nazwałem.

Ricky nic nie odpowiedział, próbując ocenić szczerą Logana. Na koniec kiwnął głową, że wszystko w porządku.

- Dobrze. Chcę jeszcze, żebyś wiedział, że gdyby był inny sposób, żeby to zrobić, skorzystałbym z niego. Ale nie ma innego sposobu. Jeśli nie załatwimy go dziś wieczorem, to jutro znajdziemy się w plastikowych workach na zwłoki. Jest jeszcze jedna sprawa. Co stało się tam w lesie? Czasem coś się nie uda, żeby potem wszystko już poszło gładko.

Ricky uśmiechnął się. Tylko Logan mógł czuć się dobrze, stosując pokrętną logikę. Niemniej nie było rady, należało wierzyć w pomyślny obrót sprawy. Może Logan miał rację? Pewne było jedno: czy miał rację, czy nie, zabicie innych było o niebo lepsze, niż samemu zostać zabitym.

Ricky skinął głową na znak, że się poddaje.

- Dobra, Patrick, zrobimy to dziś wieczorem. Ale chcę, żebyś najpierw coś mi obiecał.

Logan przekrzywił głowę.

- Chcę, żebyś mi obiecał, że załatwimy to po mojemu. Doprowadzę cię dostatecznie blisko, żeby Ortega wiedział, kto go załatwił, ale poza tym zrobisz to tak, jak ci powiem, dobrze?

Logan spojrział, jakby chciał zacząć się kłócić, ale skinął głową.

- Po twojemu.

- Dlatego, że takie rzeczy to moja specjalność.

- Ricky, przestań już pieprzyć. Powiedziałem już, że to zrobię.

- Bardzo dobrze. A więc tak... - Ricky sięgnął do zapinanego na zamek błyskawiczny plecaka, który walał mu się pod nogami i wyciągnął torbę, też zapinaną na suwak, wewnątrz której znajdował się pistolet glock. Trzymając torbę za górny róg, podaj ją Loganowi.

- Oto twoja broń. Czysta. Prowadzi do pewnego faceta ze Spokane, który bierze narkotyki.

Logan sięgnął po torbę, ale Ricky cofnął ją.

- Posłuchaj mnie. Na tym pistolecie nie ma odcisków palców. Załadowałem go w rękawiczkach i ty też musisz używać rękawiczek. Dopóki nie znajdziesz się w szkole, nie wyjmuj pistoletu z torby. W ten sposób nie pozostawisz na broni żadnych śladów, które mogłyby prowadzić tutaj.

- Co z tłumikiem?

- Nie będzie tłumika. Zamierzasz strzelać w tłumie. Im więcej hałasu, paniki, tym

lepiej. Nie martw się o łuski, niech sobie lecą.

Logan skinął głową. Już wyobrażał sobie tę scenę w szkole.

- Najwięcej kłopotów może ci sprawić Peña. Dlatego najpierw musisz załatwić jego. Wolałbym, żebyś szybko załatwił ich obu, ale wiem, że będziesz chciał zabawić się z Ortega. Pamiętaj, Pat, Peña jest jak dzikie zwierzę. Jeśli nie załatwisz go pierwszy, będzie strzelał do wszystkich ludzi na sali, aż cię dostanie. Rozumiesz?

- Rozumiem. Jaką amunicję załadowałeś?

- Eksplodującą. Siedemnaście sztuk. Trafiasz w ramię, ramię odpada. Każde miejsce powyżej pępka i między ramionami - facet umiera z hamburgerem zamiast wnętrzności.

- A w jaki sposób chcesz załatwić tę sukę April i jej mężulka?

Ricky uśmiechnął się znacząco.

- Tak, że nawet tego nie zauważą.

*

- Co oni zrobili? - zapytała Heather Gannon, starając się nie zwracać uwagi na dziecko, które uczepliło się rękawa jej bluzy od Eddiego Bauera.

Dwuletnie dziecko używało jeszcze pieluszek i miało na imię Terry. Russel za nic nie potrafiłby rozstrzygnąć, czy był to chłopiec, czy dziewczynka.

- Nie wiemy, czy w ogóle coś zrobili - odpowiedział Russel tak obojętnym tonem, jak tylko potrafił.

Wypytyując czyichś sąsiadów zawsze wywoływało się ich zaciekawienie.

- Chciałem tylko zadać kilka pytań.

Heather zastanawiała się, co robić, kiedy dziecko zadecydowało w tej sprawie za nią, wciągając ją do holu.

- Proszę wejść - rzuciła mu przez ramię.

Russel wkroczył do zamku na Szklanej Górze. Z holu pięły się stromo w górę wielkie schody. Prowadziły na krużganek, otaczający cały dom. Zamiast tapet i obrazów, państwo Gannon woleli wysoki na trzy i pół metra fresk, który pokrywał ściany holu. Przedstawiał on siedzącego na koniu mężczyznę w czerwonej kurtce, goniącego lisa, którego jednak nigdzie nie można było wypatrzyć.

- Jak tu miło - rzekł Russel.

Nie mógł przecież powiedzieć, że jest to marnowanie pieniędzy w najgorszym stylu.

- Dziękuję - odpowiedziała Heather, uwalniając rękę od chwytu dziecka. - To dzieło Philipe'a Antonie'a.

Wymówiła nazwisko artysty z mieszaniną szacunku i podziwu, a Russel wyobraził

sobie bezrobotnego artystę z kucykiem, który znalazł wreszcie sposób, by zdobyć większą sumę pieniędzy.

- Jeśli chciałby się pan przyjrzeć detalom, to zapraszam.

Russel uśmiechnął się grzecznie, ale nie odpowiedział. Kiedy zamknął za sobą drzwi, instynktownie rozpiął kurtkę. Noszenie przy sobie broni nie miało sensu, jeśli nie można było szybko po nią sięgnąć.

- Czy możemy usiąść?

Dziecko płakało teraz, siedząc na kamiennej podłodze i kopiąc nogami.

- Czego chcesz? - Heather warknęła na dziecko i płacz przeszedł w zawodzenie. - Margarita! - zawołała, unosząc głowę w kierunku sufitu.

Kiedy Margarita nie odpowiedziała po pięciu sekundach, Heather znów wykrzyknęła jej imię, tym razem o wiele głośniej.

Wtedy na górze pojawiła się pulchna, drobna kobieta około pięćdziesiątki. Mówiła coś po hiszpańsku, zbiegając po schodach. Nosiła strój pokojówki i miała taką minę, jakby bała się że może go stracić.

- Na miłość boską, Margarita! Gdzieś ty była?

Margarita odpowiedziała tak łamanym angielskim, że Russel zrozumiał ją niewiele lepiej niż wówczas, gdy mówiła po hiszpańsku. Usłyszał jednak wyraźnie słowo „łazienka” i żał mu się zrobiło kobiety, która bez pozwolenia nie mogła nawet załatwić swoich spraw. Margarita kłaniała się, przeproszała i w końcu pośpiesznie odeszła, prowadząc za sobą małego Terry’ego.

Kiedy Heather została w końcu sama, wygładziła ubranie i poprawiła fryzurę.

- Zapraszam tam - powiedziała, oddychając z ulgą. - To dziecko potrafi zająć mi cały czas - dodała.

- Dobrze mieć pod ręką taką awaryjną matkę.

Heather zawahała się przez chwilę, nie wiedząc, jak potraktować jego słowa.

- Margarita to nasze wybawienie. Może przejdziemy do salonu?

Russela nigdy dotąd nie zapraszano do salonów. Bywał w pokojach dziennych, rodzinnych, czasem nawet trafiła się biblioteka, ale nigdy salon. Podążył za panią Heather. Opuścił Szklaną Górę i wszedł do snobistycznego Cheyenne Social Club. Gdzie można kupić czerwony aksamit i ozdobne złote chwasty w takich ilościach?

- Proszę, niech pan usiądzie.

Heather przycupnęła na krawędzi pretensjonalnego szezlonga, podczas gdy na pozór niewinnie wyglądający fotel połknął Russela.

Heather uśmiechnęła się, widząc jak jej gość wierci się na nim.

- Ach, powinnam była pana ostrzec. Ale pan zapewne też kocha antyki?

Domokrączy sprzedający starocie musieli świetnie na niej zarabiać.

- Jak długo zna pani państwa Martinów?

Heather rozważała to przez kilka sekund i wydawało się, że jest już bliska udzielenia odpowiedzi, kiedy nagle spochmurniała.

- Nie wiem, czy... Nie lubię udzielać odpowiedzi na takie pytania, kiedy nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. A jeśli narobię im w ten sposób kłopotów?

Russel wyciągnął notes.

- Czy oni często robią coś takiego, z czym mogą mieć kłopoty?

Uwielbiał zadawać takie pytania i nie zawiódł się na reakcji Heather.

- Nie wiem - odpowiedziała gniewnie, zdejmując sweter, jakby nagle uderzyła w nią fala gorąca. - Nie wydaje mi się. Prawie ich nie znam. Nie byłam świadkiem niczego szczególnego, ale przecież z ludźmi nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Russel cierpliwie uśmiechał się i kreślił w swoim notesie bazgroły. Miał nadzieję, że wyglądają na nieczytelne pismo.

- Zgadza się pan ze mną?

Russel skrzywił się z rozmysłem, mocniej bazgrołąc.

- O czym to pani mówiła? - zapytał w końcu, podnosząc wzrok.

Zgodnie z planem, Heather wydawała się zupełnie skonsternowana.

- Ja coś mówiłam?

- O Martinach.

- Tak, oczywiście, ale co?

- Właśnie miała mi pani powiedzieć, jak długo ich pani zna.

Na ludzi, którzy wahają się, czy opowiedzieć o swoich sąsiadach, nic nie wpływa tak dobrze, jak mazanie w notesie.

- Mieszkają w sąsiedztwie od sześciu, może siedmiu miesięcy. Nie mogę jednak powiedzieć, żebym ich naprawdę poznała - dorzuciła, jakby chcąc się odgradzić od wszelkich tych złych rzeczy, jakie Martinowie mogliby zrobić.

- Jak scharakteryzowałaby ich pani jako sąsiadów?

Wzruszyła ramionami.

- Wydają się dość mili. Większość czasu przebywają wyłącznie we własnym towarzystwie, zresztą jak my wszyscy w tej okolicy. Te dwuhektarowe posesje jakoś rozdzielają ludzi.

- Czy zgodnie ze sobą żyją?

- Przypuszczam, że tak. Jak powiedziałam, nie znam ich dobrze.

Russel zapisał jej słowa.

- A kiedy ostatni raz rozmawiała pani z nimi?

Heather myślała przez moment.

- To było na jakimś przyjęciu po tym, jak Susan poroniła.

- Poroziła? - zapytał skonsternowany Russel. Kiedy Bobby wspominał mu o tym, zabrzmiało to tak, jakby dziecko naprawdę zmarło.

- Tak, kilka tygodni temu. Wydaje mi się, że już wkrótce miała rodzić. Bardzo ciężko to znieśli.

Ten szczegół go zainteresował. W którym miejscu poronienie staje się urodzeniem martwego dziecka? Instykt podpowiadał mu, że to ważne.

- Powiedziała pani, że ciężko to znieśli. Co miała pani na myśli?

- Wydawali się pogrążeni w żałobie. Słyszałam od innych sąsiadów, że już kilkakrotnie stracili dzieci pod koniec ciąży.

- Powiedziała pani, że stało się to kilka tygodni temu. Może to pani określić dokładniej? Cztery tygodnie, osiem?

- Wydaje mi się, że było to sześć tygodni temu, najwyżej dwa miesiące. Susan zachowywała się dość spokojnie, może nienaturalnie spokojnie, ale Bobby wyglądał jak ucieleśnienie nieszczęścia.

Russel pokiwał głową ze współczuciem. Pomyślał o paczce pampersów w garażu i przypomniało mu się, jak jego matka przechowywała ubrania taty po jego śmierci. Podobnie jak Bobby Martin przez całe lata nie potrafiła się ich pozbyć. Na wieszaku w sypialni na górze trzymała ulubioną kamizelkę i kapelusz taty.

Pomyślał, że Martinowie przynajmniej mają jeszcze szansę skorzystać z tych pieluszek, przy następnym dziecku.

Odciski stóp!

Russel prawie zapomniał o jednej części układanki. Przy wykopanym w ziemi dole i na miejscu przestępstwa, znaleziono ślady dziecka. Jeśli Martinowie nie mieli dzieci, to skąd wzięły się tam te odciski?

- Czy widziała się pani z Martinami w ciągu paru ostatnich dni?

- Chodzi panu o to, czy z nimi rozmawiałam?

Wzruszył ramionami.

- Może po prostu przypadkowo zaobserwowała pani, co robią.

- W ostatni weekend dokądś pojechali. W piątek widziałam, jak pakowali do samochodu sprzęt kempingowy - Heather aż się wzdrygnęła. - Naprawdę trzeba kochać przyrodę i świeże powietrze, żeby zdecydować się na obozowanie pod gołym niebem w taką pogodę.

Russel zaśmiał się.

- Nie jest pani typem pioniera?

Wzdrygnęła się na samą myśl.

- Jestem uzależniona od służby i telewizji kablowej.

Russel pomyślał, że ta kobieta opływająca w bogactwa, nie ma gustu, ale przynajmniej jest szczerą wobec siebie samej.

Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że ta rozmowa da mu więcej. Jak na razie dowiedział się tylko, że ludzie podejrzani o morderstwo są w istocie całkiem sympatyczni. Już miał się pożegnać, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

Russel potrzebował trochę czasu, zanim odszukał to cholerstwo w kieszeni kurtki, pomiędzy portfelem, pistoletem, kajdankami i dokumentami. Uśmiechnął się przepraszająco do pani Heather, otworzył pokrywkę telefonu StarTAC i uniósł go do ucha.

- Coates.

- Cześć Russel, mówi Tim - usłyszał znajomy głos. - Chcę cię powiadomić o kilku dodatkowych szczegółach. Zidentyfikowaliśmy zwłoki. Facet nazywał się Jacob Stanns i mieszkał na tamtym terenie, w Zachodniej Wirginii, razem ze swoim bratem Samuelem. Właśnie się tam wybieram, żeby z nim porozmawiać.

Russel zapisał nazwisko ofiary.

- Dobrze... Czy coś jeszcze?

- Prześledziłem rozmowę na numer 911 - prowadzi do małego całodobowego sklepu pod Winchester w Wirginii. Policjanci rozmawiali z chłopakiem, który pracował tam ubiegłej nocy. Opis klienta zadziwiająco dobrze pasuje do zdjęcia tego Martina, które mamy z jego prawa jazdy. Może już czas zobaczyć się z nim?

Russel zerknął wymownie na Heather, która zrozumiała to spojrzenie, ale nie kwapiła się zostawić go samego.

- Naprawdę nie mogę teraz o tym rozmawiać - powiedział, wydobywając się z objęć fotela-ludojada. Kiedy skierował się do holu, Heather podążyła za nim.

- A co takiego kupili w sklepie?

Słyszał szelest kartek, kiedy Tim przeszukiwał notes w poszukiwaniu tego szczegółu.

- Wiem, że brał paliwo... o, mam tutaj... sprzedawca powiedział, że kupił batonik i

paczkę pieluszek.

26

Niczym dama, którą przecież była, Christa Ortega czekała cierpliwie na swoim miejscu, dopóki *tío* Jesús nie obszedł samochodu, żeby otworzyć jej drzwi. Dziś wieczorem zajmowała w samochodzie honorowe miejsce - z tyłu w rogu po prawej stronie, gdzie zwykle siadał jej ojciec. Carlos o mało nie pękł z dumy, kiedy patrzył, jak jego córka bierze Peñę za rękę, a potem z godnością wstaje z miejsca. Kiedy już znalazła się na chodniku, wysiadła żona Carlosa, Consuela, której Peña także podał rękę. Sam Carlos wysiadł ostatni, opuszczając przednie siedzenie. Ujął swoje panie pod ramię i poprowadził je chodnikiem w kierunku szkoły. Tuż za nim szedł Peña, trzymając w lewej ręce wiolonczelę. Prawą rękę zachował wolną.

- Można by pomyśleć, że przybывamy na rozdanie Oskarów - zaśmiała się Consuela.

- To jest ważniejsze od rozdania Oskarów - stwierdził Carlos. - To jest wielka szansa dla mojej córki, żeby pokazała wszystkim, jak bardzo jest utalentowana.

- Ależ tatusiu! Ja nie mam nawet prawdziwej partii solowej - zarumieniła się Christa.

Carlos promieniał. Każda dziewczynka potrzebuje tego, by ją chwalono. A jeszcze ważniejsze, żeby dowiedziała się, że tatuś zrobi dla niej wszystko.

Rodzina Ortegów zanurzyła się w tłum rodziców, braci i sióstr, młodzieży grającej w orkiestrze szkolnej.

Carlos wyciągał szyję, żeby spojrzeć ponad głowami ludzi, ale nie udało mu się określić powodu zatoru. Christa odeszła na bok, żeby sprawdzić to na własną rękę, a potem dołączyła do rodziny, marszcząc brwi.

- To siostra Inez - rzekła cicho. - Myślę, że ona mnie nie lubi.

- Nie mów głupstw - zaprotestowała jej matka. - Jestem pewna, że siostra lubi wszystkich swoich uczniów. - A potem, znacznie już ciszej, dodała: - Tak naprawdę to nie znosi tylko twego ojca.

Carlos uśmiechnął się. Consuela miała rację, a było tak od czasów, kiedy jako mały chłopiec chodził do szkoły św. Ignacego. Carlos Ortega nie przestrzegał żadnych reguł, wszyscy się go bali i żadne lanie, jakie dostawał w domu, nie mogło tego zmienić. Jednak po każdej rozmowie z siostrą Inez, naprawdę czuł się winien. Wcale nie chciał sprawiać

kłopotów. Po prostu zawsze był zdziwiony, że również jego obowiązują pewne zasady postępowania.

Być może właśnie dlatego Carlos ofiarował już szkole przeszło dwieście tysięcy dolarów. Gdyby nie jego datki, nie byłoby tej orkiestry. Siostra Inez musiała go tolerować, ale nie znaczyło to, że go lubiła.

Cierpliwie czekał na swoją kolej, żeby przywitać się z siostrą Inez, a kiedy stanął z nią twarzą w twarz, uśmiechnął się grzecznie i uściskał jej rękę.

- Dobry wieczór, siostró.

Zakonnica ledwo zaszczyliła go spojrzeniem, po czym pochyliła się i przywitała z Christą.

- Graj dobrze, dziecko.

- Dobry wieczór, siostró - odpowiedziała Christa, wzięła od Peñy wiolonczelę i skierowała się do pokoju ćwiczeń, gdzie miała przygotować się i nastroić instrument.

- Jest prawie tak piękna jak jej matka - rozległ się głos za ich plecami.

Ortegowie odwrócili się i zobaczyli promieniejącego uśmiechem ojca Eugeniusza.

- Ojcie! - zawołał z radością Carlos. - Jak to wspaniale, że ojciec przyszedł.

Siostra Inez prawie doprowadziła małego Carlosa do pogaństwa i tylko ojciec Eugeniusz zdołał go utrzymać blisko Kościoła. Zawsze uprzejmy, chętny do słuchania innych kapłan był szczególnym ulubieńcem dzieci, które Carlos wykorzystywał do szmuglowania towaru; uczył również historii w zabawny, nietypowy sposób. Ojciec Eugeniusz nienawidził wszystkiego, czym Carlos zarabiał na życie, niemniej traktował go jak jedną z owieczek ze swego stada. Ojciec Eugeniusz towarzyszył Carlosowi w każdym ważnym wydarzeniu jego życia; od ślubu z Consuela po chrzest ich córki oraz pogrzeby jego obojga rodziców.

Ojciec Eugeniusz objął Carlosa i Consuelę, a potem uściskał dłoń Peñie, który uśmiechnął się do niego szczerze.

- Pewnie przyjechaliście wcześniej, żeby zająć miejsce w pierwszym rzędzie? - zagadnął ksiądz, odprowadzając ich w kierunku sali.

Carlos uśmiechnął się i z kieszeni kurtki wydobyl kamerę.

- Oczywiście. Czy zechciałby się ksiądz do nas przyłączyć?

- Z prawdziwą przyjemnością - odpowiedział z uśmiechem ojciec Eugeniusz.

Okazało się jednak, że były już miejsca tylko w trzecim rzędzie. Jak zawsze Carlos dostrzegał przelotne spojrzenia innych rodziców, kiedy zajmowali miejsca, i jak zawsze odpowiadał na nie uśmiechem i skinieniem głowy.

Który z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Zawsze podobało mu

się to zdanie.

Orkiestra szkoły św. Ignacego była liczna. Dziś miało grać przeszło sto dzieci. Licząc po dwojgu rodziców na każde dziecko, razem z innymi uczniami oraz personelem, który zdecydował się pozostać i posłuchać koncertu, w sali zaprojektowanej na dwieście siedemdziesiąt pięć osób musiało być ze dwustu ludzi. Sala była tak pełna, że ledwo dałoby się wetknąć szpilkę.

Punktualnie o godzinie siódmej światła przygasły i na scenie rozjarzyły się reflektory. Rozległy się kroki dzieci wchodzących na scenę, pobrzękiwania metalowych pulpity i skrzypienie krzeseł.

Kiedy wszystkie miejsca zostały zajęte, Carlosowi serce zaczęło bić szybciej.

- Gdzie jest Christa? - zapytał szeptem.

Peña dojrzał wyraz twarzy swojego szefa i wstał. Jego oczy mówiły, że jest gotów do walki.

Consuela pociągnęła go za marynarkę.

- Siadaj - syknęła. - To początkujący. Christa zjawi się dopiero później!

Peña uśmiechnął się do swoich sąsiadów i usiadł z powrotem w fotelu.

- Chcesz, żebym sprawdził, co się z nią dzieje? - spytał szeptem, wychylając się do przodu.

Carlos pokręcił przecząco głową.

- Nie, z nią wszystko w porządku. Nie usłyszę końca koncertu, jeśli będę ją niepokoić.

Przez tylne drzwi wszedł do sali mężczyzna cały ubrany na czarno, z koloratką. Miał krzaczaste wąsy i niezbyt przypominał księdza, ale nie wzbudziło to niczyich obaw.

Choć na sali panował półmrok, mężczyzna wypatrzył sobie miejsce - w połowie drogi do sceny, trzecie krzesło od środkowego przejścia. Kiedy dotarł do tego rzędu, pochylił się do ucha człowieka zajmującego z żoną dwa skrajne miejsca.

- Przepraszam, czy mogliby państwo przesunąć się o jedno miejsce, żebym nie musiał się przeciskać? - spytał szeptem.

Zagadnięty niechętnie szturchnął żonę w ramię i oboje się przesiedli.

Ksiądz uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Bardzo dziękuję. Gdyby państwo wiedzieli, jak bolą mnie plecy!

Nikogo nie zastanowiło, dlaczego ksiądz nie zdjął rękawiczek.

*

William Simpson był wściekły. Dokąd, u diabła, pobiegła ta cholerna suka? Nie był sekretarzem April i miał dość odbierania telefonów do niej! Jak, do diabła, mieli związać

koniec z końcem, jeśli ona nawet nie pokazała się w pracy? Jezu, co ona sobie myśli?

Na to akurat znał odpowiedź. Zamartwiała się o tego cholernego dzieciaka. Słodki, mały Justin. Komu potrzebny ten gówniarz? I to na centralnym miejscu w domu! Dziś był pierwszy od lat spokojny, cichy dzień. Bez ciągłych wrzasków: „ja chcę to, ja chcę tamto”. Ciastko, sok, pieprzoną zabawkę. Mieć dzieciaka to o wiele gorzej niż mieć psa! Pies przynajmniej załatwia się na dworze. Nie tak, jak mały kochany Justin.

Czy April dała mu kiedyś w dupę? Kurwa, nie. Pieprzyć ją. I jej dzieciaka. Niech idą do diabła. Tylko niech trzyma gębę na kłódkę. Gdyby poszła do gliniarzy, Logan na pewno by ich wszystkich pozabijał, bez żadnych wątpliwości. Chryste, czy mógł to jej wytłumaczyć jaśniej?

No to gdzie, u diabła, ona była? Mógł sobie wyobrazić, jak wędruje przez miasto, zagląda do każdego kosza na śmieci i przepatruje każdą uliczkę, szukając swojego cennego dzieciaka. Może teraz będzie traktować własnego męża z odrobiną szacunku?

Już czas, żeby zaczęła zarabiać na własne utrzymanie. Do diabła z tymi hamburgerami i gównianym sprzątaniami. Ze swoim wyglądem mogła zebrać ciężkie pieniądze na ulicy. A on mógłby być jej alfonsiem. I jak wtedy nie okaże mu trochę szacunku, stłucze ją na kwaśne jabłko.

Potrzebował drinka. Do diabła z tym całym gównem. Niech ich oboje szlag trafi. Chwyając klucze i kurtkę z małego niskiego stolika w korytarzu, William skierował się do wyjścia.

Nigdy nie lubił przechodzić przez boisko, gdzie nie można było się schować w razie wymiany ognia między gangami. Za dnia nie było jeszcze tak źle. Ale kiedy się ściemniło, jak teraz, czuł się niepewnie.

Nie wiadomo skąd wziął się niewidzialny koń, który kopnął go w żołądek. Siła uderzenia odrzuciła go w tył o dobry metr. Upadł na twarz. Nogi leżały na mokrej, zimnej trawie, uniesione pod dziwnym kątem. Spróbował je wyprostować, ale odmówiły mu posłuszeństwa. Łapiąc powietrze, chciał nimi poruszyć, ale pozostały w miejscu, jakby należały do kogoś innego. Kiedy chwycił za bezwładne kończyny i próbował je wyprostować ręką, w jego oczach pojawił się błysk paniki.

Do diabła, co jest?

Kiedy usiłował znaleźć jakiś punkt oparcia dla ręki, ten koń znów go kopnął. Krzyknął z przerażenia, gdy prawe biodro wybuchło mieszaniną kości i ciała. Siła uderzenia była większa niż za pierwszym razem; obróciła go na ziemi i ułożyła płasko na plecach.

- O, kurwa! Dostałem! - krzyknął. To musiało być to. Tylko gdzie podział się ból?

Gdzie był pieprzony ból? To, że niczego nie czuł, przerażało go bardziej niż każde cierpienie, jakiego doznał w życiu. Co tu się, u diabła, działo?

Coś było nie w porządku z jego oddechem. W klatce piersiowej odczuwał dziwny ucisk, jakby siedział na nim ktoś ciężki. Im bardziej próbował złapać powietrze, tym bardziej ten ktoś mu ciążył. Kiedy William oddychał, on charczał. Kiedy William walczył o oddech, ten ktoś wydawał jakieś chrapliwe dźwięki. William nie mógł tego zrozumieć.

I wtedy zobaczył krew. Kurtka była zapięta na zamek błyskawiczny, minęło więc trochę czasu, zanim krew przesączyła się na zewnątrz. Teraz była wszędzie. Zobaczył też dziurę, nie większą niż średnica ołówka. Mógłby w ogóle jej nie zauważyć, gdyby nie kępka watoliny stercząca z kurtki.

- O kurwa, pomocy! - krzyknął i wtedy ze świstem nadleciała trzecia kula. Mijając jego ucho może o centymetr, wwierciała się w trawę za nim. William próbował przetoczyć się na brzuch, żeby się odczołgać, ale obumarłe nogi niczym kotwice przytrzymały go płasko na plecach.

Spróbował więc jeszcze raz zawołać o pomoc, ale masa ciężąca mu na piersiach wypełniła już gardło i jego struny głosowe stały się tak samo bezużyteczne jak nogi. Pomyślał jeszcze, że może mógłby umknąć stąd, ślizgając się na plecach, ale kiedy spróbował podnieść ramiona, ta bestia siedząca na piersiach osiągnęła rozmiary budynku.

Pomyślał, że jednak te sukinsyny wygrały. I kiedy leżał tak, ze wzrokiem wbitym w czarne niebo, nagle zaczął się zastanawiać, gdzie się podziały wszystkie gwiazdy.

*

Dom dalej, na drugim piętrze, w klatce rozmiarów klatki na szczury, która śmierzdziała schroniskiem dla bezdomnych, Ricky Timmons przygotował się do wykończenia roboty. Była łatwa jak splunąć. Dzięki pogawędce z chłopakiem o przezwisku Fuzzy, którego wyłowią z rzeki za kilka dni, martwego z powodu przedawkowania, dowiedział się, że William Simpson prowadził życie tak regularne, że można według niego nastawiać zegarek.

Teraz należało więc tylko czekać.

Ricky martwił się, że nikt nie widział tej kobiety. Zapytał o April dwóch przypadkowych ludzi, ale niczego się nie dowiedział. Zapłacił Fuzziemu pięćdziesiąt dolców, żeby rozejrzał się wokoło, ale i to nic nie dało. Niedobrze, z tą kobietą mogą być kłopoty.

Kiedy już zajął stanowisko strzeleckie, pomyślał, że może warto oszczędzić Williama, zanim nie przyszpili ich oboje. Jednak rozsądek podpowiadał mu, że załatwiając teraz Williama przestraszy jego żonę, zmusi do tego, by trzymała gębę na kłódkę.

Kiedy William wyszedł ze swojego mieszkania na otwartą przestrzeń, sam

zdecydował o swoim losie. Pewne okoliczności są tak nęcące, że nie sposób ich odrzucić. Ricky patrzył przez lunetę, jak William idzie prosto na niego. Wyglądał na nieco zdenerwowanego, ale nie bardziej niż ktoś, kto nocą w tej okolicy wyszedłby na ulicę. Dwie latarnie dawały dość światła, nie potrzebował więc noktowizora.

Pomyślał o szybkim zakończeniu sprawy strzałem w głowę, ale ponieważ miał tłumik, mógł pozwolić sobie na trochę zabawy. Logan zawsze chciał, żeby jego wrogowie wiedzieli, że zadarli z niewłaściwym facetem, a bez paru chwil paniki, która przychodzi na widok własnych bebechów wylewających się na chodnik, taka lekcja zostałaby zmarnowana.

Mierzenie w kręgosłup zawsze jest ryzykowne, jeśli nie chce się zabić od razu. Strzał na wprost, a taki należało oddać z miejsca, w którym się znajdował, jest jeszcze trudniejszy. Serce, wątroba, płuca; wszystko krwawi jak skurwysyn i jeśli nie jest się dość ostrożnym, to facet wykrwawi się, zanim zdąży zrozumieć, co się stało.

Mógł być dumny już z pierwszego strzału. Kula trafiła parę centymetrów powyżej pępka i wyszła plecami przez kręgosłup. Idealnie. Natychmiastowy paraliż. Jednak tego strzału w nogę powinien się wstydzić. Pewnie, że gość aż podskoczył; Ricky roześmiał się, oglądając to widowisko, i nieco się rozluźnił. Wręcz nie mógł uwierzyć, że przy ostatnim strzale aż tak stracił wyczucie.

Teraz facet był już pewnie martwy, ale Ricky nigdy nie lubił kompromisów.

Kłęcząc daleko od okna, żeby pozostać niewidocznym, przyjął klasyczną postawę strzelecką - oparł rękę na łokciu. Wstrzymał oddech, wypuścił z płuc połowę powietrza i zamarł bez ruchu. Ustawiając środek siatki celownika na swojej ofierze odbezpieczył broń i delikatnie, powoli pociągnął za spust.

Wyposażona w tłumik broń syknęła i poczuł na ramieniu jej odrzut. Nawet z tak daleka widział rozpryskujący się mózg.

27

Bobby zobaczył przesuujące się po podjeździe światła samochodu Susan i ogarnęła go wściekłość. Kiedy on siedział tutaj, FBI dobierało mu się do tyłka, Susan pojechała sobie na zakupy. W dodatku nie sama, lecz z dzieckiem, które zostało porwane według wszelkich możliwych znaczeń tego słowa, oprócz definicji Susan.

Porwane! Nie znalezione, tylko porwane. Jezu!

Nigdy wcześniej nie doznawał takiego strachu, jak ten, w którym żył od przeszło dwudziestu czterech godzin. Bał się bardziej aresztowania niż wówczas w lesie, kiedy walczył o własne życie.

Teraz pojął, że wizyta w biurze Barbary Dettrick i późniejsze rozmowy przez telefon tak naprawdę miały na celu ułatwienie mu oddanie się w ręce policji. Potrzebował kogoś, kto powiedziałby mu, że wszystko przepadło, że nie ma już żadnego innego wyboru.

Jednak ona powiedziała mu coś zupełnie innego. A kiedy chciał zwrócić się do najlepszego przyjaciela - do swojej żony, z którą spodziewał się dożyć starości - była nieobecna. Znalazła się w jakimś nierealnym świecie, w którym mogła utrzymywać, że ten znaleziony chłopiec jest jej własnym dzieckiem.

Jezu, nawet nazwała go Stevenem! Jak mogła w ten sposób bezcześcić pamięć ich syna? Czy była tak niezrównoważona z powodu jego straty, czy chciała uciec przed bólem dzisiejszego życia? Jak mogła zostawić go całkiem samego, gdy nie mógł się uporać ze swoich strachem? Kiedy zobaczył światła jej auta, wszystkie splątane emocje odpłynęły i pozostała tylko złość!

Stał w oknie; wewnątrz było ciemno, więc nikt nie mógł go zobaczyć. Od chwili, kiedy agent Coates zostawił go w garażu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowany. Jak określa się to fachowo? Inwigilowany... A więc nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest inwigilowany.

Chrysler Susan stanął tuż przed garażem i kiedy drzwi zaczęły się podnosić, przez podjazd przepelzł prostokąt światła. Zamiast wjechać do środka, Susan wysiadła, obeszła samochód i stanęła przy tylnym siedzeniu. Przez sekundę Bobby zastanawiał się, po co to robi, ale w blasku światła spod sufitu zobaczył głowę małego chłopca i pomyślał sobie, że w ciasnym garażu trudno byłoby go wyjąć.

Kiedy wyjmowała dziecko z samochodu, tak się uśmiechała, jakby nie dbała o nic więcej na świecie. Upłynęło już wiele lat od czasu, kiedy ostatni raz widział u niej ten wyraz twarzy. Ale teraz tylko pogłębiało to jego gniew. Kto dał jej prawo do odczuwania czegokolwiek oprócz żalu? Potem otworzyła bagażnik i wyjęła stamtąd sześć toreb z zakupami. Jedną z nich wręczyła chłopcu, a on promieniejąc przycisnął ją do piersi. W ręku trzymał pluszowego tygrysa.

Kiedy Bobby przekonał się, że Susan chce wejść przez garaż, poszedł do kuchni, żeby się z nimi spotkać.

- Och! - krzyknęła Susan na jego widok. - Bobby, ale mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam - odpowiedział mimo woli. - Cieszę się, że wróciłaś.

- Cudownie spędzaliśmy czas ze Stevenem. Nie uwierzyłybyś, jak wiele matek jest w centrum handlowym o tej porze dnia. Kupowaliśmy, kupowaliśmy i kupowaliśmy. Steven był grzeczny jak aniołek.

Z Susan wylewał się taki potok słów, że aż zabrakło jej tchu. Zaprowadziła chłopca do dużego pokoju, gdzie z zapalem zaczął zdzierać papier z jednej z paczuszek. Okazało się, że zawierało ono kolejne pluszowe zwierzątko, tym razem był to wysoki na pół metra miś Puchatek. Chłopiec rozpromienił się, kiedy Susan usiadła obok niego na podłodze, żeby się z nim pobawić.

Bobby kilkakrotnie usiłował się wtrącić, ale Susan mówiła jak nakręcona. Wreszcie zrobiła przerwę, żeby odwieść płaszcz.

- Był tu dzisiaj człowiek z FBI - powiedział szybko. Miał nadzieję, że wstrząśnie nią, ale jego słowa nie odniosły takiego skutku.

- Naprawdę? - zapytała. Nawet nie podniosła wzroku. - A czego chciał?

- Jak to czego? Chciał porozmawiać o pewnym nieboszczyku, którego ostatniej nocy odnaleziono w lesie, blisko miejsca, gdzie rozbiliśmy namiot.

Susan miała teraz w ręku tygrysa. Pluszowy zwierzak podskakiwał w powietrzu, walcząc z Puchatkiem. Malec śmiał się wesoło.

- Susan, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Oczywiście, że cię słucham.

- Możesz na mnie spojrzeć?

Odwróciła głowę i przez ramię posłała mu uśmiech, mrugając oczami z przesadną kokieterią.

- No i co tam?

Gniew płonący w Bobbym zastygł w bryłę strachu.

- Kochanie, jesteś pijana?

- Myślałam, że znasz mnie lepiej - roześmiała się. - Ja się nie upijam, bo robię się wtedy senna. Poza tym, nigdy bym nie piła mając Stevena w samochodzie. Dzisiaj przewoziliśmy bardzo cenny ładunek, prawda, mój malutki Stevenie? - szczebiotała głosem, jakim dorośli zwracają się do dzieci.

Bobby jęknął.

- Kochanie, oni są coraz bliżej. Musimy coś zrobić.

- Właśnie coś robię. Bawię się z moim synem. I ty powinieneś przyłączyć się do nas.

- Z twoim synem? Susan, skończ z tym! Skończ z tym, do cholery!

Wyglądała na przerażoną.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Mówiłem ci. Był tu człowiek z FBI...

- Wiem. Już słyszałam o tym - Susan mówiła protekcyjnym tonem, do którego Bobby nie był przyzwyczajony. - Ciągłe zapominasz, że to Bóg przysłał to dziecko. On nie pozwoli, żeby ktoś nam je odebrał; ani FBI, ani ktokolwiek inny. Nie denerwuj się.

W głowie, za oczami, Bobby poczuł gwałtowny ból.

- Susan, nie słuchasz mnie. Oni już wiedzą. To tylko kwestia czasu...

Znów nie patrzyła na niego.

- Gdyby byli już tak blisko, to teraz bylibyśmy w więzieniu, prawda? Albo przynajmniej w drodze na przesłuchanie.

- Nie wierzysz w to?

- Nie wierzę - powiedziała gwałtownie Susan. - I przestań już o tym myśleć. Wiem, że wszystko w jakiś sposób się ułoży. Tobą kieruje strach, a ja mam wiarę. To takie proste - wyrzuciła z siebie i znów się odwróciła. - A przede wszystkim nie powinniśmy dyskutować o tym w obecności Stevena.

- To nie jest Steven! - krzyknął Bobby. - Steven nie żyje. Nigdy się nie narodził, rozumiesz?

Chłopiec zaczął płakać i Susan wzięła go na ręce. Spojrzała na męża z nienawiścią. Wyglądała na opętaną. Na szaloną.

- Zamknij się, Bobby.

- Nie zamknę się! Jezu, Susan, czy rozumiesz, co robisz? Czy rozumiesz, kim się stałaś? Nasz syn nigdy nie żył! Nigdy nie będzie żyć! Ten chłopiec tutaj - Bobby wskazał na przerażonego malca w jej ramionach - nie jest Stevenem. Nie wiemy, kim jest, ale, do diabła, z pewnością nie jest naszym synem!

- Nie będę tu siedzieć i wysłuchiwać tego! - Susan gwałtownie zerwała się na nogi.

- Właśnie że będziesz! - zagrzmiał Bobby.

Susan próbowała precyzyjnie się obok niego, ale chwycił ją za ramię.

- Siedź tu, Susan! To zbrodnie, za które posyłają ludzi na krzesło elektryczne. Nie możesz tak po prostu uciekać do świata fantazji.

Susan szarpnęła się mocno, żeby uwolnić ramię, a potem uderzyła Bobby'ego w twarz.

- Trzymaj ręce z daleka ode mnie.

- Jezu, Susan...

- I trzymaj ręce z daleka od mojego syna, słyszysz? On jest mój. To jest mój Steven.

Nic mnie obchodzi, co zrobisz. Odejdź, jeśli chcesz. Sam zgłoś się na policję. Ale nikt już nie zabierze mi mojego małego chłopca.

Skierowała się do holu, przepychając się obok niego. Nie mógł uwierzyć, że go uderzyła. Dawniej nigdy się nie kłócili.

Odgłos jej kroków na marmurowej posadzce grzmiał jak uderzenia młotem. Bobby rzucił się, żeby ją dogonić, ale Susan przyspieszyła kroku, zmierzając do sypialni. Nie chciał, żeby zamknęła się tam na klucz.

Kiedy Bobby doganiał Susan, na twarzy małego chłopca, który przypatrywał mu się znad jej ramienia, ujrzał przerażenie.

Boże, co ten dzieciak musi o nim myśleć.

Susan przebiegła przez otwarte drzwi i próbowała zamknąć je wolną ręką, ale Bobby już tam był. Drzwi uderzyły go w ramię, odbiły się i stały otworem. Susan znów próbowała je zatrzasknąć, ale on już był w środku.

- Wynoś się! - krzyknęła. - Wynoś się i zostaw nas w spokoju!

- Nas?! - wykrzyknął Bobby. Chłopiec teraz też krzyczał zakrywając sobie uszy rękoma. - Jakich nas, Susan? Czy nie jestem już członkiem mojej własnej rodziny?

- Nie. Jeśli zamierzasz odebrać mi moje dziecko, nie jesteś!

Zapadła cisza. Bobby miał nadzieję, że Susan zrozumie, jaką dziwną sytuację stworzyła między nimi.

- Posłuchaj - powiedział łagodnie. - Przepraszam, że na ciebie krzyczałem? Przepraszam, że nie zdołałem się opanować.

- Nie zabieraj mi Stevena.

Bobby spojrzał na nią twardo. W jej oczach dostrzegł determinację. Musi przysiąc, że nie zabierze Susan tego małego chłopca - że nie odbierze jej Stevena. W innym wypadku w ogóle nie będzie chciała słuchać jego słów.

Bobby Martin nie zamierzał samotnie borykać się z tym koszmarem.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Nie zabiorę ci Stevena.

- Daj słowo.

- Właśnie dałem.

- Powiedz to.

Omali się nie roześmiał. Co to za dziecinada? Ale Susan była śmiertelnie poważna. Skinął więc głową.

- Dobrze - wyszeptał. - Przysięgam, że nie zabiorę ci Stevena.

- Nigdy - uzupełniła.

Zawahał się. Mógł skłamać. Mógł powiedzieć jej cokolwiek, co chciałyby usłyszeć, tylko po to, żeby przejść przez ten kryzys. Ale gdyby to zrobił, cóż by im pozostało? Jeśli zdradziłby ją w tej godzinie, kiedy najbardziej go potrzebowała, znikłoby całe zaufanie. A bez zaufania nie ma małżeństwa. Za bardzo ją kochał, by ją okłamać.

- Susan, nie mogę tego przyrzec.

- A więc nie mamy o czym rozmawiać.

Obróciła się i skierowała do sypialni.

- Cholera, Susan, może jednak zaczekasz i posłuchasz? - zawołał za nią.

Jeśli w jego głosie brzmiał gniew, to tylko dlatego, że był zmęczony, zagubiony, śmiertelnie przestraszony.

Susan odwróciła się.

- Obiecałem, że go nie oddam, prawda? W każdym razie nie dziś wieczorem, to mogę przysiąc. Nie dziś wieczorem. Pomyśl o tym. Nie mam takiej wiary jak ty. Rozmawiałem już dzisiaj z FBI. Wysłuchałem gościa i wiem, że wkrótce wywęszą, co zrobiliśmy. Wrócą prędzej czy później. Nie zmuszaj mnie teraz do żadnych przysiąg, bo nie wiemy, co może się zdarzyć.

Susan dłuższą chwilę rozważała znaczenie jego słów. W końcu skinęła głową.

- To uczciwe z twojej strony - wyszeptła. - Ale dziś będziemy rodziną, dobrze?

Bobby wziął głęboki, bardzo głęboki oddech. Z pewnością nie był to właściwy moment, żeby dyskutować na temat różnych aspektów definicji rodziny.

- Dobrze, dziś będziemy rodziną - potwierdził.

*

Jedno spojrzenie na twarz strażniczki powiedziało April, że stało się coś bardzo złego.

Siedziała z dziesięcioma innymi kobietami, z których każda mogła choćby dla kaprysu skrócić jej kark. Nie miała pojęcia, o co zostały oskarżone, ale znały się ze sobą i dały jej zupełnie jasno do zrozumienia, że nie jest mile widziana w ich klubie.

To miejsce śmierdziało potem i uryną; zapaskudzone betonowe ściany odbijały i zwielokrotniały dźwięki prowadzonych w pokoju rozmów, zamieniając je w rwetes pozbawiony znaczenia. Nie musiała tym kobietom niczego udowadniać, nie chciała też niczego się od nich nauczyć. Siedziała tam, gdzie kazały jej usiąść, przechodziła gdzie indziej, kiedy jej kazały. Nie obchodziło jej to.

Mogła myśleć tylko o Justinie. Kiedy Carlos spełni swoją obietnicę i sprowadzi go do domu? I gdzie się właściwie znajdzie po powrocie? Na pewno przez długi czas nie będą razem. Powiedzieli, że grozi jej od dwudziestu lat więzienia do dożywocia.

Ale o to będzie się martwić później. Najpierw musi ulokować Justina w bezpiecznym miejscu.

Wszystkie więźniarki odwróciły się, słysząc, że nadchodzi strażniczka z kluczami. Ale ta patrzyła tylko na April. Szybko odwróciła wzrok, kiedy ich spojrzenia się spotykały.

- April Simpson! - zawołała.

April wstała. Instynktownie wyczuła, że stało się coś strasznego.

- O co chodzi?

- Masz iść ze mną.

Za pierwszą strażniczką, która otwierała drzwi, stanęła następna z radiem w jednej ręce i pałką w drugiej, gotowa natychmiast wkroczyć, gdyby więźniarki ruszyły do ataku.

April przeszła przez drzwi i strażniczka zatrzasnęła je za nią.

- Czy stało się coś złego? - zapytała.

- Wiem tylko, że detektyw Stipton chciał jeszcze raz z tobą porozmawiać. Teraz muszę cię skuć. Odwróć się i złóż ręce za plecami.

April zrobiła, jak jej kazano.

- Jeśli stało się coś złego, powiedz mi teraz.

Strażniczka chwyciła ją za łokieć; mocno, ale nie brutalnie.

- Dowiesz się o wszystkim na górze.

To dotyczyło Justina. Czuła to. Stało się z nim coś strasznego. Być może odnaleźli gdzieś jego zwłoki. Więzienni nadzorcy byli twardzi jak skała, a jednak ich twarze wyrażały jakby przestrasz i zarazem współczucie.

Kiedy weszła do pokoju przesłuchań, detektyw Stipton już na nią czekał. Stojąc plecami do drzwi, przez okno ze stalowymi kratami wpatrywał się w parking. Odwrócił się do niej z bardzo poważną twarzą. Wzrokiem dał znak strażniczce, która zdjęła April kajdanki i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- April, może przynieść ci kawy? Albo wody sodowej?

- Czy stało się coś złego?

Stipton wskazał jej krzesło, na którym siedziała podczas ich ostatniego spotkania.

- Usiądź - powiedział.

Był tak niepokojąco uprzejmy, że w całym jej ciele rozdzwoniły się dzwoneczki alarmowe.

Usiadła. Stipton usiadł również, dokładnie naprzeciwko.

- April, nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Do oczu napłynęły jej łzy. Biedny Justin. Niech Bóg ma go w swej opiece.

- Strzelano do twojego męża. Nie żyje.

April patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. Powiedział „twojego męża”? William? Nagle poczuła, że serce znów zaczęło jej bić.

- Wiadomo tylko tyle, że wychodził z mieszkania i ktoś na niego czekał. Strzelano do niego trzy razy; zginął na miejscu. Bardzo, bardzo ci współczuję.

April z trudem się powstrzymywała, żeby się nie uśmiechnąć. Jakiegoś innego dnia, w innych okolicznościach, mogła to być straszna wiadomość. Jednak w tej chwili chciała krzyczeć z radości.

Z Justinem wszystko było w porządku.

28

W auli szkoły św. Ignacego wybuchły brawa. Publiczność wstała i wiwatowała z entuzjazmem, jaki może ogarnąć tylko dumnych rodziców. Po zwróceniu się do orkiestry, by wykonała zbiorowy ukłon, panna Vonder płynnym ruchem dłoni przedstawiła solistkę, gwiazdę wieczoru.

Christa Ortega wysunęła się do przodu i oklaski zagrzmiały jeszcze donośniej. Tak, jak przećwiczyła to setki razy przed lustrem, podziękowała publiczności, najpierw kłaniając się w lewo, potem w prawo i na koniec dygnęła z wdziękiem, dziękując wszystkim.

Cofając się, zatrzymała się na chwilę i posłała ojcu całusa.

Carlos prawie jej nie widział przez łzy wzruszenia. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie tak dumny. Poczul, jak Consuela obejmuje go ręką w pasie i sam otoczył ją ramieniem. Ten wieczór będą pamiętać bardzo, bardzo długo.

- Ona jest piękna - powiedział ojciec Eugeniusz, nachylając się na tyle blisko, żeby można go było usłyszeć. - Po prostu piękna.

Carlos podziękował za komplement skinieniem głowy i uśmiechem, nie mogąc wymówić ani słowa.

Kanon był finałową częścią koncertu. Aplauz przeszedł w gwar niezliczonych rozmów, a muzycy stali dalej, czekając na swoją kolej, żeby w szeregach zejść ze sceny.

Droga, którą dzieci schodziły ze sceny, prowadziła przez drzwi za kulisami i dalej na dół bocznym korytarzem, prosto do pokoju muzycznego. Carlos blisko współpracował z architektem i znał drogę tak dobrze, jak mali muzycy. Poszedł schodami prowadzącymi za

kulisy. Dołączył do procesji dzieci, które właśnie szły po ubrania i futerały na instrumenty. Niektórzy rodzice podążali za nimi, większość jednak wolała poczekać na swoje pociechy w holu przed aulą.

Nastrój dzieci wprowadził Carlosa w doskonały humor. Wiedziały, że koncert się udał i nie mogły zapanować nad swą radością. Czy jest na świecie coś miłszego od głosów szczęśliwych dzieci? Z pewnością nie. Carlos szedł, trzymając za rękę Consuelę i tylko słuchał. Peña, jak zawsze pozostając kilka kroków z tyłu, bezustannie przyglądał się tłumowi. Nawet on wyczuwał, że to szczęśliwy moment i jak umiał uśmiechał się.

W pokoju muzycznym panował rozgardiasz. Część dzieci próbowała odnaleźć swoje rzeczy, a inne biegały bawiąc się, wydzierając sobie skrzypce. Panna Vonder usiłowała jakoś zapanować nad tym zamieszaniem.

- Dzieci! - krzyczała. - Dzieci, wasi rodzice czekają na was, więc proszę, nie traćcie czasu! Dałyście cudowny koncert, powinniście być z niego dumne. A teraz, pośpieszcie się, zabierajcie swoje rzeczy...

Jednak jej apel nie odnosił żadnego skutku.

- Założę się, że umiałbym bardziej skutecznie przyciągnąć ich uwagę - szepnął Peña do szefa. Ortega nie mógł się nie roześmiać.

Śmiech umilkł jednak, kiedy Carlos pochwycił spojrzenie Consueli. Udzieliła też milczącej nagany Peñie, który cofnął się o krok.

- Ależ Consuelo - szepnął Carlos - on nie miał na myśli niczego złego.

- Wiesz, jak nie lubię o tym słuchać.

Consuela nie tolerowała nawet najmniejszej wzmianki o przemocy.

- Nie gniewaj się.

Carlos odwrócił się i zobaczył księdza wchodzącego do klasy muzycznej. Przeszło mu przez myśl, że to chyba najwyższy ksiądz, jakiego w życiu widział. Ale gdy Christa poprosiła, by pomógł jej włożyć wiolonczelę do futerału, przestał zwracać na niego uwagę.

*

Wszyscy zerwali się na nogi tak, że można by pomyśleć, że to pieprzony Carnegie Hall. Wiwatowali jak na meczu piłki nożnej. I trwało to bez końca...

Naturalnie Logan przyłączył się do nich, choćby po to, żeby się nie wyróżniać. Ale robiąc to czuł się głupio. Na miłość boską, to był przecież tylko koncert dziecięcej orkiestry instrumentów smyczkowych. Z trudem udało mu się opanować senność. Czy to możliwe, że coś, co tak bardzo się dłużyło, trwało ledwo dziewięćdziesiąt minut?

Rozpoznał Ortęgę już wcześniej po kruczoczarnych włosach, które niczym hełm

przykrywały mu głowę, nie mógł jednak mieć pewności, dopóki nie zaczęły się owacje i wszyscy nie wstali. Nie dająca się z nikim pomylić sylwetka Peñy z połyskującym czubkiem głowy zawsze oznaczała, że Ortega jest na wyciągnięcie ręki. Logan nie znał kobiety, która stała za nimi, przypuszczał jednak, że to żona Carlosa. Zabawne. Nigdy nie pomyślał, że ten dupek jest żonaty. Wcale go to nie zaskoczyło. Przecież byli w szkole. Tam, gdzie jest ojciec i córka, musi być również matka. Po prostu wcześniej nigdy o tym nie pomyślał.

Logan podążył za wzrokiem swojego wroga w kierunku sceny i wyłuskał jego dziecko. Oczywiście, gwiazda wieczoru! Bił brawo razem z resztą, gdy zarozumiała mała suka gięła się w ukłonach, a kiedy posłała ojcu pocałunek - jakby była jakąś gwiazdą filmową - klaskał, żeby się nie porzygać.

Kiedy dzieciaki schodziły ze sceny, zapaliło się górne światło. Poczul się paskudnie, gdy sobie uświadomił, że jest w rękawiczkach. Wsunął dłonie do kieszeni długiego czarnego płaszcza i walcząc z naporem podekscytowanego tłumu zaczął przedzierać się do sceny. Chciał załatwić to tutaj, gdy jeszcze wszyscy byli w auli. Nagle Ortega gdzieś zniknął.

Gdzie on, u diabła, może być?

Logan przyglądał się każdej twarzy w tłumie, lecz żadna z nich nie należała do Ortegi.

Tam! Przy scenie. Czy to nie Peña zniknął właśnie za ciężką atlasową kurtyną? Oczywiście, że to on. Przez głowę przeniknęła mu myśl, że jego cel może umknąć, ale potem spostrzegł dzieci idące w tym samym kierunku i połączył wszystko w jedną całość. A więc ma jeszcze mnóstwo czasu. Przypomniawszy sobie słowa Rickiego Timmonsa, który powtarzał, że nie należy się śpieszyć.

Tłum przy scenie szybko rzedł. Publiczność zakorkowała tylne wyjścia. Logan wszedł na scenę i dołączył do opuszczających ją muzyków.

Widział Ortege, ale wciąż był za daleko. Ponadto najpierw musi kropnąć Peñę. Wyprzedził kilku wlokących się skrzypków i uświadomił sobie, że się uśmiecha. Łatwy strzał i łatwa ucieczka. Czego więcej mógł wymagać?

Zastanawiał się jednak, co zrobią dzieciaki, kiedy wpadną w panikę? Czy stłoczą się w wyjściu? Miał nadzieję, że nie. Nie miał aż tak wielu kul.

Kobieta, w której rozpoznał dyrektorę, krzyknęła coś, kiedy wchodził do klasy. Drgnął, słysząc ostry ton jej głosu. Zaciśnął rękę na broni, którą miał w kieszeni, ale natychmiast zrozumiał, że krzyczała nie do niego, lecz do dzieci.

Ortega stał po drugiej stronie pomieszczenia razem z żoną i swoim buldogiem w ludzkiej skórze. Przyglądał się, jak jego młoda suczka zbiera swoje rzeczy. Kiedy Logan wszedł do pokoju, Ortega nawet obrócił się i spojrzał na niego, ale potem zajął się znów

swoją małą dziewczynką.

Peña spojrział także. Zmarszczył brwi, kiedy Logan przytrzymał jego spojrzenie o sekundę za długo.

Teraz!

Logan namacał rękojeść pistoletu, ale kiedy chciał wyciągnąć go z kieszeni, stwierdził, że nie może się pozbyć plastikowej torby. Spojrział na chwilę w tamtą stronę. Nim zdążył unieść broń do strzału, Peña ruszył na niego.

*

- Padnij! - ryknął Peña.

Jego okrzyk rozległ się z siłą eksplozji, gdy silną dłonią pchnął swego szefa między łopatkami. Ortega zataczając się poleciał do przodu. Gdy próbował złapać równowagę, zawadził nogą o krawędź stopnia i upadł twarzą w grupę dzieci. Dzieciaki krzyczały, próbując zasłaniać się rękami. Carlos swoim ciężarem zmiażdżył wiolonczelę; jej struny brzęknęły w bolesnym, pełnym dysonansów akordzie, który prawie zaginał w dźwięku pękającego drewna.

Wiedział już, że to zamach, i rozpaczliwie próbował zrozumieć, co się wokół niego dzieje. Z przerażeniem patrzył, jak Peña szarżuje przed siebie; jego ręka zniknęła pod płaszczem, a gdy wynurzyła się z powrotem, był w niej pistolet. Do kogo zamierzał strzelać?

- *Tío* Jesús! - usłyszał z lewej strony głos Christy. - Uważaj!

Carlos złapał córkę za nadgarstek i pociągnął w dół.

- Leż! - rozkazał.

Gdzieś z tłumu usłyszał krzyk Consueli.

- Boże, nie!

Lecz Carlos ciągle nie wiedział, o co chodzi.

W sali o wzmocnionej akustyce wystrzał zahuczał jak eksplodujący granat. Tłum wpadł w panikę. Carlos słyszał tylko wrzaski. Żadnych słów ani poleceń, żeby paść na ziemię lub uciekać - tylko krzyki.

Drugi strzał wydał się jeszcze bardziej donośny. Kątem oka Carlos dostrzegł, że Peña chwieje się na nogach.

O cholera, tylko nie to. Zasłonił córkę własnym ciałem i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co będzie się działo dalej.

Po trzecim strzale z głowy Peñy wytrysnęła przerażająca fontanna mózgu. Z czubka głowy odpadł pięciocentymetrowy płat skóry, który zawisł w powietrzu, a ciało upadło w miejscu, w którym stał.

W głowie Carlosa kłębiły się myśli. Dlaczego Peña strzelał do księdza?

W istocie nie miało to znaczenia. Wiedział, że zaraz zginie i chciał przynajmniej ocalić rodzinę. Instykt wyostrzony przez lata spędzone na ulicy podpowiadał mu, że powinien rzucić się na tego kutasa. Rzucić się na niego z maksymalną szybkością i strzelić mu w serce. Zanim jednak podjął decyzję, poczuł, jak porusza się pod nim Christa, i zawahał się. Jeśli wstanie, odsłoni ją.

Logan nie czekał. Kiedy tłum uczniów wpadł w panikę i zaczął uciekać, wysoki mężczyzna z fałszywymi wąsami, ubrany w imitację sutanny, w pięciu krokach znalazł się przy Ortedze, trzymając przed sobą potężnego glocka. Wystrzelił.

Pocisk zmiażdżył kolano, prawie odrywając kończynę. Carlos poczuł jakby uderzenie młotem.

- Carlos! O Boże! - zawołała Consuela. Rzuciła się do przodu, żeby pomóc, i zamarła bez ruchu, kiedy Logan pociągnął za włosy Christę i rzucił ją sobie pod nogi.

- Tatusiu!

Carlos spróbował coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko charczenie.

Logan trzymał dziewczynkę przed sobą. Lewą ręką ścisnął ją za gardło, a kciuk i dwa palce aż zbieleły, kiedy nacisnął na wrażliwe miejsca pod uszami.

- Jeszcze krok, moja pani, a zastrzelę najpierw ciebie, a potem tę małą sukę - wysyczał do Consueli, wskazując na Christę.

Twarz dziewczynki wykrzywiła się rozpaczliwie, kiedy Logan wcisnął lufę w jej policzek.

- Rozumiesz?

Consuela skinęła głową, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- Powiedz to głośno!

- Rrrrozumiem. Proszę, nie rób jej krzywdy.

Logan już jej nie słuchał. Znow zwrócił się twarzą do Carlosa, który zaciskał ręce na nodze powyżej kolana, bezskutecznie próbując powstrzymać upływ krwi.

Christa spoglądała na niego błagalnie.

- Ty sukinsynu! - warknął Carlos.

Huk i jego drugie kolano rozprysnęło się w fontannie krwi i ścięgien. Carlos krzyknął, gdy rozdzierający ból przeniknął go aż po szyję, ale kiedy zobaczył wyraz twarzy córki, mocno zacisnął szczękę. Jeśli musiała patrzeć na jego śmierć, trzeba przynajmniej umierać z godnością.

- Wiesz, kim jestem, prawda, Ortega? - spytał Logan, przytulając gorącą lufę do twarzy dziewczynki. Śwąd przypalonego ciała podziałął na niego podniecająco. - Jeśli jednak

wypowiesz moje nazwisko, zdmuchnę jej pieprzoną głowę. Tylko przytaknij. Wiesz, kim jestem?

Aż do tej chwili Carlos nie wiedział tego, teraz jednak po głosie rozpoznał Patricka Logana. Skinął głową.

- Dobrze - oznajmił Logan. - To ważne, że wiesz. Ponieważ chcę, żebyś błagał mnie, żebym cię nie zabijał.

- Odpieprz się!

Logan lufą pistoletu uderzył Christę w nasadę nosa. Wystrzeliła fontanna krwi, która po wargach i brodzie dziewczynki spłynęła na jego rękę.

- Przestań! - krzyknęła Consuela i Logan strzelił w sufit nad jej głową.

- Powiedziałem ci, suko, żebyś się zamknęła. - Obrócił się twarzą do Ortegi. - Błagaj mnie, żebym cię nie zabijał.

Carlos nie widział już własnej krwi, nie czuł też bólu. Widział, co to zwierzę robi jego córce, i nagle wszystko inne przestało go obchodzić.

- Nie rób jej krzywdy - jęknął.

Tym razem nawet nie usłyszał wystrzału. Kula przeszła przez prawe ramię, obracając go w miejscu na przesiąkniętej krwią wykładzinie. Było źle. Carlos, wnioskując z tego, że nie mógł złapać oddechu, doszedł do wniosku, że ta kula trafiła w coś poważniejszego niż staw. Starał się nie stracić przytomności.

- Spójrz na mnie, do cholery! - krzyczał Logan.

Carlos, mając unieruchomione ręce i nogi, nie mógł się unieść.

- Błagaj o swoje życie, dupku. Jeśli nie zrobisz tego zanim policzę do trzech, odstrzele jej głowę. Raz...

- Próbuje, do cholery - chciał krzyknąć Carlos, ale zamiast słów z jego gardła wydobywał się tylko świst.

- Dwa...

Logan to robi. Carlos wiedział o tym. Nie miał żadnych wątpliwości. Z jękiem potwornego bólu użył zdrowej lewej ręki; odepchnął się od podłogi i potoczył się w bok, a ścięgna prawej ręki zaczęły się wkręcać w rozłupaną kość.

- Błagaj mnie, dupku - powtórzył Logan, wciskając mocniej lufę pistoletu w twarz Christy. - Chcę posłuchać, jak skowyczesz.

Carlos spojrzał na ściągniętą przerażeniem twarz córki i nie znalazł w niej nic oprócz strachu.

- Proszę, nie zabijaj mnie - wykrztusił i poczuł, że płacze.

- Pierdol się - roześmiał się Logan.

Carlos nie odwrócił wzroku, kiedy lufa wycelowwała w jego twarz. Zobaczył błysk.

29

Po dwóch godzinach spędzonych w towarzystwie Homera, który siedział za kółkiem, Tim Burrows nie mógł się doczekać, kiedy znów postawi nogi na ziemi. Porucznik LaRue pozostał chłopakiem z farmy, który za nic ma wszelkie ograniczenia prędkości. Wyglądało na to, że im bardziej Tim się denerwował, tym lepiej Homer się bawił.

Tim pomyślał, że to częste wśród policjantów z prowincji. Po paru godzinach udawanej współpracy muszą pokazać, czyje ma być na wierzchu. Kiedy był w dobrym nastroju, wzruszył tylko ramionami, ale pod koniec dzisiejszego dnia miał po prostu ochotę zastrzelić takiego sukinsyna.

Okazało się, że droga do domu Stannów prowadzi przez pustkowia, gdzie diabeł mówi dobranoc, pięć kilometrów w głąb pustkowia Zachodniej Wirginii. Tutejsze domy pamiętały chyba wojnę secesyjną, a maszyny rolnicze wyglądały tak, jakby pochodziły z czasów Wielkiego Kryzysu. Gdyby nie skrzynka pocztowa, w ogóle nie zauważyliby domu.

Choć zima dobiegła już końca, na drzewach nie było liści. Wąską, grząską od spadłych w ostatnich dniach deszczów drogę dojazdową znaczyły koleiny tak głębokie, że nawet Homer jechał wolno, nie chcąc stracić podwozia samochodu. Z obu stron uderzały w szyby gałęzie i zwisające pnącza.

- Ale tu upiornie - mruknął Homer.

Jechali tak dobre dwieście metrów, przez pagórki i dolinki; w jednym miejscu musieli nawet przeprowić się przez strumień.

- Jest pan pewien, że na końcu tej drogi jest jakiś dom? - zapytał Tim.

- Będziemy jechać, dopóki nie skończy się droga. Zresztą tu nie ma nawet miejsca, żeby zawrócić - Homer w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Tim zawsze obmyślał taktykę działania, zanim wszedł do jakiegoś budynku. Nawet gdy zaproszony na obiad lub na mecz odwiedzał przyjaciół, wytyczał w myślach pola ostrzału i trasy podejścia. Po ukończeniu szkolenia z zakresu unikania inwigilacji odkrył, że prowadząc samochód patrzy we wsteczne lusterko równie często jak przez przednią szybę.

Jeśli mieliby do czynienia z inteligentnym przestępcą, przeprowadzenie akcji w takim

teren nie mógłby się stać istnym koszmarem. Miny przeciwpiechotne, umieszczone co siedem, dziesięć metrów i sprzężone razem tak, żeby zdetonowałyby po uruchomieniu zapalnika głównego, zmiotłyby w ułamku sekundy cały zespół FBI.

Dziś wieczór, gdy w świetle reflektorów samochodu pnie drzew i krzaki wyłaniały się i znikały jak duchy, takie myśli bardzo go denerwowały. Co właściwie wiedzieli o tym Samuelu Stannsie? Że był niedorozwinięty?

Wiedzieli za to z całą pewnością, że jego starszy brat został zabity, kiedy udawał funkcjonariusza policji, i że Samuel był głównym podejrzanym w prowadzonym przez nich dochodzeniu w sprawie morderstwa.

Brak informacji może sprawić kłopoty, ponieważ policjanci i przestępcy mają wówczas równe szanse. Aby wygrać, należało zapewnić sobie przewagę w każdym przypadku, od rozpoznania po siłę ognia. W ten sposób rozmawia się z pozycji siły. Wiedzieli o tym zarówno gliniarze jak i przestępcy. Reguły gry były jasne dla obu stron.

- Wygląda pan na nieźle zestresowanego, agencie Burrows - zagadnął Homer, odrywając oczy od drogi. - Czy jest coś, o czym mi pan nie powiedział?

Tim zerknął na niego. Przyznanie się do strachu wobec takiego kmiotka nic nie da. Dlaczego miałby dawać temu facetowi powód, żeby przechwalał się wśród swoich kumpli z policji stanowej?

- Nie, powiedziałem wszystko, co wiem.

- I dlatego chciałby pan, żebyśmy mieli wsparcie, prawda?

Tim zmusił się do uśmiechu.

- Poruczniku LaRue, nie wiem, jak policja stanowa w Zachodniej Wirginii załatwia takie rzeczy, ale w FBI nie ciągniemy za sobą całej armii, jeśli chcemy zadać kilka pytań.

Homer roześmiał się w odpowiedzi.

- Agencie Burrows! Spotykałem w życiu wielu mało sympatycznych ludzi. Ale takiego wała jak pan jeszcze nie widziałem.

Powiedziawszy to, Homer znów skierował wzrok na drogę.

Tim zakipiał z wściekłości.

- Dziękuję za tę opinię, poruczniku. Nie omieszkałam poinformować o pańskich resentymentach pana przełożonego.

Homer jeszcze szerzej się uśmiechnął.

- Doceniam to. Chciałbym się tylko upewnić, że poprawnie napisze pan w raporcie moje nazwisko. Ponieważ właśnie mnie zostanie on przekazany.

Radiowóz wspiął się na kolejne wzgórze i nagle drzewa zniknęły. Znaleźli się na

skraju otwartego terenu i w świetle księżyca zobaczyli ciemny zarys parterowego budynku farmy. Jakies sto metrów od domu - w tym świetle trudno było ocenić odległość - po lewej stronie, widać było kontury stodoły.

Homer na moment zatrzymał samochód, żeby zorientować się w układzie terenu, po czym bez słowa ruszył.

Zajechali przed dom i stanęli dziesięć metrów od ganku. Wyglądało, że nikogo tu nie ma. Nigdzie nie paliło się światło. Homer skierował światło reflektorów na schody i z uchwytu przy przednim siedzeniu wyciągnął długą latarkę. Była zamocowana tuż obok strzelby kaliber dwanaście, przez niektórych nazywaną tłumicielem zamieszek.

- Gotów? - zapytał Homer.

W odpowiedzi Tim otworzył drzwi i wyszedł na zimne powietrze. Natychmiast poczuł zapach świeżo skoszonej trawy. Wyciągnął broń. A więc ktoś był w domu i tylko się w nim ukrył. W porządku. Z lewej strony, za wielkim bagażnikiem radiowozu, zobaczył, jak w monstrualnych rozmiarów rewolwerze porucznika odbija się promień światła reflektorów samochodu.

- Co to za armata? - zapytał, mając na myśli kaliber broni.

- Czterdziestka czwórka. Jeśli do kogoś strzelam, to chcę go porządnie trafić - odpowiedział Homer.

Z pętli przy nylonowym pasie Tim wyciągnął małą latarkę i włączył ją, obracając ustami. Mógłby zamocować ją pod lufą pistoletu. Nie chciał jednak, by wycelowanie światła w czyjąś twarz groziło odstrzeleniem głowy jej właścicielowi. Nie byli nawet pewni, czy facet, któremu składają wizytę, zrobił cokolwiek złego. Należy o tym pamiętać. Z drugiej strony to prawdopodobnie właśnie on strzelał wtedy w lesie.

Homer i Tim zbliżyli się do schodów prowadzących na werandę. Szli ramię przy ramieniu, w półprzysiadzie. Broń ukrywali z tyłu.

- Nie wyglądamy chyba na paranoików? - spytał szeptem Homer.

- Jest różnica między paranoją a ostrożnością, poruczniku.

Tim Burrows usiłował skoncentrować się wyłącznie na czekającym go zadaniu. Podczas akcji funkcjonariusze ginęli najczęściej właśnie z powodu braku koncentracji.

LaRue zatrzymał się u wejścia na schody, Tim zdecydował się iść pierwszy. Zrobił zaledwie dwa kroki, gdy Homer zawołał:

- Hej, Burrows! Spójrz na to!

- Na co? - zapytał Tim, nie ruszając się z miejsca.

- Chodź tu i sam zobacz, ty wale. To jest to, co my, chłopaki ze wsi, nazywamy

dowodem.

Mając wzrok utkwiony we frontowych drzwiach, Tim cofnął się, a potem spojrzął w dół. Zrozumiał, co zwróciło uwagę porucznika. To był odcisk butów na miękkiej, zabłoconej trawie i przy wejściu na schody.

- Czy nie wyglądają znajomo? - zapytał drwiąco Homer.

Były to ślady identyczne jak te, które odnaleźli w lesie, w miejscu, z którego ktoś obserwował morderstwo. W tym momencie Tim Burrows już wiedział, że odnalazł najważniejsze ogniwo, łączące wszystko w całość. Samuel Stanns musiał być albo mordercą, albo naocznym świadkiem. Widział już minę Russela, kiedy dowie się o tym.

Tim znów zaczął wchodzić po schodach, ale tym razem z wyciągniętą przed siebie bronią.

- Co pan robi? - wyszeptał LaRue.

- Zamierzam dokonać aresztowania.

- Jeszcze parę minut temu zastanawiał się pan nad wsparciem, prawda? No więc teraz jest nam ono naprawdę potrzebne.

- Nie, nie jest.

Tim wyobraził sobie, jak na drodze, którą tu dotarli, pojawia się tłum brzuchatych zastępców szeryfa. Jak będą plątać mu się pod nogami i domagać się nagrody w chwili, gdy światło skierowanych na niego reflektorów ma mu otworzyć drzwi do kariery.

- To nie pana sprawa. To operacja sił federalnych, przy której pan tylko asystuje. A więc zamierza pan tu zostać, czy nie?

- Co się z panem dzieje, agencie Burrows? Niech pan nie będzie takim formalistycznym dupkiem i da mi zadzwonić po wsparcie. Zaczekamy tu i będziemy mieli na wszystko oko. Ten facet nie zdoła uciec.

- Nie, ale może zająć lepszą pozycję obronną. Zamieni ten dom w twierdzę. Czy tego pan chce?

- Wołałbym nawet to, zamiast zostać pukniętym przez gościa, który zna rozkład pomieszczeń domu o niebo lepiej ode mnie.

- Możliwe, że w środku nikogo nie ma.

- Więc czekanie w niczym nie zaszkodzi, prawda? - Homer odwrócił się i poszedł do samochodu. - Zadzwoń - dodał.

- Wchodzę - oznajmił Tim, wspinając się na ganek.

- Może na sekundę by się pan wstrzymał? - Homer zawołał do Burrowsa przenikliwym, scenicznym szeptem, zatrzymując się przy otwartych drzwiach samochodu.

Nie, on tego nie zrobi. Dlaczego dla tego dupka było to tak ważne? Trzeba będzie odpowiedzieć na różne tego rodzaju pytania, pisząc raport po tym incydencie. Ale w ten sposób sam sobie robi tyły. Teraz Burrows kontynuował swój plan i Homer nie mógł go porzucić.

- Niech szlag trafi tych pieprzonych przemądrzałych federalnych - mruknął, wyciągając czterdziestkę czwórkę i szybko wchodząc na ganek.

Burrows stał już po tej stronie drzwi, gdzie była gałka, więc Homer zajął miejsce od strony zawiasów. Obaj przyciskali się plecami do ściany. Tim zerknął na LaRue.

- To twoja rola, kolego. Ja tylko ci statystuję - odpowiedział tamten.

Tim przełożył broń do lewej ręki i pięścią prawej jak młotem uderzył w drewniane drzwi. Po kilkunastu sekundach, kiedy nikt nie odpowiedział, uderzył powtórnie, tym razem głośno wołając:

- Samuel Stanns, tu FBI! Otwórz drzwi!

Mijały kolejne sekundy.

- Wyważę drzwi - oznajmił Tim szeptem.

- Ma pan może nakaz, którego nie widziałem? - gniewnie zapytał Homer.

Tim spojrzał na niego jak na idiotę.

- Nie jest mi potrzebny nakaz, jeśli mam odcisk buta.

- A więc zamierza się pan tam włamać? Jak pan chce.

Tim cofnął się o krok, szykując się do potężnego kopnięcia.

- Niech pan mnie osłania.

- Dlaczego nie spróbuje pan otworzyć gałką?

- Co?

- Gałka. Dlaczego nie spróbuje pan otworzyć gałką? Może drzwi nie są zamknięte?

Tim wyglądał na zaskoczonego faktem, że sam nie pomyślał o tym wcześniej. Podszedł bliżej i położył rękę na gałce. Obróciła się. Zobaczył, jak Homer szczyrzy zęby w uśmiechu, ale nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

- Dobra. A teraz niech mnie pan osłania.

Czterdziestka czwórka Homera była odbezpieczona i gotowa do użytku.

Tim wziął głęboki oddech, po czym jednym energicznym ruchem pchnął drzwi i wymierzył broń w dół na wypadek, gdyby ktoś leżał przed drzwiami i czekał na niego.

Kątem oka Homer dojrzał ogień wystrzału; wyglądało to tak, jakby ciemne wnętrze holu zostało oświetlone fleszem, czemu towarzyszył ogłuszający huk. Przerażony patrzył, jak Tim Burrows, agent do zadań specjalnych z FBI, zgina się w pasie, obraca się w miejscu i

stacza z ganku, pozostawiając na podłodze pośród rozprysków krwi pistolet i latarkę.

Na dźwięk wystrzału Homer krzyknął i oderwał się od ściany. Był myśliwym i rozpoznawał odgłos dubeltówki. Ta, którą usłyszał teraz, miała duży kaliber. Homer doskoczył do poręczy werandy i strzelił na oślep przez ramię, ogłuszając się potężnym hukiem własnej broni. Nie liczył na to, że kogoś trafi, chciał tylko zmusić Strzelca do zrobienia uniku, żeby sam mógł znaleźć jakąś osłonę.

Należało teraz zrobić salto przez poręcz i wylądować na nogach w ogródku przed wejściem. Był jednak już za stary i za dużo ważył, żeby udało mu się tego dokonać. Zdawało mu się, że minęła wieczność, zanim postawił nogę na poręczy, przetoczył się przez nią i padł jak wór, ciężko lądując na prawym boku. Dwa metry dalej, przy wejściu na schody, z rozrzuconymi rękoma i nogami leżał na plecach Tim Burrows; w świetle policyjnej latarki Homera na lewym boku jego kombinezonu maskującego załśniła mokra, ciemna plama.

Agent otwierał i zamykał usta, jego wargi poruszały się, jakby chciał coś powiedzieć, ale ogłuszony Homer niczego nie słyszał. Drżącą ręką próbował wyciągnąć naboje ze skórzanej saszetki przy pasie. Nie mógł sobie poradzić z przeładowaniem broni - prostą czynnością, którą na strzelnicy ćwiczył tysiące razy. Zauważył, że próbuje na nowo załadować sześciostrzałowy bębenek, nie usunąwszy wcześniej łusek.

Zaklął i wytrząsnął zużyte łuski w błoto, które kiedyś zapewne było ogródkiem. Po załadowaniu broni oddał jeszcze szybko dwa strzały we frontowe drzwi i podpełznął na czworakach do miejsca, gdzie leżał Burrows. Agent wciąż bezskutecznie próbował się poruszyć.

- Jestem tutaj Burrows - powiedział Homer i w końcu usłyszał swój głos. - Dostałeś, stary, ale wycofaliśmy się na otwarty teren.

Homer chwycił w garść koszulę agenta i pociągnął. Burrows zawył z bólu, ale nie było czasu na delikatność.

- Wiem, że boli - powiedział Homer tak kojąco, jak tylko potrafił. - Ale musimy ulokować się za jakąś osłoną.

Na ziemi było więcej żwiru niż trawy, ostre kamienie wbijały się Homerowi w ręce i nogi, które zaczęły krwawić, kiedy włókł agenta do samochodu.

- Dobra, stary, jesteś już osłonięty. - powiedział chrapliwie. - Jesteś bezpieczny - powtórzył.

Odważył się zerknąć ponad pokrywą bagażnika, ale nikt do niego nie strzelił, więc spokojniej przykucnął z powrotem.

- Poczekasz tutaj, dobrze? Muszę załatwić jakąś pomoc.

- Nie - sapnął Tim, chwytając go za rękaw.

Homer pochylił się niżej.

- Stary, nie zostawiam cię, rozumiesz? Idę tylko na przód samochodu, żeby zadzwonić. Tylko tyle. Zaraz potem wracam. Przez cały czas nie będę dalej niż dziesięć metrów.

Wyraz twarzy Burrowsa nie przypominał niczego, co Homer kiedykolwiek widział. Szalony ból połączony z histerycznym strachem. Jego usta poruszały się dalej, ale nie wydobyły się jej z nich żadne słowa.

Homer delikatnie uwolnił rękaw z uścisku ręki agenta i przez chwilę trzymał ją we własnej dłoni.

- Muszę ściągnąć dla ciebie helikopter.

Położył rękę Tima na jego piersi i schylony przeszedł wzdłuż samochodu, cały czas osłonięty nim od Strzelca. Szarpnął drzwiczki i natychmiast załało go światło spod sufitu. Jakby znalazł się na scenie. Trzy uderzenia ciężką stalową latarką rozwiązały problem. Gdyby trwało to dłużej na pewno zostałby zastrzelony.

Poczuł ulgę, gdy znów otoczyła go ciemność. Znalazł w konsoli mikrofon i wyciągnął go.

- Cztery siedem siedem do centrali - wyszeptał głośno. - Kod numer trzynastcie, oddano strzały, ranny funkcjonariusz.

Usłyszał odległe trzaski, a potem z głośnika rozległ się znajomy głos:

- Alarm dla wszystkich jednostek. Dyspozytor rozmawiał teraz z innymi wozami, czego Homer nie mógł usłyszeć. - Jednostka, która wysłała kod trzynasty, potwierdź.

- Cztery siedem siedem - powtórzył Homer, tym razem o wiele wolniej i wyraźniej. Podał też numer wiejskiej drogi i przybliżoną pozycję według mapy. - Oddano strzały, mam ciężko rannego człowieka. Centrala, przyjęliście?

- Dziesięć cztery siedem siedem. Pomoc w drodze. Za dwie minuty będzie w powietrzu śmigłowiec sanitarny, wysłano jednostki naziemne.

- Przewidywany czas przybycia?

- Tak szybko, jak zdołają tam dotrzeć, cztery siedem siedem. Zostań tam, będę ci pomagać.

- Nie da rady. Muszę odjechać w bezpieczniejsze miejsce. Nie będzie mnie w samochodzie, a przenośny radiotelefon jest tutaj bezużyteczny.

Zakupione przez policję stanową pięć lat temu nowe radia, działające na paśmie UHF, sprawiały wiele kłopotów.

Dyspozytor zamilkł na chwilę.

- Powodzenia, cztery siedem siedem - powiedział.

Homer mógł liczyć albo na szczęście, albo na własne siły. Cholera. Mikrofon spadł mu na podłogę, kiedy sięgnął ręką, żeby wyjąć kluczyki ze stacyjki. W ciemnościach starał się wymacać ten, który otwierał schowek na karabin. Znalazł go przy drugim podejściu. Kiedy miał już w rękach karabin, wyciągnął jeszcze z ładowarki krótkofalówkę.

Od czasu pierwszej wymiany ognia strzelec nie oddał ani jednego strzału i Homer nie wiedział, co o tym myśleć. Może któraś z wystrzelonych na oślep kul trafiła w cel? Oznaczałoby to, że facet jest najbardziej pechowym sukinsynem, jaki kiedykolwiek wziął broń do ręki. Jedyna rozsądna odpowiedź brzmi: gość przemieszcza się w celu znalezienia lepszego kąta strzału, by skończyć to, co zaczął.

Homer wrócił do rannego partnera.

- No i jak, Burrows? Jeszcze tu jesteś? - zapytał lekkim tonem, starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie.

- Gdzie byłeś? - stęknął agent. - Czuję się tak, jakby przypiekano mi bebechy.

- Musiałem zadzwonić. Wezwałem kawalerię powietrzną.

- Długo to potrwa?

Homer zawahał się, nim odpowiedział.

- Około pięciu minut - skłamał w końcu. - Pięć minut i zabiorą nas.

Nawet w ciemności widział przerażającą plamę krwi. Agent szybko się wykrwawiał.

- Wiesz co? - powiedział, wyciągając z kieszeni kluczyki. - Mam w bagażniku, zestaw pierwszej pomocy. Może trochę cię połatam, kiedy będziemy czekać.

- Światło - zachrypiął Tim. - Kiedy podniesiesz pokrywę, będziesz oświetlony.

Homer westchnął. Pomyślał już o tym, ale nic na to nie można było poradzić.

- Cóż, jeśli usłyszysz strzelaninę, to po prostu siedź cicho. I w razie czego pamiętaj, że w bagażniku jest zestaw pierwszej pomocy.

Otwarcie bagażnika, wyjęcie apteczki i zatrzaśnięcie klapy trwało najwyżej pięć sekund. Na szczęście strzelec nie skorzystał z tej sposobności.

Zestawy pierwszej pomocy, dostarczane policji stanowej, skompletowano z myślą o wypadkach samochodowych na autostradach międzystanowych, i dlatego były obficie zaopatrzone w opatrunki i opaski uciskowe, lecz niewiele ponadto. Znalazły się jednak solidne bandaże. No cóż, lepsze to niż nic.

Nożyczki do cięcia bandaży załśniły srebrzyście, kiedy Homer uniósł pokrywkę z jednorazowego opakowania.

- Dobra, panie Timothy Burrows, agencie do zadań specjalnych. Trochę obnażę cię w tym miejscu. Muszę sprawdzić, gdzie krwawisz.

- To sprawdź też tę wielką pieprzoną dziurę w moim boku - jęknął Tim.

Homer uśmiechnął się. To dobry znak, że ranny dowcipkuje. Wsunął nożyczki pomiędzy dwa guziki, i rozciął nasączony krwią materiał.

Kiedy zobaczył ranę, pożałował, że w ogóle wziął się za to.

30

April powinna była odczuwać smutek z powodu śmierci Williama. Mężczyzna, który był przy niej, kiedy naprawdę go potrzebowała, nie żył. Powróciła myślą do czasów, kiedy był czuły, kiedy naprawdę się kochali, mając nadzieję, że te wspomnienia stłumią nienawiść, która teraz płonęła w jej sercu. Choć starała się przypomnieć go sobie jako ciepłego, kochającego mężczyznę - bo przecież kiedyś bywał właśnie taki - widziała tylko bezużytecznego pijaka, którym stał się ostatnio. Przecież to on pozwolił, żeby jej dziecko zostało wykorzystane jako zastaw.

Zasłużył na to, żeby go zabito, ale powinno się to zdarzyć wówczas, kiedy ludzie Logana przyszli po swoje pieniądze. Gdyby był prawdziwym mężczyzną, to raczej oddałby własne życie na tej parszywej uliczce w okolicach knajpy Wilsona, niż pozwolił im zabrać dziecko.

Zatem William nie żył, tak jak ostrzegwał Carlos. Znaczyło to, że Carlos dotrzymał słowa. Poszedł do Logana i odbył z nim rozmowę. Są granice, których przekraczać nie wolno. Logan wreszcie to zrozumiał. Wkrótce Justin będzie w domu.

A co z nią? Co z tym oskarżeniem o rabunek z bronią w ręku? Zrobić tak głupią rzecz! Gdyby tylko poczekała, wszystko byłoby dobrze. Nie siedziałyby teraz na komisariacie, czekając, aż przyjdzie jakiś wyznaczony przez sąd adwokat i wszystko spieprzy.

Wszystko spieprzy! Ta myśl przyprawiła ją o śmiech. Wystarczająco skutecznie potrafiła spieprzyć własne życie. Na pewno nie potrzebowała do tego pomocy ludzi z zewnątrz.

Przynajmniej Justin będzie bezpieczny. Nieważne, co jeszcze się wydarzy.

*

Burrows tracił przytomność i Homer nic nie mógł na to poradzić. Tim miał w brzuchu

dużą dziurę, wielkości pięści, i prawdopodobnie, była to rana na wylot. Oba otwory znajdowały się po prawej stronie, poniżej klatki piersiowej. To, co znajdowało się między wlotem i wylotem kuli, musiało wyglądać jak kotlet.

Od dziesięciu, a może piętnastu minut agent nie powiedział ani słowa. Krwi wydobywającej się spod elastycznych bandaży było teraz mniej, ledwie się sączyła. Homer miał nadzieję, że założył opatrunek w odpowiednim miejscu. Albo zdołał zatamować krew, albo też Burrows po prostu się wykrwawił.

- No, szybciej - mruknął niecierpliwie, szukając na nocnym niebie jakiejś oznaki nadlatującego śmigłowca. - Szybciej, chłopcy, albo nie będzie już kogo ratować.

Jednak poza głośnym biciem jego serca i rzęzącym oddechem Burrowsa, panowała wokół niezmacona cisza. Nawet strzelec siedział cicho. Dlaczego strzelił do mężczyzny w drzwiach i nawet nie próbował skończyć roboty?

*

Nasłuchiwał uważnie, ale dźwięk ucichł. Najpierw pomyślał, że to przybliżający się odgłos wirników śmigłowca, ale teraz pomyślał, że może tak dudni jego własny puls.

Nie, dźwięk się powtórzył! Zdecydowanie był to helikopter. Ale czy to ten helikopter, na który czekają?

Patrzył na niebo, szukając jakiegoś widzialnego znaku, a kiedy mimo wysiłków nie zobaczył nad sobą niczego prócz ciemności, podniósł krótkofalówkę. Jeśli zbliżał się helikopter ratunkowy, to czemu nie wywołał go przez radio.

Sprawa prosta: bo najpierw trzeba je włączyć.

Jezu, jeszcze nigdy nie był tak rozkojarzony. Przekręcił gałkę na wierzchu krótkofalówki, tuż obok anteny, i natychmiast usłyszał zniekształcony głos: „...cztery siedem siedem, tu śmigłowiec ratunkowy, czy mnie słyszysz?”.

Ręce trzęsły mu się, kiedy brał do ręki mikrofon.

- Tu jednostka cztery siedem siedem policji stanowej Zachodniej Wirginii. Odbieram was i słyszę odgłos pracy rotorów.

- Miło cię słyszeć, cztery siedem siedem z Zachodniej Wirginii. Próbujemy się do ciebie dostać. Jak się ma twój pacjent?

Homer zerknął na leżącego obok Burrowsa i przycisnął dwa palce do jego tchawicy.

- Wyczuwam puls, ale on naprawdę paskudnie dostał. Stracił mnóstwo krwi.

- Rozumiem, cztery siedem siedem. Będziesz musiał ustawić flary w czterech rogach prostokąta, żeby przygotować dla nas lądowisko. Czy już nas widzisz?

- Nie, nic nie widzę.

- Dobra, cztery siedem siedem. W takim razie my będziemy ciebie wypatrywali. Teren jest bezpieczny, prawda?

- No... nie... Ale nie było już strzelaniny - zawahał się Homer.

- W takim razie informujemy cię, że nasze procedury wymagają zabezpieczenia terenu przed lądowaniem.

Serce porucznika zamarło. Tego właśnie się obawiał. Ale rozumiał ich. To helikopter sanitarny, nie żołnierze ani policjanci. Byli całkiem bezbroni.

Nie mógł wymagać od nich, żeby podjęli takie ryzyko. Na miłość boską, gdzieś tutaj był facet ze strzelbą. Facet, który mógł marzyć o kolejnym trofeum. A helikopter to cholernie wielkie trofeum.

Boże, jak pragnął, aby istniał lepszy sposób. Ale im więcej czasu marnował tutaj, próbując zdecydować się na coś, tym bardziej Stanns mógł się umocnić i tym więcej krwi wysączało się z ciała Burrowsa.

Najgorsze było to, że jeśliby czekał, okazałby się tchórzem. Cholera, dziś w nocy prawdopodobnie spełnił wymagania, żeby otrzymać medal zasługi. I każdego dnia, kiedy się obudzi, będzie przypominał sobie tę chwilę, gdy zabrakło mu odwagi. Nie był pewien, czy potrafiłby żyć z czymś takim. - Niech cię szlag, Burrows.

Upewnił się, czy załadował wszystkie sześć komór bębena, potem sprawdził magazynek strzelby. Pełen.

Włączył mikrofon krótkofalówki.

- Tu cztery siedem siedem do śmigłowca ratunkowego. Uwaga, za chwilę będę zabezpieczał teren lądowania. Pozostańcie w pobliżu.

Z helikoptera coś mu odpowiedzieli, ale Homer już nie słuchał. Tej nocy zginie pełniąc służbę i nie obchodziło go, co ma do powiedzenia pilot.

W tym przypadku istniały dwa sposoby działania; można było wejść do środka szybko i hałaśliwie, albo powoli i po cichu. Wybrał natarcie od frontu. Prosto do góry po schodach, potem przez drzwi. Może bandyta zdziwi się albo zlituje nad kimś na tyle głupim, by spróbować takiego szalonego wyczynu. Tak czy owak, czas ruszać.

Homer przykucnął i wziął głęboki oddech. A potem z dzikim rykiem pomknął do góry po schodach. Wpadł do holu, trzymając przy ramieniu gotową do strzału strzelbę. Snop światła latarki oświetlał mu drogę.

Dojrzał broń, zanim zobaczył Strzelca i strzelił. Nim przebrzmiał huk wystrzałów, przeładował i strzelił jeszcze raz, przypadając na prawe kolano, żeby nie stanowił tak wielkiego celu.

Dym prochowy w świetle latarki przypominał mgłę. Spodziewał się, że strzelec odpowie ogniem, ale kiedy nic się nie stało, równocześnie poczuł ulgę i obawę. Gdzie jest ten facet Opuścił strzelbę do biodra i rozejrzał się po polu bitwy. Nie zobaczył nikogo na podłodze; nie było również śladów krwi, ani starych, ani świeżych.

Jednak broń, która raniła Burrowsa, ciągle tu była; a właściwie szczątki, które z niej pozostały po jego kanonadzie. Wydawało się, że zniszczona broń sama unosi się w powietrzu; broń, z której nie miał kto strzelać.

Podszedł krok bliżej i kiedy to zrobił, po raz pierwszy dostrzegł leżącą na podłodze grubą rybacką linę, a potem zmyślny układ wielokrażków, zamontowany koło drzwi i drugi, podobny, przy schodach.

Ktoś zawiesił strzelbę na stanowisku strzeleckim!

- Niech mnie szlag! - zaśmiał się Homer.

To była pułapka! Uruchamiana dotykiem pułapka! A Timothy Burrows, agent do zadań specjalnych z FBI, rzucił się prosto w nią!

31

Krzyk z pokoju przesłuchań numer trzy zdawał się wstrząsać całym komisariatem. Tom Stipton stanął jak wryty na korytarzu. Krzyki słyszano tu często, jednak ten był inny. Było w nim takie przerażenie, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

Niewiele myśląc, wyciągnął broń i rzucił się z powrotem do drzwi, które właśnie zamknął. Kilku innych detektywów uczyniło to samo.

- Co jest?! - zawołał Tom, pierwszy wpadając do środka. - Co się dzieje?!

Oczy April były wielkie jak spodki, twarz ściągnięta i wykrzywiona paniką. Instynktownie Tom obrócił się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie stoi za nim w cieniu drzwi.

- Zabiją go! - łkała April. - Zabiją moje dziecko!

Zaskoczeni detektywi spojrzeli po sobie. Tom do tej chwili nie wiedział nawet, że ta kobieta ma dziecko.

- Kto, chce je zabić? - zapytał, chowając broń do kabury, a inni policjanci poszli w jego ślady.

- Patrick Logan - powiedziała szybko i jakby przestraszyła się własnych słów.

Rozpaczliwie spojrzała na detektywa.

- Ta strzelanina w szkole. To był Carlos Ortega, prawda?

Tom znów spojrzał na policjantów, zastanawiając się, skąd pochodzi ten przeciek.

- Skąd to wiesz?

April otworzyła usta, ale zawahała się.

- Detektywie Stipton, czy możemy przez chwilę porozmawiać sami?

Wszyscy policjanci natychmiast skierowali się do wyjścia, a jeden z nich powiedział Tomowi, że nie musi się śpieszyć - poradzą sobie ze sprawą strzelaniny w szkole bez niego.

Kiedy pozostali tylko we dwoje, Tom wziął krzesło, usiadł zakładając nogę na nogę i splótł palce na kolanie. Był gotów wysłuchać April.

*

Samuel długo czekał w ciężarówce, zanim zdecydował się wejść do małej restauracyjki, żeby zapytać o drogę. Na mapie w tej okolicy było zbyt dużo dróg, a nazwy miejscowości tak się na siebie nakładały, że nie mógł zorientować się, dokąd ma jechać.

Jesteś pieprzonym głupkiem.

Nie jestem głupkiem, zaprotestował. Nie był pewien, dlaczego Jacob zdecydował się pojechać razem z nim, ale kiedy po raz pierwszy usłyszał jego głos, o mało nie wpadł na drzewo. Nie widział brata, ale na pewno słyszał jego głos, tak blisko, że czuł gorący oddech Jacoba na swoim uchu. Nienawidził pytać o drogę. Nie dlatego, że czasami obawiał się innych ludzi. Po prostu odpowiadając na jego pytanie mówili zbyt szybko. Skręć w lewo, kilometr dalej w prawo, potem w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w prawo, zanim dojedziesz do znaku „Stop”...

Boże, czasami gadali i gadali bez końca. A on zawsze udawał, że od razu wszystko zrozumiał. Inaczej pomyśleliby przecież, że jest głupkiem.

Miejsce, które wybrał, wyglądało na takie, gdzie za jedzenie trzeba zapłacić dużo pieniędzy. Kręcili się tam ludzie w marynarkach, pod krawatem. Kobiety miały na sobie suknie. Pewno będą mu się przyglądać z rozbawieniem, kiedy wejdzie do środka ubrany w niebieskie dżinsowe spodnie, flanelową koszulę i kurtkę z dżinsu, ale to akurat było normalne. Przywykł już, że ludzie patrzą na niego z rozbawieniem. Czasami sam zabawiał się, przechwytyjąc te spojrzenia, żeby zobaczyć wyraz ich twarzy zanim szybko uciekli wzrokiem.

Restauracja nazywała się Czapki z głów; ostatni budynek przed torami kolejowymi na samym końcu krótkiej uliczki. Ustawił ciężarówkę przy torach i przeszedł przez wysypany żwirem parking. Skierował się do jasno oświetlonego holu.

- Czym mogę panu służyć? - uśmiechnęła się do niego drobna, szczupła kobieta z

repcji.

Kiedy ludzie zauważyli, że tam stoi, zaczęli mu się przyglądać. Jednak takie rzeczy już nie wprawiały go tak bardzo w zakłopotanie. Kobieta starała się być dla niego miła i niczego więcej nie mógł się spodziewać. - Ściągnął z brudnych włosów paskudną czapkę, w której jeździł na traktorze.

- Czy może mi pani powiedzieć, jak dojechać pod ten adres?

Wyciągnął z kieszeni pogniecione zezwolenie na biwakowanie w parku i głośno odczytał adres.

Okazało się, że kobieta dokładnie wie, gdzie jest to miejsce.

- Pojedzie pan prosto przez tory, przy najbliższym skrzyżowaniu skręci pan w lewo. Wyjedzie pan na Clinton Road. Potem jeszcze prosto półtora, może dwa kilometry i będzie pan na miejscu. Jeśli dotrze pan do Bradlick Road, to znaczy, że pojechał pan za daleko.

Samuel przymknął oczy, próbując wyobrazić sobie trasę, o której mówiła kobieta. Wydawało mu się, że wszystko zrozumiał.

- Bardzo pani dziękuję - odpowiedział i odwrócił się do drzwi.

Trzymał już rękę na klamce, kiedy dostrzegł matkę, która odwracała pięcioletniemu chłopcu głowę, żeby mu się nie przyglądał.

- W porządku, proszę pani - powiedział bardzo przyjaźnie. - Może mi się przyjrzeć, jeśli chce.

Widać było, że kobieta poczuła się ogromnie niezręcznie, podczas gdy chłopiec tryumfująco się uśmiechnął.

- Ucz się dobrze, żebyś nie był taki jak ja. Dobrze mi się przyjrzyj - powiedział do chłopca.

Słowa Samuela nie rozładowały napięcia. Matka przyciągnęła chłopca bliżej siebie, a malec wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozplakać. Samuel stał dłuższą chwilę, żałując, że nie zna słów, które mógłby mu powiedzieć na pocieszenie. Potem odwrócił się i poszedł na parking do samochodu.

Nie cierpiał, kiedy dzieci robiły takie miny. Samuel kochał dzieci i żałował, że nie ma własnych, żeby się z nimi bawić.

Ten mały Justin także płakał. Płakały wszystkie dzieci, które z nim przebywały, i Samuel był już tym zmęczony. Dlaczego to robiły? Także dorośli albo się śmiali, albo wyglądali na przestraszonych, albo płakali. Dlaczego nie mogli powiedzieć paru miłych słów, choćby „dzień dobry panu”, czy „miłego dnia”, jak zwykle odzywali się do Jacoba? Dlaczego ludzie robili wszystko, żeby przez cały czas czuł się jak dziwoląg?

Gdyby nie kobieta z recepcji, pojechalby do Bradlick Road, a potem krążyłby aż do rana. Teraz jechał powoli, sprawdzając umieszczone wzdłuż drogi na słupkach, drzewach i skałach numery domów.

Wreszcie znalazł. Tam! Dokładnie ten numer. Zobaczył go na słupku stojącym obok skrzynki na listy. Musiał się trochę cofnąć, ale zmieścił się na zakręcie bez trudu.

Teraz powoli wjeżdżaj.

- Wjeżdżam. A ty siedź cicho - powiedział do Jacoba. - Wiem, co robię.

Wyłącz światła.

Całkiem o nich zapomniał. Jacob wiele razy zabierał go na robotę i uczył wszystkich, najdrobniejszych nawet czynności. Tyle że przedtem to Jacob wszedłby do środka, podczas gdy Samuel czekałby w samochodzie z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami.

Zadanie Samuela polegało głównie na tym, żeby miał oko na otoczenie. Gdyby ktoś zbliżał się do miejsca, gdzie pracowali, miał zadzwonić na mały telefon Jacoba, poczekać na drugi dzwonek i rozłączyć się. Jacob wiedziałby, że są problemy. Samuel miał także bacznie obserwować drzwi. Gdyby Jacob szybko z nich wybiegł - co zresztą nigdy się nie zdarzyło - wtedy Samuel miał wcisnąć gaz do dechy w chwili, kiedy jego brat wskoczy do auta.

Czasami Jacob wracał zakrwawiony i Samuel wiedział, że sprawy nie poszły dobrze i powinien trzymać buzię na kłódkę. Jednak najczęściej brat wracał czysty - czysty jak niemowlę - i był wtedy zawsze w świetnym humorze.

Przez parę sekund po wyłączeniu świateł Samuel nic nie widział, ale jego oczy przystosowały się do ciemności. Zobaczył ciemną wstęgę serpentyny dojazdu, która stromo pięła się do nieco jaśniejszego lasu.

Silnik ich ciężarówki pracował gładko i cicho. Jak zegarek. Jacob zawsze nalegał, żeby właśnie na takie okazje wszystko utrzymywać w idealnej sprawności.

Mówił że najważniejsze jest zaskoczenie. Że czasem może człowieka zabić piszczący pasek klinowy.

Samuel nigdy do końca nie zrozumiał, w jaki sposób piszczący pasek może zabijać, ale kiedy Jacob mówił coś w ten sposób, należało go słuchać.

Cichy silnik i równa droga sprawiały, że miał wrażenie, jakby poruszał się w chmurach.

Jasne światła z obu stron frontowych drzwi, połączone ze światłem latarni, sprawiały, że obok domu było jasno jak w dzień. Zdecydował się więc zaparkować samochód w cieniu drzew, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, gdyby przypadkiem wyjrzał przez okno.

Zaskoczenie jest najważniejsze.

Otwierając drzwi, pociągnął za klamkę. Zaskrzypiały zawiasy, ale nie na tyle głośno, żeby miały wynikać z tego jakieś problemy. Wysunął nogi, po czym delikatnie, bardzo delikatnie spuścił je na ziemię.

Nie zapomnij o broni.

- Niczego nie zapominam - odpowiedział Jacobowi. - Jeszcze nie doszedłem do tego punktu.

Oczywiście kłamał, ale nie był w nastroju do wysłuchiwania wykładu o tym, jak bardzo liczą się wszystkie szczegóły. Oczywiście, że się liczyły, ale czego oczekiwał od niego Jacob, skoro po raz pierwszy był na robocie sam?

Automatyczny ruger leżał, jak zawsze, w samochodzie w schowku. Żeby go wydobyć, Samuel był zmuszony wspiąć się z powrotem do kabiny i położyć się w poprzek siedzeń. Kiedy znów stanął na nogi, wetknął pistolet za spodnie.

Nie odstrzel sobie jaj.

Ta złośliwość nawet nie wymagała odpowiedzi. Jednak dla bezpieczeństwa sprawdził pistolet.

Przypomniał sobie pewną robotę, na której był razem z Jacobem dawno temu. Odłączyli linię telefoniczną na tyle czasu, ile potrzebował Jacob, żeby wejść do środka i wykonać robotę. Potem, przed odjazdem, podłączyli ją znowu. Jacob powiedział coś o tym, że to dla zmyłki.

Uśmiechnął się.

- Wszystko idzie, jak trzeba, co? - zapytał.

Idzie ci świetnie, Samuelu. Po prostu świetnie.

Nadszedł czas, żeby znaleźć wejście do domu.

*

Russel Coates zamierzał złożyć wreszcie kurtuazyjną wizytę policji hrabstwa Fairfield. I tak zwlekał z tym zbyt długo, a była to podstawowa zasada w jego pracy.

Wiedział, że czasami trudno się współpracuje z lokalną policją i chciał wykonać przynajmniej część pracy, zanim będzie musiał udawać dyplomata.

Okazało się, że nie miał czym się przejmować. Po wymianie grzeczności z pełniącym obowiązki kierownika zmiany kapitanem Himlerem policjanci sprawili, że poczuł się jak w domu. Zagwarantowali mu dostęp do wszystkich dokumentów, jakich potrzebował i tyle kawy, ile tylko mógł wypić. Dali mu nawet biurko z telefonem należące do pewnego detektywa, który dowie się o tym dopiero wówczas, gdy przyjdzie na poranną zmianę.

- Dlaczego nie zajmiesz się tym facetem, skoro jesteś tak pewny, że on to zrobił? -

zapytał Himler, kiedy dowiedział się, co Russel odkrył do tej pory. - Masz ślady opon, był w parku i w sklepie, skąd zadzwoniono w sprawie strzelaniny. Czego jeszcze potrzebujesz?

Russel przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Gdybym wiedział, to już byłbym gdzie indziej i wyjaśniał sprawę. Brak mi jakiegoś spoiwa do tej łamigłówki. Silniejszy podmuch wiatru i wszystko się zawali.

Himler wzruszył ramionami.

- Cóż, twoja sprawa. Ja bym już tego faceta przesłuchiwał od dwóch godzin.

Russel pokręcił przecząco głową.

- To bystry i zamożny facet. Zasłoni się adwokatem, zanim pomyślisz, jakie ma być pierwsze pytanie. Chcę dać mu jeszcze parę dni, a jeśli wtedy do niczego nie dojdę, zajmę się nim, opierając się na tym, co już mam.

- Daj znać, gdybym mógł ci w czymś pomóc - ofiarował się Himler i powrócił do stosu papierów na swoim biurku.

To było dziewięćdziesiąt minut temu. Od tego czasu Russel pozostawał w kontakcie telefonicznym z biurem w Waszyngtonie.

Jego telefon komórkowy zaczął przerywać tok rozmyślań. W połowie trzeciego dzwonka Russel z trzaskiem otworzył osłonę.

- Coates.

- Mówi Chuck Wheatley. Mam dla ciebie nowiny, niektóre niezbyt dobre.

Russelowi nie spodobał się ton głosu Chucka.

- Wal - oznajmił.

- Otrzymaliśmy informację, że Tim Burrows został postrzelony.

- O cholera! Co z nim?

- Tego jeszcze nie wiemy. Zdaje się, że sprawdzał jeden z tropów w waszej sprawie morderstwa; otworzył drzwi, które były sprzężone ze strzelbą.. Dostał w brzuch. Jest teraz na sali operacyjnej, ale lekarze nie obiecują niczego.

- Jezu!

- Żyje, ale stracił mnóstwo krwi.

- Powinienem tam lecieć - Russel sprawdził godzinę na zegarku. - Teraz już za późno. Złapię pierwszy lot rano. Informuj mnie przez cały czas, dobrze, Chuck? Zadzwon, kiedy zabrają go z sali operacyjnej. Nawet jeśli lekarze jeszcze nie będą mieli rokowań, chcę o tym wiedzieć.

- Dowiesz się. I jest jeszcze jedna rzecz. Mówiłeś, że poszukujesz wszystkich informacji o porwaniach. Właśnie dostaliśmy raport z Pittsburgha, dotyczący dwuletniego

chłopca. Nazywa się Justin Fitzgerald, został uprowadzony od swojego ojczyma ubiegłej nocy i nie ma wątpliwości, że jest zakładnikiem w jakiejś sprawie związanej z handlem narkotykami. Z tego, co wiemy, trudno rozeznaczyć się w szczegółach. W każdym razie po porwaniu ojczym chłopca został załatwiony przez snajpera, a matkę aresztowano podczas próby rabunku w domu towarowym. Cała sprawa jest w jakiś sposób powiązana z zabójstwem barona narkotykowego w prywatnej szkole.

Fala informacji zalała Russela.

- Jezu! I to wszystko wydarzyło się ubiegłej nocy?

- Tak, w ciągu ostatnich paru godzin. Myślisz, że może to mieć coś wspólnego ze sprawą zabójstwa w parku?

- Nie wiem - Russel wzruszył ramionami. - Spodziewałem się porwania osoby dorosłej. Nie wiem, jak do tego dopasować małe dziecko...

Nagle pomyślał o odciskach stóp, o pampersach.

- Dzięki, Chuck. Pamiętaj, żeby zadzwonić do mnie w sprawie Tima. - Zatrzasnął osłonę telefonu i pochylił się do przodu, opierając się łokciami o biurko. Mocno zacisnął palce na skroniach, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć rozwiązanie zagadki.

Co wiedział? Że gdzieś w Pensylwanii porwano dziecko. Potem wielu ludzi strzelało w wielu różnych miejscach. Czy to przypadek? Jacob Stanns został zabity, kiedy próbowano pogrzebać go żywcem, albo sam chciał żywcem zakopać kogoś innego...

Ale morderstwo zostało dokonane tak daleko od miejsca, gdzie miano pochować zwłoki...

A co z tym zrobić?

Czy to jest klucz do zagadki? A Justin Fitzgerald? Czy to mógł być ten chłopiec, któremu Robert Martin kupował pampersy wówczas, gdy ktoś z tego sklepu zadzwonił z doniesieniem o morderstwie?

Russel był całkowicie pewien, że wie dość, żeby sprowadzić Martina na przesłuchanie. Wstał od biurka i przeszedł do biura Himlera.

Czas rozejrzeć się za posiłkami.

32

Bobby czuł się tak wyczerpany, jakby przejechał po nim stalowy walec. Wszystkie

fizyczne i psychiczne siły zużył w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin. Teraz, kiedy w trójkę leżeli razem w łóżku - on, Susan i... Steven - ciało Bobby'ego domagało się snu, ale umysł mu na to nie zezwalał, oscylując od silnego lęku do gniewu, a w końcu smutku.

To było ich zawieszenie broni. Spędzą razem noc jako rodzina. Będą spać na podłodze dzieciennego pokoju albo Steven będzie spać w łóżku razem z nimi. Potem, rankiem, cały ten koszmar zacznie się od nowa.

Bobby nie mógł dłużej wytrzymać tej sytuacji. Postanowił z samego rana zadzwonić do agenta Coatesa. Agent przyjedzie do domu, znajdzie to, co ma znaleźć, a jego wyprowadzą w kajdankach.

Nagle coś go zaniepokoiło. Drgnął, a serce ścisnęło mu się, jakby przeszedł przez nie prąd. Z pewnością coś usłyszał.

Długo siedział na łóżku, sztywno wyprostowany. Wsłuchiwał się w noc, w której nic się nie działo. Słyszał tylko równe oddechy Susan i Stevena. Nawet w ciemności rozróżniał zarysy ich postaci. Susan leżała płasko na brzuchu, z głową zakopaną pod poduszką. Tylko kawałek flanelowej koszuli nocnej wystawał spod kołdry.

Obok niej, również na brzuchu, leżał Steven, z nogami zgiętymi w kolanach, jakby przewrócił się do przodu podczas odmawiania pacierza.

Steven chrapał tak, jakby był starym dziadkiem, a nie dwuletnim maluchem. Bobby czytał kiedyś, że takie chrapanie dzieci jest oznaką przyszłych kłopotów z migdałkami. Kto się wówczas o niego zatroszczy?

Im dłużej nasłuchiwał, tym bardziej noc wydawała mu się bezpieczna. Być może obudziło go właśnie to chrapanie.

Poruszając się jak najostrożniej, by nie obudzić tych dwoje, znów umościł się w łóżku i ułożył na poduszkach. Żałował, że nie może zakopać się w pościeli tak jak Susan, odcinając się od wszelkich dźwięków i światła, ale gdyby spał na brzuchu, rozbolełyby go plecy. Przypomniało mu to, że wkrótce będzie obchodzić czterdzieste urodziny. Położył się na plecach i podciągnął kołdrę aż po podbródek. Susan zwykła nazywać tę jego pozycję trumienną.

Zamknął oczy i spróbował pomyśleć o czymś przyjemnym, co pozwoliłoby mu spokojnie zasnąć.

A jednak podświadomość podpowiadała mu, że nie było to chrapanie. Bardziej przypominało trzask.

Zawracanie głowy. Gdyby ktoś się włamywał, włączyłby się alarm. By się upewnić, obrócił głowę w lewo i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na umieszczony na ścianie nad

nocnym stolikiem Susan podświetlany panel systemu alarmowego. Zobaczył jarzące się zielone światełko w miejscu, w którym powinno było palić się czerwone. Widocznie zdenerwowany powrotem Susan, zapomniał włączyć to cholerstwo.

Klnąc pod nosem, odgarnął kołdrę i usiadł na łóżku, chcąc naprawić swoje niedopatrzenie. Jednak zamarł bez ruchu, zanim stopy dotknęły podłogi. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. Któreś z drzwi na parterze otworzyły się, a potem zamknęły.

*

Wchodzenie przez okno w piwnicy było jednym z pomysłów Jacoba. „Duże domy zawsze mają alarmy, ale najczęściej reagują tylko do poziomu parteru” - powiedział mu kiedyś.

Samuel jak zawsze zaufał swojemu wielkiemu bratu. Wylądował na stosie pudełek, zwalając jakieś rzeczy na betonową podłogę. Boże, ależ narobiło to hałasu!

Broń! Przygotuj się do użycia broni.

Samuel szybko zerwał się z podłogi, walcząc o utrzymanie równowagi na stosie rupieci. W jednej ręce trzymał przed sobą pistolet wyciągnięty na całą długość ramienia, w drugiej latarkę i czekał na każdego, kto zszedłby po schodach, żeby go dorwać.

Odczekał tak dobrą minutę, nie poruszając się i nasłuchując. Kiedy nic się stało, zdecydował, że można ruszać dalej.

Trzęsły mu się ręce. Już jako mały chłopiec nie chciał się bawić w chowanego, nie cierpiał, gdy go znajdowano. A potem śmiano się z niego. Zawsze się z niego śmiano. Z czasem przywykł do tego, ale wciąż go to drażniło.

Chodzenie po domu innych ludzi było o wiele gorsze niż zabawa w chowanego.

- Nie zatrzymuj się, babo.

- Nie zatrzymuję się - wyszeptał. - Chcę się tylko upewnić, że nikt mnie nie słyszał.

- Masz broń, dupku. Po cholere się tym przejmujesz?

Oświetlając sobie drogę latarką, szybko i cicho przeszedł przez piwnicę i dotarł do schodów, które prowadziły na parter. Kiedy tak szedł, starał się nie zwracać uwagi na wszystkie te pudełka, narzędzia i sprzęt do ćwiczeń. Próbował nie myśleć o tym, jak wesoło byłoby spędzić tutaj dzień, oglądając to wszystko i próbując odkryć, w jaki sposób działa.

Ale miał robotę i zamierzał ją wykonać.

Szef powiedział, że musi to zrobić, a z Szefem nie wolno zadzierać. Nigdy.

Pod jego ciężarem zaskrzypiały stopnie. Pewnie schody miały trzynaście stopni - pechowa trzynastka! Jacob pouczył go, żeby nie myślał o bzdurach, tylko skoncentrował się na tym, by się nie przewrócić, gdy chodzi nocą po cudzym domu. Ostatecznie okazało się, że

te schody miały piętnaście stopni. Nie trzynaście, lecz piętnaście.

Na końcu schodów chciał się obrócić, żeby dla pewności policzyć stopnie jeszcze raz, ale wiedział, że wtedy Jacob by na niego nakrzyczał. I tak już stracił zbyt wiele czasu.

Jeśli w tym domu był alarm, to pewnie został podłączony do drzwi na szczycie schodów. Czasem tak robiono z oszczędności. Samuel przeciął już kable telefonu, ale nie cierpiał wycia umieszczonej na poddaszu syreny. Otworzył drzwi szybko, żeby mieć to już za sobą, i prawie się roześmiał - nic się nie stało.

Kiedy wchodził do olbrzymiej kuchni, która wyglądała na większą niż cały jego dom, pozwolił, by drzwi za nim zbyt szybko się zamknęły. Nie trzasnęły, ale spowodowały trochę hałasu.

Jak odnaleźć Justina w tak wielkim domu?

Oni śpią na piętrze.

Oczywiście. Jacob mógł zapisać na swoim koncie kolejny punkt prowadzący do zwycięstwa. Sądząc z wyglądu tego miejsca, wszyscy teraz spali. Na pewno nie oglądali na dole telewizji. Ale gdzie było wejście na piętro? Zatoczył łuk latarką w prawo, a potem oświetlił krótki korytarz prowadzący do holu i odnalazł tam klatkę schodową. W słabym świetle latarki wydawało się, że schody unoszą się w powietrzu, łącząc się na górze z czymś, co wyglądało jak mostek.

To był najbardziej fantastyczny dom, jaki w życiu widział. Zaczął wchodzić na górę, mierząc z pistoletu w najwyższy stopień, na którym musiał pojawić się ktoś, kto chciałby go zatrzymać.

Zabierz chłopca. Weź tylko chłopca i nikim się nie przejmuj. Zrób tylko to, co będziesz musiał.

- Zrobię to. Tylko pozwól mi pomyśleć...

*

Kapitan Himler kiwnął głową i zanim jeszcze Russel skończył wyjaśnienia, gdzieś zadzwonił.

- Mogę ci dać sześciu policjantów z patroli, jeśli zaczekasz parę minut - powiedział.

Russel zerknął na zegarek.

- W porządku. Parę minut poczekam, bo chciałbym mieć tam kilku ludzi, tak na wszelki wypadek.

*

Teraz odgłosy kroków dobiegały z holu.

Bobby nie mógł w to uwierzyć. Czy to nie sen? Chciał, żeby to był tylko wytwór jego

wyobraźni.

- Susan! Obudź się! - powiedział, mocno szturchając żonę. W jego głosie było coś takiego, że natychmiast się obudziła.

- O co chodzi?

- Ciii... Myślę, że ktoś jest w domu.

- Co takiego?!

- Cicho! Słyszałem, jak ktoś chodzi na dole.

- Niby kto? - zapytała zaszpanym głosem. I wtedy zrozumiała. - Ktoś jest w naszym domu?!

Bobby chwycił telefon z nocnego stolika, żeby zadzwonić po policję, ale w słuchawce była głucha cisza.

- O cholera, nie działa!

Dlaczego nie ma w domu broni? Dlaczego nie kupił broni, kiedy jeszcze nie był żonaty i nikt by z tego powodu nie utyskiwał? Co teraz robić?

- Musimy uciekać - powiedział.

- Dlaczego? Po prostu zamknij drzwi na klucz i niech zabierają, co zechcą.

- A jeśli oni przyszli po nas? Może to kumple zabitego policjanta przyszli tutaj, żeby się zemścić?

Susan nie wahała się już ani chwili. Wzięła Stevena na rękę. Spróbowała zdjąć koc z łóżka, żeby go nim otulić, ale okazało się, że koc jest wsunięty pod materac.

- Zostaw to - rozkazał jej Bobby. - Nie mamy czasu.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Jeśli spróbują wyjść przez okno od frontu, to spadną z wysokości dwóch kondygnacji. Od tyłu jest jeszcze wyżej. Dlaczego nie pomyśleli o tym wcześniej? A gdyby wybuchł pożar?

Weranda z tyłu! Będą musieli przejść przez krużganek nad holem, z pokoju dzieciennego, przez okno przedostaną się na dach werandy, a stamtąd do ziemi jest już tylko dwa i pół, trzy metry.

Ale najpierw musieli się tam dostać.

- Dalej, prędko - ponaglił Susan, sam już idąc do drzwi.

- Bobby, co ty robisz? Oni tam są! Słyszę ich na schodach!

- To nasza jedyna szansa.

Nie miał zamiaru o tym dyskutować. Tutaj liczyły się sekundy. Na wyścigi z intruzami będą musieli przejść przez cały korytarz, żeby dostać się do dzieciennego pokoju i zamknąć drzwi. Nie wiedział, co się potem może zdarzyć. Wyważenie takich drzwi nie

zajmie wiele czasu, ale mieli tylko taką szansę. Albo to, albo walka na schodach.

Susan nie chciała iść, ale nie spierała się z nim.

Modląc się w milczeniu do wszystkich bogów, którzy mogli go wysłuchać, Bobby otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

*

Samuel właśnie zastanawiał się, od którego pokoju zacząć, kiedy usłyszał hałas zza podwójnych drzwi naprzeciwko wejścia na schody.

Przyspieszył kroku i uniósł pistolet.

Pamiętaj, nie liczy się nikt oprócz dziecka.

Nawet nie odpowiedział. Zbyt wiele się teraz działo. To musiało się udać. Szef czekał, a jemu kończył się czas.

W chwili, kiedy sięgał do mosiężnej klamki, drzwi gwałtownie się otworzyły. Tuż przed nim, stał ubrany tylko w kalesony mężczyzna, ten sam, którego w nocy widział w lesie. Krzyknął na jego widok. Samuel również krzyknął.

Przez jakąś chwilę stali tak i patrzyli na siebie.

Zastrzel ich!

Pistolet! Prawda, przecież miał pistolet! Sam nie wiedział dokładnie, co robi, kiedy uniósł broń. Jednak zawahał się, widząc, że tuż za mężczyzną stoi kobieta. Na rękach trzymała małego chłopca, którego przyszedł odebrać. To był Justin! Mimo wszystko nie zawiedzie Szefa!

Pociągał za spust.

Bobby podskoczył w górę.

- Bobby! - zawołała Susan.

Jezu, on ma pistolet!

Bobby zobaczył, że ramię napastnika poruszyło się i wiedział już, co się wydarzy. Oni wszyscy zginą.

Instynktownie skoczył na włamywacza i uderzył go głową w klatkę piersiową. Jakby natrafił na mur. Przez chwilę zastanowił się, czy ten huk, który wstrząsnął całym jego ciałem, to odgłos pękających kości.

Mimo swoich rozmiarów i siły zaskoczony intruz stracił równowagę. Uderzenie odrzuciło go do tyłu na poręcz. Drewniana poręcz pękła, ale nie złamała się.

- Susan, uciekaj - krzyknął Bobby, nim od uderzenia pięści zaszumiało mu w głowie.

Nie wypuścił jednak z rąk kurtki napastnika.

- Susan, biegnij!

- Nie jestem babą, do cholery! - ryknął napastnik. A potem uderzył Bobby'ego z całej siły.

*

Tak, jesteś pieprzoną babą! Chybiłeś! Jak ci się to udało?!

Samuel wyczuł, że chwyt półnagiego faceta rozluźnił się po pierwszym uderzeniu. Zatonął się do tyłu, co pozwoliło Samuelowi odzyskać równowagę i cofnąć się o krok. Uniósł pistolet, żeby strzelić i wtedy zauważył, że kobieta z małym chłopcem biegnie przez hol.

Tylko chłopiec się liczył.

Strzelaj!

- Nie mogę! Trafie Justina!

Zamiast strzelać, ruszył pędem za nimi. Ludzi zawsze zaskakiwała jego szybkość. Jak na tak wielkiego faceta, potrafił poruszać się błyskawicznie. Nie wiedział, dokąd biegną. Może próbują dostać się do innego pokoju na parterze? Zbyttno się tym nie przejmował. Oni i tak nie mieli żadnych szans. Ściął kobietę z nóg, chwytając ją za włosy.

*

Susan padając przytuliła do siebie Stevena. Silnie uderzyli o podłogę. Chłopiec z krzykiem natychmiast zerwał się na nogi i pobiegł w stronę schodów.

- Mam cię! - zawołał intruz. Złapał Stevena w pasie, ale chłopiec rzucał się jak ryba wyciągnięta na brzeg. Młócił powietrze rękoma i nogami i Samuel nie mógł go utrzymać. Chłopiec padł na podłogę i na czworaka zaczął się czołgać w stronę schodów.

Samuel spróbował złapać go za nogę.

- Zostaw go! - krzyknęła Susan i rzuciła się na napastnika, zatapiając paznokcie głęboko w jego twarzy.

Samuel jęknął, kiedy paznokcie rozorały mu policzki. Takiej walki się nie spodziewał. Jacob znowu miał rację. Powinien był zastrzelić ich oboje, kiedy tylko ich zobaczył.

Teraz ta suka siedziała mu na plecach i nie mógł do niej strzelić, a mały Justin uciekał. Bierz dzieciaka, do cholery.

- Kurwa, właśnie próbuję to zrobić!

Ale ta suka nie puszczała. Wydawało mu się nawet, że im bardziej z nią walczy, tym mocniej się go trzyma. Przez zamglone łzami oczy Samuel zobaczył, że chłopiec jest już prawie na schodach, i silnie zamachnął się nogą.

Na miłość boską! On chce kopniakiem strącić chłopca ze schodów! Bobby słyszał krzyki żony i płacz dziecka. Gdyby spadło ze schodów, zabiłoby się!

Bobby, niczym pijany, podpierając się rękoma, przesunął się po dywanie i w ostatniej chwili, gdy chłopiec tracił już równowagę, złapał go za koszulkę nocną - nowiutką, z tygrysem wyszytym na niebieskim materiale.

Jednak chłopiec wpadł w histerię. Kopał i krzyczał. Chciał stąd uciec. Bobby ze smutkiem skonstatował, że to już druga taka upiorna noc w życiu tego dziecka. Czym sobie na to zasłużyło?

- Boże, Bobby!

W głosie Susan było teraz coś więcej niż przerażenie - panika!

Bobby obrócił się i zobaczył, że ogromny napastnik znów stoi wyprostowany. Trzymał mocno Susan za brodę, a do głowy przykładł jej pistolet.

- Zrobię to! - krzyknął. - Chcę tylko Justina. Nie chcę ani ciebie, ani jej. Muszę zabrać Justina - zwrócił się do Bobby'ego.

Bobby zrozumiał, że nie zdoła go już pokonać.

- Odłóż broń - powiedział.

- Odłożę, kiedy oddasz mi Justina.

Napastnik mówił stłumionym dziwnie modulowanym głosem. Narkotyki?

- Kto to jest Justin? - zapytał Bobby, grając na zwłokę.

- Wiesz, dobrze. Daj mi go, to nie zrobię jej krzywdy.

Przycisnęła mocniej lufę, żeby podkreślić własne słowa.

- O Boże, nie rób tego - zaczął błagać Bobby.

Z oczu Susan ciekły łzy. Była przerażona.

- Niech mnie zabije - szlochała - ale nie mogę stracić jeszcze raz swojego dziecka.

Bobby przenosił wzrok z żony na jej prześladowcę i zastanawiał się, co czynić.

- Zrobię to - zagroził napastnik. - Policzę do czterech i wtedy ją zabiję, a potem zabiję ciebie i zabiorę Justina. Puść go.

- Nie, Bobby, proszę.

- Raz...

- Bierz go i puść ją - krzyknął Bobby.

- Nie! - zawołała Susan.

Zignorował ją, patrząc w oczy intruzowi.

- Nie skrzywdź mojej żony. To nie jest nasze dziecko i żałujemy, że zostaliśmy w to wplątani.

- Bobby!

- Ona tego nie rozumie. Nie czuje się dobrze. Nie wie, co robi. Bierz chłopca.

Steven wpadł w szal, wił się i kopał. Bobby ledwo mógł go utrzymać.

- Lepiej będzie, jeśli zabierzesz go już teraz. Nie wiem, jak długo uda mi się go utrzymać.

- Bobby, zabiję cię! - wrzeszczała Susan. - Nie możesz wydać naszego dziecka! Nie możesz!

- Zabieraj go, do cholery! - krzyknął Bobby. - Zabieraj go i wynoś się stąd!

Intruz przez dłuższy czas wyglądał na zmieszanego, jakby nie był pewien, co robić. Potem skinął głową. Wypuścił Susan i wziął Stevena z ramion Bobby'ego.

Susan z żądzą mordy w oczach, krzycząc bezsensowne słowa, rzuciła się na intruza.

Samuel uniósł pistolet, ale Bobby zasłonił żonę, powalił ją na ziemię, starając się ze wszystkich sił przytrzymać.

- Idź! - krzyknął. - Trzymam ją! Idź stąd!

Samuel próbował utrzymać Susan na muszce, ale wijący się chłopiec zaczął wymierzać mu ciosy.

- Słyszałem - warknął intruz ze złością.

Bobby z początku pomyślał, że mówi on to do niego, ale potem zrozumiał, że włamywacz prowadzi dialog z kimś, kogo tutaj nie ma.

- Chłopiec jest najważniejszy - ciągnął dalej włamywacz. - Sam tak powiedziałeś! Jest najważniejszy, a ja go mam i oddam go z powrotem. To wszystko, co muszę zrobić. Oddam go.

Krzyczał tak schodząc po schodach, i później, już za drzwiami. W końcu jego głos zagłuszyły piski Stevena czy raczej Justina.

Bobby nigdy nie przypuszczał, że jego żona może być tak silna. Czuł się jak na wierzgającym dzikim koniu na rodeo. Zwijała się, wykręcała i krzyczała, próbując uwolnić rękę albo nogę. Próbowwała go ugryźć.

- Susan, przestań. Do jasnej cholery, przestań!

- Moje dziecko! Pozwoliłeś zabrać moje dziecko! Oddałeś je!

- On nie jest naszym dzieckiem!

- On jest moim dzieckiem. Sam Bóg mi go zesłał!

- Susan, on by cię zabił! Zabiłby cię, a potem i tak by go zabrał!

- Puść mnie!

- Nie. Dopóki się nie uspokoisz.

- Puść mnie! - krzyknęła, uwolniła rękę i wtedy się zaczęło.

Okladała go pięściami po twarzy, po uszach. Kiedy uwolniła nogę, uderzyła go

kolanem w krocze i Bobby poczuł, jak w fali bólu odpływają wszystkie jego siły. Puścił ją i zwinął się w kłębek. Susan nie wahała się ani chwili. Zerwała się na nogi, popędziła w dół po schodach, przeskakując po dwa, trzy, cztery stopnie.

Jak strzała przemknęła przez hol i otwarte drzwi, krzycząc w noc.

- Steven! Oddaj mi go, sukinsynu! Oddaj mi moje dziecko!

33

Russel Coates jechał pierwszym wozem patrolowym, za którego kierownicą siedział sam kapitan Himler, prowadzący konwój złożony z czterech pojazdów. Tutaj, z dala od miasta, odbiór jego telefonu komórkowego był bardzo słaby i żeby wysłuchać najświeższego raportu od agenta Wheatleya o stanie zdrowia Tima Burrowsa, musiał drugie ucho zatykać palcem.

- Jak się on czuje? - zapytał Himler, gdy Coates odłożył telefon.

- Jeszcze nie wiadomo - Russel pokręcił głową. - To paskudna rana brzucha i ciągle trzymają go na sali operacyjnej.

- Czy myślisz, że ludzie, do których zmierzamy, mieli z tym coś wspólnego?

- Tak podpowiada mi mój instynkt. Myślę, że Martinowie tkwią po uszy w czymś, w co nie powinni się byli wplątać. Uważam również, że prawdopodobnie przywłaszczyli sobie dziecko.

Żaden z nich nie odezwał się, kiedy podskakiwali na torach na przejeździe kolejowym. Pierwszy przerwał ciszę Himler:

- Czy mógłbym cię jeszcze o coś zapytać?

- Pytaj.

- Czy nadal uważasz, że trzeba było z tym czekać?

Russel zastanawiał się przez chwilę.

- Czy nigdy nie miałeś uczucia, że jeśli pociągniesz za sznurek zbyt wcześnie, wszystko się rozleci?

- Mam przez cały czas. Zresztą, ja nie krytykuję, tylko pytam.

- No cóż, czeka mnie mnóstwo krytyki. Biorąc pod uwagę postrzelenie agenta Burrowsa, ręcę, że każda decyzja, jaką dziś podjąłem, zostanie zakwestionowana i zmieniona.

- Dla mnie brzmi to tak, jakbyś się już wypalił.

Russel roześmiał się.

- Być może to pierwsze symptomy. Przepracowałem prawie dwadzieścia lat - powiedział. - Stąd trzeba jechać jeszcze pół kilometra pod górę - dodał, zmieniając temat.

Parę minut później znaleźli się przed domem Martinów. Błyskały koguty sześciu policyjnych radiowozów. Kiedy policjanci zajmowali wyznaczone pozycje na terenie posiadłości, zatrzeszczały ostrym *stacatto* meldunki radiowe.

- To pana przedstawienie, agencie Coates - oświadczył Himler, ustępując mu pierwszeństwa, kiedy zbliżali się do wejściowych drzwi. - Pan pierwszy wchodzi na scenę.

Russel potaknął skinieniem głowy, wspiął się na ganek i zadzwonił. Przez oprawne w ołów szkło drzwi, usłyszeli dźwięk Big Bena.

Gdy minęło dziesięć sekund, Russel chwycił za kołatkę. W tak spokojną noc stukanie zabrzmiało jak odległe strzały.

- Robert Martin! - krzyknął Coates. - Tu FBI! Mamy nakaz zatrzymania! Otwórz drzwi!

Tym razem nawet nie czekał na odpowiedź. Jeśli podejrzani nie odpowiedzieli do tej pory, to do diabła z nimi. Teraz mógł wyłamać te pieprzone drzwi.

Dwaj policjanci z patrolu wystąpili do przodu z przenośnym taranem i jednym wprawnym machnięciem wyważyli ozdobne, wykładane wiśniowym drewnem drzwi, które eksplodowały gradem stłuczonego szkła. Potem rozległ się podobny trzask, kiedy inni policjanci przeprowadzili taką samą operację przy tylnych drzwiach na dole.

Dwie minuty później zakończyli przeszukanie i okazało się, że dom jest pusty.

- Wygląda na to, że ci ludzie prysnęli - powiedział Himler.

Russel wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes.

- Kapitanie, wyświadczy mi pan pewną przysługę?

Himler podszedł bliżej.

- Wysłać list gończy za tym eksplorere? Jak daleko trzeba go szukać?

Russel zastanawiał się przez moment.

- Z pewnością na terenach przyległych do metra w Dystrykcie Columbia. A może też w Zachodniej Wirginii, Pensylwanii, Delaware i Ohio.

- To zajmie trochę czasu.

- Wiem. Ciekawy jestem, dlaczego z takim pośpiechem wybrali się na tę wycieczkę.

Russel nie miał wielkiej nadziei, że w nocy list gończy przyniesie jakieś efekty. Po ciemku trudno było określić kolor samochodu, nie mówiąc już o odczytaniu numeru z tablicy

rejestracyjnej.

Dokąd sam by uciekł, będąc na ich miejscu? Czy była to część ich planu, czy reakcja na to, że za bardzo się zbliżył?

- Kapitanie chyba chciałby pan na to spojrzeć - krzyknął z góry jeden z policjantów.

Wszystkie oczy zwróciły się na policjanta w szarej koszulce, który stał na krużganku nad holem.

- Znaleźliśmy tutaj ślady walki. I dziurę po kuli we framudze drzwi.

*

Samuel uderzył latarką w worek i szamotanie ustało.

- Przestań mnie do tego zmuszać - ryknął. - Siedź cicho i ciesz się, że jedziesz samochodem. To taka zabawa. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Nie chcę nikomu zrobić krzywdy, więc się uspokój, ty głupku.

Chciał usłyszeć, jak brzmią słowa, którymi zazwyczaj zwracano się do niego.

Nie spodobało mu się.

- Przepraszam, że tak cię nazwałem.

Nikt nie powinien tak nikogo nazywać.

Samuel zastanawiał się, dlaczego tamci mówili do chłopca Steven. Jeśli naprawdę miał na imię Justin, to dlaczego nazywali go Stevenem? Bez sensu.

Tak samo, jak bez sensu było całe mnóstwo innych rzeczy.

Na przykład to, że Jacob umarł w taki sposób. Dlaczego nie mógł wygrać walki i sam załatwić tej sprawy z Szefem? Serce waliło Samuelowi jak młotem, kiedy tylko pomyślał o Szefie. Nie przypuszczał, że będzie prowadził interesy z jedynym człowiekiem na świecie, którego obawiał się jego wielki brat.

Powinieneś był ich zabić.

- Kogo? Tych ludzi, którzy zostali w domu?

A kogo innego, ty cholerna babo?

- Nie musiałem tego robić. Miałem już chłopca, więc po cóż miałbym ich zabijać? Pod koniec ten mężczyzna bardzo mi pomógł. A więc jak mogłem go zastrzelić?

Czy czegoś dotykałeś?

Samuel westchnął tak ciężko i głośno, że aż się zakaszłał. Dotykał! Dotykał tam całego mnóstwa rzeczy. Szybko uniósł ręce i wyciągnął je przed twarzą w ciemnościach kabiny, najpierw jedną, potem drugą, żeby nie stracić panowania na kierownicą. Chciał się upewnić, że nie pozostawił tam jakiejś części swojego ciała.

Więc jak, dotykałeś?

Nie cierpiał tego tonu w głosie Jacoba; ten wszystkowiedzący, drwiący ton. Może mimo wszystko nie żałował, że jego brat nie żyje?

No i?

- Byłeś tam, chytrusie! Byłeś tam! Już wiesz, że dotykałem.

Samuelu, pamiętasz co to jest krzesło elektryczne? Pamiętasz, jak ci o nim opowiadałem?

- Więc czemu mi o tym nie przypomniałeś, jeśli tam byłeś?

Jacob nie pofatygował się, żeby mu odpowiedzieć. Robił tak coraz częściej. Podobnie było z jego ojcem, kiedy umarł. Zawsze rozmawiał z Samuelem, dzień i noc, wierząc mu dziurę w brzuchu na temat pracy na farmie, wyzywał go i kiedy Samuel spał, opowiadał mu straszne rzeczy o Jacobie. Rzeczy, których Samuel nie chciał słuchać.

Jacob nie był taki, jak mówił tata. Nigdy nie był złym chłopcem. Mama zmarła na raka. Wiedzieli, że umrze, więc była to tylko kwestia czasu. To dlatego krzyczała głośno w środku nocy i nie rozpoznała ich, kiedy weszli do pokoju. To był rak. Tak właśnie powiedział mu Jacob, a Samuel wiedział, że brat nigdy nie kłamie. Tylko Jacob występował zawsze w jego obronie. Niezależnie od tego, kto zabawiał się jego kosztem.

Tylko Jacob miał prawo go wyzywać. Jeśli ktoś inny tego próbował, dochodziło do istnych jatek.

A te pigułki, które dawał mamie? To były lekarstwa. Tata całkiem źle to zrozumiał. Powiedział, że Jacob chciał, żeby mama umarła. Powiedział, że Jacob miał dość głośnych krzyków; zmęczył się tym, że musiał jej usługiwać, jakby była małym dzieckiem. Jak tata mógł coś takiego mówić o Jacobie? On był dobrym bratem. Najlepszym bratem na świecie.

Ale tata widział to inaczej. Nie lubił swoich dzieci.

Samuel aż podskoczył w fotelu i rozejrzył się po kabinie ciężarówki. Przysięgnąłby, że niemal czuje rozdzierający ból i zapach kurzego gówna.

Nie myślał o tym od bardzo dawna. Dlaczego to wszystko powracało teraz z taką wyrazistością? Czuł się tak, jakby jechał ciężarówką z duchami.

Krzyki.

Znów podskoczył. Skąd one dobiegały? Boże! Były takie głośne. Skąd one dochodziły? Czy w ogóle były prawdziwe? Próbował skupić uwagę na wijącej się przed nim drodze, ale cały czas widział wielką chmurę dymu, unoszącą się nad podwórkiem. Jezu, to było już tak dawno, a on wciąż widział wyraźnie każdy szczegół.

Słońce mocno świeciło. Było gorąco. Plecy i pośladki Samuela boleśnie swędziały. Nie mógł ruszyć ręką ani nogą, żeby nie zedrzeć jakiegoś strupa, a wciąż miał jakąś robotę. W

traktorze trzeba było wymienić olej, a potem... cóż, siano samo nie ułoży się w stogi. Na ich farmie każdy robił to, co do niego należało. Parę uderzeń różgą to dla mężczyzny nie powód, żeby objął się przy pracy.

Z początku myślał, że słyszy kota, który dostał się gdzieś, gdzie nie powinien. Im dłużej słuchał, tym bardziej dochodził do wniosku, że żaden kot nie mógłby wydać z siebie takiego dźwięku. Czy to głos człowieka? Jacob!

Samuel rzucił robotę i wypadł ze stodoły. Podwórko było puste. Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Z prawej strony, blisko miejsca, gdzie znajdował się kurnik, zobaczył wznoszący się w powietrze ogromny słup dymu. Czarny, tłusty dym, jak ze starych parowych lokomotyw, które widział w telewizji.

- Jacob! - zawołał i ruszył w kierunku dymu i krzyków. Biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, nie zwracając uwagi na zerwane strupy i purpurowe siniaki. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby się o nie martwić. W tej chwili Jacob potrzebował jego pomocy.

Im bardziej się zbliżał, tym bardziej krzyki cichły, aż w końcu słyszał już tylko rozpaczliwe piski kurczaków. Już widział, co się tam dzieje. To były odgłosy pieczonych żywcem ptaków.

- Jacob!

Gęsty dym czepiał się ziemi i kłębił po trawie, zanim wzbił się w niebo. Ciężki, kwaśny odór sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Podbiegł bliżej i stanął w pół kroku.

Zewsząd strzelały pomarańczowe płomienie; ogień strawił doszczętnie cały budynek. Przerażony Samuel patrzył, jak kilku kurczakom udało się uciec. Z płonącym pierzem wyskakiwały przez malutkie okienka i, potykając się, zataczały na ziemi kółka. Wydawały z siebie takie odgłosy, że nigdy by ich o to nie podejrzewał.

- Jacob!

- Zamknij się, Samuelu. Jestem tutaj.

Samuel odwrócił się i zobaczył, że jego wielki brat siedzi na rzeźniczym pieńku z takim wyrazem twarzy, jakiego nie widział u niego nigdy wcześniej ani później. Czoło Jacoba złościły głębokie bruzdy zmarszczek. Mięśnie szczęk pracowały tak, jakby coś przeżuwał. Pod nogami leżał na boku dwudziestolitrowy kanister na paliwo.

- Co się stało?! - zapytał Samuel. Na rękach brata zobaczył pęcherze. - Jacob, jesteś poparzony!

- Gówno prawda, Sherlocku - zaprzeczył Jacob. Również na twarzy miał małe pęcherze w miejscu, gdzie były wypalone baczki, które próbował zapuścić.

- Słyszałem krzyki.

- To tata - oznajmił Jacob tak obojętnie, jakby Samuel zapytał, kto dzwonił. - Miał mały wypadek.

Samuel szybko zwrócił głowę w kierunku kurnika, który teraz przypominał piec hutniczy.

- Czy wszystko będzie z nim dobrze? - zapytał z przestraczem.

Jacob roześmiał się, chociaż wyglądał tak, jakby miał się rozplakać.

- Nie, kurwa, nie będzie dobrze. On nie żyje.

Jacob wstał i popchnął brata w kierunku domu.

- Jednak szkoda, że tak wyszło z kurczakami.

W pierwszych dniach po swojej śmierci tata wiele razy odwiedzał Samuela. Próbował wmawiać mu, że Jacob podłożył ogień celowo, że zamordował go, tak samo jak zamordował mamę. Mówił też, że to wszystko przez Samuela. Gdyby był lepszym synem, gdyby każdego dnia swojego pieprzonego życia nie był takim dupkiem-maminsynkiem i idiotą, to wtedy tata nie musiałby być dla niego tak surowy.

Te różgi były dla twojego dobra - mawiał tata. - Miały z ciebie zrobić lepszego chłopca. Jeśli byłbyś dobry od początku, to nigdy bym nie podniósł na ciebie ręki.

Według taty Jacob podłożył ogień z powodu ostatniej chłosty. Co za głupi pomysł. Jacob nigdy nie zrobiłby czegoś takiego komuś, kogo Samuel kochał. To było właśnie tak, jak Jacob opowiedział policji, kiedy do nich przyjechali. Tata chciał benzyną wykurzyć szerszenie, a ponieważ był pijany, zapalił papierosa. Wszystko błyskawicznie poszło z dymem.

Samuel przypominał sobie, że Jacob pokazywał swoje poranione ręce i twarz jako dowód na to, że próbował uratować tatę. Nawet rozplakał się, kiedy o tym mówił. Na miłość boską, Jacob nigdy nie płakał. Jeśli teraz to zrobił, to musiał czuć się naprawdę źle z powodu tego, co się wydarzyło. Bo jeśli zrobił to specjalnie, to dlaczego miałby się czuć źle?

Z czasem tata przestał odwiedzać w nocy Samuela. A kiedy Samuel dorósł i stał się mężczyzną, kiedy zaczęli z Jacobem robić małe interesy z Szefem i takimi jak on, nie myślał już wiele o tych sprawach.

Samuel bardzo dobrze wiedział, czego dotyczyły ich interesy. Nie był tak głupi, jak ludzie o nim myśleli, czy jak nawet czasem sam udawał. Wiedział, że te tajemnicze nocne wypadki, które niekiedy kończyły się przelewem krwi, miały na celu zabijanie złych ludzi. Czasem należało tylko utrzcć komuś nosa, ale dopóki nie zaczepiali dobrych ludzi, nie miał z tym większych problemów. Zwłaszcza dlatego, że nie musiał sam wykonywać tej pracy. Pozostawał na zewnątrz i obserwował.

Nie dawała mu jednak spokoju sprawa Justina. Jacob powiedział, że to gra. Jeśli tak twierdził, musiała to być prawda. Pewne jak w banku. Niezbyt mu się jednak podobała taka zabawa, polegająca na upychaniu chłopca do worka, a potem wkładaniu go do pomieszczenia pod ziemią. W ogóle mu się to nie podobało. Zastanawiał się teraz, jak mocno spał, kiedy chłopiec po raz pierwszy uciekł.

Przypominał sobie, jak chłopiec znajduje wyjście z dołu i biegnie do lasu. Jak myślał wówczas, że byłoby dobrze, gdyby tym razem chłopiec uciekł.

Oczywiście było to jeszcze zanim przyszedł Jacob i zobaczył, że chłopca nie ma. Zanim mu odbiło. Potem Jacob obrzucał brata tymi wszystkimi wyzwiskami i kazał mu stać bez ruchu w lesie, kiedy go zastrzelono.

Te wszystkie wspomnienia były tak niedobre, że nie widział już, po co on wraca do tego lasu.

*

Wszystkie znaki wskazywały na to, że rozegrała się tu zaciepła walka. Poręcz nad holem ledwo się trzymała, a ślad po kuli we framudze drzwi mówił sam za siebie. Russella zaintrygowały również torby pełne zabawek oraz nowych ubrań dla dzieci. Rodzaj małej kapliczki na ścianie w pokoju dzieciennym wyjaśniał większość tego, czego chciał się dowiedzieć. Ale co z tym wszystkim, co było w torbach? Z rzeczami, których paragony miały dzisiaj datę?

- Ciekaw jestem, jaką masz teorię na ten temat - powiedział Himler.

Bez względu na to, jakie przestępstwo tutaj popełniono, stało się to w domu położonym w hrabstwie Fairfield, podczas jego służby, więc w majestacie prawa przejmował dochodzenie.

- Niestety, nie mam żadnej teorii - Russel potrząsnął głową.

- Uważasz, że strzelali Martinowie, czy też to do nich strzelano?

Cholernie interesujące pytanie. Russel wciąż nie potrafił znaleźć brakującego ogniwa między porwaniem, a przelewem krwi, który nastąpił później. Przypuszczał, że Martinowie mogli zaskoczyć intruza i odpowiedzieć strzałami, ale równie prawdopodobne było, że zaskoczył ich intruz, który chciał ich zamordować. Tylko dlaczego tak spartaczył sprawę?

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - oznajmił całkiem szczerze Russel. - Wszystko wskazuje na to, że dziś w nocy zamordowano Martinów. Twój ludzie nie znaleźli śladów krwi?

- Jest jedna mała plamka na dywanie, ale technik orzekł, że nie może to być od rany postrzałowej.

- Teraz powinienem pstryknąć palcami i w cudowny sposób przenieść się do Pittsburga. Cokolwiek stało się tutaj, ma chyba związek z tamtejszymi wydarzeniami - powiedział Russel.

- Ile to zajmie czasu? Cztery, pięć godzin jazdy?

- Coś koło tego. Ale ja już padam z nóg. Muszę gdzieś zdrzemnąć się, zanim wyruszę.

- Załatwię ci transport - zaofiarował się Himler.

Russel machnął ręką, odrzucając ofertę.

- Nie chcę fatygować twoich ludzi tylko po to, żebym mógł się przespać kilka godzin w samochodzie.

- Nie mówiłem o samochodzie - Himler przecząco pokręcił głową. - Miałem na myśli helikopter.

34

Odzyskamy go, Susan. Przysięgam.

Susan nie chciała z nim rozmawiać. Wpatrywała się w przesuwaną się obok nich za oknem ciemność. Ciszę przerywał tylko szloch i pociąganie nosem.

- Susan, do cholery! On by cię zabił!

- A teraz chce zabić Stevena - odparowała. Były to jej pierwsze słowa od przeszło godziny. - Sądzę, że tego właśnie chcesz przez cały czas.

- Susan! - krzyknął oburzony.

- Właśnie tak.

- Oczywiście, i dlatego robiłem wszystko, jak chciałeś. Po to żeby chłopiec zginął.

- On ma na imię Steven.

- Nie, nie ma. Ale to nieistotne.

- Masz rację. To nieistotne. Istotne jest to, że przez cały dzień usiłowałeś się go pozbyć.

- Ponieważ to nie jest nasze dziecko. Jezu, ile razy muszę ci to powtarzać? To nie nasze dziecko.

- Bóg...

- Tak, to Bóg je nam zesłał - przerwał jej. - Tysiąc razy słyszałem, jak to mówiłaś. Może nawet On to zrobił. Nie mogę twierdzić, że tak nie było. Jednak nie zmienia to faktu, że

chcesz przejąć na własność cudze dziecko.

- A ty zabiłeś człowieka.

Jej komentarz odczuł jak policzek. Ale jeszcze nie skończyła mówić.

- To jest twój wielki problem. Nie chodzi ci o Stevena ani o mnie. W ten sposób zamierzasz uniknąć odpowiedzialności za zabicie funkcjonariusza policji.

- To nie był policjant - powiedział Bobby.

- Co takiego?

- Ten facet w lesie nie był policjantem.

- Skąd wiesz?

Przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli. Jak miał to dokładnie wyjaśnić?

- Dlatego, że nigdzie nie było o tym żadnej wzmianki. Nie powiedział też nic na ten temat facet z FBI, który przyszedł do nas dziś po południu. Gdyby to naprawdę był gliniarz, to do tej pory już coś byśmy o tym usłyszeli.

- Więc kto to był?

- Nie wiem - Bobby wzruszył ramionami. - Ale pamiętasz, jak walczyliśmy ze sobą w lesie? Pamiętasz, że ciągle wołał jakiegoś Samuela?

- Pamiętam - odpowiedziała zaintrygowana.

- Więc myślę, że to ten Samuel przyszedł i zabrał Stevena.

- Ale dlaczego? - zapytała ze strachem.

- Żeby skończyć to, co rozpoczął jego kumpel. To, w czym przeszkodziliśmy.

- Ale miał odznakę.

- Odznakę może mieć każdy. Wystarczy pójść do sklepu, gdzie sprzedają nadwyżki z dostaw dla wojska. Nie sprawdzałem jego dokumentów.

- Więc co to wszystko znaczy?

Bobby zamilkł na chwilę.

- Prawdopodobnie facet, którego zabiłem, sam był porywaczem. Strzelał nie po to, żeby obronić chłopca, ale żeby go odzyskać.

- A więc to była samoobrona.

- Chyba tak.

Instykt słusznie mu podpowiadał, że trzeba zadzwonić na policję. Gdyby nie jego tchórzostwo, być może mały Steven nie byłby znów w niebezpieczeństwie.

- I dlatego uważasz, że pojechali znów do lasu? - upewniła się Susan. - Żeby dokończyć to, co zamierzali zrobić?

- Tak - skinął głową. - Czy słyszałaś, co Samuel powiedział do Stevena w holu?

Powiedział, że „wracają”. Dla mnie znaczy to, że wracają tam, gdzie wszystko się zaczęło. Nie potrafię odgadnąć, po co, ale nie po to, żeby go zabić.

- Czemu jesteś tego taki pewny?

- Mógł zabić chłopca w domu. Mógł to zrobić na zewnątrz, na podjeździe. Ale nie zrobił tego.

Przez długi czas jechali w milczeniu.

- Czy nie uważasz, że powinniśmy zadzwonić na policję? - zapytała w końcu Susan.

Bobby roześmiał się. Czemu nie zadała tego pytania dziesięć godzin temu?

- Nie, już nie. Nie mamy na to czasu. Jeśli zadzwonimy, będą chcieli, żebyśmy na nich poczekali i o wszystkim opowiedzieli. To potrwa. A ten facet i tak już nas zbytnio wyprzedził.

Jechali coraz węższymi drogami, zagłębiając się w las. Tak jak poprzedniej nocy.

Susan spojrzała na męża; znów miał ten twardy wyraz twarzy, którego nie widziała nigdy wcześniej, zanim po raz pierwszy nie stracili Stevena. Obserwowała, jak pracują mięśnie jego szczęk, jak mocno zaciskał wargi.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, ile przeszedł w ostatnich godzinach, w ostatnich tygodniach. Ten wyraz twarzy mówił wszystko. Tak ciężko pracował nad tym, by być dla niej oparciem. Nie pozostawiła mu miejsca na własną żalobę. Nie miał czasu zająć się własnymi uczuciami.

Nagle Susan ujrzała wszystko z wielką jasnością - obraz świata, który w każdym calu był tak różny od widzianego wcześniej. Jak wtedy, kiedy po raz pierwszy założyła okulary. To, co niegdyś wydawało się rozmyte, mylące, teraz było idealnie ostre i zupełnie oczywiste. Ten siedzący obok niej mężczyzna - jej najlepszy przyjaciel od pierwszej klasy liceum - nigdy nie był jej wrogiem.

Dlaczego, kiedy to do niej dotarło, doznała takiego szoku? Jak w ogóle mogła kiedykolwiek myśleć inaczej? Teraz, gdy wszystko zobaczyła inaczej, zrozumiała, że żyje tylko dlatego, bo Bobby zasłonił ją własnym ciałem przed pistoletem szaleńca.

Bobby kochał ją bardziej niż samego siebie. Teraz, przerażony tak samo jak ona, jechał przez noc, by uratować małego chłopca, którego nigdy nawet nie poznał.

- Wiesz - powiedziała, przerywając w końcu ciszę - naprawdę bardzo cię Kocham.

- Ja też cię Kocham - odpowiedział machinalnie i uśmiechnął się z przymusem.

- Niestety, byłam dziś dla ciebie niedobra.

- Niedobra? - Tym razem uśmiechnął się szerzej. - Nie zauważyłem.

Okazało się, że znalezienie w lesie zwłok i całe towarzyszące temu zamieszanie to nic w porównaniu z tym, co miało jeszcze czekać tego dnia Sarah Rodgers. Dziesięć minut po tym, jak ostatni agent FBI wyjechał z parku narodowego Cacoctin, otrzymała meldunek o pojawieniu się ognia w odległym, południowym krańcu kompleksu leśnego, który mierzył trzysta kilometrów kwadratowych. Nim zdolali zmobilizować niezbędne siły strażaków, szalejący płomień strawił trzydzieści hektarów starodrzewu. Gdyby nie deszcz, który zaczął padać wieczorem, sytuacja mogłaby się jeszcze bardzo pogorszyć. Na razie ogień był powstrzymany, a komendant miejscowych strażaków zapewniał ją, że w nocy pożar się nie odrodzi. Jak to zwięźle ujął, „nie było jeszcze takiego pożaru, który mógłby spalić mokre drewno”.

Dzięki Bogu.

Jednak nawet to nie było najgorsze. Według prognozy meteorologicznej należało się spodziewać, że w nocy temperatura spadnie do czterech stopni poniżej zera, a deszcz przejdzie w śnieg; nad ranem pokrywa śnieżna miała osiągnąć grubość piętnastu centymetrów. Wszystko to było nietypowe jak na tę porę roku.

Sarah widziała, że trzeba będzie pomagać zabłąkanym turystom, co przy takim niedoborze personelu oznaczało pracę dzień i noc. Już teraz, wprowadzając swojego zielonego chevroleta pickupa na jedno z pięciu wąskich miejsc parkingowych naprzeciw posterunku w sektorze piątym, w świetle reflektorów samochodu widziała, jak opadają wielkie, ciężkie płatki śniegu.

Kiedy Sarah weszła do domu, Gardner Blackwell uniósł głowę znad stosu papierów na biurku.

- Kawa jest na kuchence - poinformował ją, odsłaniając w końskim uśmiechu przednie zęby. - Świeżo zaparzona, nalej sobie.

Uzależnienie Sarah od kofeiny stało się już tematem legend.

- Ratujesz mi życie, Gardner. Meteo mówi, że spadnie piętnaście centymetrów śniegu, na razie są dwa.

- Najwyżej będzie dziesięć. Jest jeszcze zbyt ciepło.

- A więc z przekory twierdzę, że będzie dwadzieścia - oznajmiła Sarah.

Na dno ciężkiego białego kubka wlała odrobinę kawy, zamieszała, po czym wylała popłuczyny do kosza na śmieci.

- Nikt tutaj nie cierpi na choroby zakaźne, prawda? - napełniła kubek i usiadła na metalowym szarym krześle przed biurkiem Gardniera.

- To jest mój kubek - zauważył. - Właśnie miałem cię poprosić, żebyś go umyła. A tak

przy okazji: wyglądasz okropnie.

- Za późno na komplementy - roześmiała się Sarah. Przez chwilę patrzyła, jak sortował przepustki do parku. - Złapałeś dziś w nocy jakichś morderców?

- Tylko trzech, o których już wiem - odpowiedział, nie zwalniając tempa pracy. - Wysłałem ich wszystkich do pierwszego sektora. Pomyślałem, że Centrum Turystyczne potrzebuje nieco emocji.

- To jednak dziwne, nieprawdaż? - rozmyślała głośno Sarah. - Być może mieliśmy w rękach dokumenty, które zostały wypełnione przez zabójcę, rozumiesz?

- Myślę, że czas, żebyś się zdrzemnęła.

Oboje się roześmiali, po czym Gardner zmienił temat.

- Póki pamiętam: musimy rozpiąć nowy łańcuch na drodze wjazdowej, na szczyście Challenger Trail. Stary jest znów zerwany. Zauważyłem to przy ostatnim obchodzie.

Sarah przymknęła oczy, próbując przypomnieć sobie położenie Challenger Trail.

- To połączenie z Powhite - przypomniał jej. - Prowadzi do drogi numer 630.

Oczywiście. Teraz sobie przypominała. Nigdy nie przestanie się dziwić, do czego zdolni są niektórzy ludzie, żeby zaoszczędzić parę dolców na przepustce.

- Na jutrzejszej odprawie powiedz wszystkim, że przez parę najbliższych dni mają być bardzo surowi w sprawie przepustek. Żadnych tłumaczeń. Jeśli nie wyduszą z przyjeżdżających przepustki, niech skasują od nich za bilet.

Strażnicy byli zbyt tolerancyjni wobec ludzi, których przywiodła tu miłość do pięknej przyrody. Ciekawe, czy morderca z ostatniej nocy należał do tych, którzy łamią prawo.

- Rozejrzałeś się tam? - zapytała. - Widziałeś jakieś ślady? Kto mógł to zrobić?

- Pewnie młodzież. A co? Myślisz, że miało to coś wspólnego z morderstwem?

- Myślę, że powinnam o tym powiedzieć podczas następnej rozmowy z FBI.

- Ptaszki ćwierkają już o tym, że wręcz zauroczyłaś agenta federalnego - droczył się Gardner.

Zarumieniona Sarah pochyliła się, opierając głowę o blat biurka.

- Mówią też o tym, że ktoś ma za mało roboty. A czego dowiedziałeś od patroli o stanie dróg? - zapytała, zmieniając temat.

Gardner wstał z krzesła i odniósł jej pusty kubek na miejsce obok dzbanka.

- Na razie nikt o niczym nie wspominał, więc myślę, że wszystko w porządku. Upewnię się co do tego, kiedy zgłoszą się o pełnej godzinie.

Ale Sarah już spała.

Samuel zapomniał zabrać nożyce do cięcia żelaza. Jeśli ktoś wymienił łańcuch i rozpiął go w poprzek drogi, trzeba będzie coś szybko wymyślić. Aż się uśmiechnął, kiedy po zjechaniu z drogi numer 630 ujrzał zaporę dokładnie tam, gdzie ją zostawili - leżącą w błocie.

Zgasił światła, tak jak zrobił to ubiegłej nocy jego brat, ale włączył je z powrotem, kiedy w ciemnościach omal nie uderzył w drzewo. Po pięćdziesięciu metrach zrozumiał jednak, że światła samochodu niewiele dają, zatrzymał więc ciężarówkę i wyłączył silnik.

Tutaj, w lesie, było o wiele ciemniej. Tak ciemno, że Samuel nie mógł odnaleźć leżącej na siedzeniu latarki i musiał najpierw otworzyć drzwi, żeby zapaliło się światelko pod sufitem. Przeszedł na drugą stronę samochodu, otworzył drzwi, podniósł worek z podłogi i postawił go na mokrej ziemi. Nawet nie zauważył, kiedy zrobiło się tak zimno.

Rozwiązał worek, ale chłopiec nie poruszył się i Samuel pomyślał, że może coś mu się stało. Uspokoił się jednak widząc, że chłopiec leży na boku z otwartymi oczyma, trzymając kciuk w ustach.

Samuel przykucnął nisko.

- Hej, maluchu - powiedział radośnie. - Już prawie jesteśmy na miejscu. Tym razem będziesz grzeczny, prawda?

Justin nic nie odpowiedział. Po prostu leżał na boku i patrzył prosto do góry.

- Justin, chciałbym, żebyś teraz wstał. Możesz to zrobić dla wujka Samuela?

Chłopiec wciąż się nie ruszał.

Samuel poczuł gniew.

- Do cholery, wstawaj! - Uniósł nad głowę ciężką latarkę i był gotów nią uderzyć, ale mały Justin nawet się nie skulił. Zdawało się, że nic już go nie obchodzi.

Gniew minął. Może Justin był zbyt zmęczony, żeby się bawić teraz? Możliwe, że to było to. A może był po prostu zbyt wyczerpany, żeby zrobić to, co kazał mu Samuel? Samuel podniósł go do góry i przewiesił sobie przez ramię. Justin cały czas trzymał kciuk w ustach.

Justin pachniał tak, jak zawsze pachną małe dzieci, trochę potem, trochę moczem, ale dziś wieczorem był też nowy zapach, taki, którego Samuel nie czuł od bardzo, bardzo dawna. Przemknęły mu przez myśl obrazy niewidziane od lat. Jacob i Samuel byli wtedy małymi chłopcami i bawili się ze swoją mamą. Mama była uśmiechnięta i wszyscy się cieszyli. Nikt się nie złościł ani nie bał się. Pewno dlatego, że w domu nie było taty.

Zawsze było lepiej, kiedy tata wyjeżdżał.

Puder dla niemowląt. To był ten nowy zapach. Puder dla niemowląt. Pachniał rozkosznie i wypełniał nozdrza Samuela wspomnieniami, które, wydawało się, nigdy nie miały powrócić. Co noc, kiedy tylko zamknął oczy, widział jakąś robotę, na której był z Jacobem. Ludzi, którzy leżeli nieruchomo po tym, jak Jacob załatwił z nimi sprawę. Pamiętał zbyt dużo krwi. A kiedy naprawdę dobrze pomyślał, przypominały mu się krzyki. Nie za wiele ich było - Jacob na to nie pozwalał. Ale i on czasem popełniał błędy. Kiedy zaś Samuel słyszał te straszne krzyki, wtedy wybierał się w swoje podróże.

Wszyscy tamci ludzie byli źli, a SzeF mówił, że trzeba się nimi zająć. To wystarczało Samuelowi. Kiedy SzeF czegoś chciał, dostawał to. A Jacob mówił, że wszystko jest w porządku.

Krzyki. Ciągłe je słyszał.

Czemu trzeba zakopać małego chłopca?

Samuel aż przestraszył się swoich myśli.

Nie ma w tym nic zabawnego. To nie jest żadna gra.

Samuel odkrył, że mocniej tuli do siebie Justina, idąc przez gęsty las, kierując się do specjalnie wyznaczonego miejsca. Wydawało mu się, że chłopiec oddycha teraz szybciej i drży w jego ramionach.

- Zimno ci?

Co za głupie pytanie! Oczywiście, że chłopcu było zimno. Przecież pada śnieg!

Nie zwalniając kroku, Samuel rozpiął kurtkę i owinał jej połą ubranego w koszulkę Justina. Przytulił go mocniej, pocierając kurtkę w miejscu, gdzie pod spodem skulił się chłopiec. Wydawało się, że teraz jest jeszcze mniejszy.

- Już za chwilę będziemy razem z Szefem. I wszystko dobrze się skończy.

SzeF go skrzywdzi.

- Nie, nie skrzywdzi - głośno powiedział Samuel. - On nie skrzywdzi nikogo. Tak mi powiedział. I Jacob też mi to mówił. Prawda, Jacob?

Czekał na odpowiedź, ale nie otrzymał jej. Jacob nigdy nie zrobiłby niczego, żeby skrzywdzić tego chłopca. Samuel go lubił, a Jacob nigdy nie zrobiłby krzywdy komuś, kogo on lubi. Powtarzał to wiele razy.

Gry powinny być zabawne.

Oczywiście, że powinny być, ale - jak powiedział Jacob - czasami muszą być bardziej zabawne od alternatywy.

Co to jest alternatywa?

- Przestańcie! - krzyknął na głos, a Justin podskoczył mu na ramieniu i zaczął płakać.

*

Sarah poderwała się z krzesła, słysząc dzwonek telefonu. W biurach terenowych roczny budżet nie pozwalał na kupno nowoczesnych aparatów, wygrywających melodyjki. Tutaj byli ciągle skazani na stare telefony z dzwonkami.

Gardner podniósł słuchawkę do ucha.

- Sektor piąty... Tak, jest tutaj, ale muszę ją obudzić.

Sarah sięgnęła po słuchawkę.

- Sarah Rodgers, słucham.

- Obudziłaś się?

- Kto mówi?

- Jerry Barlett, wjazd numer cztery. Pewnie zainteresuje cię wiadomość, że twój ulubiony explorer znów jest w parku.

Sarah ściągnęła brwi, próbując zrozumieć, co Jerry chce przez to powiedzieć.

- Nie jestem pewna... - I nagle zrozumiała. Całkiem rozbudzona, zerwała się na nogi. - Boże, masz na myśli tego z ubiegłej nocy? Tego, którego zatrzymałeś?

- Tak. Właśnie kończyłem zbieranie przepustek i przypadkiem zauważyłem tablice rejestracyjne pasujące do tych, na które kazano nam uważać. Ale już byli za bramą. Nie wiem, dokąd się skierowali. Pomyślałem, że chciałabyś się natychmiast o tym dowiedzieć.

Jezu, nie mogła w to uwierzyć! Przestępcy naprawdę wracają na miejsce zbrodni!

- Jerry, posłuchaj mnie! Chcę, żebyś zadzwonił, a potem spotkamy się w dole szlaku Powwhite, dobrze?

- Więc uważasz, że...

- Dokładnie tak. - Z wydobytej z kieszeni wizytówki odczytała mu numer telefonu. - Zadzwonisz pod ten numer, opowiesz co widziałeś, a potem jedź na Powwhite.

Opuściła słuchawkę na widełki i zwróciła się do Gardnera.

- Weź płaszcz - rozkazała. - I strzelbę. Myślę, że dzisiejszy wieczór zapowiada się bardzo ekscytująco.

*

Terkot śmigłowca jet ranger z zakładów Bella wypełniał całe niebo. Kiedy zbliżali się do Blue Ridge, całkiem dobra, chłodna pogoda północnej Wirginii zaczęła się psuć. Do niedawna czyste, rozgwieżdżone niebo, zasnuły gęste, czarne jak atrament chmury, w których odbijały się migające światła helikoptera.

Tym razem Russel siedział z tyłu, popatrując zza pleców pilotów i cały czas

zastanawiając się, kiedy pozbędzie się kolacji.

- Czy tu, w górze, jest bezpiecznie? - zapytał przez interkom. To, że obaj piloci mieli hełmy, podczas gdy on dostał tylko słuchawki z mikrofonem na ruchomym pałaku, uznał za rzecz niedopuszczalną.

Umundurowany gliniarz siedzący z prawej strony, dowódca helikoptera, odwrócił się do niego, przełączając interkom.

- Proszę się odprężyć, agencie Coates. Oświadczam panu, że żaden z nas nie pragnie śmierci. Jeśli warunki zbyt się pogorszą, zawrócimy. Jest trochę ciężiej niż zwykle, ale nic panu nie grozi.

Russel uwielbiał te niedopowiedzenia pilotów. Nie mógł pozbyć się niepokoju, ale lecieli w jego sprawie i żadne jęki nic tu nie pomogą.

Według najświeższych informacji, jakie posiadał, Tim Burrows opuścił już salę operacyjną. Lekarze poinformowali policjanta w poczekalni, że wszystko poszło dobrze i nie należy tracić nadziei. Bardzo liczyła się też tutaj niezwykła sprawność fizyczna Tima. Russel odmówił krótką modlitwę dziękczynną.

Ręka Russela zacisnęła się na poręczy, kiedy podmuch wiatru zniósł helikopter ostro w prawo. Nagle poczuł się tak, jakby przeprowadzał na sobie doświadczenia skuteczności leków przeciwko chorobie lokomocyjnej.

- Agencie Coates? - w słuchawkach zatrzeszczał głos pilota.

- Ciągle tu jestem - odpowiedział.

- Telefon do pana. Przełączę rozmowę na pańskie słuchawki. Proszę mówić tak, jak przez interkom. Trzeba tylko najpierw wcisnąć przycisk.

Akurat w tej dziedzinie Russel był ekspertem i nie należało go pouczać. Poprzez zakłócenia usłyszał głos pilota:

- Centrala w Charleston, proszę mówić.

- Czy mówię z agentem do zadań specjalnych, Russelem Coatesem? - rozległ się jakiś chropawy, obcy głos.

- Tak jest. Kto mówi?

- Centrala kontroli ruchu powietrznego w Charleston. Mamy dla pana pilną wiadomość z biura.

Boże, coś z Timem?!

- Odczytam to panu. Sarah Rodgers informuje, że w Parku Narodowym Cacocotin widziano eksplorera, należącego do państwa Martinów.

Brwi Russela podniosły się wysoko.

- Czy pan zrozumiał?
- Zrozumiałem. Bardzo dziękuję.
- Centrala w Charleston, dziękujemy - dodał pilot.

Słuchawki Russela zostały odłączone od radia.

A więc sprawy przybierają cholernie interesujący obrót. Dlaczego wrócili? Dlaczego po walce w ich domu pojechali do lasu? Można by pomyśleć, że właśnie tego miejsca powinni szczególnie unikać. Oczywiście znaczyło to, że i on musi się tam wybrać.

- Niestety, panowie - powiedział do interkomu. - Musimy trochę zmienić plany...

*

Śnieg ukrył wiele charakterystycznych punktów krajobrazu, które Bobby zapamiętał z ubiegłej nocy. Było coraz zimniej; kurtka dobrze grzała ciało, ale zaczął żałować, że nie zabrał czapki.

- A jeśli jednak nie szli tędy? - odezwała się Susan, kiedy wspinali się w górę szlakiem na Powhite. Żeby ogrzać ręce, trzymała je pod pachami.

- Szli - odpowiedział Bobby pewnym głosem, mając nadzieję, że to prawda.

- Przypuśćmy jednak, że nie - upierała się Susan.

- W takim razie wszystko na nic.

- Jesteś pewien, że ciągle jesteśmy na Powhite?

- Nie mogliśmy zabłądzić. Chociaż w śniegu wszystko wygląda zupełnie inaczej. Jest tak pięknie.

Dla Susan nic już nie było piękne.

Bobby rozumował w bardzo prosty sposób. Skoro ostatniej nocy Steven przybiegł do nich znad rzeki, oznaczało to, że miejsce, w którym rozpoczęły się jego przygody, musiało się znajdować gdzieś powyżej ich obozu. Jego plan polegał na tym, żeby tam iść i poczekać. I nasłuchiwać. To było aż nadto proste. Teraz jednak przekonał się, że zbyt wiele zależy od zbiegu okoliczności. Ten las był duży nawet za dnia. A w śnieżną noc wydawał się jeszcze większy. Jaki jednak mieli wybór? Żadnego.

A jeśli nawet ich tu nie było? Może pojechali na lotnisko albo do Południowej Karoliny.

Takie myśli dręczyły go, kiedy wspinał się na strome zbocze. Jeśli się mylił, to znaczy, że zgrali już wszystkie swoje atuty. Jeśli nie znajdą tutaj tego, czego szukają, to pewnie trzeba będzie zadzwonić do FBI.

I pomodlić się za Stevena. Szczerze i gorąco.

Samuel nie zastanawiał się nad tym, co może oznaczać obecność zaparkowanego pośród drzew samochodu. Pewnie należał do Szefa. Szedł dalej w kierunku tego miejsca w lesie, gdzie bawili się w swoje gry. Śnieg padał i padał, a las wyglądał jak w programie telewizyjnym podczas Świąt Bożego Narodzenia.

Justinowi chyba jednak to się nie podobało. Temperatura spadała, na powierzchni kurtki Samuela gromadziły się płatki śniegi, a chłopiec zwijał się coraz ciaśniej, zakopywał się coraz głębiej. Ciągle nie odezwał się ani jednym słowem.

Samuel miał coraz poważniejsze wątpliwości co do tej gry. Za nic nie mógł dostrzec w niej niczego zabawnego. Gdyby szedł na spotkanie z kimś innym, nie z Szefem, rozważyłby, czy nie stawiając się na umówione spotkanie postąpiłby bardzo źle. Jacob nigdy nie opuścił umówionego spotkania i zawsze popędzał brata, żeby się nie spóźnić. Jeśli ktoś nie przychodzi na spotkania albo zawodzi zaufanie ludzi, to możliwe, że nigdy już nie będą z nim pracować.

Może Samuel nie chciał już dalej wykonywać roboty Jacoba? Może nie chciał wchodzić w interesy związane z ucieraniem innym nosa? Nawet trochę nie był w tym tak dobry jak brat, a już na pewno wcale go to nie bawiło. Tak, może to już ostatni interes z Szefem.

Więc po co w ogóle tam iść? Jeśli nigdy więcej nie będzie pracował dla Szefa, to czemu się nie odwróci i nie zabierze Justina do domu, daleko od tej gry, która nigdy nie wyglądała na zabawną? Co go to obchodzi, że Szef się wkurzy?

Jedyny człowiek, którego obawiał się Jacob.

Czy ten argument przemawia za tym, by się z nim spotkać, czy żeby zawrócić? Jeśli Szef jest tak przerażający, to po co się z nim spotykać? Dlaczego nie cofnąć się teraz?

Ponieważ on wie, gdzie mieszkasz, dupku.

- Nie nazywaj mnie tak!

Śniegowa otulina sprawiła, że jego głos rozległ się znacznie głośniejsze niż Samuel chciał tego.

- Jacob, trzymaj gębę na kłódkę!

Słyszając krzyki, Justin podskoczył pod kurtkę Samuela i rozplakał się. Samuel natychmiast poczuł się paskudnie.

- To nie do ciebie, maluchu. Ty nie zrobiłeś nic złego. Rozmawiałem tylko z Jacobem. Przemawiając do skulonego chłopca, kołysał go delikatnie.

- Z kim ty, kurwa, właściwie rozmawiasz? - zagrzemiał głos z cienia i teraz to Samuel podskoczył.

Szybko obrócił się, świecąc dookoła latarką.

- Kto tam? - zawołał.

Chwila namysłu i przypomniał sobie o pistolecie. Przełożył chłopca i latarkę do lewej ręki, a prawą wygrzebał z kieszeni broń.

- Stój, Sammy - powiedział inny głos, z dalszej odległości, z lewej strony. - Uważaj z tym pistoletem.

Samuel skierował tam światło latarki i w kępie drzew mignął mu młody mężczyzna z pistoletem w dłoni. Pomyślał, że rozpoznaje głos.

- To z tobą rozmawiałem przez telefon. Ty jesteś Szefem.

- Nie, to ja jestem Szefem - zaprzeczył pierwszy głos.

Do przodu wysunął się wielki, rudowłosy mężczyzna. Samuel cofnął się o dwa kroki.

- Rozumiem, że masz dla mnie pakunek - ciągnął tamten.

Daj mu chłopca.

Samuel pokręcił głową, słysząc słowa Jacoba. Nie podobało mu się to wszystko. Nie spodobało mu się to, co dojrzał w oczach tych mężczyzn.

- O co ci chodzi? - warknął wielki mężczyzna.

- Ooo... - zmieszał się Samuel.

- Masz pakunek; tak czy nie?

Ludzie mogli uważać go za głupka, ale Samuel był dostatecznie bystry, żeby wiedzieć, że kiedy ten człowiek powiedział „pakunek”, naprawdę miał na myśli Justina. O to samo chodziło temu, z którym rozmawiał przez telefon. Czy to w porządku nazywać takiego miłego małego chłopca pakunkiem? Samuel cofnął się jeszcze o dwa kroki.

- Nie chcesz chyba nas opuścić, prawda, Sammy? - zapytał ten, który miał w ręce pistolet.

A Samuel właśnie o tym teraz myślał.

*

Sarah, chociaż była od piętnastu lat strażnikiem leśnym, nie zdarzyło się jeszcze nigdy skierować broni w stronę innego człowieka. Właściwie jeszcze do niedawna strażnicy nie byli uzbrojeni. Jednakże jakieś dziesięć lat temu psychopatyczni myśliwi zaczęli wyładowywać swoją złość na strażnikach, którzy odważyli się zmuszać ich do przestrzegania ograniczeń

dotyczących polowań. Wtedy kongres zezwolił umundurowanym strażnikom parków narodowych na noszenie broni krótkiej.

Sarah traktowała rewolwer bardziej jako ozdobę niż jako broń; nie groźniejszą od jej charakterystycznego kapelusza z szerokim, miękkim rondem czy odznaki. Przyznawała przed samą sobą, że jeśli kiedykolwiek doszłoby do konfrontacji z jakimś zbirem uzbrojonym w sztucer myśliwski, zrejterowałyby jak niepyszna.

Gardner był najwyraźniej zaskoczony, że Sarah wie, gdzie można odnaleźć zaparkowanego explorera.

Kiedy wspinali się na Powhite, podążając śladem stopniowo zasypywanych przez śnieg odcisków butów, pożałowała, że nie jest wystarczająco agresywna. Ci ludzie byli mordercami, a ona nie czuła się przygotowana na nocną strzelaninę. Dwunastostrzałowa broń Gardnera mogła pomóc, ale nawet grad kul używanych na płową zwierzynę niewiele pomoże, jeśli dobrze wycelowany pocisk trafi w jej nieosłonięte ciało.

- Chyba ze strachu narobię w spodnie - oznajmił spokojnie Gardner. Nie ukrywał, że nie lubi w ten sposób egzekwować prawa. - Jesteś pewna, że nie możemy poczekać na zastępców szeryfa, żeby się tym zajęli?

Pokręciła przecząco głową.

- Przy dobrej pogodzie dotarcie tutaj zabrałoby im dwadzieścia minut. Dziś w nocy to będzie ze dwa razy dłużej. Może trzy razy. I to pod warunkiem, że nie wszyscy są zajęci usuwaniem wraków z autostrady.

- A jeśli tu, na górze, jest cała uzbrojona grupa...

- Nie zamierzam przeprowadzać szturmów ich pozycji. Może uda się podejść blisko i przyciąć się. Do cholery, nie wiem, co zrobimy, ale zapewniam cię, że nie jestem dziś w samobójczym nastroju. Ani heroicznym.

- W takim razie czuję się uspokojony.

*

Podarte kawałki taśmy ogradzającej miejsce przestępstwa wciąż widniały na drzewach. Gdyby nie one, Bobby nie odnalazłby ich dawnego obozu. Już po jednym dniu wszystko wyglądało całkiem inaczej. Ciągłe słyszeli z daleka pędzącą rzekę, ale nawet ona brzmiała inaczej, kiedy wszystko okrył śnieg.

Weszli na małą polankę i Bobby z wahaniem oświetlił miejsce u stop drzewa, gdzie przedtem leżały zwłoki. Poczuł prawdziwą ulgę, widząc, że już ich nie ma.

- Steven! - usłyszał głos Susan.

Aż podskoczył. Odwrócił się.

- Gdzie on jest?

- Steven! Wiem, że tam jesteś, kochanie! Chodź do mamusi!

Bobby zrozumiał, że żona nikogo nie widzi, tylko ma nadzieję, że chłopiec się odezwie. W dodatku ściąga na siebie uwagę, nie licząc się z tym, że napastnik może być w pobliżu. Kazał jej już zachować spokój, ale zrozumiał, że to nic nie da. Jeśli wszyscy będą siedzieć cicho, nikt nikogo nie znajdzie.

*

- Daj nam chłopca - powiedział Ricky Timmons tak groźnym głosem, jakiego Samuel jeszcze w życiu nie słyszał.

To nie była gra.

Może Samuel wiedział o tym od zawsze i tylko próbował udawać, że nie wie. Teraz wszystko było jasne jak słońce. To nie była żadna gra. Nikt nie chciał zamierzał bawić się z Justinem, nie myślał o tym, żeby było to bardziej zabawne od alternatywy czy jak się tam nazywało to, o czym Jacob próbował mu opowiedzieć ubiegłej nocy. Ci ludzie chcieli zrobić chłopcu krzywdę. Samuel znów cofnął się o krok.

- Zzostańcie tam - wyjąkał.

- Oddaj nam chłopca - nalegał Ricky.

Samuel cofał się coraz szybciej.

- Nie! Idźcie stąd!

Pieprzyć Szefa! Ci ludzie chcieli skrzywdzić chłopca, którego tak polubił.

- Na miłość boską - westchnął rudowłosy, wysoki mężczyzna. - Skończmy z tym gównem.

Samuel zobaczył, jak uzbrojona w pistolet ręka Rickiego zatacza łuk w górę, więc uniósł własną broń. Ricky strzelił pierwszy i jego sylwetka zniknęła za ogromnym błyskiem z lufy, który wprowadził w ruch cały las. Samuel ustawił się bokiem do przeciwnika, żeby osłonić własnym ciałem krzyczące dziecko, które walczyło teraz, by się uwolnić, i pociągnął za spust. Strzały z rugera rozdzierały noc i pistolet mocno uderzał w spód dłoni, kiedy strzelał raz za razem. Był prawie pewien, że w rozbłyskach wystrzałów zobaczył, jak mężczyzna pada. Prawie, ponieważ zbiegał ze wzgórza przez las, coraz szybciej pędząc w dół zbocza. Usłyszał z tyłu więcej strzałów, ale nawet nie rzucił za siebie okiem.

Nie było na to czasu. Musiał zapewnić bezpieczeństwo Justinowi. Musiał oddać go rodzicom.

Obraz lasu widzianego w świetle latarki rozpadał się na małe fragmenty. Światło rzucało dziwne cienie, ukrywające niebezpieczeństwa grożące ze strony gałęzi i pni drzew.

Samuel uchylał się lub nurkował pod gałęziami i przeskakiwał nad skałami, biegnąc tak szybko, jak nigdy dotąd.

Teraz chłopiec mu pomagał. Siedział zupełnie bez ruchu, co pozwoliło Samuelowi mocniej przyciskać go piersi, na której pojawiła się ciemna, mokra plama.

*

Susan krzyknęła, słysząc strzały. Rozlegały się bardzo blisko, ale tak odbijały się echem i błędziły po lesie, że mogły dobiegać zewsząd. Instynktownie zbliżyła się do Bobby'ego. Ramię w ramię przeczesywali las w poszukiwaniu jakiegoś śladu, nasłuchując innych dźwięków.

- Myślę, że to stamtąd - powiedział Bobby, wskazując w górę szlaku.

- Nie. To stamtąd - odparła Susan, pokazując bardziej w lewo.

Bobby nie chciał się spierać. Wybrali kierunek pośredni i opuścili szlak, idąc w stronę rzeki. Susan chciała biec, ale Bobby ją powstrzymał.

- Jeśli będziemy robić za dużo hałasu, to nic nigdy nie usłyszymy.

- Ale Steven jest ranny - zaszlochała Susan. - Wiem, że jest ranny. Czuję to.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział szeptem Bobby. - A jeśli nawet, to nie będziemy mogli mu pomóc, dopóki go nie znajdziemy.

*

W dole szlaku Sarah i Gardner na dźwięk strzałów przyspieszyli kroku, a w końcu zaczęli biec, na ile pozwalało strome podejście.

- To gdzieś blisko - wysapała Sarah. - Miej oczy szeroko otwarte.

- Chyba tylko po to, żeby wypatrywać zastępców szeryfa.

*

O Boże! Co z chłopcem! Czy nic mu nie jest?

Przedzierając się przez las, Samuel wyjął chłopca spod kurtki i przyjrzał mu się. Dolna część jego koszulki była mokra od krwi i ciężki materiał lepił się do małych nóżek.

- Och nie, nie, nie... Jesteś ranny?

Wyglądało jednak, że Justinowi nic nie jest. Wystawiony na zimno i śnieg znów zaczął się wiercić.

To nie on, idioto. To ty!

Samuel westchnął słysząc słowa wypowiedziane przez Jacoba. I wtedy jego ciało przeszył potworny ból, tak silny, że aż zaskowyczał jak zwierzę. Jednak nie myślał o sobie.

- Okłamałeś mnie, Jacob! Okłamałeś mnie! - wykrztusił, kiedy, potykając się, zbiegał ze zbocza, niesiony siłą rozpędu. - Przrzekałeś mi, że to będzie gra. Przrzekałeś!

Tak samo, jak zarzekał się, że mama i tata umarli przypadkowo, chociaż tylko on był wtedy na tyle blisko, żeby coś widzieć. Tak samo jak przyrzekał, że nigdy nie zrobi krzywdy nikomu, kogo Samuel kochał.

- Och, Jacob... Przyrzekałeś...

Jakby ktoś wlał betonu w nogi Samuela. Teraz każda ważyła ze sto kilo i z sekundy na sekundę robiła się cięższa. Utrzymywał je w ruchu już wyłącznie siłą woli koncentrując się na tym, żeby nie upaść twarzą na gałęzie, liście i krzaki.

Jeśli upadnie, zrobi krzywdę chłopcu. Nie może tego zrobić... nie może. Tak bardzo bolał go brzuch. Z tyłu, w głębi gardła, gromadziła się krew. Chciał ją odkaslnąć, a jednocześnie bał się to zrobić. Bał się tego, co wtedy wypłuje.

Wciąż zanurzał się w las. Poruszał się coraz wolniej, z coraz większym wysiłkiem.

Łzy ciurkiem pociekły mu po twarzy, kiedy zrozumiał, jak bardzo był głupi. Był rzeczywiście tak głupi, jak uważali ludzie wyzywający go od głupków.

*

- Chyba ktoś tam jest - powiedziała Susan i oboje przystanęli nasłuchując.

Bobby zgodził się z nią. Ustalili, skąd dobiegł dźwięk. I pobiegli w tamtą stronę.

37

Russel wręczył pilotowi kartkę, na której rano zapisał częstotliwości radiowe.

- Proszę nastawić radio na tę częstotliwość - poprosił przez interkom. - Może dowiem się czegoś ciekawego.

Zdawało się, że również piloci dość mają tej pogody. Nic nie mówili, ale Russel widział to w ich twarzach. Może także im przydałaby się pigułka na chorobę lokomocyjną?

Kiedy ustawiono częstotliwość, Russel usłyszał w słuchawkach trzaski.

- Tu Orzeł Jeden, helikopter policji z Fairfield, do jednostek Parku Narodowego Cacocin. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Radio przez dłuższą chwilę milczało. Russel chciał już odłożyć słuchawki, kiedy nagle usłyszał zdyszany głos.

- Orzeł Jeden, słucham.

Russel natychmiast ją rozpoznał.

- Strażnik Rodgers, jak sądzę - powiedział z uśmiechem.

- Są tutaj - odkrzyknęła. - Są tam, gdzie rano popełniono przestępstwo. Strzelają. Przyciągnęło to uwagę wszystkich. Pilot zaczął szukać mapy z Parkiem Cacocin.

- Czy ktoś został trafiony? - zapytał Russel.

- Nie wiem. Nie strzelano w naszą stronę. Ale to gdzieś blisko, tuż obok.

- Czy wezwaliście już wsparcie?

- Tak, ale jest jeszcze daleko.

- Cholera - rzucił w odpowiedzi. - Sarah, uważaj na siebie.

- Proszę trzymać mapę w górze, żebym mógł na nią spojrzeć - zwrócił się do pilotów, przełączając się na interkom.

Zorientowanie się w sytuacji zajęło mu dobre trzydzieści sekund. W końcu wskazał na mapie miejsce, gdzie spędził cały ranek, prowadząc śledztwo.

- Ona jest właśnie tam. A gdzie my jesteśmy?

Drugi pilot wskazał miejsce na południowy Wschód od pozycji Sarah.

- To około siedmiu minut lotu. Ale nie jestem pewien, czy w takich warunkach...

Russel włączył mikrofon, zanim pilot zdążył skończyć.

- Sarah, tu Coates. Będziemy tam za sześć minut.

*

Każdy krok odczuwał tak, jakby ktoś dźgał go w brzuch gorącym nożem. Zaczęło mu się kręcić w głowie i choć wiedział, że płaczą tylko baby, nie mógł się już powstrzymać.

Ktoś szedł za nim.

Nie mógł obrócić się i rozejrzeć, ale wiedział, że ktoś idzie za nim. Chce go skrzywdzić. Chce skrzywdzić Justina.

- Nie mogę na to pozwolić - wysapał. - Nie mogę. Trzeba chronić przyjaciół. Chronić przyjaciół i krzywdzić wrogów. Zanim oni nas skrzywdzą.

Dlaczego Jacob skrzywdził mamę i tatę? Dlaczego tak strasznie ich skrzywdził? Dlaczego podpalił tatę?

Boże! Te krzyki!

Zakręciło mu się w głowie, gdy odtwarzał sceny pełne dymu, straszne krzyki i wyraz twarzy Jacoba. Zadowolony wyraz twarzy.

Jezu! On zrobił to dla mnie!

Teraz to było jasne. Widział kurzy gnój i zmieszaną z nim własną krew. Słyszał świst różgi. Teraz czuł nie tylko rozdzierający ból w brzuchu, ale i uderzenia różgi, złobiącej bruzdy w jego ciele.

Pamiętał wyraz twarzy Jacoba, kiedy brat po raz pierwszy zobaczył jego rany - to była

czysta wściekłość. Jacob przysięgał, że policzy się z sukinsynem, który to zrobił.

Samuel szedł coraz wolniej, zataczając się, choć zdawało mu się, że biegnie bardzo szybko. Usłyszał głosy ludzi.

Czy przychodzą, żeby skrzywdzić Justina?

Nie może na to pozwolić.

Raczej umrze.

*

Bobby usłyszał czyjeś kroki i w tej samej chwili zobaczył wielkiego mężczyznę. Rozpoznał go natychmiast. To był człowiek z holu. Ten sam, który groził, że zabije jego i jego rodzinę.

- Steven!

Zanim zdołał się poruszyć, żeby powstrzymać Susan, ona już pędziła jak strzała, chcąc odebrać chłopca, który zareagował na dźwięk jej głosu, jakby przez jego ciało przeszedł prąd. Uwolnił się z rąk swojego prześladowcy i upadł na ręce i kolana w ściółkę.

- Boże, moje dziecko!

Bobby nie widział jeszcze nigdy tak zakrwawionego człowieka. Nawet ten zabity wczoraj przez niego w lesie tak bardzo nie krwawił.

Mężczyzna usiłował położyć na chłopcu rękę, ale nie mógł. Stał dłuższą chwilę, przechylając się na bok, i próbował zebrać siły, żeby unieść pistolet, który teraz bezwładnie zwisał mu z ręki.

- Neeee! - krzyknął Bobby i rzucił się na niego tak, jak rzucił się na tamtego człowieka ubiegłej nocy. Tym razem z łatwością powalił przeciwnika.

Mężczyzna zaskowyczał z bólu, z ust ciekła mu spieniona krew.

- Pomóż mu - wysapał. - Pomóż chłopcu.

Bobby odebrał mu pistolet. Zdziwił się, że ten wielki mężczyzna płacze. Nie z bólu. Ten człowiek szlochał tak, jak płacze dziecko, kiedy się czegoś wstydzi. Próbował zasłaniać twarz, ukryć się przed upokorzeniem.

- Bardzo przepraszam - wyszlochał.

Bobby nie wiedział, co robić. Chęć pozostania tutaj walczy z pragnieniem ucieczki. Czy mógł tak pozostawić człowieka, żeby umarł sam w lesie? Nachylił się niżej.

- Jesteś ranny. Czy to ty jesteś Samuel? - zapytał.

Usta Samuela zadrżały, kiedy potaknął ruchem głowy, wciąż unikając jego wzroku.

- To ja... Tak mi przykro...

Bobby, wciąż klęcząc, spojrział przez ramię do tyłu. Susan tuliła Stevena. No cóż,

cokolwiek z tego wszystkiego wyniknie, byli już bezpieczni.

Tuż obok jego głowy w pniu drzewa eksplodowała kula, wyrwijąc parocentymetrową dziurę, dokładnie w chwili, gdy las zatrzęsł się od następnego strzału.

Susan krzyknęła, próbując osłonić dziecko. Dwie następne kule minęły Bobby'ego o centymetry.

- Kto to? - zawołała Susan.

Bobby podbiegł do niej zgięty w pół, chwycił mocno za płaszcz i pociągnął ją w głąb lasu, dalej od miejsca, z którego padały strzały.

- Szybko! - szepnął. - Szybko!

Susan miała trudności z utrzymaniem równowagi, kiedy Bobby na przemian popychał ją i ciągnął przez las. Były w nią gałęzie drzew, przed którymi usiłowała osłaniać Stevena.

- Daj, ja go poniosę - zaproponował Bobby, wyciągając rękę, żeby wziąć chłopca.

- Nie trzeba - odparła Susan.

- Dobrze. Ruszamy!

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie wiedzieli, gdzie jest strzelec. W nocnych ciemnościach mogli biegać w kółko i nawet by się nie zorientowali. To oznaczało pewną śmierć. Jeśli nie zginą od kul, zabije ich przyroda, kiedy zgubią się w bezmiarze lasu.

Przyzywała ich rzeka. Jej potężny, nieustający hałas przebijał się poprzez wszystkie inne dźwięki. Dopóki Bobby wiedział, gdzie ona jest, dopóty przynajmniej z grubszą orientował się w kierunkach świata. Kiedy zanurzyli się w las, stwierdził, że w ten sposób dojdą do rzeki. Jej zimna woda była dla nich wyrokiem śmierci.

Kolejny wystrzał rozdarł noc. Bobby nie wiedział, dokąd powędrowała kula, ale zdał sobie sprawę, że nie biegają wystarczająco szybko.

*

Słyszając ostatni strzał, Sarah instynktownie przypadła do ziemi. Kula przeleciała bardzo blisko ponad nią.

- Tam! - szepnęła, wskazując kierunek. - To stamtąd!

Nie otrzymała odpowiedzi. Przestraszona odwróciła się do Gardnera, ale nie było go obok.

- Gardner? Gdzie jesteś? - zapytała. A potem zawołała jeszcze raz głośniej: - Gdzie jesteś?!

Czyżby został trafiony? Oświetliła latarką setki opadających płatków śniegu, które rzucały na las mylące cienie.

I wtedy go zobaczyła. Stał na prawo od ścieżki, kryjąc się wśród drzew. Nie trafili go,

po prostu był śmiertelnie przestraszony.

- Gardner! - krzyknęła, ale on udał, że nie słyszy. - Gardner, chodź!

W odpowiedzi skulił się jeszcze bardziej.

- Gówno - zaklęła głośno. Nie miała czasu na takie rzeczy. - Spróbuj nie narobić w spodnie! - krzyknęła i znów ruszyła w kierunku, skąd dobiegały odgłosy strzelaniny.

Kiedy biegła wśród bijących w nią gałęzi, szeroko rozstawiała ręce, żeby nie upaść. Wiedziała, że zachowuje się za głośno, ale miała nadzieję, że narastający hałas rzeki pomoże to częściowo zamaskować.

Usłyszała następny strzał i tym razem zobaczyła towarzyszący mu błysk ognia z lufy. Mogło się wydawać, że strzelec jest jeszcze daleko, ale wiedziała, że to złudzenie. Nagie gałęzie ograniczały pole widzenia i Sarah uznała, że jest nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od tamtego człowieka.

Zgasiła latarkę i wyciągnęła swój pistolet, raz jeszcze przeklinając Gardnera za to, że okazał się takim dupkiem. Może przynajmniej znajdzie w sobie tyle odwagi, żeby wskazać drogę zastępcom szeryfa, kiedy przyjadą.

*

Las raptownie urywał się na skałach i Martinowie nie mieli już dokąd iść.

- Boże! Bobby, jesteśmy w pułapce! - krzyknęła głośno Susan, żeby usłyszał ją przez ryk rzeki.

Bobby nie liczył na to, że uda im się przedostać po lodzie. Również nadbrzeżne skały były oblodzone i przez to ogromnie zdradzieckie. Nie mogli zostać tutaj. To było oczywiste. Zostać, oznaczało umrzeć.

Tym razem po prostu bez słów wziął chłopca od zony. Steven musiał wyczuwać powagę sytuacji, ponieważ nie oponował. Uchwycił się Bobby'ego z całej siły.

- Musimy ruszać! - krzyknął Bobby.

- Dokąd?

- Tędy!

Bobby przysiadł i zaczął ześlizgiwać się w dół po śliskiej skale. Pomyślał, że mogliby się ukryć wśród tych kamieni. I może strzelec zrezygnowałby z pościgu z powodu ciemności. Jutro o tej porze Bobby będzie już bezpiecznie siedział w więzieniu albo raport dotyczący jego śmierci trafi do szuflady w biurze koronera. Szkoda, że nie ma trzeciej możliwości.

Przyciskając Stevena do piersi jedną ręką, drugą próbował kontrolować szybkość ślizgu, ale z niewielkim sukcesem. Kiedy dotarł na kraniec skały, stwierdził, że jest o wiele bardziej stroma niż się spodziewał; spadł metr na dół i wylądował po kolana w kałuży

stojącej, lodowatej wody. Z zimna zaparło mu oddech. Musiał oprzeć się o skałę, żeby nie wpaść do rzeki.

Na tle ciemnego nieba widział sylwetkę Susan. Tak jak on zsuwała się na plecach ze skały, ale potem Bobby chwycił ją w powietrzu, chroniąc przed upadkiem.

- Tutaj na dole jest zimno - ostrzegł.

- Na górze też jest zimno - odpowiedziała z uśmiechem.

Schwycił ją za rękę, kiedy ich prześladowca strzelił znowu. Huk wystrzału był niemal tak głośny jak jęk bólu Susan.

*

Sarah znajdowała się w takim miejscu, że widziała, do kogo strzelano. Usłyszała huk i kobieta na skałach zniknęła z jej pola widzenia.

- Stój! - wykrzyknęła, podnosząc oburącz rewolwer i przyjmując wyuczoną dawno temu postawę strzelecką.

Jednak tamten mężczyzna nie zatrzymał się. Błyskawicznie obrócił się w miejscu i szybko dwa razy strzelił w jej kierunku.

Sarah odpowiedziała trzema oddanymi na oślep strzałami. Powinna była się tego spodziewać. Przypomniała sobie, co na szkoleniu w Quantico mówili instruktorzy z FBI: „Nikt się nie zatrzymuje na nasze wołanie”.

Mówili też, że trzeba nacisnąć spust, zanim przestępca zdąży zrobić jakieś głupstwo.

Nie widziała nic oprócz gęstej plątaniny gałęzi i pni drzew, ale oczywiście strzelec wiedział, gdzie ona jest. Parę centymetrów nad jej głową pocisk rozszedł na dwie części młode drzewko. Od huku zadzwoniło jej w uszach.

Czyniąc sobie wyrzuty, że nie ukryła się wśród drzew razem z Gardnerem, postanowiła doprowadzić sprawę do końca. Musiała być agresywna. Trzeba było zmusić tego faceta, żeby to on przypadał do ziemi, choćby po to tylko, by miała więcej czasu, by się schować. Skoczyła, wylądowała w przysiadzie i oddała dwa ostatnie strzały, mierząc w stronę postaci, którą widziała w dali. Tak jak przypuszczała, facet przepadł do ziemi.

- Doskonale! - roześmiała się cicho. Ruszyła jak sprinter, kierując się z powrotem tam, skąd dopiero co przyszła. Jak najdalej od odkrytego terenu nad rzeką, gdzie czekała śmierć.

Przebiegła może ze trzydzieści metrów, zanim poczuła się bezpiecznie w gąszczu drzew. W gęstwinie szkółki leśnej z choinkami na Boże Narodzenie. Co za ironia losu.

Ze swojego miejsca usłyszała jakiś ruch. Wiedziała, że jeśli trafi w cel, będzie to dziwny przypadek. Ten bandyta wciąż tam był i szukał jej. Zamarła, słysząc coraz bliżej trzask patyków i szelest liści pod czyimiś nogami.

Poruszając się najwolniej jak mogła, kciukiem zwolniła przycisk w swoim rewolwerze i pchnęła na bok bębenek. Puste łuski wysypała w dłoń, jednym okiem patrząc tam, skąd mógł nadejść napastnik.

Boże, jak żałowała, że nie posłuchała ostrzeżeń instruktorów! Ile razy mówili, że lepiej mieć więcej naboju niż mniej. Że pistolety automatyczne są lepsze od rewolwerów. Czy jednak ktoś kiedyś słyszał, żeby strażnik z parku został wplątany w strzelaninę?

Sarah ładowała rewolwer, wyciągając naboje z pasa amunicyjnego rękami, które nagle zrobiły się zbyt duże.

Nagle usłyszała zbliżający się terkot helikoptera. Bogu dzięki, nareszcie nadeszła pomoc...

- Sarah, tu Orzeł Jeden - zatrzeszczało jej radio. - Potrzebujemy pomocy, żeby namierzyć twoją pozycję.

Nigdy w życiu nie słyszała takiego hałasu!

38

Susan, padając w stronę Bobby'ego, kurczowo złapała się za twarz. Runęła jak ścięte drzewo. Próbował ją złapać, ale ponieważ lewą ręką trzymał wystraszonego Stevena, mógł użyć tylko prawej, a to nie wystarczyło. Siła jej upadku pociągnęła również jego.

Z krzykiem upadł do tyłu, chwytając ręką powietrze. Zdążył tylko mocno przycisnąć chłopca do piersi.

Lodowata woda oparzyła mu skórę niczym ogień. Bolesne igły zimna wbiły się w ciało, kiedy zagarnęła go rzeka. Nagle pojęcia góry i dołu przestały cokolwiek znaczyć. Unoszony przez nurt Bobby starał się wypłynąć na powierzchnię, ale za każdym razem, kiedy myślał, że już mu się udało, woda znów ściągała go w dół. W obu rękach kurczowo trzymał Stevena, który kopał go, drapał i gryzł próbując się wyrwać.

Bobby pomyślał, że to już koniec.

Wreszcie jego głowa znalazła się na powierzchni i krztusząc się odetchnął głęboko. Steven też, krztusząc się i wypluwając wodę, chwycił powietrze. Miał tak silny organizm, że wciąż jeszcze żył.

Bobby czuł, że rzeka odrywa go od brzegu i niesie do głównego koryta, gdzie nurt był szybszy. Bolesnie obijał się o skały, przepływając przez wąskie przesmyki i spadając z

wysokich na metr progów. Jakoś udało mu się ułożyć na plecach i zwrócony nogami do przodu tulił do siebie Stevena jak wydra swoje potomstwo.

Czuł się tak, jakby poruszał się w wodzie z prędkością stu kilometrów na godzinę. Obawiał się, że szorując plecami i pośladkami po dnie może sobie połamać kości.

To już nie mogło długo trwać. Lodowata woda wysysała z niego energię. Z coraz większym trudem odpychał się nogami od skał. Jeśli nie znajdzie sposobu, żeby wydostać się na brzeg, wkrótce będzie już na to za późno. Utonie wraz ze Stevenem. Mógł też umrzeć z powodu wyziębienia, ale było to lepsze od utonięcia.

Wszystko było lepsze od utonięcia.

Z głową tuż nad wodą ledwo dostrzegł zarys drzewa zwałonego w poprzek rzeki. Wydawało mu się, że do połowy jest zanurzone w wodzie. Jeśli wielkie stare drzewo, które stąd wyglądało na sosnę, upadło stosunkowo niedawno, to jego wystające nad wodę gałęzie mogły być jeszcze na tyle mocne, żeby złapać się za nie. Jeśli jednak zważyło się wiele lat temu, to podczas zderzenia gałęzie zachowują się jak nadstawione przeciwko nim ostrza włóczni.

Sterował nogami, wiosłując prawym ramieniem, które ciążyło mu jak odlane z ołowiu. W lewej drżącej z wysiłku ręce silnie trzymał Stevena, który kopał, wierzgał nogami, wypływając całe litry wody. Nieubłagany nurt więził ich w swoim uścisku i nie miał zamiaru wypuścić.

Bobby nie zobaczył kolejnego progę, dopóki nie znalazł się na nim. Zaczepił nogą o dwa głazy, skryte tuż pod powierzchnią wody. Noga została w tyle, gdy reszta ciała przesunęła się do przodu. Trzasnęły kości łączące staw skokowy z kolanem.

Zawył z bólu. Skały uwolniły jego stopę, gdy już sądził, że odrywa się od reszty ciała.

Kiedy jego zamroczony bólem umysł zaczął normalnie pracować, Bobby zdał sobie sprawę, że już nie trzyma w rękach Stevena.

*

Zapasowe naboje rozsypały się, kiedy Sarah szybkim ruchem dłoni wyłączyła głośnik krótkofalówki. Strzelec zareagował natychmiast. Sarah po odgłosie wystrzału poznała, że znajdował się nieco z boku. Próbował wykurzyć ją z ukrycia. Nie mógł wiedzieć, że jest niemal bezbronna, i musiał być bardzo ostrożny.

Sarah wyłączyła krótkofalówkę. Kiedy po ciemku obmacywała ręką ziemię, szukając zgubionych nabołów, pomyślała, że to niemożliwe, żeby serce mogło jej bić tak szybko. Nagle usłyszała ruch za rzadkimi zaroślami. Teraz odgłosy były o wiele głośniejsze i dobiegały z innego kierunku niż przedtem.

Chryste! Ten facet obchodził ją naokoło! Wiedział, gdzie się ukryła! Żeby znaleźć choć jeden nabój! Wtedy przynajmniej miałyby jakąś szansę. Teraz stanowiła cel, jak sylwetki na tarczach na strzelnicy FBI.

W górze narastał huk nadlatującego helikoptera. Russel wie, gdzie jesteśmy!

Tuż za jej kryjówką trzasnął złamany patyk. Sarah zamarła. Jezu, ten facet tam był! Był za osłaniającymi ją, beznadziejnie rzadkimi zaroślami. Musiał słyszeć, jak wali jej serce.

Helikopter i bliskość napastnika, którego oddech prawie czuła za plecami, rozpraszały jej uwagę. Dlatego w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na to, co wymacała palcami.

To był nabój! W końcu go miała! Dałaby milion dolarów za cztery następne, ale nawet ten jeden dawał jej jakąś szansę.

Orzeł Jeden zbliżył się jeszcze bardziej.

Nagle wokół niej zrobiło się jasno jak w dzień. Była skąpana w oślepiająco białym świetle zamontowanego na dziobie śmigłowca szperacza. Gdy strumień światła rozciął noc, wokół niej zawirowały cienie i poczuła się całkiem dezorientowana. Spojrzała pod nogi, żeby się nie przewrócić, i wtedy przez padający śnieg i gałęzie pokryte już zawiązkami liści, niecały metr od siebie, zobaczyła parę butów.

Zerwała się na nogi i uniosła rewolwer. Z takiej odległości nawet ona nie mogła chybić.

- O Jezu, nie! Sarah, to ja!

Natychmiast rozpoznała ten głos.

- Gardner!

- Usłyszałem... - Urwał zaskoczony tym, co ujrzał za jej plecami. Uniósł strzelbę do ramienia.

- Uważaj! - wykrzyknął.

Instynktownie rzuciła się w prawo, a noc rozdarły błyski wystrzałów. Obaj mężczyźni wystrzelili i upadli.

- Gardner! Gardner! - wykrzyknęła Sarah.

Podpełzła do niego na czworakach. Na jego piersi szybko powiększała się czerwona plama.

- Gardner, dostałeś? Jak się czujesz? Czy bardzo boli?

Gardner leżał. Miał otwarte oczy i żył, a na jego twarzy malowało się zdziwienie.

- Będzie dobrze - uspokajała go. - Wszystko będzie dobrze. Sama tego dopilnuję. Zobaczysz.

Rozdzierający kaszel przywrócił mu przytomność.

- Boże, jak to boli - jęknął.

Odkrztusił krwawą plwocinę i spróbował unieść głowę. Sarah pomogła mu, a on zmusił się do uśmiechu.

Uśmiech przeszedł w przerażenie, kiedy znów spojrzął za nią. Próbował coś powiedzieć, ale słowa nie były jej potrzebne. Pozwoliła, żeby głowa Gardnera opadła na miękką ziemię, i obróciła się na kolanie, wyciągając przed siebie broń.

Przed nią, w wirujących cieniach wywołanych światłem szperacza, usiłował dźwignąć się na nogi ogromny mężczyzna o płomiennorudych włosach. Cała lewa strona jego płaszcza była posiekana śrutem. W prawej ręce trzymał pistolet.

- Rzuć broń! - krzyknęła Sarah.

Wydawało się, że mężczyzna jej nie słyszy. Zbliżył się o krok.

- Stój! Rzuć broń!

Zrobił następny krok.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzeliła!

Kolejne dwa kroki. Teraz dzieliło ich ledwie parę metrów.

- Cholera, stój!

W odpowiedzi mężczyzna uniósł broń.

- Cholera! - zakłęła Sarah i pociągnęła za spust. Iglica tylko cicho kliknęła i nic się nie stało.

Potężny mężczyzna uśmiechnął się do niej, odsłaniając zakrwawione zęby. Wydawało się, że uniesienie pistoletu do strzału było dla niego ogromnym wysiłkiem.

Sarah znów pociągnęła za spust i znów iglica trafiła na pustą komorę. Kiedy wkładała swój jedyny nabój, zapomniała ustawić bębenek do strzału.

Teraz ręka mężczyzny poruszała się szybciej. Tak szybko, że wśród migających cieni Sarah nie mogła jej dostrzec. A więc zginie. Właśnie tutaj, w lesie, który tak bardzo kochała, jakiś dupek zrobi w niej dziurę na wylot.

Gówno prawda. Kiedy tym razem iglica opadła, posłała kulę dokładnie między oczy napastnika.

Pięć sekund później mówiła już przez radio. Musiała uratować życie Gardnerowi.

*

Bobby pędził podbijany przez skały.

- Steven! - krzyknął w noc i usłyszał odległy, zdławiony płacz. - Steven!

Tutaj woda była o wiele płytsza niż w korycie rzeki. Pomyślał, że dopóki prąd nie wyrzuci chłopca znów na środek, będzie jednak miał jakąś szansę. Steven musiał być gdzieś

blisko.

Bobby skowyczał z bólu, kiedy głązy uderzały w bezwładną lewą nogę, ale nic nie słyszał. Z twarzą zanurzoną w wodzie darł rękami dno.

- Steven!

Niedaleko niego mignęło błękitne dziecięce ubranko. To był Steven w nowej nocnej koszulce!

Bobby rzucił się w tę stronę. Zabrakło paru centymetrów, by chwycić chłopca.

Poruszali się z zadziwiającą prędkością. Każde ramię Bobby'ego ważyło sto kilo, czuł, że traci przytomność. Coraz bardziej zbliżali się do zwałonego do rzeki drzewa. To była ostatnia szansa, żeby uratować chłopca i siebie.

Podjął ostatnią próbę i rzucił się w stronę Stevena, który unosił się na rzece jak sławik, ale już nie walczył o życie. Bobby całym ciałem wyskoczył nad wodę, jak koszykarz, który usiłuje wsadzić piłkę do kosza. Kiedy znów zwałił się w wodę, pod jej powierzchnią czekały na niego skały.

Jednak miał chłopca. Z początku nie wiedział, czy chwycił go za rękę, czy za nogę, ale trzymał mocno. Żadna siła na świecie nie zmusiłaby go, żeby tym razem rozluźnił uchwyt. Przyciągnął go do siebie i mocno przytulił obu rękoma.

Mignęło zwałone drzewo. Odległość do niego można już było liczyć w metrach. Bobby obrócił się w wodzie, osłaniając Stevena. Sam wałnął w drzewo, a gałęzie w wielu miejscach zdarły mu skórę z pleców, nóg i pośladków.

O Boże, ta noga! Kiedy końce złamanej kości otarły się o siebie, krzyknął i do ust dostała mu się woda. Teraz prąd wody z siłą taranu dociskał ich do gałęzi, które zaczęły się uginać pod ich ciężarem.

Przytrzymując się pnia jedną ręką, drugą Bobby podniósł chłopca, który nie sprzeciwił się temu ani jednym ruchem. Ułożył go jak w kołysce w rozwidleniu konarów wspaniałej starej sosny.

W głębi ducha wiedział, że już jest za późno i Steven albo zginie z zimna albo utonie.

Sam też nie miał nadziei na przeżycie.

Mięśnie mu zeszytywniały. Na to, żeby podnieść chłopca z wody, zużył całą energią.

Niczego już nie czuł. Zdrętwiała złamana noga, tak samo jak posiniaczone i poranione ciało. Zdołał jedynie - a i to wymagało niezwykłego wysiłku - unieść prawe ramię z dziesięć centymetrów ponad powierzchnię rwącej wody; na tyle wysoko, żeby wetknąć je między gałęzie. Miał nadzieję, że to wystarczy, żeby utrzymać głowę ponad wodą, kiedy w końcu straci przytomność.

Kiedy ogarnęły go ciemności, pomyślał o Susan. Ona też gdzieś tutaj była. Miał nadzieję, że drugi mąż będzie mógł zapewnić jej lepsze życie niż on.

39

Światło niebios było oślepiające, tak jak utrzymywali wszyscy misjonarze New Age'u, występujący w nocnych programach telewizji. Było tak jasno, że Bobby spróbował się odwrócić, ale zrobiło się jeszcze jaśniej. I było zimno, wręcz niemożliwie zimno i wietrznie.

I hałaśliwie. Niebo ryczało jak... Helikopter?

Czy ktoś do niego mówił?

- Panie Martin, czy pan mnie słyszy?

Bobby nic nie odpowiadał. Kiedy zmusił się do otwarcia oczu, pomyślał, że widzi twarz tego agenta FBI... Jak on się nazywał? A tak, Coates!

- Potrzebuję pańskiej pomocy, panie Martin - krzyczał Coates. - Chcę, żeby pan przełożył ten kołnierz przez głowę, żebyśmy się mogli wynieść z tej cholernej wody!

Woda! Rzeka! Nie był jeszcze w niebie. Ciągle był w lodowatej rzece Cacocin, czyli w piekle.

- Chłopiec - zdołał wyjąkać.

- Mamy go! Jest już w śmigłowcu! Jeśli nie będzie pan współpracował, to sam zejść na dół! Czy pan rozumie? Za parę minut wszyscy zginiemy!

Bobby skinął głową. Przynajmniej pomyślał, że tak zrobił. Zdołał przezwyciężyć bezwład na tyle, że Russel przełożył mu kołnierz przez głowę; teraz agent musiał manipulować ramionami Bobby'ego, żeby je również przeciągnąć. Bobby milcząco leżał na plecach, a agent dopinał na nich paski.

Potem wróciła ciemność.

*

Samuel nie pozwolił sobie na płacz.

Teraz, gdy już odleciały helikoptery i oddalały się światła, leżał całkiem sam pośród drzew, pozostawiony w ciemnościach. Brzuch już nie bolał go tak strasznie. To dobrze.

Było mu tylko bardzo, bardzo zimno. Chciało mu się pić. Pomyślał, że gdyby padał deszcz, to miałby dość wody. A może spróbować złapać na język trochę śniegu? Gdyby tylko był dość bystry, coś by wykombinował.

Żałował, że nie ma z nim teraz Jacoba. On by wiedział, co robić. Ochroniłby go przed Szeferem i tym drugim facetem uzbrojonym w pistolet. Ochroniłby go przed tymi wścibskimi ciotami, którym jeszcze raz udało się dostać Justina.

Próbował powiedzieć Jacobowi, że go za to przeprasza, ale czuł się tak, jakby z warg zdarto mu skórę i do gardła nasypano piasku. Nie wydał żadnego dźwięku.

I oto jego brat już tu był. Patrzył na niego z góry i świecił mu w oczy. Samuel spróbował je zmrużyć, odwrócić wzrok, ale czuł, że mięśnie szyi nie są połączone z resztą ciała. Mógł tylko patrzeć.

Co to był za widok! Jacob znów żył. Miał na sobie ciężką zieloną kurtkę z futrzanym kołnierzem i kapelusz z wielkim, obwisłym rondem, jaki mogli nosić tylko strażnicy leśni czy policjanci. Chciało mu się śmiać. Jacob zawsze lubił, kiedy brat śmiał się z jego żartów, ale teraz nic z tego nie wyszło. Musiał śmiać się w duchu.

Jacob coś do niego krzyczał, a potem mówił przez radio. Samuel nie zrozumiał jego słów. Spróbował przysunąć się bliżej, ale miał takie wrażenie, jakby ktoś odciągał go stąd coraz dalej.

- Będzie dobrze, kolego...

Tym razem to usłyszał, ale słowom nie towarzyszył już obraz. Odchodził coraz dalej i coraz bardziej się uśmiechał. Jacob powiedział, że będzie wszystko dobrze.

Nazwał go swoim kolegą.

*

Bobby Martin z wolna odzyskiwał świadomość. Kiedy zgiął palec u nogi, ból wystrzelił do góry jak pocisk, aż po pachwinę. Przeniósł Bobby'ego w pełni do rzeczywistości, jakby przerzucił go ponad jakąś ścianą.

Bobby od razu wiedział, gdzie jest i dlaczego się tu znalazł. Jęcząc z bólu, uniósł się na łokciach z połówki i trącił odwróconego plecami mężczyznę, chcąc przyciągnąć jego uwagę.

Zaniepokojony mężczyzna obrócił się. Był to agent do zadań specjalnych Russel Coates.

- Moja żona! - jęknął Bobby, przekrzykując grzmot rotorów. - Musimy wracać po Susan!

Russel uśmiechnął się, położył mu rękę na ramieniu i odsunął się, tak że Bobby zobaczył po drugiej stronie wąskiego przejścia innego pacjenta. Susan leżała pod wielką stertą koców. Miała zamknięte oczy, a w oślepiającym elektrycznym świetle jej skóra przybrała żółtawy odcień.

- Co z nią?

- Będzie dobrze.

- Została postrzelona.

- Lekarz mówi, że wygląda to na rykoszet - odpowiedział Russel, wskazując ranę powyżej ucha. - Wszyscy troje jesteście bardzo wyziębieni; pana noga też wymaga leczenia, ale wygląda na to, że wszystko będzie w porządku.

- A co ze Stevenem?

Widząc na twarzy Russela zakłopotanie, zapytał inaczej:

- Co z chłopcem?

- Śpi teraz u boku pańskiej żony. Z wami wszystko będzie dobrze.

Bobby czuł, że chyba powinien mieć więcej pytań, ale nie mógł nic wymyślić, dopóki nie zobaczył człowieka leżącego na wznak na polówce, która znajdowała się pod koją Susan.

- A to kto?

Twarz Russela spochmurniała.

- Strażnik Blackwell ze Służby Leśnej parku. Trafili go.

Bobby chciał lepiej przyjrzeć się Blackwellowi, ale sparaliżowało go dżgnięcie bólu.

- Będzie żył? - zapytał.

Nie wiedział, jak ma zinterpretować wyraz twarzy Russela, ale zrozumiał, że lepiej w to nie wnikać. Z powrotem położył głowę, próbując się odprężyć. Czy jego koszmar już się skończył, czy dopiero się rozpoczyna?

*

Kiedy tylko April usłyszała, jak na końcu szeregu cel otwierają się ciężkie drzwi, już wiedziała, że zbliżające się kroki kierują się do niej. Została przeniesiona do czteroosobowej celi, gdzie dostała górne łóżko piętrowej pryczy. Ze swojej grędy mogła stwierdzić, że żadna z jej współlokatorek nawet nie drgnęła, słysząc zbliżającego się strażnika.

Nagimi stopami bezgłośnie wylądowała na betonowej podłodze i czekała przy kracie, aż w zasięgu wzroku pojawi się detektyw Tom Stipton. Aż się wzdrygnął, kiedy zobaczył ją tak blisko kraty.

- Ty o czymś wiesz - powiedziała April, bojąc się tego, co może usłyszeć. Stipton wyglądał na bardzo przygnębionego.

- Zanim przejdę do szczegółów w twojej sprawie, April, chcę, żebyś wiedziała, że z Justinem wszystko będzie dobrze.

- Znaleźliście go?

- Tak, ale... - Stipton skinął twierdząco głową.

- Żyje?

- Tak. Ale z trudem to zniósł. Jego porwanie zostało udaremnione przez...

- Zaczekaj - przerwała mu znów April, podnosząc do góry rękę. Uśmiechnęła się i łzy zamgłiły jej wzrok.

- Zanim opowiesz resztę, powtórz mi tę pierwszą część.

Stipton uśmiechnął się.

- Wszystko z nim będzie dobrze, April.

40

Tom Stipton podjechał swoim nieoznakowanym samochodem do krawężnika. Ani on, ani April dłuższy czas nic nie mówili, przyglądając się tej przyfrontowej strefie, jaką było Sosnowe Osiedle.

- Stać cię na więcej niż to - powiedział w końcu Tom.

W odpowiedzi April wruszyła ramionami i leciutko się uśmiechnęła.

- Powtarzam sobie, że któregoś dnia przyplynie mój statek, ale widocznie ugrzązł gdzieś na rafach. Tak czy owak lepsze to od więzienia.

Tom zmusił się do uśmiechu.

- A ja przez jakiś czas będę unikać tego centrum handlowego. Nie są tam uszczęśliwieni faktem, że prokurator okręgowy potraktował twoją sprawę w taki sposób.

- Powinnam napisać do niego kartkę z podziękowaniem.

Tom lekko się skrzywił.

- Nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. Jego decyzja jest i tak dostatecznie kontrowersyjna bez twoich podziękowań.

- Czy mogę więc podziękować tobie?

- Pewnie, że możesz, aczkolwiek nie jest to konieczne - odpowiedział z uśmiechem Tom.

April przechyliła się przez siedzenie i czule musnęła go wargami w policzek.

- Dziękuję, detektywie Stipton. To było również od Justina.

Oboje spojrzeli do tyłu. Chłopiec mocno spał w foteliku na tylnym siedzeniu.

- Czy mogę ci zdradzić tajemnicę? - zapytał Tom z konspiracyjnym błyskiem w oku. - Tak naprawdę to właśnie dla niego to zrobiłem. Zbyt wiele przeszedł, żeby miał stracić swoją

mamę tylko z tego powodu, że pewnego dnia zrobiła głupstwo.

April wytrzymała spojrzenie Toma tak długo, aż oboje spuścili wzrok.

- Dlaczego policyjny wóz ma fotelik do przewożenia dzieci? - zapytała, wychodząc z samochodu.

- Trzymamy je w bagażniku na wszelki wypadek.

April roześmiała się na myśl o tym, jakie to absurdalne.

- To znaczy, że trzymacie je razem z kamizelkami kuloodpornymi i gazem łzawiącym?

- Nie zapominaj o kogucie i strzelbie - dorzucił.

Czekał, kiedy wyjmowała z samochodu śpiącego chłopca.

- Czy chcesz, żebym odprowadził cię do drzwi?

Sytuacja stawała się niezręczna.

- Nie potrzebuję ochroniarza.

- Nie jesteś już uzbrojona.

- Lepiej nie mów tego wszystkim - roześmiała się.

Zapanowała długa cisza.

- Wiesz co? - odezwała się wreszcie April. - Teraz chcesz mnie eskortować, a potem zadzwonisz, żeby umówić się ze mną na randkę i eskortować mnie na obiad, prawda?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mogłbym tak właśnie zrobić - przyznał.

- A ja mogłabym odpowiedzieć „tak”.

Figlarnie ściągnęła brwi i odeszła, czując na swoich plecach jego gorące spojrzenie.

*

Przekręciła klucz w drzwiach i weszła do swojego obskurnego mieszkania. Natychmiast poczuła, że coś musi zmienić. Tom miał rację - nie należała do tego świata. Miała swoje marzenia i żadne nie odpowiadało tej gównianej dziurze. Dwie sypialnie i pełna karaluchów kuchnia zbyt przypominały Williama, który tak zmarnował jej życie. Miała talent, do cholery, a tam, gdzie talentu nie wystarczy, miała więcej energii i pragnień, niż ktokolwiek z ludzi, których знаła. Nadszedł czas, by zaczęła wierzyć w siebie równie mocno i głęboko, jak wierzył w nią jej ojciec.

Nadszedł czas wielkiej zmiany.

*

Pierwszym krokiem musiało być usunięcie z tego miejsca pozostałości po jej bezwartościowym mężu. Delikatnie położyła Justina do łóżeczka i przez chwilę obserwowała,

jak śpi. Potem skierowała się do swojej sypialni, żeby rozpocząć wielkie oczyszczenie. Zbierając porozrzucane ubrania Williama z podłogi i oparcia łóżka, chciała czuć smutek. Przecież nie wolno nienawidzić zmarłych.

Opróżniła szafę, pozdejmowała jego rzeczy z wieszaków, poskładała na stos buty, koszule, spodnie i bieliznę. Jak ona zdołała przekonać siebie, że potrzebowała tego mężczyzny?

Na to pytanie odpowie za kilka lat, kiedy spojrzy obiektywnie na wydarzenia z przeszłości. Teraz po prostu było jej wstyd.

Kończąc sprzątanie szafy, sięgnęła aż do ściany i wymacała jakąś zapomnianą białą skarpetkę.

- A to co takiego? - zdziwiła się głośno.

Sięgnęła głębiej i okazało się, że są tam aż cztery skarpetki zatykające dziurę w ścianie wielkości spodka. Gdy je wyciągnęła, z dziury wypadł dwudziestodolarowy banknot.

Przysunęła się bliżej i dojrzała więcej pieniędzy. Drżąc na myśl o tym, co może znaleźć, sięgnęła do środka i wymacała plik banknotów. Wyciągnęła jeden, potem jeszcze dwa; były tam dwudziestki, dziesiątki, pięćdziesiątki, a nawet setki. Musiały tu być setki dolarów. Może tysiące!

Zebrawszy pieniądze, pośpiesznie przeszła do salonu i zsyłała je na stolik do kawy, żeby posortować. Nigdy nie widziała takiej masy pieniędzy. Były tu przez cały czas...

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, omal nie krzyknęła głośno. Osunęła się na wytartą sofę i zacisnęła ręką usta. Ten sukinsyn miał pieniądze i Justin mógł uniknąć takich niebezpieczeństw.

Jezu! Chcieli pochować jej dziecko żywcem! Zrobiło się jej zimno na całym ciele i gniew opadł na nią wielką, czarną chmurą.

- O Boże! - wyszeptała.

Kiedy do pokoju wszedł Justin, nagle poczuła, że płonie ze wstydu.

- Co ci jest, mamusiu? - zapytał Justin z wahaniem. - Mamusiu, nie płacz.

April przygarnęła go, całowała jego włosy i twarz.

- Och, skarbie, tak bardzo, bardzo cię kocham. Przepraszam cię za wszystko - powiedziała przez łzy, które ciekły jej strumieniem.

Nie mogła wypuścić chłopca z uścisku. Czowała się tak szczęśliwa tuląc go do siebie, że aż straciła poczucie czasu.

Gdy ktoś zapukał do drzwi, w pierwszej chwili nie zareagowała. Potem usłyszała głos Toma.

- Chwileczkę! - zawołała.

Szybko zrzuciła banknoty na podłogę i wepchnęła je pod sofę. Była pewna, że te pieniądze pochodziły z handlu narkotykami, ale nie wiedziała jeszcze, co z nimi robi.

- To będzie nasz mały sekret, dobrze, Justin?

- Sekret - jak echo odpowiedział chłopiec, ale było jasne, że nie wie, o czym April mówi.

Kiedy otworzyła drzwi, Tom stał odwrócony plecami i patrzył na boisko.

- Wróciłem - powiedział. W ręku trzymał pudełko po butach.

- Bardzo się cieszę - odpowiedziała, nerwowo poprawiając włosy. - Może chciałbyś wejść? - zaproponowała i odsunęła się na bok.

- Chyba nie - Tom pokręcił przecząco głową. - Przynajmniej nie teraz. Jestem na służbie. To przyszło do ciebie z dzisiejszą pocztą, zaadresowane na komisariat policji.

Zaciekawiona otworzyła pudełko i zobaczyła pomarańczowego, pluszowego tygrysa. Justin natychmiast go rozpoznał i aż zapiszczał z uciechy. Podbiegł i chwycił zabawkę, mocno ją przytulając. Kiedy wyciągał tygrysa z pudełka, na podłogę spadła kartka.

- Czytałeś? - zapytała April schylając się, by ją podnieść.

- Rozumiesz sama, że w tych okolicznościach... Musieliśmy sprawdzić, czy to nie bomba albo coś podobnego.

Był to list napisany niebieskim atramentem na papierze z wykwintnej papeterii.

Dowiedzieliśmy się od naszego adwokata, że chcesz zachować anonimowość, dlatego wysyłamy tę paczkę na adres komisariatu policji. Ten tygrys należał do nadzwyczajnego chłopca, któremu nie było dane bawić się nim. Teraz należy do Twojego synka, który, jak nam powiedziano, ma na imię Justin. To bardzo ładne imię.

Może któregoś dnia poczujesz się na tyle dobrze, żeby napisać nam choćby w kilku słowach, jak on się miewa. Masz cudownego chłopca.

Szczerze oddani
Susan i Bobby Martinowie

- Myślę, że to jest to - oznajmił Bobby.

- O nie - pokręciła głową Susan. - Gdyby tak było, wiedziałabym o tym. Kobieta potrafi wyczuć takie rzeczy.

- Ja też potrafię wyczuwać te rzeczy, wiesz?

- Nie każdy strzał trafia w cel - drażniła się z nim Susan.

- Ale ten trafił.

Susan przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

- Przeżyliśmy już tyle rozczarowań, a ja nie chcę, żeby...

Bobby delikatnie wziął żonę za rękę.

- W razie czego spróbujemy znowu. Kocham cię.

Susan lekko go ucałowała i objęła.

- Ja też cię kocham.